

UMARLI NIE WRACAJĄ

Autor bestsellerowej powieści „Potępiona”, nominowanej w plebiscycie
KSIĄŻKA ROKU 2019 PORTALU LUBIMYCZYTAC.PL

BARTŁOMIEJ FITAS

UMARLI NIE
WRACAJĄ

BARTŁOMIEJ FITAS



Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2021

Dom Horroru
Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Copyright © Bartłomiej Fitas, Umarli nie wracają, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja i korekta: Karolina Stasiak, Anna Dziegielewska

Projekt okładki: Dawid Boldys, Shred Perspectives Works
Skład i łamanie: Sandra Gatt Osińska

Wydanie I

ISBN: 978-83-66518-53-7

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

e_wydanie eLJot

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[Wstęp](#)

[Część pierwsza Artur](#)

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)

[Część druga Polowanie](#)

[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)

Część trzecia Umarli nie wracają

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Epilog

Podziękowania

Tym, którzy nie wrócą.

Wstęp

Kim jestem i co tu robię?

Dlaczego tutaj tak ciemno i zimno?

W oddali zamajaczyła biała kropka.

To jakieś przywidzenie?

A może wylot z tej ciemnicy?

Czy to za sprawą złudzenia optycznego, czy innego zjawiska, kropka sprawiała wrażenie, jakby nieznacznie się powiększała.

Czyżby trafił do miejsca, w którym czas kurczy się do punktu, a odległość nie jest wyznacznikiem? Do białej kropki było równie daleko, co blisko. Możliwe, że istniała na tej samej zasadzie, co fatamorgana na pustyni, oglądana oczami umierającego z pragnienia – zwykły pozór, który wyciska ostatnie resztki sił, aby przy mecie obwieścić, że to na nic.

Nie ma wody.

Żadnego wyjścia.

Płynął, spalał się.

Jego zmysły działały tak, jak powinny; wzrok rejestrował biały punkt, a węch wyczuwał słaby zapach wilgoci. Tylko słuch nie wychwytywał najdrobniejszego szmeru, lecz nie wydawało się to niepokojące. W końcu jakie odgłosy mogły rozlegać się w takiej czerni?

Nagle w bezkresnej pustce pojawiła się mgła. Zjawisko wykonywało płynne, osobliwe ruchy, podobne do tańca.

W innych okolicznościach poczułby strach, lecz tym razem coś podpowiadało mu, że mgła nie stanowi zagrożenia. Wszak był tym, co wychodzi z umierającego człowieka i sprawia, że śmierć jest nieodwracalna; częścią, jaka po opuszczeniu ciała zostawia oczy zasnuwane bielmem, upodabniając je do szklanych kulek.

Płynął w ciszy, otoczony przez kłębiącą się watę. Dookoła majaczyły sylwetki innych pozostałości po ludziach. Przypuszczał, że opuściły świat w podobnym czasie co on, aczkolwiek nie miał stuprocentowej pewności. Postaci owiewała tajemnica. Co robiły za życia? Jak odeszły? Czy zostawiły po sobie jakiś ślad na świecie? Te sekrety zabrały ze sobą do grobu i nim tu trafiły, ktoś odseparował je, pozostawiając samotne, pozbawione historii dusze.

Wyczuwał, że one również go widzą. Domyślał się, że w ich oczach jest kolejnym ciemnym zarysem, nie wyróżniającym się na tle pozostałych.

Jego życie nie trwało zbyt długo. Z tego, co pamiętał, jakieś siedemnaście lat albo krócej. Uznał, że dziwnie jest myśleć o upływie

czasu w bezkresnej przestrzeni, gdzie on nie obowiązuje. Trwał tu od zawsze, jednocześnie czując, że dopiero co przybył. Tam gdzie niegdyś egzystował, mogły minąć już całe lata albo zaledwie kilka sekund. W tym stanie nie miało to znaczenia. Czas istniał tylko dla ludzi.

Ostatnim, co zapamiętał, była poznaczona bruzdami bólu i zmęczenia, wychudzona twarz opięta pożółkłą skórą. Zapadnięte, przekrwione oczy dawno temu straciły iskrę życia... Usta przybrały trupio blady odcień, zaś pokrywające je, głębokie pęknięcia przywodziły na myśl kaniony wypełnione obrzydliwą ropą.

Twarcz należała do nastolatka przegrywającego walkę z rakiem. Choroba zżerała go od środka, zajmując wszystkie narządy i zostawiając po nich dymiące zgliszcza.

Ostatnie chwile agonii wypełniały sny napędzane przez krążącą w jego pokłutych żyłach morfinę. Składały się na nie obrazy spod ręki równie naćpanego i niezrównoważonego artysty, który pędzlem chciał przelać na płótno swoje szaleństwo.

Śmierć przyniosła ulgę. Cóż lepszego mogło go spotkać? Z jego ciała został wrak, który nie nadawał się nawet na części zamienne. Jedyne, co mógł zrobić, to uciec tam, gdzie ból odejdzie w niepamięć.

Spojrzał na zbliżające się białe światło. Miał nadzieję, że to nie tunel, o jakim tak wiele słyszał za życia. Każdy tunel musi gdzieś prowadzić. A co, jeśli na końcu trafi na kolejną wagonę, która wbrew jego woli wypłuje go na świat pełen chorób, bólu, problemów i cierpienia?

Płynął z niewidzialnym nurtem, podobnie jak pozostałe sylwetki. One wszystkie stanowiły część szarej mgły, nieuchronnie dążącej do białego punktu, który zdążył urosnąć do rozmiarów sporego półkola przypominającego wylot tunelu. Nie dało się zatrzymać mgły; to siła napędzająca cykl egzystencji i niebytu. Najpewniej prowadziła je do krainy, gdzie wcale nie zaznają wiecznego spokoju.

Naszły go sprzeczne emocje. Z jednej strony pragnął tu zostać, lecz z drugiej stawało się to nie do zniesienia i pomimo obaw związanych z przyszłością, chciał stąd odejść. Wiedział, że wtedy o wszystkim zapomni i cykl ruszy od nowa. Może nie trafi się rak...

Nagle zatrzymał się i dopiero po jakimś czasie – o ile da się mówić o czymś takim – zorientował się, że coś jest nie tak. Mgła brnęła dalej, lecz on nie ruszył się ani o centymetr. Sylwetki omijały go w głuchej ciszy.

Zapach wilgoci sukcesywnie zyskiwał na intensywności. Gdy ujrzał ostatnie strzępy mgły, woń stała się niemal nie do zniesienia. Przypomniał sobie o irytacji. To uczucie owładnęło nim tak mocno, że gdyby tylko posiadał fizyczne ciało, złapałby pierwszy przedmiot i cisnął nim w oddalające się strzępy mgły.

W pewnym momencie znów podjął swą wędrówkę. Dalej płynął, lecz

pod prąd. Widział, jak wyjście z tunelu staje się coraz odleglejsze. Coś go złapało i z brutalną siłą ciągnęło wstecz. Ciągnęło go tam, skąd niedawno uciekł.

Część pierwsza
Artur

Rozdział 1

Coś wyrwało go z niespokojnej płytkiej drzemki. O czymś śnił, lecz wspomnienie prysło natychmiast po przebudzeniu. Spojrzał w sufit przekrwionymi ze zmęczenia oczami i westchnął. Od kilku nocy nie mógł zasnąć na dłużej niż pół godziny. Przewracał się z boku na bok, podczas gdy jego żona spała jak kamień.

Pomimo wieloletniego stażu małżeńskiego niektóre kwestie pozostawały indywidualne. Należał do nich między innymi sposób walki ze smutkiem. Daria wolała zasnąć z nadzieją na lepsze jutro. Jego analityczny umysł natomiast nie pozwalał mu na marnowanie cennych godzin ciszy i spokoju. Ciągłe zastanawiał się, co może zrobić, aby poradzić sobie z żalobą i wrócić do normalnego funkcjonowania. Za każdym razem labirynt jego myśli prowadził do tego samego punktu. Punkt ten nazywał się NIC. Podążał różnymi korytarzami, licząc na to, że droga w końcu zaprowadzi go do oczekiwanego rozwiązania, lecz ciągle doznawał gorzkiego rozczarowania.

NIC.

Sławek oderwał wzrok od sufitu i skierował go na okno. Oczy zapiekły go od blasku księżycowej poświaty. Zamrugał, lecz spod powiek nie wypłynęła ani jedna łza.

Ostatni rok minął jak z bicza strzelił. Czternastego marca Artur obudził się w fatalnym stanie, choć jeszcze poprzedniego dnia trenował koszykówkę i nic nie zapowiadało zbliżającej się choroby. Przygotowywał się do zawodów i zależało mu na jak najlepszej formie. Marzył o karierze koszykarza i wiele wskazywało na to, że uda mu się osiągnąć ten cel. Sławek zawsze wspierał syna i jego sukces uważał za kwestię czasu. Niestety, tego cholernego poranka to co wydawało się pewne, stanęło pod znakiem zapytania.

Początkowo podejrzewali zatrucie pokarmowe, zwłaszcza że od kilku tygodni Artur często narzekał na bóle brzucha. Tym razem miał mdłości, gorączkę i kilkakrotnie zwymiotował breją o bliżej nieokreślonym kolorze. Około południa jego stan uległ drastycznemu pogorszeniu. Przed trzynastą zadzwonili po karetkę.

Na drugi dzień usłyszeli najgorsze możliwe słowa. Słowa, na jakie nie jest przygotowany żaden rodzic.

– Państwa syn choruje na raka – oznajmił lekarz głosem pozbawionym wyrazu. Na jego twarzy pojawił się cień współczucia, lecz zaraz zniknął, zastąpiony przez profesjonalną obojętność.

– Co? Dlaczego? – zapytała Daria. Jej usta wykrzywił grymas

podobny do uśmiechu, choć od radości dzieliły go setki lat świetlnych. Wystarczyło spojrzeć jej w oczy, aby przekonać się, że to nerwowy skurcz mięśni. Jej pełen przerażenia wzrok mówił sam za siebie.

Lekarz westchnął. Zerknął przez szybę na nieprzytomnego Artura. Stali w jasno oświetlonym korytarzu. Tu i ówdzie przewijały się posępne sylwetki pacjentów, którym jakimś sposobem udało się wykrzesać dość sił na wstanie z łóżka. Oddział onkologiczny wydawał się nieodpowiednim miejscem dla zdrowych ludzi. Panująca tu atmosfera odbierała resztki energii i niczym chemioterapia niszczyła w człowieku również to, co najlepsze.

– Chciałbym odpowiedzieć państwu na te pytania, ale nie potrafię – odparł lekarz po dłuższym milczeniu. Krótkie zdanie w łagodny sposób wyraziło brutalną prawdę: Artur choruje na raka i najbliższe tygodnie pokażą, czy zdoła go pokonać.

– Ale... ale... on przecież prowadzi zdrowy tryb życia. Gra w koszykówkę, nie pije, nie pali. Dobrze się odżywia...

– Tryb życia nie gwarantuje dobrego zdrowia. W każdym z nas są komórki nowotworowe i nic z tego nie wynika. Nie mamy wpływu na to, czy w danym momencie zaczną się one namnażać. Oczywiście dookoła jest mnóstwo substancji o działaniu rakotwórczym i wiele osób styka się z nimi każdego dnia. Nie oznacza to jednak, że w ten sposób dana osoba zachoruje. Równie dobrze można żyć pod kloszem i umrzeć na raka.

– Czyli Artur po prostu ma pecha? – zapytał Sławek.

– Nie chciałbym używać takich słów, ale skoro już one padły...

– Jakie są szanse, by wyzdrowiał?

Po twarzy lekarza przebiegł nerwowy skurcz, który wskazywał na to, że usłyszał pytanie, jakiego się obawiał.

– Cóż... w tym momencie ciężko mówić o rokowaniach – podjął ostrożnie.

– Ale?

– Ale to rak trzustki, w dodatku wykryty w późnym stadium.

– Proszę mówić konkretnie. – Sławek miał ochotę krzyknąć, lecz jakimś cudem utrzymał nerwy na wodzy. – Pół na pół? Więcej?

– Mniej.

Podmuch wiatru uderzył w okno, sprawiając, że Sławka opuściło wspomnienie o najgorszym dniu jego życia. Patrzył na targane wiatrem gałęzie. Zanosiło się na burzę. Ulewy o tej porze zawsze wprawiały go w niepokój. Wydawało mu się, że początek dnia jest okropnym momentem na burzę. Przez nią szarówka trwa znacznie dłużej, a dzień męczy i niemilośnie się wlecze.

Wiatr ustał, a potencjometr w umyśle Sławka wyciszył do zera odgłosy świata zewnętrznego.

Minęło kilka miesięcy. Stan Artura uległ nieznacznej poprawie. Jego organizm był wymęczony ciężką chemioterapią, lecz jej efektywność sprawiła, że w oczach chłopca pojawiła się iskra nadziei.

Sławek odniósł wrażenie, że przez ten czas ich syn postarzał się o dekadę. Nie chodziło tu o wygląd, lecz o jego zachowanie. Miał niecałe siedemnaście lat. W tym wieku dzieciaki powinny pyskować, obściskiwac się i chodzić własnymi drogami nim nadejdzie dorosłość, która zmusi je do uspokojenia się. Artur zdawał się całkowicie pogodzony z tym, że nie zazna uroków ostatnich lat beztroski. Ta postawa zasługiwała na podziw, lecz jednocześnie przerażała.

Odkąd Artur zachorował, Sławek nieraz zastanawiał się nad tym, co on by zrobił na jego miejscu. Był pewny, że Daria też o tym myślała. To kolejne niepisane prawo wieloletniego małżeństwa; nie trzeba mówić sobie o wszystkim. Niektóre rzeczy się po prostu wie.

Stawiając się w sytuacji osoby czującej na karku oddech śmierci, Sławek najprawdopodobniej spanikowałby i poddał się psychicznie. Każdego dnia trząsłby się ze strachu i nie potrafiłby tego ukrywać. Artur natomiast zachowywał zimną krew. W tym przypadku to ojciec mógłby się czegoś nauczyć od syna.

Obraz zapadniętej twarzy Artura rozmył się. Sławek znów patrzył przez okno.

– Nie śpisz? – zapytała Daria zaspanym głosem.

Spojrzał na żonę. Ciemność skutecznie maskowała nitki siwizny na jej głowie. On natomiast zaczął jeszcze szybciej łysieć. W pewnym momencie postanowił się obciąć na zero. Robiąc to, przypomniał sobie, jak strzygł Artura, który przez kilka lat nosił długie włosy. Nie chciał widzieć, jak włosy wypadają mu garściami, dlatego wolał się ich pozbyć przed pierwszą chemią.

– Nie – odparł. Odpowiedział mu miarowy oddech Darii, która zdążyła zasnąć, nim dotarł do niego sens jej pytania.

Kolejne wspomnienie prześladowało go zarówno we śnie, jak i na jawie. Potrafiło przyjść w dowolnym momencie, odbierając mu resztki sensu życia.

Arturowi zostały dni, jeśli nie godziny. Jego stan nie miał już ulec poprawie. Przed zaledwie tygodniem wydawało się, że jest na dobrej drodze do odzyskania zdrowia, lecz wtedy pojawiły się przerzuty, w straszliwym tempie obejmując praktycznie cały układ pokarmowy i niszcząc płuca.

Zegar życia odmierzał ostatnie godziny, minuty i sekundy. Jego tykanie rozlegało się w pełnej napięcia ciszy, przez co dało się zauważyć, że stopniowo zwalnia. Ogromne dawki morfiny sprawiały, że Artur nie wrzeszczał z bólu, lecz krążył w narkotycznych snach, odwiedzając

światy niedostępne dla zdrowych ludzi. Niekiedy coś mówił, lecz słowa te nie miały sensu, a spuchnięty język dodatkowo je zniekształcał.

Dwa dni później Artur odszedł. Próbowali się na to jakoś przygotować, ale cios okazał się zbyt mocny. Z jednej strony mieli świadomość złego stanu syna, lecz z drugiej do samego końca tliły się w nich resztki nadziei.

Kropla deszczu uderzyła o parapet szpitalnego okna. Pierwsza łza, po której wylały się całe strumienie następnych.

Sławek potrząsnął głową. W tym momencie doszedł do wniosku, że spodziewana burza zacznie się wcześniej, niż myślał. Na zewnątrz nadal panowały ciemności, a z oddali dały się słyszeć głuche pomruki. Niebo rozświetlił krótki błysk, jakby ktoś na podwórku robił zdjęcia z użyciem lampy błyskowej.

Ostatnia myśl. Starsza kobieta.

Po pogrzebie Artura wspólnie z Darią postanowili sprzedać dom na przedmieściach Krakowa i wyjechać. Dom, odziedziczony po jego rodzicach, stanowił idealne rozwiązanie, oddalony o ponad sześćset kilometrów od pełnego przykrych wspomnień miasta.

Rozpoczęli nowy rozdział, lecz wtedy pojawiła się staruszka. Miało to miejsce jakiś miesiąc po przeprowadzce.

Staruszka przyszła niespodziewanie. Stała w ich progu z dużą blachą szarlotki i szerokim uśmiechem rozjaśniającym pomarszczoną twarz. W słońcu zaśnił złoty hak zaczepiający protezę o jeden z nielicznych prawdziwych zębów.

– Dzień dobry państwu – przywitała się. – Pomyślałam sobie, że warto poznać nowych sąsiadów. Mam nadzieję, że się nie narzucam.

– Nie, skądże – odparła Daria.

Nieznajoma sprawiała wrażenie sympatycznej babci, której poumierały koleżanki i szuka kogoś do rozmowy. To złudzenie sprawiło, że Sławek odpowiedział uśmiechem na jej powitanie i zaprosił ją do środka.

Daria pokroiła ciasto, a Sławek zaparzył herbatę. W tym czasie staruszka z ciekawością rozglądała się po kuchni. Wkrótce przeszli do rozmowy o wszystkim i o niczym, a kolejne minuty upływały w przyjemnej atmosferze.

– Rozumiem, przez co przeszliście – rzekła w pewnym momencie babcia, biorąc ostrożnie łyk herbaty.

Sławek i Daria spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

– Nie rozumiem – powiedział. – O czym pani mówi?

– O Arturze, waszym synu – odparła, jak gdyby nigdy nic.

Rozległ się odgłos przypominający strzał z zepsutej rury wydechowej. Daria poklepała się po klatce piersiowej i herbatą splukała przyklejone

do gardła okruszki.

– Skąd pani o nim wie? – Gwałtownie wstała. Krzesło, na którym siedziała, z hukiem runęło na podłogę.

– Znam śmierć.

– Chyba jednak nie zostaniemy dobrymi sąsiadami. – Sławek również wstał. – Nikomu tu nie mówiliśmy o naszym synu, więc tym bardziej nie rozumiem, skąd pani może mieć jakiekolwiek informacje na jego temat.

– Znam śmierć – powtórzyła stara kobieta, po czym uśmiechnęła się.

– Powinna pani już wyjść – rzekła Daria, dając jej do zrozumienia, że nie jest w ich domu mile widziana.

Twarz staruszki nagle stężała. Zachodzące bielmem oczy przybrały intensywnie niebieską barwę, a sieci zmarszczek tworzące na jej policzkach skomplikowane wzory stały się znacznie płytsze.

– Ja naprawdę znam śmierć.

Sławek żałował, że nie poszedł wtedy za impulsem i nie wyrzucił tej kobiety z domu. Zamiast tego dał się porwać zwyczajnej ludzkiej ciekawości.

– No dobrze. Skoro zna pani śmierć, to proszę mi powiedzieć, dokąd idziemy, kiedy umieramy?

– Nikt nie jest w stanie opisać słowami zaświatów – odparła kobieta, nie zważając na jego sarkastyczny ton.

– To chyba jasne. Nikt nie może ich opisać, ponieważ musiałby przedtem zmartwychwstać. Nie powiedziała pani zatem niczego odkrywczego. A teraz przepraszam, ale...

– Uważa pan, że kłamię. – Staruszka uśmiechnęła się, choć jej oczy pozostały bez wyrazu.

Sławka kusilo, by powiedzieć coś niemiłego, lecz ugryzł się w język. Najchętniej posłałby tę niespełna rozumu kobietę do wszystkich diabłów. Miał jednak na uwadze to, że mieszkają w miasteczku, gdzie plotki rozprzestrzeniają się lotem błyskawicy. Nie potrzebowali łatki społecznych dziwaków.

– Czy chce pan odzyskać syna?

Pytanie sprawiło, że przez jego kręgosłup przeszedł nieprzyjemny dreszcz. W głowie rozpętała się burza myśli. Jedno ukradkowe spojrzenie na Darię wystarczyło, aby przekonał się, że ona czuje dokładnie to samo.

– Tak.

Podskoczył, słysząc swój głos. Wcale nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Mógł zaprzeczyć, lecz wtedy tak naprawdę zaprzeczyłby samemu sobie.

– Jestem w stanie wam pomóc – oznajmiła staruszka. W jej spojrzeniu pojawił się tajemniczy błysk. Można by pomyśleć, że są to oczy

przedstawiciela handlowego, któremu wreszcie udało się wcisnąć komuś beznadziejną ofertę, za co zgarnie oszałamiającą prowizję.

Spodziewali się jakichś dziwnych obrzędów, palenia świec i wymawiania łacińskich formuł. Tak wyglądałoby to na filmie. W tym przypadku scenariusz nie przewidywał zbędnych fajerwerków. Kobieta po prostu zamknęła oczy i bezgłośnie poruszała ustami. Co jakiś czas przerywała, a skupienie na jej twarzy sugerowało nasłuchiwanie. Zupełnie jakby prowadziła dialog z jakimś niewidzialnym rozmówcą. Przez jej powieki przechodziły gwałtowne skurcze.

Dziwna ceremonia trwała zaledwie kilkanaście sekund, choć Sławek w tamtym momencie odniósł wrażenie, że minęła przynajmniej godzina. Wreszcie kobieta otworzyła oczy. Z początku jej spojrzenie było nieprzytomne, lecz zaraz odzyskało swój poprzedni wyraz.

– Dobrze – oznajmiła. – Artur niebawem wróci do domu. Jestem zmęczona. Muszę już iść.

Sławek z Darią skinęli głowami i wzrokiem odprowadzili nieznajomą do drzwi. Dopiero później uświadomił sobie, że nawet nie zapytali jej o imię; po prostu wpuścili do domu obcą kobietę, jakby była ich dobrą koleżanką, z którą się dawno nie widzieli. W trakcie pożegnania nie potrafili wydusić z siebie ani słowa. Nie mieli pojęcia, czy mają dziękować, życzyć miłego dnia, czy kazać iść precz.

Przez kilka dni oboje odczuwali dławiący niepokój, lecz w końcu staruszka opuściła ich myśli, a oni wrócili do swoich codziennych zajęć. Nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się tamtego dnia.

Pokój rozświetlił intensywny błysk, jakby na ułamek sekundy nastął dzień. Potężny huk wyrwał Sławka z zamyślenia.

– Co jest? – wymruczała Daria przez sen, co brzmiało bardziej jak „sssoooooest?”

– Burza. Śpij – mruknął w odpowiedzi, po czym sięgnął do nakastlika. Chwycił paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. Daria nie znosiła, gdy przy niej palił, lecz od śmierci Artura przestała zwracać mu uwagę.

Wstał, by uchylić balkonowe okno. W sypialni było duszno i nieprzyjemnie, jakby od wielu dni pomieszczenie nie zostało ani razu przewietrzone. Całe jego ciało pokrywała warstewka potu, przez co przy kontakcie z chłodnym powietrzem na ramiona wystąpiła gęsia skórka.

Włożył papierosa do ust i zapalił. Strużka dymu uniosła się leniwie aż do szczeliny okna, aby następnie zostać wciągniętą przez mroki nocy.

Ta burza miała w sobie coś osobliwego. Z jednej strony żywił sprawiał wrażenie niezwykle brutalnego i hałaśliwego, a z drugiej zdawał się ledwie wyczuwalny. Strugi zacinającego deszczu spadały na ziemię, nie wydając przy tym najcichszego odgłosu. Wściekle wałący w okna wiatr przywodził na myśl subtelną bryzę, którą da się wyczuć tylko

po tym, że pozostawia na twarzy delikatny chłód.

Gdzieś niedaleko trzasnął piorun, lecz Sławek nawet się nie wzdrygnął. Mężczyzna z powrotem pogrążył się w conocnych rozważaniach. Pomyślał o wizycie tajemniczej staruszki. Dopiero w tym momencie zrozumiał, jak bardzo dali się nabrać. Przyszła do nich jakaś kobieta, zaczęła wygadywać totalne bzdury, a oni wszystko łyknęli, nie zwracając uwagi, czy da się to strawić.

Zaciągnął się dymem i powoli wypuścił go w deszczową noc. W ogóle nie czuł się senny. Mógłby tak stać do rana, paląc papierosa za papierosem i napawając się tym zimnym, przesyconym zapachem ozonu powietrzem.

Kolejny oślepiający błysk i ogłuszający huk sprawiły, że podskoczył.

Gdy echo grzmotu ucichło, Sławek znowu to usłyszał. Z góry dobiegał odgłos, który łudzaco przypominał...

KROKI.

Nagle dotarło do niego, co słyszy. Możliwie, że wiedział o tym już wcześniej, lecz jego umysł zastosował jakiś system obronny. W domu mieszkali we dwoje, a dzięki alarmowi miał pewność, że do środka nie zakradł się nieproszony gość. Kroki były wyraźne i nie dało się ich pomylić z niczym innym.

Tup... tup... tup...

Przez kręgosłup mężczyzny przebiegł dreszcz. Tak, to z pewnością kroki. Stawały się coraz głośniejsze, cięższe, szybsze i wtedy nagle...

Bliski piorun rozjaśnił czerń nocy. Po donośnym huku nastąpiła cisza.

Rozdział 2

Świat wydawał się spowity ciężką mgłą. Wszystkie kształty stały się rozmyte i nijakie. Michał miał wrażenie, że jego głowa trafiła w szczęki ogromnego imadła zaciskanego przez jakiegoś psychopatę. Ból osiągnął już ten poziom, że nie dało się go wytrzymać.

Rozchylił spierzchnięte wargi. Jego język był wyschnięty na wiór, a smród, jaki sam od siebie poczuł, kojarzył się z wonią człowieka pokłóconego z mydłem i wodą.

Jego uszy rejestrowały jednostajny szum. Niekiedy przez szum przebijało się jakieś stuknięcie lub dłuższy pisk. Przy każdym takim odgłosie na twarzy Michała pojawiał się bolesny grymas.

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do światła dziennego. Mgła stopniowo rzedła, aż wreszcie całkowicie opadła. Skołowany mózg niechętnie podjął pracę. Michał niemal słyszał chrzęst i stukot uruchamianej maszynerii.

Przypomniawszy sobie, że był na jakiejś imprezie i znowu przegiął. Nie pamiętał połowy z tego wieczoru, o drodze do domu już nie wspominając.

KAC-Kurwa, Ale Cierpię, pomyślał.

Spróbował podnieść się na łokciu, lecz pokój nagle zawirował, a żołądek podszedł mu do gardła. Jeszcze nigdy nie czuł się tak źle. Ile właściwie wypił? Pamiętał pierwsze dwa piwa, ale później wjechała woda i tania whiskey. Z każdym kolejnym kieliszkiem jego pamięć traciła na wyrazistości, aż w końcu urwał mu się film.

Jego ręka zsunęła się z łóżka i natrafiła na butelkę mineralnej. Chwycenie jej i podniesienie okazało się nie lada wyczynem. Tak się schlał, że teraz ledwo mógł się ruszać, nie mówiąc o podejmowaniu jakiegokolwiek, nawet najmniejszego wysiłku. Nieprzyjemne ssanie w żołądku sugerowało, że z jedzeniem dzisiaj też będzie na opak.

Chłodna ciecz spłynęła po jego wysuszonym gardle. Cóż za ulga. Wziął kilka ostrożnych łyków, po czym czknął i otarł usta drżącą ręką. Wtedy zabolęła go dolna warga. Spojrzał na wierzch dłoni i zobaczył kawałek oderwanego strupka. Przypatrywał mu się ze zmarszczonym czołem, próbując sobie przypomnieć, jakim sposobem rozciął sobie wargę.

Trzaśnij mi w gębę, bo nie ogarniam!

Wspomnienie powoli zaczęło przedzierać się przez gęste alkoholowe opary. Wtedy osiągnął magiczny stan, kiedy człowiek staje się młodszy o całe lata i wraca do raczkowania. Słowa te wypowiedział do jednego z

kolegów. Nie miał pojęcia, co wtedy chciał osiągnąć i w sumie nie miało to znaczenia. Przypomniało mu się, że dostał parę razy. Po każdym uderzeniu krzyczał, że za słabo. Wreszcie kolega trzasnął go z całej siły. Smak krwi na moment go otrzeźwił. Później wypił dwie kolejki i oficjalnie zakończył imprezę z głową w wannie.

Więcej nie piję – pomyślał. W tym momencie był święcie przekonany, że za żadne skarby nie tknie alkoholu. Podświadomie wiedział, że to tylko puste słowa. Jego rocznik wchodził w sezon osiemnastek, co oznaczało praktycznie cotygodniowe chłanie. Michał stanowił doskonały przykład polskiego nastolatka z dobrymi manierami, który wódki i pacierza nigdy nie odmawia, więc ten ciężki poranek z powodzeniem mógł potraktować jako rozgrzewkę przed zbliżającymi się libacjami.

Z bolesnym jękiem schylił się i podniósł z podłogi blister specjalnie przygotowanego na tę okazję ibuprofenu. Wycisnął kapsułkę i popił kolejnym haustem cudownie orzeźwiającej wody. Każdy jej łyk dodawał nieco więcej chęci do wstania z łóżka. Jego ciało błagało o prysznic. W całym pokoju unosił się ohydny odór powstały z połączenia alkoholu, potu i kwaśnego akcentu wymiocin.

Spojrzał na zegarek i westchnął. Siódma rano. Na wakacjach o tej godzinie wstają tylko ludzie pracujący i skacowani.

Usłyszał z dołu krzątanie. Postanowił poczekać, aż rodzice wyjadą i dopiero wtedy zabrać się za ogarnianie swojego fatalnego stanu.

Zamknął oczy, wsłuchując się w panujący w jego głowie szum. Odgłos ten uspokajał i sprawił, że Michał znów miał ochotę zapaść w sen.

– Heeeeeeej, chodź ze mną...

Otworzył oczy. Jego źrenice rozszerzyły się do tego stopnia, że ledwo dało się dostrzec piwne tęczówki. Przez ciało przeszedł silny dreszcz, a czubki palców zrobiły się nagle zimne. Obcy głos nie miał wyraźnego źródła, a jego ton jednocześnie zachęcał, jak i pałał niepohamowaną nienawiścią. Nastolatek zadrżał i na moment przestał odczuwać kaca.

Uważnie wsłuchał się w rezonujący pod czaszką szum. Echo głosu jednak ucichło, a zaproszenie nie powtórzyło się. Usłyszał natomiast trzask drzwi frontowych. Nieco później dobiegł go dźwięk odpalanego silnika oraz chrzęst opon na żwirze. Rodzice pojechali.

Michał leżał przez kilka sekund, po czym podjął kolejną próbę wstania. Tabletki zaczynała działać, gdyż tym razem głowa nie zaprotestowała ostrym bólem. Stał na miękkich nogach, czekając, aż jego organizm przyzwyczai się do zmiany pozycji. Wtedy zauważył stojącą obok łóżka, dużą plastikową miskę.

– Zajebicie – mruknął pod nosem. Skoro była tu miska, to oznaczało, że prawdopodobnie wrócił do domu w widowiskowy sposób. Miał tylko nadzieję, że nie narobił jakichś głupstw. Jego rodzice nie bawili się w

szlabany na komputer, czy wychodzenie z domu; zamiast tego dawali coś, co nazywali zadaniem. Zazwyczaj na takie zadanie składał się szereg czynności wymagających sporego nakładu pracy. Pamiętał, jak w zeszłym roku dostał zadanie za bójkę na przerwie. Trafiło mu się wtedy sprzątanie domu, koszenie trawników, zrobienie nowej budy dla psa i pomalowanie jej bejcą kupioną ze swojego kieszonkowego. Zszedł mu na tym prawie cały weekend, a ta cholerna bejca – w jego mniemaniu – kosztowała majątek. Od tamtego momentu unikał bójek, a zaczepki ze strony innych najzwyczajniej ignorował.

Poszedł pod prysznic. Stojąc pod strumieniem letniej wody, niemal widział, jak z jego organizmu wyparowują resztki alkoholu. Zawsze uważał, że woda to najlepsze antidotum na kaca. Po ciepłym prysznicu już nie czuł się ani nie śmierdział jak śmieć. Wreszcie wracał do świata żywych.

Wytarł się, włożył czyste ubranie i podszedł do lustra. W odbiciu pojawiła się twarz przystojnego nastolatka o kasztanowych włosach i piwnych oczach. Jego policzki pokrywał dwudniowy zarost, lecz jeszcze nie na tyle gęsty, aby nadawał się na brodę. Michał sięgnął po maszynkę do golenia i w kilka minut uporał się ze szczeciną. Teraz tylko podkrążone oczy zdradzały, że wczoraj przesadził z alkoholem.

Wyszedł z łazienki i przeszedł do kuchni. Jego żołądek ścisnął się do tego stopnia, że próba zjedzenia śniadania z pewnością zakończyłaby się spektakularnym rzyganiem. Poszedł tam bardziej po to, żeby sprawdzić, czy nie dostał zadania.

Spojrzał na lodówkę i zobaczył charakterystyczną czerwoną kartkę.

– Cholera! – syknął pod nosem.

Podniósł magnes przytrzymujący karteczkę i przeczytał:

ZADANIE:

1. Posprzątać wymiociny ze schodów.
2. Wymyć ścianę przy drzwiach wejściowych.
3. Skosić trawnik.
4. Kupić (za swoje kieszonkowe) i posadzić nowe drzewka (wczoraj wpadłeś w sadzonki).
5. Wymyć okna.
6. Przemyśleć swoje zachowanie.

Bądź w domu, jak wrócimy z pracy. Musimy poważnie porozmawiać. Rodzice.

PS. Drzewka, które zniszczyłeś, to tuje. Było ich sześć.

Wpatrywał się w kartkę oczami pozbawionymi wyrazu. W myślach

liczył czas. Z posprzątaniem rzygów na pewno pójdzie szybko, gorzej z pozostałymi czynnościami. Po tuje musi wybrać się do sklepu oddalonego o jakieś dziesięć kilometrów. Wymycie okien też trochę potrwa, a na koszeniu trawników zawsze schodziły przynajmniej dwie godziny.

Zerknięcie na zegarek i szybkie obliczenia powiedziały mu, że nie spotka się z Natalią. Zaklął w myślach, przypominając sobie, że jego dziewczyna ma dziś wolną chatę.

Zmiał kartkę z zadaniem i wyrzucił do kosza. Wyszedł przed dom i wciągnął przez nos rześkie poranne powietrze. Z kieszeni cienkiej bluzy wyjął paczkę Nevad. Spojrzał z niechęcią na opakowanie, po czym wyciągnął jednego papierosa i odpalił. Smakował ohydnie, ale mógł palić tylko to, co znajdowało się w zasięgu jego możliwości finansowych.

Zerknął na schody i gwizdnął przez zęby. Samo spojrzenie wystarczyło, aby ocenić, że zmycie tego zajmie więcej czasu, niż początkowo zakładał. To, co leżało na schodach, było godne największej barowej moczymordy.

Zaciągnął się dwa razy, zgasił papierosa i schował go do paczki. Palenie na kacu jest kiepskim pomysłem. Po prysznicu odzyskał nieco energii, lecz papieros wszystko zepsuł; fatalny stan powrócił ze zdwojoną siłą.

Odwrócił się, aby wejść do domu i trochę poleżeć, nim weźmie się do roboty, lecz wtem odniósł wrażenie, jakby ktoś wwiercał mu w plecy długą śrubę. W tym samym momencie do jego nosa doleciał charakterystyczny zapach wilgotnych, gnijących liści. Owa woń bardzo go zdziwiła, gdyż środek lata od jesieni dzieliło ładnych parę miesięcy.

Może coś wczoraj wziąłem i mam flashbacka?

Z pewnością na wczorajszą imprezę przyszedł jakiś koleś z wątpliwej jakości trawką, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy ją palił.

W jego umyśle zrodziło się lepkie i żrące uczucie strachu. Pragnął wbiec do domu, zamknąć drzwi i przez cały dzień nie wychodzić. Pewnie dostałby kolejne zadanie, ale wolał spędzić dwa dni na pracach domowych, niż choćby chwilę dłużej na zewnątrz.

– Heeeeeeej, chodź ze mną...

Michał podskoczył. To był ten sam głos, który słyszał, leżąc w łóżku, lecz tym razem potrafił określić, że jego źródło znajduje się tuż obok. Strach stał się paraliżujący. Nastolatek nie potrafił ruszyć nawet palcem. Instynkt przetrwania podpowiadał mu, aby uciekał przed tym czymś, ale nie mógł zrobić ani jednego kroku.

– Dlaczego ze mną nie idziesz?

Michał chciał coś powiedzieć, lecz zdał sobie sprawę, że jego język przypomina kawałek martwego, bezwładnego mięsa.

– Sprawiasz mi przykrość, palancie.

W głosie dało się wychwycić żal. Michał wbrew swojej woli poczuł falę wyrzutów sumienia. Zupełnie tego nie rozumiał, ale owo wrażenie okazało się na tyle silne, że udało mu się pokonać barierę własnego organizmu i złamać paraliż.

Odwrócił się w stronę źródła głosu. Słońce rzucało na świat mdłe promienie, jakby toczyła je jakaś choroba. W blasku tym majaczyła ludzka sylwetka. Całe ciało owego człowieka emitowało silne białe światło, niemal natychmiast powodujące ból głowy.

Michał wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Pieprzony flashback – odezwał się sam do siebie.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Świecący Człowiek.

Widok jego poruszających się ust prawie doprowadził nastolatka do wymiotów. Pod świecącą skórą rysowały się kontury mięśni odpowiadających za mówienie. Ich ruchy przypominały garść wijących się, tłustych larw.

– Wczoraj czegoś się naćpałem i wróciła mi faza – odparł, nim ugryzł się w język. Nie uśmiechała mu się rozmowa z tym czymś. Postać, która przed nim stała, najprawdopodobniej pochodziła prosto z jego dręczonego kacem mózgu. Może miał jeszcze w czubie, gdy godzinę temu brał tabletkę przeciwbólową i mieszanka właśnie zaczęła działać?

Trzasnął się otwartą dłonią w policzek. Ból był prawdziwy, co wykluczało sen.

– Chodź – powtórzył Świecący Człowiek.

Nie potrafił się oprzeć. Wiedział, że musi z nim pójść, aby zobaczyć coś niezwykle fascynującego; coś znacznie ważniejszego od durnych zadań zrzuconych na niego przez rodziców.

Zrozumiał, że wszystkie rzeczy, jakie ma dziś do zrobienia, nic nie znaczą. Mógł zająć się czymś o wiele ciekawszym.

Tajemniczy przybysz wyciągnął emanującą blaskiem dłoń i gestem przywołał go do siebie. Michał nie zastanawiał się dłużej. Jeżeli to faktycznie było wynikiem działania środków odurzających, wyjdzie na kretyna tylko przed samym sobą. Żaden wstyd.

Zrobił pierwszy krok.

Woń jesieni została wyparta przez coś nowego. Zapach ten kojarzył się ze szpitalem – połączenie leków, chorych ludzi leżących w zapoconych łóżkach oraz detergentów do czyszczenia podłóg. Głównie przeważała jednak nieprzyjemna woń ciężkiej choroby. Smród śmierci.

Lekki wietrzyk poruszył liśćmi. Jednostajny szum sprawił, że przed jego oczami pojawił się obraz. Patrzył na korony drzew. Słoneczne promienie przesączały się przez intensywnie zielone listki, rażąc go w oczy. Próbował je zamknąć lub odwrócić głowę, ale za każdym razem

kończyło się to niepowodzeniem.

Uświadomił sobie, że leży, a paraliż wynika z tego, że jest martwy. Jakimś cudem obudził się we własnej trumnie, której wieko w nieznanym sposobie zniknęło. Patrzył na stare cmentarne drzewa, nie mogąc zaznać dotyku wiatru na twarzy, nie mogąc poczuć ciepła letniego dnia ani zapachu liści.

Otworzył usta do krzyku, lecz nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Powoli szedł w stronę Świecącego Człowieka. W pewnej chwili poczuł się, jakby siedział na ogromnej zjeżdżalni. Ktoś go popchnął. Począł zjeżdżać z zawrotną prędkością, aż do momentu, w którym otoczenie zlało się w bezkształtną smugę. Wtedy cały świat po prostu się rozplynął, a on razem z nim.

Rozdział 3

Zapach kawy nieco go rozbudził, choć nie zniwelował skutków bezsenności. Sławek sprawiał wrażenie swojego własnego cienia. Zdawało się, jakby z jego podkrążonych, przekrwionych oczu zaraz miały popłynąć szkarłatne łzy. Twarz Sławka stała się przeraźliwie białą maską, a rozczochrane włosy dopełniały obrazu nędzy i rozpacz.

– Bangła?

– C-co?

– Pytałam, czy dobrze się czujesz – powtórzyła Daria. W jej głosie dominowały troska i zmęczenie. Jakoś udawało jej się zasypiać, lecz za każdym razem śnił jej się Artur. Owe sny przygnębiały ją tak bardzo, że każdego poranka budziła się okropnie zmęczona.

– Sam nie wiem – odparł zachrypniętym głosem.

– Jeśli twoje samopoczucie współgra z wyglądem, to ci współczuję.

– Dzięki za ciepłe słowa...

Daria wygięła usta w coś na kształt uśmiechu, lecz w rzeczywistości bardziej przypominało to bolesny grymas.

Ich problemy zapoczątkowała wizyta dziwnej staruszki. Oboje doskonale o tym wiedzieli, lecz żadne nic nie powiedziało. W ciągu niespełna pół godziny ta kobieta zrobiła więcej złego niż dobrego.

Gdy się tu wprowadzali, wydawało im się, że przeszli już przez najgorsze i teraz wystarczy powoli wrócić do normalności. Zająć się domem, wyplewić zachwaszczony trawnik, pomalować płot. W kilku słowach: wykonywać jak najwięcej czynności, które pozwolą im na oderwanie myśli od zmarłego syna i zaprowadzenie nowego porządku. Staruszka, celowo lub nie, pokrzyżowała te plany.

– Znowu w nocy słyszałem kroki – oznajmił Sławek, przerywając panującą od dłuższej chwili ciszę.

– A mi znowu śnił się Artur – odparła Daria.

– Pamiętasz, czego dotyczył ten sen?

– Nie. Pamiętam tylko, że mi się śnił.

– Rozumiem.

Ponownie zapadła cisza. Sławek dłużył widelcem w jajecznicę. Jego apetyt praktycznie nie istniał, niemniej jakoś wmusił w siebie połowę posiłku. Czuł jak jedzenie ciężko zalega na dnie żołądka, zapowiadając nadejście zgagi.

– Wchodziłeś na górę? – zagadnęła Daria. Zjadła kawałek grzanki z masłem, a z jajecznicę zrezygnowała po zaledwie jednym kęsie, charakterystycznie dla siebie marszcząc czoło.

– Nie – odparł. – Jeszcze – dodał, widząc zdziwienie na twarzy żony.

– Sprawdź później. Może mamy jakąś dziurę i coś wlało nam na strych.

– Może – rzekł, wiedząc, że ona wierzy w to wyjaśnienie tak samo jak on. Kolejna bezsensowna próba wmówienia sobie, że wszystko gra i nie istnieją najmniejsze powody do niepokoju.

Sławek niechętnie napił się kawy. Obrzydliwie gorzki napój stanowił torturę dla jego układu pokarmowego, lecz dzięki niemu mógł jakoś funkcjonować.

Żył szczera nadzieją, że ciężki czas minie jak najszybciej. Zbliżał się rok szkolny, a wraz z nim początek jego kariery nauczyciela języka polskiego w miejscowym liceum. Nie wyobrażał sobie jak w takim stanie zdoła pracować z młodzieżą. Dotąd uczył w gimnazjach, co wielokrotnie doprowadzało go na skraj załamania nerwowego; uważający się za dorosłych nastolatki swoimi obyczajami prezentowali poziom, przy którym obyczaje świń w chlewie wydawały się zachowaniem salonowym. W głębi ducha liczył na to, że licealiści z niewielkiej miejscowości wykażą się większą dojrzałością i poszanowaniem pracy człowieka, który za kiepską pensję usiłuje ich czegoś nauczyć.

– Nagrywasz coś dzisiaj? – zapytał, aby pozbyć się myśli o szkole.

– Nie, zaklepałam sobie tydzień wolnego – odparła Daria. – Nagrałam ostatniego audiobooka i na razie jest spokój. Po czytaniu do mikrofonu trzystu stron beznadziejnego romansidła poza paroma dniami wolnego powinni mi zapewnić darmowy dostęp do opieki psychiatrycznej. Mam nadzieję, że następnym razem dadzą mi jakiś kryminał albo chociaż obyczajówkę.

– Yhym.

Odniósł silne wrażenie *déjà vu*. Od pewnego czasu ich poranki niczym się od siebie nie różniły. On mówił, że słyszał kroki, ona, że śniła o Arturze. On standardowo krzywił się, pijąc gorzką kawę, a ona odkładała nadgryzioną grzanekę z masłem. Wydawało mu się, że słowo w słowo odtwarzają te same rozmowy, brną jednakowymi schematami i nie starają się zrobić niczego, co mogłoby pomóc im przerwać rutynę.

Ta monotonia stawała się już męcząca. Oboje doskonale wiedzieli, że szybko muszą to zatrzymać. Staruszka sprowadziła na nich coś, co z każdym dniem coraz bardziej ich wyniszczało.

– Pójdę na górę – rzekł, po czym wstał i tak samo jak wczoraj, przedwczoraj i dzień wcześniej, udał się po skrzypiących schodach na pierwsze piętro. Znajdowały się tam dwa niezagospodarowane pokoje.

Niewielki korytarz okazał się zupełnie pusty.

A niby czego się spodziewać po pustym pomieszczeniu, z frustracją pomyślał Sławek, choć wiedział, że gdyby przyszedł tu o trzeciej lub

czwartej nad ranem, miałyby zupełnie inne zdanie.

Sięgnął ręką do pierwszych drzwi. Chłód klamki uspokajał na swój dziwny sposób. Zamknął oczy i odetchnął, wspominając minioną noc. Kroki brzmiały zbyt wyraźnie jak na halucynację, a ponadto dochodziło wrażenie czyjejs obecności. Artur tutaj przyszedł, ale Sławek nie rozumiał, dlaczego pojawia się o tak późnych porach i nie chce im się ujawnić. Bał się, że napędzi im stracha? Wstydził się? A może stoi za tym inny powód?

Sławek potrzebował o tym z kimś porozmawiać, lecz Daria wydawała się najmniej odpowiednią osobą. Przez tyle lat małżeństwa nie istniały między nimi żadne tajemnice, lecz teraz poruszanie owego tematu było jak świadome wkraczanie na pękający lód. Zdawał sobie sprawę z tego, że ona też coś dostrzega, lecz jednocześnie wzbrania się przed uwierzeniem w powrót ich syna.

Otworzył drzwi i pewnym krokiem wszedł do praktycznie pustego pokoju. Pod oknem wały się stare kartony, a w rogu znajdowało się wiekowe biurko w stanie agonalnym. Całość lepiej komponowałaby się ze scenerią śmietniska niż z pokoikiem na poddaszu. Nie zauważył żadnych śladów świadczących o tym, że w nocy ktoś tu się kręcił.

Wyszedł z pomieszczenia i cicho zamknął za sobą drzwi. Przeszłość uderzyła niespodziewanie; przypomniało mu się, że właśnie tak robił, wychodząc z pokoju śpiącego Artura, gdy ten miał zaledwie kilka lat. Wspomnienie wywołało ucisk w gardle.

Odwrócił się na pięcie i otworzył kolejny pokój. Niezadowolone zawiasy zaprotestowały przeciągłym jękiem. Do jego nosa doleciał ciężki zapach od dawna niewietrzonego pomieszczenia; specyficzna woń wilgoci i starego kurzu. Pomimo tego, że pokój był zupełnie pusty, dało się wyczuć zapach butwiejących mebli. Zupełnie, jakby to miejsce więziło ich dusze.

Nierówną wylewkę wyłożono starym, rozklekotanym parkietem. Klepki trzeszczały przy każdym kroku, co najbardziej dokuczało w środku nocy, gdy cichną wszelkie odgłosy. Właśnie ten pokój znajdował się bezpośrednio nad sypialnią.

Sławek rozejrzał się i niemal natychmiast ogarnęła go panika. Całą podłogę pokrywała mozaika mokrych odcisków stóp. W wielu miejscach ślady nakładały się na siebie, tworząc większe plamy. Zszokowany widokiem, Sławek otrzymał niezbity dowód, że faktycznie tej nocy ktoś tu się kręcił. Odgłos kroków wcale nie wynikał z przemęczenia.

Wziął kilka głębokich oddechów i ponownie spojrzął na ślady. Skoro intruz chodził w nocy po tym pokoju, to gdzie się teraz podziewał? Odciski pokrywały całą podłogę, lecz nie prowadziły ani w stronę okna, ani ku drzwiom. Skupiały się bliżej środka pomieszczenia, choć o niczym to nie świadczyło. Część mogła już dawno wyschnąć, ale...

Nagle Sławek poczuł dobrze znaną woń, przywodzącą na myśl szpital. Zapach ten stanowił stały element każdej wizyty u Artura. Dało się wyczuć chorobę, a mokre plamy na podłodze jakby powstały w wyniku wylania szpitalnych detergentów.

Wrażenie minęło równie szybko, jak się pojawiło. Przez moment Sławek zastanawiał się, czy działo się to naprawdę.

– Zasnąłeś tam, czy co?

Słowa Darii wyrwały go z zamyślenia. Potrząsnął głową i spojrzął na podłogę. Mokre odciski wyparowały. Parkiet zasnuwała warstwa kurzu, na której leżały zasuszone muchy.

Ja chyba wariuję, pomyślał. Nie wiedział, co ma uznać za prawdziwe, a co nie: fakt, że przed chwilą widział tu pełno śladów, czy też raczej to, że jego centrum dowodzenia w końcu zaczęło szwankować.

– Sławek? – Głos Darii dobiegał z bliska. Musiała stać tuż przy schodach, ale nie usłyszał charakterystycznego skrzypienia wyrobionych desek, które zdradziłyby, że weszła na pierwszy stopień.

– Idę – odparł szybko. – Zamyśliłem się.

– Nie strasz mnie tak więcej – odparła Daria, po czym odeszła. Wtedy uświadomił sobie, że od wizyty staruszki jego żona unikała poddasza, a nawet się go bała. Każdego dnia jemu przypadało sprawdzanie tych pokoi.

Ostatni raz omiótł wzrokiem pomieszczenie, po czym zamknął drzwi i zszedł na dół.

– I jak? – zapytała Daria, gdy wszedł do kuchni.

– Tak samo – odparł. Słowa te również stały się elementem codziennej rutyny. Nie zamierzał mówić żonie o śladach, gdyż sam nie miał pewności, co tak naprawdę zobaczył. Ponadto mówienie o tym pogorszyłoby jej stan. Do tej pory jakoś się trzymała, ale zdawał sobie sprawę z tego, że jest jak kostka trotylu, która niespodziewanie może eksplodować.

Spojrzął przez okno. Dzień wydawał się pogodny, lecz blask słońca był inny niż zazwyczaj. Jego niezdrowo żółta barwa zniechęcała do wychodzenia z domu; zamiast dawać przyjemne ciepło, sprawiała wrażenie lodowato zimnej. Mimo wszystko nie mógł dłużej tu wytrzymać.

Wstał i poszedł do przedpokoju.

– Wychodzisz? – Daria stanęła w progu kuchni i spojrzała na niego pytająco. Wyraz jej twarzy przywodził na myśl kobietę, która nie ma pewności, co do lojalności swojego partnera i każde jego wyjście z domu traktuje jako podejrzenie.

– Tak – odparł. – Za długo siedzę w domu. Jeśli się nie przejdę, to szlag mnie trafi. Idziesz ze mną?

– Nie... Nie mam ochoty.

– Jasne.

Założył buty i spojrzał na Darię. Jej zielone oczy wydawały się znacznie większe niż zazwyczaj. Bała się zostawać sama, lecz wiedział, że mu o tym nie powie.

– Niedługo wrócę – rzekł, licząc na to, że w ten sposób ją uspokoi.

– W porządku.

Otworzył drzwi i wciągnął w płuca świeże poranne powietrze. Gdy dotarł do furtki, niecały kilometr dalej Michał zobaczył Świecącego Człowieka.

Rozdział 4

Odkąd tu zamieszkali, tylko raz wyszli, aby przejść się po okolicy. Miasteczko nie obfitowało w atrakcje. Było tu małe kino studyjne oferujące ciągle te same filmy, zmieniające repertuar dopiero wtedy, gdy znudzeni ludzie przestawali kupować bilety. Alternatywę kina stanowił Dom Kultury, w którym raz w tygodniu kółko teatralne wystawiało sztukę lub pojawiały się młode zespoły rzępolące przed kilkunastoosobową publiką, zazwyczaj składającą się z ich kumpli.

Do głównych ośrodków kulturowych należały przede wszystkim sklepy monopolowe, stale oblegane przez koneserów taniego alkoholu narzekających na niesprawiedliwy los i państwo, które doprowadziło ich na skraj nędzy.

W okolicy nie brakowało też zieleni. Te miejsca stanowiły świetną przystań dla nastoletnich par mających po dziurki w nosie rodziców za ścianą.

To by było na tyle. Na resztę miasteczka składały się małe gospodarstwa i niskie bloki mieszkalne. Znajdował się tu również market – winny zamknięcia małych sklepów spożywczych i kiosków.

Sławek szedł po zdezelowanym chodniku. Część połamanych płyt zapadała się, podczas gdy inne sterczały wyzywająco, czekając na nieuważnego pieszego. Ten chodnik zaliczał się do rzeczy, które nie uległy zmianie. Po dziś dzień Sławek pamiętał, jak za młodego potknął się o wystającą płytę i rozbił sobie oba kolana. Doszło do tego dzień przed wyjazdem na Mazury, przez co odpadło mu sporo wakacyjnych atrakcji.

Między miastem a niewielką miejscowością istniały znaczące różnice. Miasto rozwijało się w zawrotnym tempie, bez chwili wytchnienia. Przez prawie dwadzieścia lat mieszkania w Krakowie Sławek dostrzegł ogrom różnic, jakie w nim zaszły. Nowe osiedla i biurowce wyrastały jak grzyby po deszczu, pożerając zielenią. W małym miasteczku tak gwałtowne zmiany nie zachodziły. Remont drogi lub otynkowanie sypiącego się budynku były nienależącymi do codzienności, ogromnymi rewolucjami. Z drugiej strony, takie miejscowości odznaczały się niepowtarzalnym urokiem, niedostępnym dla większych aglomeracji.

Kątem oka dostrzegł ruch. Jakiś staruszek machał mu z ławki przed swoim domem. Sławek odruchowo odwzajemnił gest, na co starszy mężczyzna obdarzył go bezzębnym uśmiechem i kiwnął głową. Nie orientował się, kim jest ten człowiek, ale nie miało to większego znaczenia. Mieszkając w ludnym mieście, przywykł do wyrzucania z pamięci twarzy przypadkowo napotkanych osób.

Duże miasto, pomimo setek mijanych każdego dnia osób, zapewniało swego rodzaju anonimowość. Obojętnie, czy jest się szarym robaczkiem, czy też punkiem z wyzywającym półmetrowym irokezem, przechodnie rzucali ukradkowe spojrzenia, po czym usuwali napotkaną twarz z pamięci. To gwarantowało więcej swobody, w odróżnieniu od miejscowości, w których ludzie wszystko o sobie wiedzieli.

Ominął wystający kamień – sprawcę obitych kolan trzydzieści lat temu – i poszedł dalej.

Po prawej stronie znajdowały się domki, po lewej pas trawy, a za nim, aż do lasu, ciągnęły się pola uprawne. Widoki, pomimo wiejskiej prostoty, zapierały dech w piersiach i pozwalały na chwilę zapomnienia.

Wrócił myślami do wydarzeń sprzed kilkunastu minut. Ślady. Ich potencjalne pochodzenie przyprawiało go o ekscytację. Gdy ochłonął, uświadomił sobie, że one znajdowały się tam naprawdę; to nie wytwór jego wyobraźni. Ślady miały w sobie tyle samo autentyczności, co cały dom. Pokazały się na moment, po czym zniknęły, zupełnie jakby tylko jemu umożliwiono ich oglądanie.

Bał się kolejnej nocy, lecz jednocześnie ciekawiło go, jaki tym razem otrzyma znak od Artura. Wczoraj rano w żadnym z pokoi na pierwszym piętrze nie znalazł ani jednego śladu. Dziś natomiast odkrył ich całkiem sporo, więc może jutro uda mu się go zobaczyć? Z jednej strony niezmiernie tego chciał, z drugiej zaś obawiał się, że tego rodzaju przeżycie wpędzi go w traumę. Wydarzenia z ostatnich dni nie napawały optymizmem. Nocne hałasy dobiegające z góry świetnie nadawały się do filmu grozy. Popełnili ogromny błąd, pozwalając staruszce na przeprowadzenie osobliwego rytuału.

Potknął się i omal nie upadł.

– Pieprzony chodnik – mruknął pod nosem, po czym zszedł z toru przeszkód i poszedł trawnikiem. Po przejściu kilkunastu metrów skręcił w lewo i skierował się na rynek. Rynek to określenie mocno na wyrost, bo dotyczyło placu, na którym znajdował się zdezelowany przystanek autobusowy, rdzewiejący kiosk oraz automat z napojami. Plac otaczały jedno- i dwupiętrowe przedwojenne kamienice, a ich część wyglądała, jakby miała się zaraz zawalić. Praktycznie w każdej z nich znajdował się jakiś sklep, stąd też największy ruch skupiał się właśnie tutaj.

Na ten widok Sławek przypomniał sobie Kraków. W trakcie studiów przez prawie rok wynajmował z kumplami lokum w podobnej kamienicy. Pierwszy i ostatni raz mieszkał w tak starym budynku. Lato jeszcze dało się znieść, lecz gdy przyszła zima, pojawiły się chore rachunki za ogrzewanie; na domiar złego z kranu płynęła lodowata woda. W najgorsze dni musieli chodzić po domu w kurtkach, wieczorami grzejąc się winem.

Wzdrygnął się na to wspomnienie, po czym zerknął na kościół z

czerwonej cegły. Budowla robiła ogromne wrażenie. Była bez wątpienia dziełem sztuki; owocem pracy setek ludzkich rąk. Precyzyjnie wykonane rzeźby świętych zwieńczały delikatne łuki wykonane z białego kamienia. Witraże zaskakiwały różnorodnością oraz intensywnością kolorów, zupełnie jakby bieg lat w ogóle nie wpływał na ich stan. Kościół posiadał strzeliste wieże niemal sięgające nieba. Na najwyższej z nich znajdował się ogromny zegar wskazujący godzinę dziewiątą trzydzieści.

Przez chwilę kusilo go, aby wejść do środka, lecz zaraz porzucił ten pomysł. Kościół kojarzył mu się z pogrzebem Artura. Chłód i niczym niezmacona cisza, jakie z pewnością panowały w środku, od razu przypominałyby mu o wydarzeniach sprzed niecałych dwóch miesięcy. Nie chciał ponownie tego przeżywać. Takie wizje nachodziły go w nocy i to mu w zupełności wystarczało.

Minął kościół i poszedł w stronę najbliższego sklepu.

– Szefie.

Sławek drgnął i zatrzymał się. Doleciał go potworny smród – wypadkowa skrupulatnego zasikiwania spodni, rzygania na sztywny od brudu sweter oraz niemytego ciała. Jego żołądek wykonał gwałtowny podskok, przez co poczuł kwaśny posmak wypitej kawy.

– Mogę pana o coś zapytać? Od razu mówię, że nie chodzi mi o pie...

– Nie – wpadł mu w słowo Sławek. Nie kryjąc obrzydzenia, spojrzał na gębę mężczyzny. Facet w ciężkim do określenia wieku. Typowy obwieś z długą zmierzwioną brodą i przekrwionymi od chłania oczami, o rękach drżących w nasilającym się ataku delirium.

– Brak panu serca.

– Sam nie masz serca i zaraz wątrobę też ci odejmie!

Kobiecy krzyk odbił się echem od ścian kamienic. Sławek aż się skrzywił. Dostrzegł zmierzającą w ich kierunku starszą kobietę. Na jej obliczu malował się wyraz niepowstrzymanej furii.

– Spieprzaj stąd pijaku i nie zaczepiaj porządnych ludzi! Weź się za robotę, zanim denaturat zeżre ci resztki mózgu!

– Spierdalaj, stara babo! – ryknął menel, po czym odwrócił się i ruszył w stronę sklepu, aby tam wypatrywać kolejnego „szefa”.

Sławek stał jak wryty. Spojrzał na pałającą gniewem starszą kobietę. Jej twarz znaczyły głębokie zmarszczki, a na policzkach wykwitły rumieńce. Usta ścisnęła tak mocno, że jej wargi posiniały, przez co odnosiło się wrażenie, że kobieta w ogóle ich nie posiada. Siwe włosy staruszki opadały aż do ramion; jak na jej zaawansowany wiek były dość gęste.

Przełknął ślinę. Po części z powodu nieprzyjemnego posmaku, jaki nadal czuł, jak również dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć, a przedłużająca się cisza robiła się kłopotliwa.

Staruszka drgnęła i spojrzała na niego oczami o zaskakująco szarej barwie. Odniosł wrażenie, że już kiedyś je widział.

– Och... przepraszam, na Boga – odezwała się, skonsternowana.

– Nic się nie stało – odparł Sławek. – Poradziłbym sobie z nim.

– Bóg mi świadkiem, że w to nie wątpię, ale tego chama wyjątkowo nie lubię. Nie jestem konfliktowa, lecz z drugiej strony tylko czekam, aż w końcu zachla się na śmierć. Przynajmniej przestanie zaczepiać każdego, kogo spotka, śmierdziel jeden. – Jej chuda klatka piersiowa unosiła się i opadała w szybkim oddechu.

– Tacy ludzie nie są zbyt przyjemni – przyznał Sławek. – Nie wypada jednak nikomu źle życzyć – dodał, po czym zdobył się na lekki uśmiech.

W tym momencie chyba po raz pierwszy w życiu uzmysłowił sobie własną hipokryzję. Przed oczami nagle przeleciały mu wszystkie sytuacje, kiedy marzył, aby samą siłą woli zepchnąć kogoś ze schodów lub spokojnie patrzeć na niepowodzenie osoby, która boleśnie zalazła mu za skórę.

Kaszlnął zakłopotany. Miał nadzieję, że nie dał po sobie poznać, że sam nie wierzy w swoje słowa.

– Może i nie wypada, ale zdarzają się wyjątki od reguły – rzekła kobieta, po czym zerknęła z obrzydzeniem w kierunku sklepu. Pijak wyciągnął spod swetra butelkę po wodzie mineralnej. Po pociągnięciu solidnego łyka jego twarz skrzywiła się tak, jakby napił się soku z cytryny. W pewnej chwili zauważył, że mu się przyglądają. Zaczął coś mówić pod nosem, lecz z tej odległości dało się usłyszeć tylko kilka przekleństw, które wybiły się z pijackiego bełkotu.

– Nie kojarzę pana – rzekła staruszka.

– Sprowadziłem się tu z żoną całkiem niedawno – odparł.

– Coś mi się obilo o uszy, ale nie słucham plotek. Nie interesuje mnie nic poza czubkiem własnego nosa. – Po tych słowach zaśmiała się. Sławka zaskoczyło, że kobieta nie posiada protez. Nie zdziwiłby się, gdyby jej zęby okazały się w lepszym stanie niż jego.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Sławek zachował milczenie. Wciąż nie dawały mu spokoju te szare oczy. Patrząc w nie, odnosił wrażenie, że w jego życiu miał miejsce etap, o którym niemal zupełnie zapomniał.

– Wydaje mi się, że skądś panią znam – oznajmił, nim zdążył ugryźć się w język. Powinien w tym momencie zakończyć rozmowę i pójść dalej, najlepiej do domu. Coś jednak nie pozwalało mu na to.

– Tak? – zdziwiła się staruszka. – Też mi się wydaje, że kiedyś pana widziałam, ale moja pamięć nie jest już taka, jak kiedyś. Zechciałby pan wstąpić na herbatę? Mieszkam dwa domy stąd. Może sobie przypomnimy, skąd się znamy.

– Nie, dziękuję...

– Och, niech pan nie daje się namawiać. Nie mam zbyt wielu znajomych, bo praktycznie wszyscy poumierali. Zostały same wścibskie baby, więc na ogół wolę siedzieć ze swoimi kotami. Ma pan uczulenie na koty?

– Nie.

– Wspaniale. Zapraszam.

Sławek wzruszył ramionami i poszedł za staruszką. Z tego, co pamiętał, tubylcy z natury byli nieufni. Zwłaszcza ci po pięćdziesiątce.

Przeszli kilkanaście metrów i stanęli przed rdzewiejącą furtką. Kobieta otworzyła ją dużym staroświeckim kluczem, po czym skinęła na Sławka, aby wszedł pierwszy.

Nim zdążył wejść na podwórko, dopadł go tłusty rudy kot. Obrzucił żółtokim spojrzeniem i zaczął ocierać się o jego nogę, rozkosznie przy tym mrucząc.

– Miluś poszedłby z każdym obcym, gdyby dać mu coś do jedzenia – zaśmiała się staruszka, czule patrząc na swojego pupila. – Dziwię się, że przez te wszystkie lata zawsze wraca do tego samego domu.

Sławek uśmiechnął się, drapiąc kota za uchem.

– Siądziemy na tyłach? W środku jest duszno jak diabli. Lepiej posiedzieć w ogrodzie, zwłaszcza że zapowiada się pogodny dzień.

– Świetny pomysł.

Chwilę później siedzieli na drewnianej ławce, popijając mrożoną herbatę. Po rozejrzeniu się Sławek doszedł do wniosku, że staruszka jest w naprawdę niezłej kondycji jak na swój wiek. Znajdowało się tu niewielkie poletko z warzywami, mały sad oraz dwie szklarnie, a ogrom pracy, jaki włożyła w sam ogród, robił wrażenie. Równo przyszczyżone żywopłoty, zadbane trawniki. Wszędobylskie kwiaty zaskakiwały różnorodnością barw i zapachów.

– Czyli twierdzi pan, że już się kiedyś widzieliśmy – oznajmiła staruszka, przerywając ciszę.

– Tak, ale nie mam pojęcia kiedy i gdzie – odparł Sławek, delikatnie spychając z kolan burego kota, Maksa.

Kobieta uśmiechnęła się.

– A ja zaczynam sobie przypominać. Jest między nami dobrych trzydzieści lat różnicy, a wychodzi na to, że mam lepszą pamięć, choć potrzebuję nieco więcej czasu, żeby ją rozruszać.

– No cóż...

– Przypomina ci się koleżanka mamy, do której mówiłeś per ciociu?

Umysł Sławka zbombardowały wspomnienia z dzieciństwa. Kojarzył kobietę regularnie przychodzącą do jego rodzinnego domu. Nazywał ją ciocią, choć nie łączyło ich pokrewieństwo. Była młodsza od jego matki. Całymi dniami potrafiły rozmawiać o wszystkim i niczym, zupełnie jak

dobrze dogadujące się siostry.

Staruszka musiała dostrzec błysk zrozumienia w oczach Sławka, gdyż uśmiechnęła się. Upiła łyk herbaty.

– Kto by pomyślał, że o mnie zapomnisz.

– Pani... – Sławek zawiesił głos. – Ty też zapomniałaś.

– Ja jestem na ostatniej prostej, więc mam pełne prawo do luk w pamięci. Ty za to jesteś młodym mężczyzną. Jak tak dalej pójdzie, zapomnisz, jak wygląda twoja żona.

– Myślę, że raczej nie – odparł ze śmiechem.

– Co cię skłoniło do przeprowadzki w takie miejsce? Wszyscy młodzi uciekają stąd, tak jak ty kiedyś, i zazwyczaj nie wracają.

Sławek zasępił się. Ta rozmowa wymagała poruszenia tematu Artura. Opowiadając o swoim życiu, nie mógł przecież pominąć tak ważnej osoby.

Wbił wzrok w kolorowe kwiaty i przez moment siedział bez ruchu, napawając się spokojem, delikatnym szumem wiatru i odległym bzyczeniem pszczoł. Zmagał się z zupełną pustką. Wiedział, że nie może tak milczeć przez wieczność, lecz usilnie zwlekał z odpowiedzią.

– Coś się stało?

Słowa te wydawały się docierać z daleka. Minęło kilka minut, nim zrozumiał sens pytania.

– Wybacz... – odparł powoli. – Po prostu zamyśliłem się.

– Rozumiem.

– Przyjechaliśmy tu, bo, istotnie, stało się coś bardzo złego – powiedział z niemałym wysiłkiem, lecz po wyduszeniu z siebie tego zdania poczuł się lepiej. Pokonał pewną barierę.

Poukładał sobie wszystko, po czym kontynuował:

– Mieliśmy syna. Nazywał się Artur. – Zrobił krótką przerwę, aby wziąć głęboki oddech. – Jakiś rok temu zdiagnozowano u niego raka trzustki. Walczył z chorobą i wierzyliśmy, że wygra. Kiedy wydawało się, że niebawem odzyska zdrowie, pojawiły się przerzuty. Nowotwór rozszedł się po całym organizmie...

Nastąpiła zupełna cisza. Wiatr stracił na sile, a uwijające się w pobliżu pszczoły ruszyły szukać kwiatów gdzie indziej. W pewnym momencie rozległo się miauknięcie jednego z kotów. W panującej głuszy zabrzmiało to wręcz upiornie.

– Boże, nie wiem, co powiedzieć... – Głos starszej kobiety wyrażał ciężki szok. – Tak młode osoby nie powinny umierać.

– Chciał zostać koszykarzem i dokładał wszelkich starań, aby osiągnąć cel. Żył zdrowo, a rak i tak go dopadł.

– Rozumiem, co czujesz – odparła staruszka. – Też straciłam syna.

Jej wyznanie odwróciło uwagę Sławka od Artura.

Ona miała syna, zastanawiał się. Jeżeli tak, powinienem go znać...

– Pamiętasz Norberta?

Sławek zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć dzieciaki, z jakimi tu dorastał. Trwało to przez dłuższą chwilę, ale wreszcie stare wspomnienie ukazało chłopca wyglądającego jak tyczka. Wszystko za sprawą metra dziewięćdziesięciu wzrostu i przeraźliwie chudej sylwetki. Ponadto wyłysiał jeszcze jako nastolatek.

Wtedy dotarło do niego, co powiedziała staruszka. Ten sympatyczny chłopak, który uwielbiał chodzić nad staw łowić ryby, z wybitnym talentem do opowiadania sprośnych kawałów, również odszedł na łono Abrahama.

– Jak do tego doszło?

Tym razem to kobieta milczała. Jej oczy patrzyły w dal, ale zdawały się nie dostrzegać szczegółów krajobrazu.

– Kilka lat po twoim wyjeździe na studia... – odezwała się. – Norbert nigdy nie należał do geniuszy... – Głośno przełknęła ślinę, próbując ułożyć spójne zdanie. – Jakoś przechodził z klasy do klasy, ale nie zdał matury, więc nie kontynuował edukacji. Został tutaj i postanowił pójść do pracy, ale wtedy znalazł sobie kolegę, przez którego zaczął się staczać. Pamiętasz pijaka spod sklepu?

– Tak.

– Jakby Norbert przeżył, to niewykluczone, że szwendaliby się teraz we dwóch, a ja miałabym na głowie darmozjada.

Zapadło milczenie.

Optymistyczne tematy, jak na rozmowę po latach, pomyślał Sławek.

– Pewnego wieczora wybrali się do klubu we wsi obok – podjęła kobieta. – Jechali samochodem, który Dawid – ten żul – pożyczył od jakiegoś kolegi. Gdybym tylko o tym wiedziała, spróbowałabym zatrzymać Norberta w domu... W klubie musieli ostro popić. W drodze powrotnej wpakowali się w tył innego samochodu. Norbert zginął na miejscu, a ten... ten... ta kreatura wyszła z kraksy bez szwanku i nie poniosła żadnych konsekwencji! – Krótka pauza. – Cóż... jak się jest siostrzeńcem komendanta, prawo staje się pojęciem względny.

Sławek zrozumiał, skąd w niej tyle nienawiści wobec pijaczyny.

Co prawda, nikt nie kazał Norbertowi wsiadać do samochodu z pijanym za kółkiem, lecz w tym wieku na wiele rzeczy przymykało się oko. Wiedział to po sobie i niekiedy zastanawiał się, jakim cudem udało mu się w jednym kawałku przebrnąć przez studia.

– Nie miałem pojęcia... – oznajmił po dłuższej ciszy. – Przykro mi.

– Stare dzieje. Rana dawno się zagoiła, ale blizna zostanie na zawsze, dając o sobie znać za każdym razem, kiedy spotkam tę zapijaczoną gnidę. Wóda tak mu przeżarła mózg, że nawet nie pamięta o wypadku.

Stąd życzę mu wszystkiego, co najgorsze.

– Rozumiem.

Siedzieli w milczeniu, popijając herbatę i obserwując ogród. Sławek poczuł więź ze starszą kobietą – oboje przeżyli bolesną tragedię. Opowiadając jej o Arturze, z serca spadł mu ogromny balast, jednakże istniała jeszcze pewna kwestia, która ciążyła mu niczym żeliwna bezkształtna gruda. Kusilo go, aby opowiedzieć jej o wizycie dziwnej staruszki. Nie wykluczał, że kobiety mogą się znać.

Już miał zacząć mówić, lecz w ostatnim momencie ugryzł się w język. Przecież pragnął powrotu Artura. Sam o tym powiedział obcej kobiecie, kiedy złożyła im nietypową propozycję. Rozmawiając o tym, mógłby zaprzepaścić szansę zobaczenia syna.

Zamknął lekko rozchylone usta. Decyzja została podjęta. Będzie trzymać gębę na kłódkę i poczeka na dalszy rozwój wydarzeń. Poza tym to, co działo się w ich domu, było tak niedorzeczne, że opowiadając o tym, tylko zrobiliby z siebie idiotę.

Wstał, nim Maks po raz kolejny zdążył wskoczyć mu na kolana.

– Idziesz? – spytała, nie kryjąc zdziwienia.

– Tak. Obiecałem żonie, że szybko wrócę. Kiepsko się dzisiaj czuje...

– Rozumiem – odparła, po czym również wstała. – Zawsze jesteś mile widziany w moim domu, Sławku. Jeżeli masz ochotę, przyjdź jutro. Spróbuj namówić żonę. Lepsza stara baba i jej ogród, niż siedzenie w czterech ścianach. – Mrugnęła okiem.

Sławek uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Z pewnością cię odwiedzimy.

Pożegnali się i kilka minut później Sławek znów siedł zniszczonym chodnikiem.

Rozdział 5

Perkusista wybił pałeczkami rytm, po czy z hukiem weszły gitary. Heavymetalowy jazgot wydawał się bezładną kakofonią dźwięków, lecz zaraz z jazgotu zaczęły wynurzać się riffy godne zawodowej kapeli.

Trzech nastolatków grało, szaleńczo zarzucając włosami i wściekle szczerząc zęby. Perkusista wybijał rytm niczym karabin maszynowy, a jego pałeczki przypominały rozmyte smugi.

Ściany garażu, gdzie odbywała się próba, drżały od decybeli. Podłoga odpowiadała jękiem po każdym uderzeniu stopy, a przy szybkich partiach na werblu w jednym z okienek telepała się szyba.

Weszła gitarowa solówka. Nastolatek z instrumentem w kształcie litery „V” zarzucił grzywą rudych włosów, biegając palcami niemal po całym gryfie. Połączenie tappingu i sweepów dawało fenomenalny efekt.

W pewnym momencie jedna z pałeczek perkusisty wystrzeliła jak z procy, przeleciała tuż obok głowy rudowłosego i zatrzymała się na plakacie przedstawiającym Cliffa Burtona, wybijając dziurę w jego czole.

Muzyka ustała. Przez kilka sekund jej echo odbijało się od ścian, lecz zaraz zamarło, pozostawiając po sobie ciężką ciszę.

– Dobra. Wystarczy – odezwał się gitarzysta. – To chyba nie jest nasz dzień.

– Ta... – sapnął perkusista, po czym wstał z rozklekotanego taboretu i otarł pot z czoła. – Co robimy?

– Nie wiem...

– Ja wiem – odezwał się drugi gitarzysta. Blondyn z sięgającymi prawie do pasa włosami poklepał się po kieszeni na piersi i uśmiechnął znacząco. Pomimo tego, że doskwierał okropny upał, chłopak nie rozstawał się ze skórzaną kurtką upodabniającą go do członka klubu motocyklowego.

– Masz trawę? – zapytał z nadzieją bębniarz.

– I to jaką! – Blondyn odsłonił w uśmiechu zęby. – Wali w łeb jak cholera.

Zarechotali, poklepując się po plecach.

Próba odbywała się w garażu przy domu perkusisty – Wiktora. Rodzice nastolatka nienawidzili heavy metalu, ale po miesiącach namawiania w końcu zgodzili się na to, aby zaadoptował garaż na salę prób. Warunek polegał na tym, że w roku szkolnym będą grać tylko raz w tygodniu. Teraz mieli wakacje, więc nakaz nie obowiązywał i z powodzeniem mogli robić próby praktycznie codziennie.

Usiedli na trawie pod rozłożystą lipą.

– O której twoi starzy wracają z roboty? – zapytał Marcin, wyciągając z kieszeni kurtki sporą torebkę marihuany.

– Za jakies pięć godzin – odparł Wiktor. – O kurwa, skąd ty wzięłeś tyle jarania?

– Ma się znajomości – rzekł blondyn, po czym zaczął skręcać długiego jointa. – Ma ktoś fajkę?

– Łap! – Rudowłosy gitarzysta rzucił mu paczkę.

Ten złapał ją i ze zdziwieniem spojrział na kolegę.

– Kamil ma całą ramę! Tego jeszcze nie grali! Zajebałeś starym?

Cała trójka roześmiała się.

– Kupiłem za uczciwie zarobione pieniądze – odparł Kamil, gdy przestali się śmiać. – A tak naprawdę, to wreszcie pozbyłem się tej starej podróbki Stratocastera, więc jestem przy kasie.

Zapadła cisza. Temat sprzedaży gitary przypomniał im o braku basisty. Od kilku tygodni nie mogli znaleźć osoby chętnej do grania takiej muzyki. W niewielkiej miejscowości mieszkało kilku basistów na krzyż. Najgorsze w tym wszystkim było to, że każdy z nich grał totalny chłam na ślubach i nie dopuszczał myśli o tworzeniu czegoś ambitniejszego.

Przez krótki czas grał z nimi pewien basista, ale nie należał do wirtuozów i próby szybko go znudziły. Zespół pozostawał w niepełnym składzie, a zbliżał się koncert na zakończenie wakacji. Choć uważali, że świętowanie czegoś takiego jest czystą herezją, była to również doskonała okazja do zaprezentowania swoich umiejętności. Nie spodziewali się zbyt dużej publiczności, ale sama perspektywa koncertu chociażby dla garstki znajomych wprawiała ich w euforię.

Marcin odpalił skręta i zaciągnął się głęboko. Siedział bez ruchu z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem na twarzy. W końcu wypuścił chmurę gęstego dymu. Zaciągnął się jeszcze dwa razy, po czym podał skręta Wiktorowi.

Palili w ciszy, z każdym zaciągnięciem beztrąsko oddając się działaniu marihuany. Wyglądało to jak swego rodzaju rytuał.

– O cholera – odezwał się Kamil. – Ale się zjarałem.

Na te słowa pozostała dwójka wybuchnęła śmiechem. Śmiali się bez opamiętania, jakby Kamil opowiedział wyjątkowo zabawny dowcip.

– Kurwa, zaraz się zleję! – krzyknął Wiktor. Zgiął się wpół i ryknął głośnym śmiechem, wypluwając kropelki śliny. W jego oczach pojawiły się łzy, co dodatkowo go rozbawiło.

Wydawało im się, że śmieją się godzinami. Gdy Wiktor przez przypadek zerknął na zegarek, doszedł do wniosku, że nie minęło nawet dziesięć minut od momentu, w którym wyszli z garażu.

– Ej... – stęknął Marcin. Jego zaczerwienione oczy sprawiały wrażenie

zbyt małych względem reszty twarzy.

– Co?

– Co? – Spojrzał pytająco na Kamila.

– Zacząłeś coś mówić.

– Tak? Nie pamiętam...

Po raz kolejny wybuchnęli śmiechem, jednak tym razem radość trwała krócej. Nagle opadła na nich ciemna kurtyna melancholii i znudzenia. Pozytywne działanie narkotyku minęło nadzwyczaj szybko. Ich nastrój obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Was też tak muli? – zapytał Kamil. Dziwnie zaciągał, przez co jego pytanie brzmiało bardziej jak „waaaasesz tak muuuuli”.

– Nooo... – odparł Marcin.

– Co to miało być? – zapytał Wiktor.

– Co?

– Ziolo.

– Wczoraj paliłem z tej samej paczki i nic złego się nie działo. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Nikt się nie odezwał. Siedzieli przy drzewie, czując jak zapada się pod nimi ziemia. Przez głowę Kamila przetoczyła się obawa, że zaraz wpadną w czarną czeluść. Usiłował walczyć z tą myślą, ale każda próba sprawiała, że osuwał się o kolejny centymetr, a piasek pod nim stawał się nieco luźniejszy. W jego nozdrza uderzył ostry zapach błota.

– Zapadam się! – krzyknął przerażony. – Słyszycie?! Zapadam się!

– Daj spokój – powiedział Marcin. – Skopciłeś mordę i tyle. Wcale się nie zapadasz. – W jego tonie dało się uchwycić nutę zwątpienia. On również wyczuwał, że coś jest nie tak. Wiktor natomiast siedział w milczeniu, z zafascynowaniem wpatrzony we fragment trawnika. Zastygł w bezruchu, przez co przypominał posąg.

Nagle wszyscy trzej poruszyli się i zwrócili głowy w kierunku garażu. W drzwiach niewielkiego budynku pojawiło się coś świecącego, co z grubsza wyglądało jak sylwetka człowieka. Emanował od niej silny blask przywodzący na myśl odbijające się od szyby promienie słońca. Sylwetka raziła oczy tak mocno, jakby chciała ich zmusić do odwrócenia wzroku.

– Co to jest? – zapytał Kamil. Jego głos przeszedł w zachrypnięty szept, który brzmiał jak rozdeptywane szkło.

– Obawiam się, że w zielsku były jakieś haluny – odparł Marcin.

– Nawet jeśli, to dlaczego wszyscy trzej mamy te same zwidy?

Marcin wybuchnął histerycznym śmiechem, całkowicie pozbawionym radości.

– Od kiedy ludzie świecą? Słyszałem, że jak się dobrze napromieniujesz...

– Wiktor! – przerwał mu Kamil.

– Co Wiktor? O kurwa...

Ujrzeni, jak ich kolega idzie w stronę Świecącego Człowieka. Był odwrócony do nich tyłem, więc nie widzieli wyrazu jego twarzy, lecz wnioskując po samym chodzie, wydawał się zupełnie opanowany. Jakby chciał im udowodnić, że przy garażu nie ma niczego dziwnego, a oni po prostu dali się nabrać.

– Cholera, co robimy? – zapytał Marcin.

– Nie mam pojęcia... – odparł Kamil. – Może chodźmy za nim?

– Nie! Ja nigdzie nie idę! – Nastolatek, dotychczas pewny siebie, skulił się i przycisnął dłonie do ust.

Koledzy obserwowali Wiktora. Za ledwie kilka kroków dzieliło go od tego czegoś, co w nich samych wywoływało tak wielki niepokój. Jego sylwetka na tle emanującego blasku wyglądała niczym tranzyt Merkurego na tarczy Słońca.

– Wiktor, wracaj! – krzyknął Marcin. – Wracaj tu, do cholery!

Wiktor nie posłuchał. Szedł tym samym krokiem i nawet nie odwrócił głowy. Wydawało się, jakby w ogóle nie usłyszał wołania.

Kamil drżał z lęku. Uczucie to wypełniało każdy centymetr jego ciała i stale rosło, przez co pęczniał jak nadmuchiwany balon.

Nim pomyślał, nogi podjęły decyzję za niego. Zerwał się do biegu – morderczego maratonu o życie. Czyje? Nie wiedział. Mogło chodzić o Wiktora, ale wydawało się to nieistotne. W przeblýsku świadomości Kamil nabrał przekonania, że jeżeli nie zatrzyma Wiktora, to stanie się coś złego. Pomimo tego, że THC jeszcze przyćmiewało mu umysł, miał świadomość, że ta myśl nie powstała wskutek narkotycznych rojeń, lecz cechowała ją racjonalność. Musiał biec co sił w nogach.

Dystans dzielący go od Świecącego Człowieka malał. Z każdym kolejnym krokiem ogarniał go coraz większy, niemal paraliżujący strach. Emanująca ostrym blaskiem sylwetka zaczęła na niego w jakiś sposób oddziaływać. Na początku subtelnie przyciągała, niczym zalotny szept pięknej kobiety, lecz słodki ton momentalnie przeszedł w rozkazujący krzyk nie uznający jakichkolwiek kompromisów.

W jednej chwili zapomniał o Wiktorze. Kolega przestał się liczyć, pojawił się inny priorytet. Gnał w stronę Świecącego Człowieka, czując narastający w gardle krzyk. Zaczął otwierać usta, lecz wtedy Wiktor dobiegł do celu. Kamilowi mignęło przed oczami logo Motörhead na czarnej koszulce. Znajdujący się poniżej wizerunek Lemmy’ego wydawał się w abstrakcyjny sposób pasować do tego, co się działo. Niechlujny wygląd, wyzywające spojrzenie i sterczący z kącika ust papieros. Naszła go kuriozalna myśl, że legendarny muzyk miałby niezły ubaw z koszmaru, jaki właśnie przeżywali.

Śmierć Wiktora przyszła tak szybko, że Kamil ledwo zdążył zorientować się, do czego właściwie doszło. Gdy wreszcie pojął, wydał z siebie odgłos przypominający syk przebitej dętki. Z takim samym sykiem zaczęło uciekać z niego życie. Pragnął podjąć z tym walkę; odwrócić się i biec co sił w przeciwnym kierunku, byle jak najdalej od podwórka Wiktora i dziwnej istoty, która pojawiała się znikąd. Był gotów porzucić nawet gitarę. Chciał ratować swoją skórę, lecz to, co go przyciągało, okazało się zbyt silne.

– Chooodź ze mą...

Kamil nie potrafił stwierdzić, czy głos rozlega się w jego głowie, czy też faktycznie Świecący Człowiek coś do niego mówi. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Nie uśmiechało mu się iść z tym czymś, lecz nie pozostawiono mu wyboru.

Słyszał z oddali krzyk Marcina. Widział, co się stało z Wiktorem i przeczuwał, że zaraz podzieli los kumpla.

Dotarł do mety. Jego morderczy bieg zwieńczył ostry ból. Odniósł wrażenie, że ktoś wystrzelił w niego tysiące długich gwoździ. Metal zagłębiał się w ciele, przebijając narządy, tętnice i pojedyncze żyły. Na jego szczęście ból trwał zaledwie sekundę.

Marcin obserwował przebieg wydarzeń wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Od krzyku rozboleło go gardło, lecz nie potrafił przestać.

Wszystko rozegrało się w przeciągu jednej chwili, lecz wydawało się, jakby minęły godziny. Morderczy maraton Wiktora i Kamila zakończył się spektakularnym wybuchem, który przypominał fajerwerki, lecz rolę rakiet pełniły ciała nastolatków. Zamiast kolorowych rozbłysków, w powietrze wystrzeliły strzępy mięśni i wnętrzności, a litry posoki zbryzgały całe podwórko.

Marcin nie mógł się nadziwić, że w człowieku jest aż tyle krwi; jego koledzy wybuchli jak balony. Teraz obok garażu leżały dwie kupki szmat i ludzkiej skóry.

Nagle uświadomił sobie, że ma mokrą twarz. Sięgnął do niej ręką i szybkim ruchem starł wilgoć. Po spojrzeniu na dłoń omal nie wymiotował. Pokrywała ją lepka czerwień, której pochodzenie było oczywiste.

– No dobra... to ja stąd spierdalam – powiedział drżącym głosem, po czym wstał i na nogach jak z waty zrobił dwa niepewne kroki.

Moja gitara, pomyślał, lecz zaraz uderzyła go absurdalność tego spostrzeżenia. Dwóch jego kumpli zginęło w brutalny sposób, a on zamiast brać nogi za pas myśli o jakiejś pieprzonej gitarze. Może i dużo kosztowała, ale życie jest zdecydowanie cenniejszym towarem.

Odwrócił się na pięcie i pokuśtykał w stronę furtki. Wtedy, między

drzewami po drugiej stronie płotu, dostrzegł jaskrawe światło.

– Chooodź ze mą...

Stanął jak wryty, nie potrafiąc zlokalizować źródła głosu.

– Chooodź ze mą.

Uświadomił sobie, że głos rozlega się w jego głowie. Wezwanie zostało skierowane bezpośrednio do niego. Zalała go fala lodowatego strachu, nakazując niezwłoczną ucieczkę. Jedyna droga ratunku prowadziła przez płot, który musiał przeskoczyć. Za furtką czekała go śmierć.

Dawno nie biegł tak szybko. Płuca ledwo nadążały z łapaniem kolejnych oddechów, serce waliło tak mocno, jakby chciało połamać wiążącą je kratownicę żeber. Coś go goniło, lecz z pewnością nic o wymiarze fizycznym. Nie słyszał odgłosów pościgu, nie czuł na karku oddechu prześladowcy. Goniło go coś, co zobaczy i poczuje dopiero wtedy, kiedy da się złapać. Wtedy wybuchnie tak samo jak Wiktor i Kamil.

Dobiegł do płotu i niezdarnie się na niego wspiął. Jego ciałem wstrząsały silne drgawki niczym przy ataku epilepsji. Z trudem wspiął się na siatkę i rzucił na drugą stronę.

Nagle coś mocno go szarpnęło, czemu towarzyszył ostry ból głowy.

Już po mnie.

Przeczuwając najgorsze, odwrócił się, aby spojrzeć śmierci w pysk. Wtedy zamiast Świecącego Człowieka dostrzegł pęk blond włosów, które zaczepiły się o siatkę. Dotknął ziejącego z tyłu głowy, лыsego placka.

– Kurwa...

Kątem oka dostrzegł potwora, lecz ten wcale za nim nie biegł. Stał przy drzewach i machał do niego. Marcin krzyknął z przerażenia, po czym odwrócił się i pobiegł, jakby uciekał przed samym diabłem. Zatrzymał się dopiero przed swoim domem, cztery kilometry dalej.

Rozdział 6

Zewsząd dobiegało wycie policyjnych syren. Radiowozy jeździły we wszystkich kierunkach, jakby nagle przez miasteczko przetoczyła się fala przestępstw.

Sławek siedział przy kuchennym stole, pijąc czwartą kawę. Rozmowa ze starszą kobietą, pomimo przykrych tematów, poprawiła mu nastrój do tego stopnia, że zjadł cały obiad, co nie zdarzało się zbyt często. Jego niewielki przypływ entuzjazmu udzielił się również Darii. Jej blade oblicze od czasu do czasu rozjaśniał lekki uśmiech. Już wydawało się, że ten dzień będzie nieco lepszy niż poprzednie, lecz wtedy rozległo się pierwsze wycie syren, a zaraz po nim następne i jeszcze jedno.

Zastanawiał się, do czego musiało dojść w tej małej miejscinie, aby postawić na nogi aż tyle służb. Miał ogromną ochotę wyjść i to sprawdzić, lecz coś go przed tym powstrzymywało. Za każdym razem, kiedy słyszał syreny, ogarniał go niezrozumiały lęk.

Wstał od stołu i podszedł do okna. Ich dom dzielił od drogi szpaler drzew, lecz między nimi wyraźnie dało się dostrzec przejeżdżające trzy radiowozy.

– Co się tam stało?

Odwrócił się i spojrział na Darię. Na jej twarzy malował się niepokój. Chciał powiedzieć żonie, że nie ma się czym martwić, ale powstrzymał go przed tym ucisk strachu w klatce piersiowej.

– Nie wiem – odparł, ponownie spoglądając przez okno. – Ale nie wygląda mi to na ćwiczenia. Zapewne zostałyby podana jakaś informacja, żeby nie wywołać niepotrzebnej paniki.

– Pewnie tak.

W milczeniu wsłuchiwali się w dobiegające z oddali syreny. Dochodziła godzina siedemnasta. Tego letniego popołudnia powietrze stało się tak ciężkie, że praktycznie nie dawało się nim oddychać. Z nieba lał się potworny żar, pozbawiając ziemię ostatnich resztek wilgoci po nocnej ulewie.

Jego ciekawość narastała. Chętnie by to sprawdził, lecz odniósł wrażenie, że syreny dobiegają z kilku miejsc rozrzuconych w różnych rejonach miasteczka. Spojrzawszy na Darię, zauważył tę samą ciekawość.

– Idziemy zobaczyć, co się dzieje? – zapytał.

– Sama nie wiem... – Przygryzła dolną wargę. Ten gest wykonywała niemal zawsze, gdy się wahała.

– Ja idę.

– No dobra, daj mi pięć minut. Muszę się ogarnąć.

Sławek skinął głową, po czym ponownie wyjrzał przez okno. Między drzewami, tym razem z przeciwnej strony, przejechał następny radiowóz. Wracał?

Co tu się wyprawia, do jasnej cholery, zastanawiał się.

Kilka minut później szli po tym samym zniszczonym chodniku, na którym rano prawie się przewrócił.

– Ile ten chodnik ma lat? – zapytała ze złością Daria, po tym jak zawadziła o wystający kamień, omal nie łamiąc sobie obcasa.

– Hmm... – mruknął Sławek ze zmarszczonym czołem. – Na pewno jest znacznie starszy ode mnie.

– Świetnie – sarknęła Daria. – Myślisz, że wyremontują go, zanim dociągniemy do emerytury?

Sławek zamyślił się.

– Może wyremontują – powiedział, omijając wyrwę w płytach.

Nie oni jedni postanowili sprawdzić, co się stało. Z okolicznych domostw wychodzili kolejni ludzie. Inni wyglądali przez okna, bojąc się opuszczać bezpiecznych czterech kątów.

Szli, milcząc, czując narastające napięcie. Ludzie stąpali powoli i apatycznie niczym w pogrzebowym kondukcje, gdzie każdy marzy o tym, aby znaleźć się w innym miejscu. Sławek zapragnął chwycić Darię za rękę, odwrócić się i pójść do domu. Jego nogi jednak nadal wykonywały duże, zdecydowane kroki. Niosły go w stronę czegoś bardzo złego.

– Myślisz pan, że to terrorysty?

Pytanie padło z tak bliska, że Sławek od razu założył, iż skierowane jest właśnie do niego. Spojrzał na osiemdziesięciokilkuletniego mężczyznę. Mały, zasuszony starzec, poruszał się przy pomocy zniszczonej drewnianej laski. Jego pokryta plamami wątrobowymi dłoń kurczowo ścisnęła drewno do tego stopnia, że z palców odpłynęła krew. Patrzył na niego wzrokiem, w którym dało się dostrzec oczekiwanie.

– Ciekawe pytanie – odparł Sławek, pragnąc skrócić uciążliwe milczenie. – Nie wydaje mi się, żeby terroryści chcieli tutaj czegoś szukać.

– A ja panu mówię, że te terrorysty tu są. Terrorysty są teraz wszędzie. Tylko patrzeć jak nas pomordują, popalą nam domy i zgwałcą kobiety. Średniowiecze wraca! Ja wiem, co mówię! Wspomnisz pan moje słowa!

Sławek westchnął. Uświadomił sobie, że jedyną rozsądną reakcją w tej rozmowie będzie przytakiwanie bezzębnemu dziadkowi i czekanie aż ten da sobie wreszcie spokój. Poglądy starca były tak mocno zakorzenione, że jakakolwiek próba użycia stosownych argumentów

przemawiających przeciw nim mijała się z celem.

– Chyba ma pan rację – rzucił od niechcienia.

– Na pewno! – Dziadek się ożywił. – Terrorysty, niech pies ich w dupę wali! Świat na głowę upadł, idzie apokalipsa!

Sławek z trudem powstrzymał śmiech, zdając sobie sprawę z tego, jak nienaturalnie zabrzmiałby w pełnej napięcia ciszy. Nie dość, że zwróciłby na siebie uwagę, to ludzie mogliby wziąć go za wariata.

Stary mężczyzna widocznie uznał, że powiedział już wszystko, co leżało mu na sercu. Przyspieszył kroku i zapytał o terrorystów jakąś młodą kobietę, która spojrzała na niego jak na kretyna i odbiła w prawo. Dziadek machnął ręką i poszedł szukać kogoś innego.

Nagle ponury pochód zatrzymał się. Spoceni ludzie stali w piekącym ich w karki, popołudniowym słońcu, jakby w oczekiwaniu na wielkie wydarzenie. Ktoś o czymś usłyszał i informacja przechodziła z ust do ust. Z początku wieści przekazywano szeptem, lecz wkrótce zawtórowały im okrzyki zdumienia i wrzaski pełne strachu. Ludzie zaczęli w pośpiechu rozchodzić się do swoich domów.

Sławek poczuł na dłoni zimną rękę Darii. Spojrzał w jej duże niespokojne oczy i wysilił się na pocieszający uśmiech. Nie osiągnął oczekiwanego efektu, lecz przynajmniej miał świadomość, że próbował jakoś dodać jej otuchy.

Teraz pokusa ucieczki stała się jeszcze silniejsza. Było już mu obojętne, do czego tu doszło. Spojrzał na Darię i na jej twarzy ujrzał odbicie swoich emocji.

Zginęło trzech nastolatków. Sławek nie zapamiętał nazwisk tych chłopaków, ale udało mu się dowiedzieć, że dwóch z nich należało do zespołu, który grał próbę w garażu rodziców perkusisty. Ze zdarzenia wyszedł cało tylko gitarzysta. Został zabrany na miejscowy komisariat, gdzie go przesłuchiowano. Trzeci nastolatek mieszkał w zupełnie innej części miasteczka.

To dlatego policyjne syreny rozlegały się z kilku kierunków, zrozumiał Sławek.

– Wracajmy.

Sławek spojrzał na żonę, nie od razu pojmując to, co powiedziała. Zamrugał kilkakrotnie, spojrzał trzeźwiej.

– Tak – odparł. Odwrócili się i udali w stronę domu.

Szli w milczeniu przez całą drogę powrotną. W przeciwieństwie do innych, nie pędzili na złamanie karku. Oboje przeczuwali, kim może być sprawca zabójstw, co w irracjonalny sposób dawało im nieco większe poczucie bezpieczeństwa. Sławek zastanawiał się, jakim cudem tak spokojny chłopiec, całe życie stroniący od bójek, po śmierci mógłby zamienić się w potwora.

Po śmierci...

Potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić absurdalności swoich myśli. Czy w ogóle da się mówić o zachowaniu u nieboszczyka? To miało w sobie tyle niedorzeczności, co zastanawianie się, czy w mroźne listopadowe noce zmarli w trumnach trzęsą się z zimna. Jednakże nie potrafił pozbyć się przeczucia, że staruszka, która ich odwiedziła, zapoczątkowała coś okropnego.

Popołudnie powoli przechodziło we wczesny wieczór. Wkrótce nadejdzie kolejna, bez wątpienia ciężka, noc. O ile rano Sławek czekał na znak od Artura, tak teraz całkowicie zmienił zdanie; liczył na to, że ich syn nie pojawi się w domu. Miał również nadzieję, że uda mu się zasnąć na tyle szybko i mocno, że prześpi dobiegające z góry odgłosy.

Dotarli do domu. Duży budynek ze spadzistym dachem pokrytym nową dachówką w świetle chylącego się ku zachodowi słońca wyglądał złowieszczo. Jego zazwyczaj białe ściany przybrały niezdrowo żółtą barwę. W szybach odbijał się toksyczny blask, kłując w oczy.

W milczeniu patrzyli na dom – ostoję spokoju i początek nowego rozdziału. Inne miejsce, inni ludzie... Sławek i Daria przewidywali, że ich kłopoty wcale się nie skończyły.

Spojrzeli po sobie, rozumiejąc się bez słów. Jak na komendę odwrócili się i ruszyli w stronę lasu. Wkrótce weszli między drzewa i ruszyli ledwo widoczną ścieżynką. Sławek próbował sobie przypomnieć, czy szedł nią w dzieciństwie, lecz jego wspomnienia zakrywała gęsta mgła.

Chłód lasu przyniósł im niemałą ulgę. Dla Sławka spacer okazał się znacznie lepszą opcją niż powrót do domu.

– Jak myślisz, co tu się stało? – zapytała Daria. Jej zachrypnięty głos brutalnie przerwał niczym niezmaconą ciszę, która panowała od prawie pół godziny.

– Nie mam bladego pojęcia – odparł Sławek.

– Nie sądzę...

– Nie sądzisz, że...?

– Że to człowiek.

Sławek przez chwilę milczał, zastanawiając się nad słowami żony.

– Też nie wydaje mi się, żeby chodziło o żywą istotę – przyznał. – To brzmi jak kiepski żart, ale nie potrzeba mi żadnych dowodów. Po prostu mam przeczucie – dodał.

– Ja też...

– Dziwne.

Daria spojrzała na niego pytająco.

– W zasadzie nie mamy pojęcia, co się dokładnie wydarzyło, a oboje wiemy, że to sprawka... – Zawiesił głos. Daria również nie zamierzała kończyć tej myśli

Szli ścieżką, wdychając przesycone zapachem żywicy oraz mokrej ściółki powietrze. Przyjemny chłód orzeźwiał, przynosił poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Zupełnie, jakby las próbował obronić ich przed złem.

– Wyjedziemy stąd, jak to dalej będzie trwało? – zapytała Daria.

Sławek chrząknął. Spodziewał się tego pytania. Przez ostatnie dni nawet starał się jakoś na nie przygotować, lecz wciąż żywił nadzieję, że padnie ono później niż prędeż. Dzisiejsze zabójstwa jednak zmieniały postać rzeczy.

– Nie wiem – odparł po dłuższym czasie. – Obawiam się, że na razie musimy się wstrzymać, nasze oszczędności pochłonął remont. Dopóki tragedia nie zostanie wyjaśniona, na pewno nie uda nam się sprzedać domu. Ludzie mogą się wahać przed zakupem nieruchomości w miejscu świeżo po takim wydarzeniu.

– W sumie racja... – odparła Daria z rezygnacją w głosie.

– Niestety...

Rozejrzał się i wtedy ciężka mgła zasłaniająca jego wspomnienia z dzieciństwa nieco się rozrzedziła. Przypomniał sobie, że już kiedyś szedł tą ścieżką, pomimo zakazu rodziców. Raz lub dwa dostał lanie, gdy ojciec złapał go na szwendaniu się w tej okolicy.

Ścieżka prowadziła do głębokich dołów, z których kilkadziesiąt lat temu wydobywano kamień. Po zakończeniu eksploatacji stary kamieniołom pozostawiono samemu sobie. Nikt nie wysilił się na postawienie ogrodzenia, czy chociażby tablic z ostrzeżeniami, przez co doły stanowiły spore zagrożenie. Podobno kiedyś ktoś stracił w nich życie, ale Sławek nie wiedział, ile w tym prawdy.

Wyteżył wzrok, próbując z daleka dostrzec kamieniołom, lecz przypuszczał, że po tylu latach dziury prawdopodobnie zarosły zielskiem.

Nagle Daria mocno wbiła paznokcie w jego dłoń.

– Auuu... – jęknął. – Co ty...

– Zobacz – szepnęła, wskazując głową w prawo.

– Co... – zaczął Sławek, lecz wtedy dostrzegł, o co jej chodziło.

Kilkanaście metrów dalej znajdował się świetlisty kształt łudzaco przypominający kucającego człowieka. W emanującej bladym blaskiem dłoni istota trzymała kawałek patyka i zawzięcie rysowała coś na oczyszczonej ze ściółki ziemi.

Sławek wrócił spojrzeniem do Darii, lecz ta nie zwracała na niego uwagi. Była skupiona na Świecącym Człowieku.

– Co to jest? – zapytała.

– O cholera...

Nagle postać zauważyła ich. Wstała, wypuszczając patyk z dłoni i

przez moment przyglądała im się w bezruchu.

Wtedy Sławek poczuł to samo, co w nocy – obecność kogoś bliskiego. Kogoś, kogo dobrze zna i z kim spędził wiele lat.

– Czy... – Daria urwała. Obserwowała osobliwą scenę z mieszaniną niedowierzania i strachu.

Postać odwróciła się i weszła w zarośla. Między drzewami migotał blask, lecz zaraz zniknął. Pryśło wrażenie obecności kogoś bliskiego, aczkolwiek pozostało po nim echo.

– Rysował... – powiedziała Daria.

– Sprawdźmy to.

Weszli w zarośla i od razu napotkali spore trudności. Wydawało się, że krzaki próbują ich powstrzymać; ostre gałęzie i kolce jeżyn wbijały się w ich dłonie i przedramiona.

Parę metrów dalej poczuli zapach pozornie znajomy, lecz jednocześnie ciężki do zidentyfikowania. Połączenie intensywnej woni ozonu z typowym dla szpitalnej sali akcentem leków i chorych ludzi. Przez tę mieszankę przebijał się słodkawy, obezwładniający smród rozkładu.

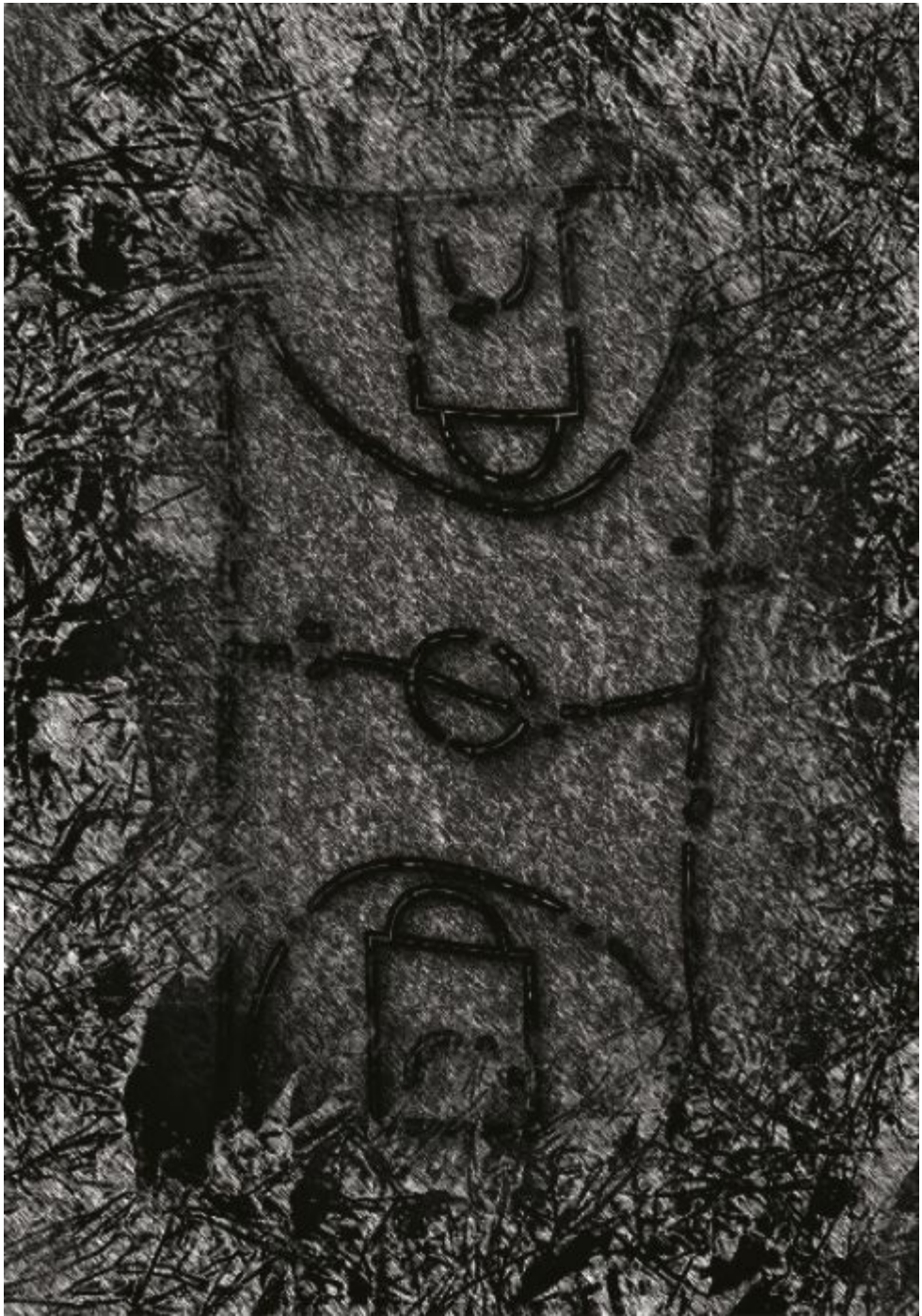
Z każdym krokiem woń przybierała na sile, aż wreszcie stała się nie do zniesienia. Sławek w pewnym momencie rozkaszał się. Jego żołądek ścisnęła niewidzialna dłoń, przez co jego zawartość niebezpiecznie podeszła do gardła. Daria natomiast zasłoniła dłonią nos i z trudem tłumiała napływające do oczu łzy.

Dotarli do celu, po czym spojrzeli na ziemię. Na wilgotnym piasku widniał rysunek, który rozpoznali niemal od razu. Wydawało się, że został wykonany ręką dziecka dopiero oswajającego się z trzymaniem ołówka.

Nie ulegało wątpliwości, że koślawy rysunek przedstawia boisko do koszykówki.

– A-a-a... – Daria nie potrafiła wydusić z siebie niczego więcej.

– Artur – dokończył Sławek.



Rozdział 7

Obserwował chłopaka z obojętnością, z jaką policjant powinien patrzeć na przesłuchiwanego. W rzeczywistości powstrzymywał się przed złapaniem go za kudły i rozwaleniem mu łba o ścianę. Przesłuchiwany nastolatek należał do dzieciaków z bogatego domu, które myślą, że wszystko im wolno, a w rzeczywistości są cwanyymi szczeniakami niewartymi garści gówna.

Dzieciakowi z pewnością nie brakowało języka w gębie ani tym bardziej znajomych. Pewnie jego kieszonkowe wynosiło połowę tego, co on zarabiał na tym pieprzonym komisariacie. Pomimo upału gówniarz nosił skórzaną kurtkę i glany. Jego absurdalnie długie włosy były potargane, jakby dopiero wstał z łóżka.

– Zacznijmy od początku – rzekł zachrypniętym głosem, po czym zapalił papierosa. Nastolatek spojrział na paczkę pożądliwie, co przyniosło policjantowi niemałą satysfakcję. Może nawet poczęstowałby go, ale nie chciał. Z pewnością dzieciak nie palił samodzielnie kręconych, nabijanych najtańszym tytoniem kiepów. On na kilometr cuchnął Marlboro i przekonaniem, że to jedyne znośne papierosy. Niech się pieprzy.

Śmierzący dym uniósł się pod sufit, po czym został wessany przez wywietrznik.

– Już panu opowiedziałem w...

– Owszem, ale powtórzysz przebieg wydarzeń, bo mi się tak, kurwa, podoba. Jasne? – wpadł mu w słowo.

Dzieciak pokiwał głową.

– Zamieniam się w słuch. Po kolei.

– Mielśmy próbę.

– Wy, czyli kto?

– Ja, Wiktor... – Marcin urwał, nie mogąc przywyknąć do mówienia o swoich najlepszych kumplach w czasie przeszłym. – Wiktor, który grał na perkusji i Kamil. Gitarzysta.

– Yhym – mruknął policjant. Nienawidził rocka, metalu i podobnego rzępolenia. Uważał, że młodzież wychowująca się na takiej muzyce wykazuje większą podatność na samobójstwa i wikłanie się w działania przestępcze. Należał do osób pobożnych, regularnie uczęszczał do kościoła, tymczasem teksty piosenek granych przez tych pedałów w rurkach i skórzanych kurtkach często uderzały w wiarę i chrześcijan. Nie mógł pojąć, jakim cudem rodzice pozwalali swoim dzieciakom na słuchanie tego gówna. Gdyby jego syn puścił rocka, to nie usiadłby na

dupie przynajmniej przez tydzień, a jego komputer i telefon wyleciałyby przez okno. W jego domu panowały twarde zasady.

– Słucham – ponaglił Marcina, który od dłuższego czasu milczał.

– Graliśmy, ale słabo nam szło, więc poszliśmy posiedzieć pod drzewem i... – Chłopak przerwał, z trudem tłumiąc drżenie rąk.

O to mu chodziło. Wtedy, pod tym drzewem, zdarzyło się coś, o czym gnój nie chciał powiedzieć ani za pierwszym, ani za drugim razem. Zamierzał męczyć go tak długo, aż wreszcie powie, co robili.

Podejrzewał, że coś brali. Taka młodzież zawsze ćpa. Może ta mała miejscina sprawia wrażenie spokojnej, ale wiele razy zgarniali dzieciaków z woreczkiem marihuany albo mefedronu. Większość przypadków stanowili właśnie długowłosi chłopcy w pieprzonych pedalskich rurkach, często noszący kolczyki. Zdarzało się, że w jednym uchu takiego dzieciaka tkwiło więcej kolczyków niż w uszach nastoletniej córki i żony policjanta razem wziętych. Niekiedy nosili żelastwo również w wargach albo w brwiach. Strasznie go to denerwowało i tylko czekał, aż ta cholerna moda wreszcie przeminie.

Dzieciak co prawda nie śmierdział alkoholem, ale jego oczy wyglądały, jakby palił trawkę albo płakał. W tym przypadku mógł założyć się o całą pensję, że chodziło o trawkę.

– Słuchaj, chłopcze – odezwał się, wypuszczając kłąb niebieskiego dymu. Zgasił niedopałek w plastikowym kubku po kawie, po czym spojrzał uważnie na przesłuchiwanego. – Nie żyje dwóch twoich kolegów i dzisiaj w równie paskudny sposób zginęła jeszcze jedna osoba. Albo wyśpiewasz mi WSZYSTKO, albo posiedzisz sobie na dołku, jeżeli potrzebujesz więcej czasu do namysłu. Spędzisz tu dobę lub dwie, mnie to gównem obchodzi. Wybór należy do ciebie.

Marcina ogarnął strach. Nie był winny śmierci swoich kumpli, ale w pokoju, pod obłuzowaną deską podłogi, ukrywał pięć gramów trawy. Za coś takiego mógł pójść siedzieć.

Umysł nastolatka działał na spowolnionych obrotach – wynik ośpienia po marihuanie i traumatycznych wydarzeniach. Długo sobie wmawiał, że trafił na beznadziejną trawkę z jakimś halucynogennym cholerstwem, lecz gdy usłyszał pierwsze wycie policyjnych syren, a zaraz po nim kolejne, dotarło do niego, że koszmar wydarzył się naprawdę. Świecący Człowiek rozerwał jego kumpli jak szmaciane lalki i zabił kogoś jeszcze.

– Paliliśmy zioło – wydusił.

Policjant odchylił się w krześle, a na jego twarzy pojawił się wyraz satysfakcji. Osiągnął cel. Wiedział, że nic więcej od bachora nie wyciągnie, ale przynajmniej złapał w garść kolejnego kudłatego ćpuna.

– No proszę! Teraz to inna gawęda. Wyślę chłopaków do domu

twoich rodziców. Niech się trochę rozejrzą.

Nastolatek milczał. Mógł jedynie liczyć na to, że jego kryjówka okaże się wystarczająco dobra. Rodzice niejednokrotnie przetrząsali mu pokój, gdy orientowali się, że coś wziął, lecz nigdy nie udało im się odkryć schowka pod deską. Może policjanci również go nie znajdą.

– Który z was posiadał marihuanę?

– Ja – odparł Marcin. Nie miał na tyle tupetu, by podcierać sobie tyłek zmarłymi kumplami. Musiał to wziąć na siebie, zresztą i tak ta trawka należała do niego.

– Yhym. – Policjant uśmiechnął się pod nosem. – Pozwól, że ci przedstawię, jak wygląda sprawa.

Marcin skinął głową.

– Szczerze wątpię, żebyś ponosił winę za to, co się stało, zwłaszcza że w trakcie... hm... waszej próby został zabity pierwszy chłopak, co potwierdzili sąsiedzi. Nie jestem na bieżąco z nauką, ale nie słyszałem, aby człowiek potrafił pojawiać się jednocześnie w dwóch różnych miejscach. Poza tym, na razie mamy zbyt małą wiedzę o mordercy i jego motywach.

– Ale mó...

– Nie przerywaj mi! – krzyknął policjant. Miał serdecznie dosyć pieprzenia o jakimś świecącym człowieku sprawiającym, że ludzie wybuchają. Za grosz w to nie wierzył, zwłaszcza mając na uwadze fakt, iż palili trawkę. Może to kwestia halucynacji, które tak mu się wżarły w mózg, że uznał to wszystko za prawdziwe?

– Przepraszam.

– Jak wspomniałem, nie posiadamy żadnych dowodów przeciwko tobie, więc póki co masz spokój, choć na twoim miejscu i tak nie byłbym pewny siebie. – Spojrzał surowo na dzieciaka. – Sprawdzimy dom twoich starych i jak znajdziemy trawkę, to marny twój los.

Marcin przyjął ten wywód w ciszy. Nikt nie musiał go uświadamiać, że wpadnie w kłopoty, gdy jego kryjówka się wyda.

– Powiedz mi, skąd wziąłeś marihuanę. To postawi cię w nieco lepszej sytuacji.

Marcin przez chwilę milczał. Nie chciał wsypać swojego kumpla. Szymon wyhodował w domu istną dżunglę trawy i gdyby zrobiono mu nalot, to dostałby za to chyba z dziesięć lat.

– Kupiłem na koncercie od jakiegoś gościa. Nie znam faceta – odparł Marcin. – Na próbie spaliliśmy resztki.

– Yhym – mruknął policjant. Postanowił zostawić ten temat na później. Liczył na to, że w domu gówniarza znajdzie się coś ciekawego. – No dobra. Jesteś wolny. Przynajmniej NA RAZIE.

Marcin odetchnął w duchu. Miał nadzieję, że szybko złapią to coś, co

zabiło Wiktora i Kamila, a skrytka pod deską w podłodze nie zostanie znaleziona. Wstał, mruknął „do widzenia”, po czym udał się po odbiór swoich rzeczy – telefonu, szczyryka, papierosów i paru kostek do gitary.

Rozdział 8

Powiedzieć, że to najgorszy dzień w jego życiu, to jak nie powiedzieć nic. Po przesłuchaniu ojciec odwiózł go do domu. Pomimo tego, co się stało, i tak wściekał się jak osa. Ogarnął go jeszcze większy szal, gdy dowiedział się, że na jego posesję przyjechała grupa policjantów i właśnie robią przeszukanie.

– Co ty tam trzymasz, do jasnej cholery? Co?! GADAJ!

– Nic – odparł Marcin zmęczonym tonem. Miał już dość wszystkiego. Najpierw śmierć kumpli i ucieczka z podwórka Wiktora, a teraz przesłuchanie i sprawa z trawką.

– Zatem wytłumacz mi, dlaczego po MOIM domu szwendają się policjanci i szukają narkotyków, co?! – zapytał ojciec, opryskując go kropelkami śliny. Był to człowiek imponującej postury, którego za parę lat bez wątpienia spotka zawał. Nie dbał o zdrowie, a tłuste jedzenie, stres, litry kawy i setki wypalanych papierosów powoli zbliżały go do mety.

Marcin westchnął. Nie chciał mówić ojcu o trawce, ale już lepiej, żeby usłyszał o niej od niego, a nie od policji.

– Chodzi o zioło. Paliliśmy z chłopakami na próbie.

Wściekła czerwień, która malowała się na twarzy ojca, nagle ustąpiła niemal doskonałej bieli. Sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że mężczyzna uznał tę wiadomość za niewartą uwagi głupotę, lecz Marcin przeczuwał prawdziwe problemy.

– Mówiłem ci, gówniarzu, żebyś się trzymał od tego z daleka – rzekł podejrzenie łagodnym tonem.

– Wiem...

– Skoro wiesz, to dlaczego nadal palisz?!

Marcin próbował coś powiedzieć, lecz nim z jego ust padło pierwsze słowo, zdążył ugryźć się w język. Pytanie nie należało do łatwych i wymagało gruntownego przemyślenia. Tak naprawdę nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego pali trawkę. Chyba po prostu to lubił, ale nie ubolewał, gdy nie mógł jej dostać. Z pewnością nie uważał się za uzależnionego; potrafił normalnie funkcjonować bez skręta.

– Ciężko powiedzieć... – odparł po chwili.

– Masz z tym problem?

– Nie! Skąd!

Ojciec milczał. Zbliżali się do domu. Marcina przeszedł lodowaty dreszcz, gdy zobaczył stojący przy poboczu radiowóz. Jeżeli policjanci coś znaleźli, zaraz wróci na komisariat, pewnie zakuty w kajdanki. Nie

wytrzymałby kolejnego przesłuchiwania, zwłaszcza przez tego cholernego buca, który w kółko zadawał te same pytania. Gliniarz go nie lubił – z wzajemnością.

– Cieszę się, że nie masz problemu. W takim razie nie pal więcej. Gwarantuję ci, że wylądujesz w ośrodku, jeśli chociaż raz wyczuję od ciebie inny smród niż papierosy. Tam skutecznie wybiją ci z głowy te głupoty. Zresztą z papierosami też powinieneś skończyć.

– Dobrze, tato.

– I... – kontynuował ojciec ostrym tonem – do ostatniego dnia wakacji siedzisz w domu. Bez Internetu i bez telewizji. Zrozumiałeś?

– Tato, ale nie mam dwunastu...

– Faktycznie, nie masz dwunastu lat. Masz ich prawie osiemnaście, ale zachowujesz się, jakbyś dopiero skończył dziesięć, więc dostaniesz karę jak dla dziesięciolatka. Możesz wyjść tylko na zakupy i na pogrzeb kolegów, jak już zostanie podany termin. Przy okazji nadrobisz zaległości w nauce. Pamiętaj, że zbliża się matura.

Marcin z westchnieniem przytaknął. Nienawidził szkoły i bezużytecznych bzdur, jakich w niej uczono. Siedzenie w domu jeszcze by zdzierzył, ale brak Internetu całkowicie wykluczał go z życia społecznego. Nie potrafił sobie wyobrazić, co ma robić przez tyle dni bez kontaktu z ludźmi. Chyba zwariuje do reszty!

Jego ojciec jest człowiekiem stanowczym, który jak powie A, mówi również B i nie znosi sprzeciwu. Kłócenie się z nim było bezsensowne.

Dojechali do domu. Przechodząc przez próg, Marcina zaalała fala dławiącego strachu. Spodziewał się, że zaraz usłyszy krzyki policjantów, którzy nakażą mu stanąć pod ścianą z podniesionymi rękami, po czym zakują go w kajdanki i na kopach wpakują na tylne siedzenie radiowozu. Po chwili jednak okazało się, że przeszukanie dobiegło końca i policjanci nie znaleźli skrytki w podłodze. Marcin odetchnął z ulgą. Gdyby tylko mógł, klasnęłyby w dłonie i zaczął tańczyć po całym salonie.

Kilka godzin później leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, bezmyślnie wpatrując się w sufit. Puszka piwa i mały skręt załatwiłyby sprawę, ale nie zachomikował alkoholu, a palenie trawki w pokoju to najgorszy z możliwych pomysłów.

Westchnął i przekręcił się na bok. Z ogromnego plakatu wiszącego na ścianie patrzył na niego Jimi Hendrix – jeden z jego gitarowych bogów.

Gitara. Nawet nie miał gitary, która urozmaiciłaby mu resztę wakacji. Za to na jego biurku znajdował się stos przeróżnych książek. Po odjeździe policjantów jego ojciec pojechał do biblioteki i wypożyczył stos książek, głównie o tematyce popularnonaukowej. Oczywiście znalazło się kilka wyjątków takich jak *Władca Pierścieni* i coś Sienkiewicza. Jego

zadanie polegało na tym, aby do rozpoczęcia roku szkolnego przeczytać przynajmniej połowę lektur. Ojciec Marcina uważał, że czytanie jest kluczem do bycia inteligentnym człowiekiem, który potrafi sensownie wypowiadać się na rozmaite tematy.

Super, pomyślał na to wspomnienie.

Marcin nienawidził czytania. Patrząc na książki, czuł mdłości. Rodzice nie mogli zdzierżyć faktu, że jego prawdziwym powołaniem jest muzyka. Życzyli sobie, żeby, podobnie jak oni, został kimś szanowanym – prawnikiem albo lekarzem. Ojciec prowadził dobrze prosperujące biuro nieruchomości, które w dziesięć lat uczyniło go bogatym człowiekiem. Matka natomiast sprawowała posadę ordynatora oddziału kardiologicznego i poza dyżurami w szpitalu prowadziła prywatny gabinet. Oczekiwali od niego tego samego, lecz on bronił się przed tym rękami i nogami.

Nie chciał stać się taki jak rodzice – zgorzkniały, przepracowany, uważający relaks za stratę czasu. Jedyne czego pragnął, to dobrze prosperujący zespół, który przyniesie mu kupę forsy. Marzył o koncertowaniu po całym świecie i czerpaniu czystej radości z gry. Trenował codziennie minimum po pięć godzin, z każdym miesiącem jego riffy i solówki brzmiały coraz lepiej.

Z początku rodzice cieszyli się, że ich syn ma dryg do gry na jakimś instrumencie. Co prawda ojciec wolałby skrzypce albo pianino, ale ostatecznie stwierdził, że lepsza gitara niż nic. Gdy Marcin zafascynował się rockiem i metalem, uznali, że nie potrwa to długo. Minęło jednak kilka lat, a pasja, zamiast gasnąć, stawała się coraz silniejsza. Na każde pytanie o przyszłość odpowiadał, że zostanie zawodowym muzykiem, co zawsze doprowadzało ich do szału. Nie potrafili tego zrozumieć ani uszanować jego wyboru.

Z furią odwrócił się na drugi bok. Chętnie odpaliłby sobie jakąś dobrą płytę. Posłuchałby kawałka „Trust” zespołu Megadeth albo „Angel of Death” Slayera, lecz ojciec zabrał mu laptopa i telefon, a kolekcja jego płyt niestety nie zawierała albumów z tymi świetnymi utworami.

Westchnął z rezygnacją.

Nagle z podwórka dobiegł jakiś odgłos – miarowe burczenie kojarzące się z niewielkim pojazdem lub aparaturą. Wydawało mu się, że już kiedyś słyszał coś podobnego. Zaczął się zastanawiać, lecz zmęczenie nie szło w parze z myśleniem. Postanowił wyjrzeć przez okno i sprawdzić, skąd dobiega ów dziwny dźwięk. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby przywołać drastyczne wspomnienie śmierci Wiktora i Kamila.

Na zewnątrz stał Świecący Człowiek. Machał do niego, a na jego twarzy malował się groteskowy uśmiech.

– Chodź ze mną, chłopcze.

Ostry ból w podbrzuszu sprawił, że Marcin zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu. Choć już wcześniej tego doświadczył, tym razem miał wrażenie, jakby ktoś kopnął go prosto w jaja i poprawił uderzeniem w splot słoneczny.

– Nie... to nie jest prawdą. Ciebie tu nie ma – wystękał, usilnie próbując zapanować nad nerwami.

– Ależ jestem – rozległ się głos w jego głowie. – Chodź ze mną, bo znalazłem basistę.

Na czoło Marcina wystąpił zimny pot. Ciężkie śmierzzące krople przetaczały się przez brwi i wlewały do oczu, piekąc. Zamknął powieki po części dlatego, aby ograniczyć ból, a po części w nadziei, że gdy je otworzy, przywidzenie zniknie.

Czekał w napięciu, ale nie usłyszał żadnego głosu. Uznał to za dobry znak, lecz gdy chciał otworzyć oczy, stwierdził, że nie może. Powieki zdawały się sklezione wyjątkowo mocnym klejem. Poczuł, że traci kontrolę nad swoim ciałem; trząsał się jak galareta, jego ręce stały się lodowate, a ból brzucha narastał. Wkrótce zaczęło mu burczeć w żołądku. Zupełnie, jakby najadł się czegoś nieświeżego.

Zaraz się zesram, pomyślał i roześmiał się pod nosem. Nie miał pojęcia, co go rozbawiło, lecz nie potrafił zapanować nad nerwowym chichotaniem. Śmiech chorego psychicznie człowieka. Od razu skojarzyło mu się to ze scenami z filmu „Grave Encounters”, który swego czasu wywarł na nim ogromne wrażenie.

W końcu zdołał rozewrzeć powieki. Świecący Człowiek stał znacznie bliżej. Przez przymrużone oczy Marcin niemal widział rysy jego młodzieńczej twarzy.

Sięgnął ręką do klamki okna, gotów otworzyć je na oścież i wyjść Świecącemu Człowiekowi na spotkanie. Nie zważał nawet na to, że jego pokój znajduje się na pierwszym piętrze. Najwyżej trochę się poobija i tyle.

W ostatniej chwili zorientował się, co robi i natychmiast cofnął dłoń.

Opanuj się, skarcił się w myślach.

Postać stała nieruchomo. Jej oblicze przypominało wyrzeźbioną maskę; nie dało się w nim dostrzec żadnej mimiki. Oczy wyglądały jak narysowane, choć dobrze wiedział, że tak naprawdę widzą go nie gorzej niż prawdziwe.

– Idź stąd – powiedział.

– Pójdę, ale tylko wtedy, gdy ty też wyjdiesz – odparł Świecący Człowiek. – Co z naszym graniem?

– W środku nocy?

– Wiktor i Kamil czekają już na ciebie. Znaleźliśmy basistę. Chyba nie

zapomniałeś o koncercie?

Marcin wytrzeszczył oczy. Ból brzucha ponownie uderzył. Powróciło nieprzyjemne burczenie. To nie mogło być prawdą. Skąd wiedział o koncercie? Co do imion jego kumpli, Świecący Człowiek zapewne usłyszał je po felernej próbie; w końcu, gdy biegli na spotkanie śmierci, on pozostał na swoim miejscu i krzyczał za nimi.

– No złaź, do cholery! – rozległ się głos istoty. – Mamy zagrać koncert! Musimy rozjechać tę budę! Sam tak mówiłeś!

– Nigdzie nie idę.

– Cipa jesteś!

W tym momencie złość przejęła nad nim kontrolę. Tak zwykł mówić do niego Wiktor, kiedy coś mu nie pasowało. Za każdym razem było to równie irytujące. Mógł znieść naprawdę dużo, ale nie pozwoli, aby ktokolwiek nazywał go cipą.

– Spieprzaj stąd, pajacu! – krzyknął.

Szyderczy śmiech rozniósł się po wnętrzu jego czaszki. Na ten dźwięk Marcina ogarnęła jeszcze większa furia. Kusiło go, aby otworzyć okno i spuścić Świecącemu Człowiekowi lanie. Jego ręka dotknęła chłodnej klamki i wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak ogromny popełniłby błąd. Zanim zdążyłby zadać intruzowi bodaj jeden cios, z jego ciała zostałby worek skóry, a wnętrzności walałyby się po całym podwórku. Co prawda, ostatnio życie rzucało mu kłody pod nogi, lecz nadal je lubił.

– Zastanów się. Bo rozpieprzymy budę bez ciebie – odparł Świecący Człowiek. – Znajdziemy innego gitarzystę, skoro nie chcesz z nami grać.

Zazdrość na moment przysłoniła zdrowy rozsądek. Marcin zdawał sobie sprawę, że nie może wierzyć w żadne słowo wypowiedziane przez tę kreaturę, jednakże nawet w takich okolicznościach perspektywa zostania pominiętym sprawiła mu ból. Zawsze robił za mózg zespołu – kogoś, kogo zdanie ceniono najbardziej. Naszła go melancholia wynikająca z wyimaginowanego odrzucenia.

Potrząsnął głową. I tym razem udało mu się odpędzić te myśli.

– W dupie mam, co rozpieprzycie i kto z wami zagra – odparł.

Nagle poczuł, że koniecznie musi pójść do łazienki. Ów bodziec skłonił go do zakończenia rozmowy. Pobiegł do toalety, a gdy wrócił, po Świecącym Człowieku nie pozostał najmniejszy ślad.

Rozdział 9

Wyjście z domu kosztowało go mnóstwo wysiłku. Szary poranek sprawiał wrażenie nieprzyjaznego, zupełnie jakby nie uśmiechało mu się oglądanie Sławka. Na dworze panował odstręczający chłód, przez co mogłoby się wydawać, że zamiast lata jest środek jesieni.

Sławek szedł szybkim krokiem, momentami przechodzącym w bieg. Czuł, jak w jego kark wbija się lepkie spojrzenie czegoś, co nie życzyło mu dobrze, mimo to wiedział, że nic mu nie grozi. Jego jedyny towarzysz – pałętający się kilkanaście metrów dalej bezpański pies – w ogóle nie zwracał na niego uwagi, pochłonięty codziennymi psimi sprawami.

Przypomniała mu się pewna sytuacja z późnych lat szkoły podstawowej, kiedy to zadarł z najgorszym klasowym rozrabiaką. Chłopak nazywał się Zdzisław i w innych okolicznościach jego imię zapewne byłoby powodem do kpin dla większości rówieśników. W tym przypadku jednak na dźwięk tego imienia nikt nie odważył się nawet nieznacznie uśmiechnąć. Zdzisław wychowywał się w patologicznej rodzinie i każdego dnia przynosił do szkoły obyczaje podłapane w domu. Jeżeli chodziło o dokuczanie, bicie czy wyzywanie, należał do niezwykle pojętych uczniów.

Pewnego razu upodobał sobie zabawę w łapanie dziewczyn za tyłki, przy czym starał się trafić palcem prosto w miejsce, o którego przeznaczeniu jeszcze nie wszystkie dzieciaki wiedziały. W końcu mu się to udało, przez co wylądował u dyrektora. Tego samego dnia do szkoły wezwano jego ojczyma. Mężczyzna przyszedł pijany w sztok, a usłyszawszy, co zrobił jego pasierb, krzyknął:

„I bardzo dobrze! Jak chłopak wie, gdzie szukać cipki, to znaczy, że nie wyrośnie na pierdolonego pedała!”

Pomimo tych słów, Zdzisław i tak musiał później oberwać, gdyż na drugi dzień przyszedł do szkoły z poturbowaną twarzą. Obiecał dyrektorowi przeprosić pokrzywdzone koleżanki, lecz nigdy tego nie zrobił, a sprawa ucichła po kilku dniach.

Sławek był jednym z najlepszych uczniów w klasie, co zazwyczaj stanowiło duży plus, aczkolwiek pewnego dnia obróciło się przeciwko niemu. Sprawdziany z matematyki należały do najtrudniejszych, a Zdzisław, podobnie jak z innymi, również i z tym przedmiotem sobie nie radził. W dzienniku pod jego nazwiskiem rząd jedynek tworzył długi płot.

– Daj odpisać zadanie.

Wspomnienie było tak wyraziste, jakby wydarzenia rozegrały się nie

dalej niż wczoraj.

– Nie – odparł wówczas kilkunastoletni Sławek zamiast ugryźć się w język. – Odpisać nie dam, ale mogę ci wytłumaczyć – dodał pośpiesznie, usiłując wyjść z sytuacji. – Jak teraz ci wytłumaczę, to poradzisz sobie na sprawdzianie.

Mogłoby się wydawać, że ten argument przemówił koledze do rozsądku i z początku wszystko na to wskazywało. Na ulanej twarzy Zdzisława pojawił się głupawy wyraz świadczący o tym, że jego mózg pracuje na najwyższych obrotach, rozważając za i przeciw.

– Pierdol się – odparł w końcu, po czym zebrał flegmę i obrzydliwie charknął, spluwając Sławkowi prosto w oko. – Masz przesrane, śmieciu!

Był wtedy wtorek albo środa. Pomimo wielu lekcji, godziny uciekały w zastraszająco szybkim tempie. W normalnych okolicznościach ucieszyłby go ten fakt, lecz obawiał się opuszczenia bezpiecznych murów szkoły.

Gdy zakładał buty, przez cały czas kątem oka obserwował Zdzisława, który również nie spuszczał z niego wzroku. W jego spojrzeniu pałała żądza zemsty. Dostał kolejną jedynekę, przez co sytuacja Sławka przedstawiała się jeszcze gorzej.

Wtedy udało mu się uciec. Biegł jak spłoszona sarna, omal nie wywracając się o własne nogi. Na szczęście jego kondycja była całkiem niezła, czego nie mógł o sobie powiedzieć Zdzisław.

Przez następne dni, aż do momentu, w którym Zdzisław wreszcie go dopadł w szkolnej toalecie i tam stłukł na kwaśne jabłko, Sławek spoglądał za siebie, jakby spodziewając się, że zaraz zza rogu wyskoczy wściekły klasowy rozrabiaka i zgodnie z obietnicą powybija mu zęby. Egzystował w ciągłym strachu i bał się własnego cienia nawet po tym, kiedy rachunki zostały wyrównane. Niby dostał już za swoje, lecz zdawał sobie sprawę, że klasowy osiłek był nieobliczalny i niewykluczone, że zechce dołożyć mu w ramach przypomnienia, jak ma zachowywać się na przyszłość.

Usłyszał przyspieszony tupot. Już zaczął się odwracać, aby zobaczyć, czy ktoś za nim biegnie, lecz wtedy zdał sobie sprawę, że kroki należą do niego. Próbował się zaśmiać, lecz z jego gardła dobył się odgłos przypominający pojedyncze szczeknięcie psa. Jego czworonogi towarzysz, który właśnie obwąchał drzewo, spojrzał na niego z zaciekawieniem.

Wariuję, pomyślał.

Źródło strachu znajdowało się w lesie. Był nim wyryty w ziemi rysunek boiska, którego koślawe linie niosły ze sobą ostrzeżenie przed zbliżającymi się wydarzeniami.

One już się dzieją, pomyślał, wspominając zabójstwa z ubiegłego dnia.

Z tego, co wiedział, nadal nie znaleziono mordercy. Do codziennych zakupów dorzuci gazetę, w której spodziewał się znaleźć wzmiankę na ten temat.

Był po kolejnej nieprzespanej nocy, lecz tym razem w pokojach na pierwszym piętrze nie rozległy się żadne odgłosy. Tej nocy Artur nie straszył swoich starych, choć i tak niewiele to zmieniało.

Oboje nie mogli zmrużyć oka. Przeróżające odkrycie, którego dokonali w lesie, wywołało u nich mieszaninę ciekawości, żalu oraz zgrozy. Do tej pory Sławek nie miał styczności z czymś porównywalnym. Nie interesowało go, czy Świecącym Człowiekiem faktycznie jest ich syn. Już go nie obchodziło, dlaczego Artur ich unika i wydaje się zupełnie inny niż za życia. Ciekawość przeminęła, a wraz z nią ulotnił się także żal. Pozostał tylko niewysłowiony strach.

Powietrze jakby naelektryzowane. Brakowało jedynie oślepiającej błyskawicy i rozdzierającego huk gromu. Coś krzyczało do niego, że znalazł się w złym miejscu o złym czasie, lecz jego nogi nadal uparcie niosły go do przodu. Przed sobą widział już sklep.

Mocnym szarpnięciem otworzył drzwi i drżąc na całym ciele, wszedł do środka. Wewnątrz panował zupełny bałagan. Towary wydawały się poukładane na półkach w chaotyczny sposób, przez co znalezienie czegokolwiek wymagało sporej cierpliwości i bystrego oka. Nim zebrał potrzebne produkty, zdążył się nieźle zirytować.

Kasjerka wyglądała na całkowicie oderwaną od rzeczywistości. Jej przekrwione oczy wskazywały na problemy ze snem albo ostrą libację dzień wcześniej. Podała mu cenę smętnym, pozbawionym wyrazu głosem. Uregulował należność, po czym opuścił ponury sklep.

Wracając do domu, zapalił papierosa. Pierwsza tego dnia dawka nikotyny pozwoliła mu ochłonąć. Nieco się rozluźnił, uspokoił nerwy.

Idąc do sklepu, miał wrażenie, jakby przemierzał niegościnną pustynię, ciągle zwodzony przez złudzenia optyczne. Droga powrotna wydawała się natomiast znacznie krótsza i łatwiejsza.

Przeszedł zniszczonym chodnikiem, nie potknąwszy się ani razu, i chwilę później znalazł się na bujnie porośniętym chwałami podwórku.

Daria czekała na niego przy drzwiach. Wyglądała jak mała wystraszona dziewczynka, której udało się uciec przed kimś, kto chciał wyrządzić jej krzywdę. Jej przekrwione oczy omal nie wyszły z orbit.

– Coś się stało? – zapytał.

– Długo nie wracałeś. Bałam się o ciebie – odparła Daria drżącym głosem.

– Przepraszam. W sklepie była kolejka – skłamał. Nie lubił kłamać, lecz w tym przypadku cel uświęcał środki. Po drodze nie stało się nic znaczącego, dlatego też uznał, że lepiej wybrać drobne kłamstewko,

które uspokoi żonę, niż mówić o wszystkich lękach, jakie odczuwał, idąc po zakupy.

– Jutro idę z tobą. Nienawidzę zostawać tutaj sama.

– Proponowałem ci, ale nie chcia...

– NIENAWIDZĘ! – krzyknęła Daria, po czym ukryła twarz w dłoniach.

– Co tu się dzieje? – zapytała rozpaczliwie.

– Nie wiem. Mnie również coraz mniej się to podoba – rzekł tym razem zgodnie z prawdą.

Wczoraj nie potrafili rozmawiać o tym, co się stało. Widok upiora, najprawdopodobniej ich syna, odcisnął ponure piętno. Próbowali sobie wyjaśnić, jakim cudem mogło do tego dojść. Później zrozumieli okropną prawdę. Ich syn wrócił, ale nie jako ten sam... no właśnie... człowiek? Nie do końca pasowało im takie określenie, lecz nie znaleźli lepszego. „Coś” w odniesieniu do Artura wydawało się zwrotem nie na miejscu. Lecz nie mogli z czystym sumieniem personifikować czegoś nadprzyrodzonego.

Oboje nie spali przez całą noc, podświadomie spodziewając się wizyty Artura. Przez długie godziny spędzone w ciemnościach nie zamienili ani jednego słowa. Rozmowa o tym, co stało się w lesie, była ostatnią rzeczą na długiej liście ich życzeń. Nie przychodziły im na myśl inne tematy, więc po prostu leżeli, wpatrując się w sufit.

Pomiędzy nimi wyrosła lodowata bariera dzieląca łóżko na pół. Nie rozmawiali o problemach, lecz starali się indywidualnie wytłumaczyć sobie, co mogło się stać. Robili to zupełnie podświadomie, nie zdając sobie sprawy z tego, że bariera staje się coraz zimniejsza i twardsza.

Sławek upił pierwszy łyk kawy i rozłożył gazetę.

– Od kiedy czytasz gazety? – zdziwiła się Daria, która teraz odzyskała nieco energii i zabrała się za przygotowywanie śniadania.

– Szukam czegoś na temat wczorajszych wydarzeń. Pragnę ci przypomnieć, że twój wspaniały mąż nie zajął się jeszcze kwestią Internetu, więc wegetujemy jak przedpotopowe plemię i wszelkie informacje musimy wyczytywać z gazet. Dobrze, że nie mamy po piętnaście lat, bo umarlibyśmy z nudów.

Ostry śmiech Darii rozniósł się po kuchni miłym echem. Przez krótką chwilę wydawało się, że wszystko wraca do normy.

Sławek spojrzał na pierwszą stronę lokalnej gazety, gdzie widniał nagłówek napisany wielkimi krwisto czerwonymi literami: „TAJEMNICZE ZABÓJSTWA W SPOKOJNYM MIASTECZKU”.

Poczuł jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu dreszcz, po czym rozchodzi się po żebrach i sięga mostka. Przełknął głośno ślinę i szybko przebiegł wzrokiem tekst. Nie wynikało z niego nic szczególnego. Policja nie chciała odpowiadać na żadne pytania, gdyż, jak uznał rzecznik

prasowy, „mogłoby to negatywnie wpłynąć na dobro śledztwa”. Zasadniczo artykuł był bezsensownym laniem wody, pod którym zamiast imienia i nazwiska dziennikarza zamieszczono tylko inicjały.

– Coś ciekawego tam piszą?

Sławek drgnął.

– Co mówiłaś?

– Pytałam, czy napisali coś konkretnego na temat tego, co stało się wczoraj.

– Nie – odparł – totalne pierdoły. Napisali ten artykuł po to, by wyjść na rzetelne źródło informacji. Policja milczy i póki co nikt nic nie wie. Nawet dodali kilka zdjęć, żeby zapełnić stronę.

Dopiero teraz przyjrzał się umieszczonym fotografiom i omal nie wylał na siebie gorącej kawy.

– O cholera.

– Co? – zapytała Daria. Odeszła od przygotowywania śniadania i zbliżyła się do stołu.

Sławek wskazał drżącym palcem na fotografię, która wprawiała go w osłupienie. Przez chwilę Daria przyglądała się ze zmarszczonym czołem, najwyraźniej nie dostrzegając tego, co on. Zaraz jednak wytrzeszczyła oczy, a jej usta otworzyły się w niemym krzyku.

Rozdział 10

Marcin chwycił pierwszą lepszą książkę i od niechcienia zerknął na napisany dużą czcionką tytuł.

– „Jak poradzić sobie z nałogiem” – przeczytał na głos. – Kurwa mać, on ma mnie za ćpuna!

Od jakichś dwóch godzin siedział na podłodze, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Książki, jakie przyniósł mu ojciec, były piekielnie nudne. Odrzucił poradnik na piętrzący się w kącie stos niezdatnych do czytania lektur. Marcin stwierdzał to po przeczytaniu trzech, czterech stron. Nudził się jak jasna cholera. Czas minąłby o wiele szybciej i produktywniej, gdyby dysponował gitarą. Mógłby komponować nowe kawałki... Złapał się na tym, że myśli o nieistniejącym od wczoraj zespole. Po raz kolejny dotarła do niego druzgocąca strata dwóch najlepszych kumpli, z którymi grał, pił i palił. Nie potrafił się pogodzić z tym, że już nigdy razem nie zagrają.

Nagle przypomniała mu się ubiegła noc. Pod jego okno przyszedł Świecący Człowiek, twierdząc, że znalazł basistę, zapraszając na próbę.

Potrząsnął głową, aby odpędzić przykre wspomnienie. Demon widocznie na niego polował i z pewnością nie kierowały nim szlachetne pobudki. Przypuszczał, że gdyby ubiegłej nocy dał się nabrać i poszedł „na próbę”, to pierwszym i ostatnim zagranym kawałkiem byłyby plusk wylewających się z niego flaków.

Gitara.

To nie dawało mu spokoju. Pragnął chwycić za wiosło i grać na ostrym przesterze tak głośno, żeby z tej pieprzonej chaty wyleciały wszystkie szyby. Pierwszy dzień kary, a już szlag go trafiał!

Właśnie wtedy po raz kolejny zaświtał mu pomysł, który kilkakrotnie odrzucał. Kusilo go, aby wrócić do domu Wiktora i zabrać gitarę. Zapewne dziś jego rodzice nie poszli do pracy, lecz kto mu broni spróbować się zakraść i cichcem odebrać swoją własność.

Plan wydawał się bardzo dobry i potwornie głupi zarazem. Nawet nie chodziło o wściekłość ojca, gdyby dowiedział się o złamaniu kary, lecz o Świecącego Człowieka. Marcin odnosił wrażenie, że może tam na niego czekać. Ponadto nie chciał wracać tam, gdzie zginęli jego kumple. Do tej pory uważał się za prawdziwego maniaka krwawych horrorów i pisał mnóstwo tekstów o zabijaniu, żywych trupach i wszelakich straszidłach. Teraz jednak stanął twarzą w twarz z rzeczywistością i pojęcie morderstwa znaczyło coś zupełnie innego. Umieranie nie było już nic nieznaczącym aktem ani tym bardziej powodem do żartów i

prześcigania się w konstruowaniu coraz okrutniejszych opisów. Poznał prawdziwą brutalność i zło płynące ze słowa „zabić”.

Po jego plecach przeszły ciarki. Choć bał się jak jasna cholera, to również nudził się jak jasna cholera. Nie potrafił ocenić, co gorsze. Perspektywa dalszej kary nie wyglądała zachęcająco. Poza tym znał siebie i zakładał, że w końcu i tak nie wytrzyma. Zbliżał się weekend, co oznaczało, że jego starzy przez dwa dni nie wyjdą z domu – w końcu nie mają pojęcia o relaksie i miłym spędzaniu czasu. Przez te dwa dni pozostanie uziemiony i jedyne, co będzie mógł robić, to czytać te pieprzone książki lub podpierać ściany.

Ten argument pomógł mu podjąć decyzję.

Marcin wstał i wyszedł z pokoju. Miał za sobą nieprzespaną noc, lecz był pobudzony, jakby strzelił kreskę amfetaminy i wypił wiadro kawy. Jego serce tłukło się o żebra, powodując drgania rezonujące wzdłuż kręgosłupa.

Wiedział, że starzy pozamykali drzwi, lecz na szczęście nie wpadli na to, że oknem też da się wyjść. Wystarczyło tylko zejść do kuchni.

Pospiesznie ubrał zdezelowane trampki, których matka nie zdążyła wywalić, po czym potruchtał do kuchni i otworzył okno na oścież.

– Wolność, wreszcie wolność! – powiedział triumfalnie, zupełnie jakby był więźniem opuszczającym ciasną celę po kilkunastu latach odsiadki. Przebywanie w domu nie należało do jego ulubionych zajęć, o siedzeniu w pokoju pełnym książek już nie wspominając. Za moment odzyska swoje wiosło, aby przez długie godziny rznąć riffy. Nim wrócą jego starzy, schowa gitarę do łóżka i ponownie chwyci ją w nocy.

Ta perspektywa napełniła go entuzjazmem; kara nie doskwierała tak mocno jak jeszcze przed kilkoma minutami.

Odpalił papierosa i żwawo ruszył w stronę furtki. Ją też zamknęli, ale przeskoczenie jej nie wymagało nadzwyczajnej zręczności.

Szedł szybkim krokiem; pośpiech wynikał ze strachu i niecierpliwości. Miał wrażenie, jakby nie grał od miesiąca. Lubił papierosy, trawkę i piwo, ale wszystkie te używki razem wzięte nijak się miały do endorfin jakie wywoływała gra na gitarze. Instrument stanowił jego najsilniejsze uzależnienie, w które za każdym razem leciał bez pamięci. Uwielbiał grać i nie interesowało go, co sądzili o tym rodzice. Byli snobami żyjącymi tylko pracą i zarabianiem pieprzonych pieniędzy. On mógł funkcjonować bez tego.

Pokonał niewielki park, gdzie za kilka godzin niejaki Daniel Łuczak zaliczy swój pierwszy raz, po czym przeszedł przez stary drewniany most rozciągający się nad płytką rzeczka, która w ciągu lata zazwyczaj wysychała.

Wyszedł z parku i skręcił w lewo. Każdy krok przybliżał go do domu

Wiktor. Nigdy nie był tak przerażony. Można by pomyśleć, że największy strach przeżył ubiegłego dnia, lecz nic bardziej mylnego. Wczorajsze wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, a Marcin, ratując swój tyłek, nie miał kiedy się bać.

Tym razem sprawy przedstawiały się znacznie gorzej. Z każdym krokiem zwalniał, choć chciał to mieć wreszcie za sobą. Obawiał się Świecącego Człowieka. Ten strach rozpływał się chłodem po jego ciele i wywoływał uciążliwe szczypanie w żyłach. Paskudne uczucie przejmowało nad nim kontrolę i krzyczało, żeby natychmiast zawrócić, bo idzie do paszczy samego diabła. Mimo to szedł naprzód.

Widział dom Wiktor. Na ogrodzeniu nadal powiewała garść włosów, które sobie wyrwał podczas ucieczki. Włosy przypominały ostrzegawczą flagę, zdawały się krzyczeć, aby tam nie szedł, bo spotka go śmierć albo coś gorszego.

– PĘKNIESZ!

Marcin zatrzymał się, nie zdając sobie sprawy, że rozdziawił szeroko usta. W jego oczach pojawił się szaleńczy wyraz, lecz zaraz dotarło do niego, że słowo to zostało wykrzyczane przez jednego z ganiających się dzieciaków. Małolat wykrzykiwał coś jeszcze, ale Marcin tego nie zarejestrował.

Pękniez, pomyślał. Pękniez jak Wiktor i Kamil.

Przeszyła go lodowata strzała strachu, wywołując na ramionach gęsią skórę. Wydawało mu się, że niebo pociemniało niczym zasnuwane burzowymi chmurami. Powietrze stało się natomiast niezwykle czyste – wręcz krystaliczne.

To powietrze jest sterylne, pomyślał.

Zdał sobie sprawę, że od dłuższego momentu stoi w miejscu. Chciał się ruszyć, lecz nogi go nie słuchały – ciężkie jak z ołowiu.

Spojrzał na dom Wiktor. W niezdrowym szarozółtym świetle wyglądał, jakby był...

– Chory – mruknął pod nosem, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

Dotarło do niego, że wolnym krokiem idzie przed siebie. Jego skołowany umysł ledwo rejestrował zmiany położenia. Podeszedłszy do ogrodzenia, dziwnie wyostrzonym wzrokiem wychwytywał każdy blond włos zaplątany w siatkę.

Machinalnym ruchem zebrał włosy i związał je w kucyk. Chwytał palcami siatkę i zajrzał na podwórko. Rozejrzał się, poszukując źródła światła, lecz niczego nie zauważył. Przezornie poczekał jeszcze chwilę, uważnie obserwując otoczenie.

Dostrzegł, że drzwi garażu, w którym wczoraj grali próbę, są otwarte na oścież. Coś mu jednak nie pasowało. Krawędzie drzwi jakby się

rozdwajały. Gdyby coś wziął albo się upił, taki widok w ogóle by go nie zdziwił, lecz na trzeźwo nienaturalne zjawisko wzbudzało niepokój.

– Wszystko w porządku – powiedział do siebie, starając się nie zwracać uwagi na całkowity brak przekonania w swoim głosie.

Skupił w sobie resztki odwagi, albo szaleństwa, i kilkoma sprawnymi ruchami wspiął się na płot. Nie mógł określić, czy to akt brawury, czy też wysublimowana próba samobójcza. Ryzykował dla błahostki. Cena gitary nijak się miała do ceny życia, lecz wegetowanie bez pasji wydawało się gorsze od śmierci.

Podeszwy tramppek uderzyły w ziemię po drugiej stronie płotu. Wrócił na podwórko Wiktora... dzień po katastrofie, która się tu rozegrała. Wieczorem wspomnienia wywołają u niego atak hysterii, lecz w tym momencie sterował nim autopilot. Szedł wpatrzony w rozmywające się drzwi garażu. Nie interesowało go już nic, co znajdowało się dookoła. Nie zwracał uwagi na to, czy w domu są rodzice Wiktora. Szedł do garażu, skupiając się na nim bez reszty.

Znajdował się w połowie drogi, gdy nagle usłyszał szelest. Ów dźwięk w brutalny sposób wyrwał go z ośpienia. Jego oczy rozszerzyły się w wyrazie niewysłowionego przerażenia. Widział kolory wyprane z barw. Zieleń trawy przechodziła w najbardziej ponure, popielate odcienie, a ziemia stała się czarna. Niebo, po którym leniwie krążyły obłoki, przybrało barwę lęku.

Dostrzegł źródło szelestu – kota sąsiadów Wiktora, którego umaszczenie pociemniało o dobrych kilka tonów. Zwierzę siedziało bez ruchu i wpatrywało się w niego ślepiami pozbawionymi wyrazu. Jego sylwetka przypominała kształt wycięty w zniszczonej poszarzałej makiecie.

– Psik! – krzyknął Marcin, po czym gwałtownie machnął ręką. Mógłby przysiąc, że kot spojrział na niego z pogardą. Nie raczył ruszyć się z miejsca.

– Uciekaj stąd! Spieprzaj, cholerny sierściuchu!

Tym razem kot wstał i z oskarżycielsko zadartym ogonem zniknął za żywopłotem.

Marcin ukrył twarz w dłoniach, z trudem chwytając powietrze. Jego klatka piersiowa szybko unosiła się i opadała, niczym w ostatnich oddechach umierającego człowieka.

Zmusił się, aby ruszyć dalej. Każdy krok kosztował go mnóstwo wysiłku. Wypełniający jego nogi ołów stał się jeszcze cięższy. Marcinowi wydawało się, że jakaś siła próbuje mu przeszkodzić w odebraniu swojej własności. Nie mógł pozwolić jej wygrać.

Krajobraz zaczął ulegać drastycznym zmianom. Drzewa przypominały zniekształcone przez chorobę badyle broczące cuchnącą

czarną mazią. Szarości pogłębiły się o kilka tonów, a niebo stało się niemalże czarne. Zimny wiatr, brutalnie niczym bicz, chłostał Marcina po ciele, wywołując ogromny ból.

W oddali rozległ się huk. Dopiero wieczorem dowie się od ojca, że tego dnia eksplodował samochód, który z dużą prędkością wpakował się w masywne drzewo rosnące przy drodze.

Huk sprawił, że Marcin podskoczył. W przypiływie adrenaliny kilkoma susami pokonał resztę dystansu i stanął przed otwartymi na oścież drzwiami garażu. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Bębny Wiktora i gitara Kamila stały na swoich miejscach. Stojak na jego gitarę był natomiast pusty.

Podmuch chłodnego wiatru przetoczył się przez zagracone wnętrze. Wtedy Marcin dostrzegł, że do widełek, pierwotnie przytrzymujących gryf gitary, przywiązana jest karteczka z informacją.

Na drżących nogach wszedł do garażu i chwycił kartkę. Papier w dotyku okazał się szorstki, wręcz ostry. Trzymając go między palcami, Marcin miał wrażenie, jakby rozcierał kawałki potłuczonego szkła.

Zaraz poczuł ostre pieczenie i dostrzegł, że poźółkły papier chciwie spija krew z jego rozdartych do żywego mięsa opuszków. Wsiąkający w papier szkarłat szybko zmieniał barwę na wyblakły brąz.

Przeczytał treść kartki, nie zwracając uwagi na ból:

Drodzy Państwo!

Tego wieczoru wystąpi Cipa nad Cipami!

Muzyk wstydzący się grania z martwymi kumplami!

Niezapomniane przeżycie! Poleje się krew, posypią głowy, a Marcin-Cipa zostawi Was umierających, tak jak zostawił swoich kumpli!

Chcesz swoją gitarę? Wpadnij na próbę!

Rozpieprzymy tę budę jak ta lala!

Marcin wypuścił z ręki kartkę, która spadła na ziemię z nienaturalnie głośnym łupnięciem. Spojrzał na nią z góry i ponownie przeczytał treść, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Czyjeś spojrzenie wbiło się w jego kark, sprawiając niemal fizyczny ból. Oblizwał nerwowo usta, próbując zebrać w sobie odwagę. Nogi, do tej pory ciężkie i sztywne, nagle upodobniły się do waty. Z trudem utrzymywał równowagę i na samą myśl o tym, że ma wykonać ruch, widział samego siebie lecącego prosto na twarz.

Postrzegął otoczenie jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Odwracał się w stronę czegoś, co właśnie się w niego wgapiało. Na podłodze siedział szary kot, którego całą wieczność temu przegonił z

podwórka. W normalnej sytuacji po prostu tupnąłby nogą albo spłoszył go gwałtownym ruchem, lecz tym razem to kot wprawiał go w przerażenie.

Zwierzę miało nienaturalnie długie, zachodzące na siebie zęby. Część z nich zatapiała się w wargach, przebijając je na wylot, lecz kotu zdawało się to nie doskwierać. Z ran płynęła cuchnąca wydzielina, na jaką składało się więcej ropy niż krwi. Oczy drapieżnika emanowały niemal oślepiającym blaskiem, a jego futro było znacznie dłuższe i w wielu miejscach wyliniałe. Przy łapach plątały się brudne strąki pozlepiane obrzydliwie wyglądadząca, pełną larw mazią.

Kot rozdziawił pysk tak szeroko, że jego policzki pokryła siatka głębokich pęknięć, a po chwili żuchwa wyleciała ze stawu i zawisła bezwładnie. Istota wydała z siebie potworny ryk, po czym rzuciła się w stronę Marcina.

Sparaliżowany strachem nastolatek patrzył na zbliżającego się kota, nie mogąc oderwać wzroku od obijającej się o jego szyję żuchwy. Kiedy dotarło do niego, co się dzieje, rozpedził się, przeskakując nacierającego z naprzeciwka kota. Jeden kielł wbił się w gumę trampka, lecz na szczęście nawet nie drasnął stopy. Uszu Marcina dobiegło paskudne chrupnięcie, po którym rozległ się kolejny ryk. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, że zwierzę złamało sobie ząb.

Garaż wydawał się nieskończenie długi. Na każdej próbie narzekali, że pomieszczenie jest zbyt małe i przez to cholernie dudni podczas prób. Sąsiedzi Wiktora byli podobnego zdania, zwłaszcza gdy grali w niedzielne popołudnia. Teraz pomieszczenie rosło z każdym krokiem, jakby nie chcąc go wypuścić.

Słyszał za sobą sapanie, które bardziej pasowało do dużego psa niż kota. Uderzenia łap o betonową posadzkę brzmiały jak darcie paznokciami o starą szkolną tablicę albo cienki arkusz blachy.

Przypieszył i wtedy zobaczył, jak drzwi garażu się zamykają. Przypominało to scenę, która zawsze pojawia się w słabych filmach akcji. Gdyby grał w takim filmie, zapewne doznałby nagłego przypiływu siły albo po prostu pobiegł skrótem przez ścianę i sufit. Niestety, rzeczywistość nie miała nic wspólnego z planem filmowym. Ograniczał go własny organizm oraz prawa fizyki.

Poczuł szarpnięcie za nogawkę i wtedy spojrział w dół. Kot sąsiadów Wiktora lasił się do niego, oczekując pieszczot. Jego uszu dobiegło ciche, ponaglące miauknięcie.

Marcin zdał sobie sprawę z tego, że stoi przed zamkniętymi drzwiami garażu. Otaczające go kolory odzyskały intensywność, drażniący wiatr ustał, a promienie słońca przyjemnie grzały w kark.

– Zapewne przyszedłeś po swoją gitarę.

Ten głos sprawił, że Marcin podskoczył i krzyknął. Odwrócił się na pięcie i zobaczył matkę Wiktora. Kobieta miała podkrążone oczy, jej głos się łamał. Trupio blada twarz świadczyła o nieprzespanej nocy i wylanych potokach łez.

Marcin otworzył usta, ale jego ściśnięte gardło chciwie zatrzymywało każde słowo. Po kilku nieudanych próbach po prostu pokiwał głową.

Rozdział 11

Intensywny zapach mocnej herbaty unosił się nad jego filiżanką. Sławek zerknął na leżący przed nim kawałek ciasta wiśniowego. Nie wątpił w umiejętności kulinarne przyszywanej ciotki, lecz jego żołądek nadal zaciskał się w supeł i próba zjedzenia czegokolwiek mogłaby okazać się fatalna w skutkach.

Chłodna dłoń Laury dotknęła jego przedramienia. Na twarzy staruszki malował się pytający wyraz, lecz Sławek nie mógł wykrztusić ani słowa.

Na stoliku leżała gazeta otwarta na stronie z artykułem dotyczącym wczorajszych wydarzeń. Treść nie zawierała nowych informacji, lecz zniknęło jedno zdjęcie. To właśnie ta fotografia zszokowała ich wcześniej tak bardzo, że Sławek z miejsca postanowił udać się do Laury. Daria ochoczo poszła z nim, aby tylko nie zostawać samotnie w domu.

Zdjęcie wykonano na podwórku jednego z zamordowanych nastolatków. Znajdowała się na nim grupa gapiów, którym drogę blokował oklejony policyjną taśmą płot. Ich oblicza ściągał strach lub w ogóle nie miały wyrazu, co sprawiało niepokojące wrażenie. Najgorszy był jednak fakt, że na pierwszym planie, tuż przed furtką, stała staruszka odpowiedzialna za sprowadzenie Artura. Triumfalny uśmiech na jej pomarszczonej twarzy zupełnie nie pasował do okoliczności. Wyglądała, jakby czerpała radość z tego, co się działo wokół niej.

Sławka zastanawiał jeszcze inny szczegół. Żadna z uwiecznionych przez fotografa osób najwyraźniej nie dostrzegła stojącej przed policyjną taśmą staruszki. Był to teren niedostępny dla gapiów i każda obca osoba, która by się tam pojawiła, z pewnością zwróciłaby na siebie uwagę.

Lecz ta fotografia znikła z gazety. Sławek miał w związku z tym złe przeczucia.

Laura patrzyła na nich ze zniecierpliwieniem. Ciężką ciszę momentami przerywało miauczenie Milusia domagającego się pieśczoł.

– Co was gryzie? – zapytała wreszcie Laura. Sławek poczuł wobec niej falę wdzięczności.

– Przeczytaliśmy ten artykuł i trochę się boimy – przyznał.

– Tak... – odparła starsza kobieta. – Straszne rzeczy się tu wydarzyły. Trzech młodych chłopaków... tragedia. Każdy z nich miał przed sobą całe życie...

Sławek przytaknął. Kusilo go, aby wstać i bez słowa pójść prosto do domu. Tam schowałby się pod kołdrą i czekał jak małe dziecko, aż

potwór, który wyszedł z szafy, zakończy nocne łowy i wróci do kryjówek.

– Wie pani... Ci chłopcy byli w wieku Artura...

Laura skinęła głową i upiła łyk herbaty. Doskonale rozumiała, o co chodziło Darii.

Sławek odetchnął. Rozmowa została skierowana na właściwy tor. Laura połączyła kropki, zrozumiała powód ich przygnębienia i mocno się spieszyła. Dzięki temu ich zdumienie po otworzeniu gazety umknęło jej uwadze.

– Ciekawe, kto to zrobił – rzucił, drapiąc Maksa, który szykował się do drzemki na jego kolanach.

– Ja bym raczej zastanawiała się nad tym, CO to zrobiło – odparła Laura.

– Nie rozumiem.

– Nie „kto”, a „co”.

Starsza kobieta wygodnie rozparła się w wiklinowym fotelu. Upiła łyżeczek herbaty i spojrzała na nich badawczo. Jej oczy wydawały się prześwieślać ich dokładniej niż promieniowanie Roentgena.

– Czy wiecie o czymś więcej niż pozostali?

Pytanie sprawiło, że niepokój, który powoli zaczynał słabnąć, zaatakował z nową siłą.

Sławek uniósł ręcznie zdobioną, porcelanową filiżankę i wypił spory łyk aromatycznej herbaty. Zrobił to nie tylko ze względu na wyschnięte gardło, lecz również chcąc zyskać parę sekund na namysł.

– Jakbyśmy widzieli coś dziwnego, już dawno poszlibyśmy na policję – zapewniła Daria, na co Sławek ponownie odetchnął z ulgą. Drżącą dłonią pogłaskał śpiącego kota.

– Dobrze – odparła Laura. – Nie należy nic ukrywać w sytuacji, gdzie zagrożenie dotyczy nas wszystkich. Dopóki morderca nie trafi za kraty, nie ma pewności, czy nie zaatakuje pono...

W tym momencie niedaleko rozległ się potworny pisk, a po nim ogłuszający huk. Cała trójka podskoczyła i spojrzała po sobie.

Jedynym świadkiem wydarzenia był Bogdan Zieliński – głuchy na jedno ucho starzec, który siedział na werandzie swojego małego przedwojennego domu i w zamyśleniu ćmił pustą fajkę. Rzucił palenie, gdy lekarz poinformował go, że drugi zawał najprawdopodobniej okaże się śmiertelny. Lata przyzwyczajenia sprawiły jednak, że nie mógł oprzeć się pokusie i nigdy nie przestał pykać z puste fajki.

Rozmyślał o starych dobrych czasach, kiedy to miał krzepę i dwójkę z przodu. Lubił wspominać pijackie wariactwa w barach pełnych

żołnierzy na przepustkach. Sam, jako jeden z nich, cenił sobie te krótkie chwile wolności, kiedy nikt się na niego nie darł i nie musiał spać w zimnym baraku pod zjedzonym przez mole kocem.

Przypominał sobie piękne dziewczęta. Pomimo faktu, że nie należał do zbyt przystojnych, kobiety lgnęły do niego jak pszczoły do urodziwego kwiatu. W tym przypadku jednak to on zbierał pyłek i smak tego miodu pamiętał do dziś. Każda młoda, pełna uroku i niewinna, lecz gdy przychodziło co do czego, potrafił skończyć z obolałymi jajami.

Z jego zasuszonego gardła dobył się ochryply śmiech. Niemal w tym samym momencie usłyszał ryk silnika. Pomimo częściowej głuchoty, jedno ucho wystarczało mu w zupełności.

Znał się na samochodach jak mało kto, i po samym dźwięku wyciągnął wiosek, że ów pirat drogowy pędził dobrze ponad setkę. Czerwony samochód mignął mu przed oczami i wpakował się prosto w stary dąb, który rósł zaraz przy drodze.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że obraz i dźwięk wydawały się biec innymi torami. Mężczyzna najpierw zobaczył wypadek, a dopiero później go usłyszał. Zajście przypominało uderzenie pioruna, gdzie między błyskiem a grzmiotem potrafi minąć kilka sekund.

Nie tylko to kojarzyło się z burzą. W samochodzie rozbłysło niemal oślepiające, białe światło. Widział je zaledwie przez moment. Może młodość przeminęła, lecz wzrok miał jeszcze całkiem dobry, a umysł w pełni sprawny. Później udzieli wypowiedzi do gazety, gdzie określi to jako błyskawicę na kółkach. Dziennikarz spojrzy zdziwiony, ale widząc upór w jego oczach, po prostu zapisze coś w swoim notesiku z okładką w kolorze zgniłej zieleni.

Samochód rąbnął w drzewo. Z gałęzi posypały się liście i patyki. Wszystkie szyby w aucie rozprysły się w drobny mak, który roziskrzoną kaskadą opadł na asfalt. Sprawne oko starszuka widziało jak odłamki szkła odbijają się od nagrzanej nawierzchni. Z jednej strony dość ciekawy widok, z drugiej zaś z kierowcy zapewne nie było czego zbierać.

Potężny wybuch sprawił, że okna w jego domu zadrżały. Dopiero na drugi dzień odkryje, że jedna z szyb pękła. Taką miała pozostać aż do końca jego życia.

Wstał i spokojnym krokiem wszedł do domu. Nie spieszyło mu się. Z kierowcy i tak niewiele zostało, a on już nie ruszał się jak dwudziestolatek.

Wreszcie, po dłuższej chwili, udało mu się dodzwonić pod numer alarmowy.

W tym samym momencie Sławek dostrzegł smugę dymu, której źródło

znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej.

– O cholera – powiedział, po czym biegiem ruszył do miejsca zdarzenia. Kobiety poszły za nim.

Z każdym metrem smród stawał się silniejszy. Pojawił się również utrudniający oddychanie, gryzący dym. Sławek zasłonił koszulą usta i nos, lecz niewiele to dało. Dym wdzierał się do jego oczu. Po jego policzkach popłynęły łzy, lepkie i brudne.

Dostrzegł ogień kilkanaście metrów dalej. Samochód uderzył w drzewo i płonął w zastraszająco szybkim tempie; żar sięgał gałęzi. Kierowca musiał gnać, jakby gonił go sam diabeł. Przód wozu przypominał zgniecioną puszkę, wszystkie szyby rozsypały się w drobny mak, a z opon zostały kałuże gumy.

Odwrócił się, lecz kłęby dymu nie pozwoliły mu dostrzec Laury i Darii. Wiedział, że nie jest w stanie zrobić nic więcej niż zadzwonić po straż pożarną i pogotowie. O tej drugiej służbie pomyślał bardziej z odruchu. Sądząc po stanie pojazdu, kierowca zginął na miejscu.

Zaczął się odwracać, gdy kątem oka dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Wytężył wzrok i wtedy pojawiło się oślepiające białe światło. Ułamek sekundy później zobaczył Świecącego Człowieka.

– Artur...

Postać uniosła dłoń w geście powitania, po czym najzwyczajniej odwróciła się i zniknęła.

Dopiero krzyk Darii sprowadził go na ziemię. Nie miał pojęcia, co żona do niego mówi; jej usta poruszały się zbyt szybko, żeby mógł coś odczytać z samego ich ruchu.

Nagle zakręciło mu się w głowie. To ostatecznie przekonało go, że musi uciekać. Po raz ostatni spojrział w gęsty dym, lecz nie zauważył Artura.

Dał się poprowadzić Darii. Nim znaleźli się w bezpiecznej odległości ich uszu dobiegło wycie strażackich syren.

Rozdział 12

Gitara zrobiła się niemiłosiernie ciężka. Czuł się tak, jakby w niesionym na plecach pokrowcu zamiast instrumentu znajdował się stos cegieł. Balast wprawiał go w irracjonalny strach i wcale nie chodziło tylko o to, że gitara nie powinna aż tyle ważyć. Marcin odnosił wrażenie, że ciężar ten nie jest niczym fizycznym, raczej czymś zakorzenionym głęboko w jego umyśle. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że dręczą go wyrzuty sumienia.

Szedł, powłócząc nogami niczym znudzony dzieciak, którego koledzy powyjeżdżali Bóg wie gdzie, skazując go na samotne szwendanie się bez celu. Po krótkim zastanowieniu stwierdził, że chętnie zamieniłby się z takim dzieciakiem. Co prawda doskwierałby mu smutek i brak chęci do wszystkiego, ale lepsze to niż czuć się jak śmieć.

Zaklął.

Dostał, czego chciał. Gitara – zapakowana w oryginalny pokrowiec za kilka stów – swoją wagą przypominała o tym, jaki z niego egoista. Zapatrzony w siebie kawał chama, który zamiast pomóc kumplom, uciekł jak pies z podkulonym ogonem. Co gorsza, wykrzesał z siebie tyle tupetu, żeby na drugi dzień przyjść do domu Wiktora i poprosić jego matkę o zwrot instrumentu. Gdyby dało się cofnąć czas, pozostałby w domu.

Matka Wiktora zmagala się z żalobą po stracie jedyne dziecko. W ogóle o tym nie myślał, przeskakując przez płot ich podwórka. Jakby wcześniej ruszył mózgownicą, to nie zdecydowałby się na zrobienie czegoś tak głupiego.

Zatrzymał się i spojrzał na stojącą obok ławkę. Jakiś znudzony architekt-amator postanowił ją nieco zmodernizować poprzez roztrzaskanie dwóch desek. Nadal jednak pozostały dwie całe, więc dało się na niej siedzieć.

Ściągnął nienaturalnie ciężką gitarę i oparł o ławkę. Niebezpieczne skrzywienie, jakie usłyszał przy siadaniu, dowodziło, że wandal próbował uporać się z kolejną belką, lecz coś przeszkodziło mu w pracy.

Wyciągnął papierosa i umieścił w kąciku ust. Przez chwilę szukał po kieszeniach zapalniczki, lecz zaraz dał za wygraną. Zapewne wypadła mu przy przeskakiwaniu płotu. Sięgnął do pokrowca gitary i z najmniejszej kieszonki wyciągnął paczkę zapalek.

Zanim odpalił papierosa, pod ławką zdążył zbierać się stosik połamanych patyczków.

Zaciągnął się dymem, czując niewysłowioną ulgę. Nikotyna

przywróciła mu jasność umysłu i pozwoliła spojrzeć na wszystko bez emocji; nabrał nieco dystansu. Owszem, zdawał sobie sprawę, że przychodząc do domu Wiktora popełnił ogromny błąd, lecz koniec końców gitara należała do niego, więc jej odebranie nie było przestępstwem.

Myśl ta wydała mu się nadzwyczaj egoistyczna. Doszedł do takiego wniosku w momencie, gdy pstryknął niedopałkiem, przypadkowo trafiając do pobliskiego śmietnika.

– Egoista – mruknął pod nosem, po czym odpalił kolejnego papierosa. Tym razem udało mu się za drugim podejściem.

Wbrew sobie wrócił myślami do wydarzeń sprzed godziny. Najchętniej na zawsze wyrzuciłby z pamięci te obrazy, aczkolwiek wiedział, że pozostaną z nim na lata, powracając w koszmarach. Zdał sobie również sprawę z tego, że chyba przebudziła się w nim ailurofobia. Za każdym razem, gdy zobaczy niewinnego futrzaka, w jego głowie odrodzi się wizja czworonogiego upiora z obnażonymi zębiskami szykującego się do skoku i zatopienia kłów w jego miękkim gardle.

Koszmar nagle ustał, choć nie pamiętał, czy w jakiś sposób przyczynił się do tego, czy nie. W tamtym momencie powinien był wrócić do domu, lecz pojawiła się matka Wiktora.

Przez jego kręgosłup przebiegły lodowate ciarki. Kobieta wyglądała na smutną i jednocześnie bardzo poważną, aczkolwiek coś w jej postawie sprawiło, że omal nie ryknął śmiechem. Udało mu się pohamować, choć teraz zastanawiał się, czy aby na pewno postąpił słusznie. Może jakby zaczął się śmiać, matka Wiktora kazałaby mu spieprzać i nigdy więcej się nie pokazywać. Łatwiej byłoby przełknąć coś takiego niż jej nostalgiczny spokój.

Włożył wtedy wiele wysiłku w powstrzymanie szaleńczego śmiechu. Jego usta nieznacznie zadrżały. Wytrzymał spojrzenie smutnych oczu i na pytanie, czy przyszedł po swoją gitarę, odpowiedział twierdząco.

– Wejdz. Zabrałam ją na górę, bo spodziewałam się, że przyjdiesz – rzekła kobieta.

Marcin przez chwilę stał jak wryty, lecz gdy dotarł do niego sens jej słów, udał się w stronę drzwi.

– Chcesz coś do picia?

– Nie, dziękuję – odparł. – Przyszedłem tu tylko...

(Rozpieprzymy tę budę!)

– ... po gitarę.

Jego dłonie zaczęły drżeć. Wtedy, gdy wypowiadał te słowa, zabrzmiało w nich echo słów Świećącego Człowieka. Przypomniał sobie ubiegłą noc, kiedy zjawa zachęcała go do przyłączenia się do swoich kumpi. Czy dobrze zrobił, że odmówił? Może powinien dać się zabić?

– Mizernie wyglądasz.

Głos matki Wiktora sprawił, że podskoczył. Przez chwilę rozglądał się po kuchni, jak po zupełnie obcym miejscu, tymczasem jeszcze przed paroma dniami spalił z Wiktorem tyle trawy, że gdy złapał ich głód, to we dwóch ogołocili prawie całą lodówkę.

– Pani też nie wygląda najlepiej – odparł, nim zdążył ugryźć się w język. Jego brak taktu wielokrotnie go zaskakiwał, ale nigdy nie pomyślałby, że jest z nim aż tak źle.

Kobieta uśmiechnęła się blado. Uśmiech zaliczał się do tych smutnych, a jednocześnie był łagodny i szczerzy. Ciekawe, jak brzmiał jej śmiech, gdy usłyszała dobry żart, dawniej, w szczęśliwych czasach. Marcinowi zrobiło się żal.

– Przepraszam – bąknął.

– Daj spokój. Poczekaj tu.

Matka Wiktora poszła w głąb domu, gdzie w którymś z wielu pokoi – może w pokoju jej syna – leżała jego gitara.

Co ja zrobiłem, do jasnej cholery, pomyślał, lecz mleko się rozlało. Jego czas na myślenie skończył się wraz z przeskoczeniem przez płot.

Po chwili usłyszał kroki. Pani domu wracała.

– Proszę – powiedziała, wręczając mu gitarę. Kiedy wziął do ręki zapakowany w pokrowiec instrument, od razu wydał mu się nienaturalnie ciężki. Zupełnie jakby korpus gitary zamiast z lipy wykonany został z litej skały.

– Dziękuję – mruknął, z każdą sekundą czując się coraz gorzej.

Wyszedł praktycznie bez słowa. Po prostu w pewnym momencie stwierdził, że nie jest w stanie dłużej wytrzymać patrzenia na kobietę, która urodziła jego najlepszego kumpla; kumpla brutalnie zabitego na jego oczach.

Odwrócił się i szybkim krokiem opuścił dom. Dopiero, gdy zamknął za sobą furtkę, dotarło do niego, że nie przekazał matce Wiktora wyrazów współczucia.

Co za idiota!

Na jego dłoń spadła kropla, a zaraz po niej kolejna. Zamrugął oczami, przez co łzy popłynęły obfitym strumieniem. Płakał. Wypalony do połowy papieros zgasł jakiś czas temu. Wyrzucił go.

Płakał. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz mu się to zdarzyło. Chyba za gówniarskich czasów, gdy założył się, że ukradnie ze sklepu czasopismo z pornosami, najlepiej z dołączoną płytą. Każdy z dzieciaków rzucił wszystkie drobne, z czego uzbierało się piętnaście złotych. Wtedy taka kwota stanowiła niewyobrażalny majątek, za który, w mniemaniu dziecka, dałoby się kupić pół sklepu.

Świerszczyk z dołączoną płytą DVD bezpiecznie spoczywał pod

paskiem jego spodni, zasłonięty koszulką. Na froncie znajdowały się dwie kobiety z ogromnymi piersiami; wielkie cycki ledwo mieściły się na okładce. Wiedział, że dobrze trafił. Koledzy bez wahania oddadzą mu swoje pieniądze, a ponadto będzie oglądania na kilka dni! Niestety, próba kradzieży została udaremniiona. Niemal czuł ciężar monet, które zaraz zgarnie, gdy nagle pojawiło się to babsko i wszystko popsulo. Sprzedawczyni złapała go za ucho, a pech chciał, że dobrze się znała z jego matką. Wtedy płakał ze wstydu.

Dostał szlaban na tydzień, co w trakcie wakacji było wyjątkowo dotkliwe.

Po wielu latach, tuż przed osiągnięciem pełnoletniości, znów miał szlaban. Zaśmiał się pod nosem, po czym otarł gorzkie łzy „twardego” nastolatka. Odpalił kolejnego papierosa i wstał. Zarzucając gitarę na ramię, stwierdził, że jest dużo łżejsza. To go tylko utwierdziło w przekonaniu, że wcześniejszy ciężar musiał wynikać z jego nieczystego sumienia. Sporo sobie wyjaśnił i zrobiło mu się nieco lepiej, choć i tak wiedział, że nieprędka dotknie instrumentu.

Po powrocie do domu i ściągnięciu butów dostrzegł, że z podeszwy jednego z nich wystaje coś twardego. Ostrożnie wyciągnął przedmiot i z przerażeniem rozpoznał w nim koci ząb. Kolejny dowód przemawiający za tym, że wydarzenia, które rozegrały się przed przyjściem matki Wiktora, nie były przywidzeniem.

Rozdział 13

Okazało się, że czytanie nie jest aż tak ciężką karą, jak myślał. Gdy wreszcie się przełamał i wziął ze stosu pierwszą książkę, ta pochłonęła go bez reszty. Doskonała odskocznia od świata, który zaczął upadać na głowę.

Lektura pozwoliła mu zapomnieć o tym, co zaszło w ciągu ostatnich dwóch dni. Do tej pory odsuwanie kłopotów w niepamięć najlepiej szło mu z pomocą trawki i alkoholu, ale w przeciwieństwie do nich, książki nie wywoływały wyrzutów sumienia ani kaca. Mógł najwyżej obudzić się niewyspany, gdyby postanowił czytać do późna, ale czy to problem? Miał jeszcze wakacje, więc deficyt snu mógł nadrobić w ciągu dnia.

Z każdą stroną coraz dogłębniej eksplorował świat opisany przez dotąd nieznanego mu człowieka. Teraz stali się bliskimi kumplami. Kolejne zdania sprawiały, że poznawał pisarza coraz lepiej. Marcin już wiedział, że ten lubił wysokie brunetki. Wywnioskował to na tej podstawie, że pierwsze sto stron zawierało dwie erotyczne sceny, których bohaterką była wysoka brunetka. Żadnych blondynek czy rudych. Brunetka i to koniecznie mierząca około metr osiemdziesiąt.

Pisarz lubił również szkocką, gardził Bourbonem i nie przepadał za motocyklami. Ponadto sprzeciwiał się paleniu tytoniu, gdyż krewni kilku bohaterów tej opowieści umarli na raka płuc.

To było niesamowite. Do tej pory nie postrzegał czytania w taki sposób. Czynność ta brzmiała jak jeden z najgorszych pomysłów, na jaki mógłby kiedykolwiek wpaść. Tym razem, zagłębiając się w fabułę, poznawał człowieka, który spędził setki godzin na rozmyślaniu, ubieraniu pomysłów w słowa, dopracowywaniu ich w każdym detalu. Zapewne wypił przy tym litry wina, kawy albo herbaty. Marcin celował w to pierwsze. Wszak wielu artystów było alkoholikami.

Po powrocie do domu schował gitarę w łóżku, nawet nie wyciągając jej z pokrowca. Póki co, w ogóle nie zamierzał na nią patrzeć.

Leżał z książką od dobrych kilku godzin. W pewnym momencie zrobiło się tak ciemno, że z trudem dostrzegał litery. Dotarło do niego, że jest wieczór, więc włączył światło i kontynuował lekturę.

W międzyczasie do pokoju wszedł jego ojciec. Stał przez chwilę w progu, lecz Marcin nawet na niego nie spojrział. Książka wciągnęła go tak bardzo, że nie zamierzał zawracać sobie głowy starym. Z jednej strony, gdyby nie on, to niewykluczone, że nigdy nie poznałby uroków czytania. Z drugiej zaś, nadal był na niego wściekły, a charakter nie pozwalał mu tak łatwo odpuszczać.

Przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze, niosąc ze sobą zapach letniej nocy. W domu panowała głucha cisza. Rodzice od kilku godzin spali. Marcin natomiast w ogóle nie czuł senności. Eksplorował świat uwieczniony małą czcionką na tanim papierze kieszonkowego wydania książki.

Prawdopodobnie od lektury oderwałyby go dopiero promienie porannego słońca, lecz gdzieś na dole rozległo się głośnie cykanie świerszczy. To wybiło go z rytmu. Kończyny zdrętwiały mu od długiego leżenia w jednej pozycji. Nieuchronnie zbliżał się do końca powieści, zostało mu jakieś pięćdziesiąt stron. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się, aby w ciągu jednego dnia przeczytał aż tyle, a wypada nadmienić, że ów tytuł miał ponad czterysta stron. Zazwyczaj tak grube książki traktował jako zbyt ciężki kaliber.

Wstał z jękiem, jakby jego ciało nagle postarzało się o kilkadziesiąt lat. Przeciągnął się, jego kości strzeliły głośnie. Uświadomił sobie, że cholernie chce mu się palić. Spojrzał na zegarek, który wskazywał godzinę drugą trzydzieści. Rodzice nawet nie zorientują się, że palił w pokoju. Do rana wszystko się wywietrzy.

Niespiesznym krokiem podszedł do okna. Otworzył je szerzej, napawając się ciepłą nocą. Chętnie wyszedłby przed dom i usiadł pod samotną jabłonią. Zapragnął zerwać papierówkę i, pogryzając słodki owoc, palić papierosa za papierosem, rozmyślając o różnych rzeczach. Od czasu do czasu lubił filozofować, zwłaszcza z towarzyszem w postaci czteropaku. Co prawda brakowało mu piwa, ale uznał, że to nie powinno przeszkadzać.

Postanowił zrealizować swój plan. Ta noc wydawała się idealna na rozważania. W ogóle nie myślał o wydarzeniach z ubiegłych dni. Nie przejmował się Świecącym Człowiekiem i tym, że stwór może kręcić się w okolicy. Czy to coś znaczyło? Przebywał na swoim terenie i w tej chwili, z wełnianym kocem pod pachą i paczką Chesterfieldów, szedł w kierunku niskiej, rozłożystej jabłoni.

Drzewo było dla niego ostoją spokoju. Niejednokrotnie uciekał pod nie, gdy pokłócił się z rodzicami lub złapał doła po tym, jak któraś z jego licznych eks dziewczyn rzuciła mu propozycję pod tytułem „zostańmy przyjaciółmi”. Zawsze miał w zanadrzu specjalnie przygotowaną na taką okoliczność odpowiedź: *spierdalaj*. Później zazwyczaj żałował swych słów jak diabli, ale taki miał charakter i nie mógł nic na to poradzić.

Rozłożył koc na ziemi. Następnie sięgnął po dorodne zielonkawie jabłko i rozsiadł się wygodnie. Kwaskowy owoc smakował doskonale.

Po zjedzeniu połowy jabłka otworzył paczkę i zapalił papierosa. Dym leniwą strużką uniósł się w górę, jakby chciał dotrzeć do samego księżycyca albo dalej.

Oparł się o stary pień, czując na plecach przyjemne drapanie kory, po

czym pogrążył się w rozmyślaniach. Wydarzenia, jakie rozegrały się na podwórku Wiktora, wydawały się nieaktualne, odległe. Dziwny spokój, który go otulił, nie wzbudzał w nim żadnych podejrzeń. Zwykła, niemożliwa do zmażenia noc, niezależnie od tego, czy po okolicy grasuje pieprznity gwałciciel, nożownik, czy też Świecący Człowiek. Negatywne emocje uleciały jak dym z papierosa, który minął już Srebrny Glob i leciał dalej w nieznane.

Zaciągnął się po raz kolejny i wrócił myślami do lektury. Nie próbował przewidzieć ciągu dalszego – pozna go, gdy ponownie siądzie do czytania. Zastanawiał się natomiast nad tym, jak wyglądałaby próba napisania samodzielnie wykreowanej historii.

Może muzyka to nie wszystko?

Dużą zaletą Marcina był upór w dążeniu do doskonałości. Jeżeli się za coś zabierał, dawał z siebie jak najwięcej, starając się maksymalnie rozwinąć umiejętności. W podstawówce trenował piłkę nożną. Zawsze wybierano go do składu jako pierwszego, a w „kiwaniu się” nie miał sobie równych.

Zamiłowanie do piłki nożnej minęło po roku lub dwóch. Wtedy pojawiła się gitara i to jej poświęcił się bez reszty. Bardzo szybko złapał podstawy, po czym sukcesywnie zwiększał poziom, z miesiąca na miesiąc grając coraz lepiej. Przed założeniem kapeli nieco poduczył Kamila, choć wiedział, że kumpel i tak mu do pięt nie dorasta. Z drugiej strony w każdym zespole jest ten lepszy gitarzysta, który zbiera pochwały i robi za autorytet. Drugi natomiast przygrywa w tle, by muzyka zachowała spójność.

Może by tak poświęcić się pisaniu, pomyślał. Nie grał już w zespole i nawet się nie łudził, że zdoła zebrać nowy skład. W tym zabitym dechami miasteczku, gdzie psy szczekają dupami, większość młodzieży słuchała gównianego hip-hopu lub disco-polo. To drugie w jego mniemaniu powstało w momencie, gdy świnią nadepnęła na syntezator i ktoś niespełna rozumu postanowił się na tym wybić. Przy takim guście rówieśników tworzenie kapeli miało się z celem. Domyślał się, że pisanie jest długotrwałym procesem zachodzącym w samotności, co przypominało komponowanie gitarowego riffu w domowym zaciszu. Samotna praca, gdzie nikt nie pieprzy, że grasz coś źle i nie sugeruje zastosowania innych dźwięków, przestrojenia gitary lub rzucenia jej w kąt.

Wizja kariery pisarskiej wydawała mu się nadzwyczaj piękna, lecz nagle prysła jak mydlana bańka. Przykra prawda uderzyła go z bezlitosną siłą. Przypomniało mu się bowiem, że przez ostatnie dwa lata ledwo zdawał z polskiego. Jego ortografia leżała i kwiczała, a szyki zdań, jakie stosował przy pisaniu wypracowań, wołały o pomstę do nieba.

Westchnął i zszedł na ziemię. W tym roku miał pisać maturę i czarno

widział swoje szanse na jej zdanie. Matma leżała, polski leżał, historii nie cierpiał, a reszta przedmiotów ścisłych... Nawet, jakby jakimś cudem zdał egzamin dojrzałości, to studia były całkowitą abstrakcją. Gdyby w ogóle udało mu się dostać na jakiś kierunek, zapewne wyleciałby już po pierwszym semestrze, o ile nie wcześniej.

Westchnął i zapalił kolejnego papierosa. Dotarło do niego, że żarty się skończyły; dorosłość staje przed nim otworem. Do tej pory z niecierpliwością czekał na moment, kiedy powie rodzicom „do widzenia”, spakuje manatki i wyjedzie do jakiegoś dużego miasta. Może do Warszawy, Krakowa albo za granicę? Londyn, Berlin lub Nowy Jork...

Na myśl o Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych przypomniał sobie, że jego angielski ledwie zasługiwał na tróję. Dostał ją chyba tylko dlatego, że nauczyciel był zapalonym gitarzystą, z którym potrafił przegadać całą przerwę i połowę lekcji. Rozmawiali, oczywiście po polsku, o nowościach związanych z instrumentami Jacksona i Ibaneza, przeróżnych wzmacniaczach i efektach gitarowych. Kreatywnie, lecz szkoda, że w ten sposób znajomość języka obcego wcale mu się nie poprawiła.

Do Berlina? Wydmuchnął dym, omal się nim nie krztusząc. Niemieckiego nienawidził jak zarazy.

Nagle coś przeszkodziło mu w rozmyślaniach. W jego pokoju świeciło się światło, a dobrze pamiętał, że je zgasił. Żółtawa poświata rozlewała się po trawniku szerokim, bladym łukiem, rozdzierając atramentowy mrok.

W oknie pojawiła się postać. Biorąc pod uwagę sylwetkę – ani ojciec, ani tym bardziej matka.

Marcin wstał, zapominając o zwisającym z kącika ust papierosie. Ta postać wydała mu się znajoma. Po chwili otworzył usta w niemym krzyku, rozpoznając Kamila. Pragnął wyprzeć ten widok, lecz bujnych kręconych włosów nie dało się pomylić. Poza tym miał swoją gitarę. Marcin nawet nie zastanawiał się nad tym, jakim cudem trup może wrócić, w dodatku z instrumentem znajdującym się w domu Wiktora.

Rozbrzmiała muzyka, choć to określenie na wyrost. Dźwięki bardziej przypominały nieznośny jazgot prosto z piekła. Marcin odniósł wrażenie, jakby ktoś próbował wsadzić w jego uszy zardzewiały drut kolczasty. Niemal czuł, jak jego bębunki pękają, a lepka krew spływa po szyi.

Kamil zaczął zarzucać włosami, podczas gdy kakofonia coraz bardziej rozdzierała spokój nocy. Marcina zdziwiło, że w oknie sypialni jego rodziców nie zaświeciło się światło. Zatkał uszy i wtedy z przerażeniem zrozumiał, że to, co słyszy, tak naprawdę rozlega się tylko w jego umyśle.

Kamil coraz szybciej potrząsał włosami. Przywodził na myśl marionetkę kierowaną ręką wariata, którego palce poraziły niekontrolowane skurcze. Wydawało się to śmieszne i straszne zarazem. Głowa Kamila sprawiała wrażenie przyczepionej łożyskiem pracującym na granicy wytrzymałości. W pewnej chwili łożysko pękło z trzaskiem łamanej kości, czerep oderwał się od szyi i wyleciał przez otwarte okno.

Marcin chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Widział lecącą głowę jak na zwolnionym filmie. Martwą twarz Kamila wykrzywił okropny grymas – na poły szaleńczo radosny uśmiech, na poły skurcz nieopisanego bólu.

Reszta jego ciała nadal trzymała się na nogach. Ręce wciąż wygrywały paskudne dźwięki na rozstrojonej gitarze. Widział, jak struny piekielnego instrumentu pękają jedna po drugiej, przecinając palce, które groteskowo odskakiwały w różne strony. Nie przeszkadzało mu to jednak w grze. Zakrwawione kikuty nadal sprawnie poruszały się po gryfie, pozostawiając krwawe ślady.

Marcin otworzył usta; papieros odkleił się od jego wargi i spadł na trampka, wypalając w gumie dziurę.

Głowa Kamila w końcu spadła na ziemię i zaczęła podskakiwać, wykonując szaleńcze obroty. Z każdym podskokiem zbliżała się o kolejny metr, podczas gdy Marcin nie był w stanie się ruszyć. Strach go sparaliżował. Wreszcie pojął, że spokój nocy od początku zapowiadał coś złego, a on wykazał się bezmyślnością, dając się złapać w pułapkę.

Trup Kamila wreszcie upadł, lecz jazgot nie ucichł.

Nagle za jego plecami rozległo się bębnienie. Marcin odzyskał władzę nad ciałem i szybko się odwrócił. Kilka metrów dalej stał zestaw perkusyjny. Podziurawione bębny przybrały obrzydliwy zielonkawy kolor; wyglądały, jakby przez wiele miesięcy leżały na wilgotnym strychu, gdzie gniły wyżerane przez szczury.

Za zestawem siedział Wiktor, a jego spojrzenie przerażało do szpiku kości. Wypełnione szaleństwem oczy jednocześnie wydawały się pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, co dezorientowało Marcina. Z ust martwego nastolatka spływała gęsta brązowa piana, która skapywała na werbel. Do grania używał grubych, zaostrzonych gałęzi. Przy każdym uderzeniu w werbel w powietrze wlatywały płyty odrażającej mazi, rozpryskując się dookoła.

– Zagramy taki koncert, że zapamiętają nas wszyscy!

Marcin podskoczył, rozpoznawszy kolejny głos. Obrócił się wokół własnej osi, usiłując rozbieganymi oczami uchwycić nienaturalne światło. Znalazł je na podjeździe. Jakimś sposobem podskakująca głowa Kamila zmieniła kierunek; wykonała najwyższy skok i wylądowała pod pachą Świecącego Człowieka.

– Rozpieprzymy tę budę! Zmieciemy ją z powierzchni ziemi, a nasza płyta sprzeda się w milionach egzemplarzy!

Marcin zrobił dwa kroki do tyłu, lecz wtedy przypomniał sobie, że tuż obok znajduje się Wiktor. Słyszał już charkot, jaki martwy chłopak wydawał przy każdym uderzeniu w bębny. Brzmiał jak toczony śmiertelną chorobą pies.

Odwrócił się i zobaczył, że Świecący Człowiek biegnie w jego kierunku. Głowa Kamila, którą trzymał pod pachą, poczęła wywijać nieludzkim jeżorem – miał przynajmniej pół metra długości i wił się niekontrolowanymi ruchami.

Marcin zerwał się do ucieczki, zdając sobie sprawę, że powrót do domu jest niemożliwy, gdyż oznaczałoby to bieg w stronę Świecącego Człowieka, który umyślnie odciął mu drogę. Marcin nie miał zamiaru dołączać do strupieszalej kapeli.

Podbiegł do płotu. Przy przeskakiwaniu przez siatkę jego włosy znowu się w nią wplątały. Z bolesnym jękiem wydarł na skroni kolejnego łysego placka. Przez jego głowę przebiegła myśl, że gdy uda mu się uciec i wrócić do domu w jednym kawałku, to zetnie włosy o połowę, jak nie na zero.

Gnał, czując na karku zimny oddech Świecącego Człowieka. Przeskoczył nad samotną ławką, omal nie zawadzając o nią stopą. Przeszyła go strzała strachu na myśl o tym, co by było, gdyby się wywalił albo co gorsza – skręcił sobie nogę.

Jazgot i bębnienie narastały. Czuł ogromne, niemal rozsadzające głowę ciśnienie. Serce podeszło mu do gardła i waliło z potworną siłą, powodując ból w klatce piersiowej.

Biegł przez park, nie widząc nigdzie miejsca, które nadawałoby się na kryjówkę. Nie wiedział, że krzyczy jak opętany. W odpowiedzi na jego wrzaski schowane w koronach drzew ptaki poczęły kwilić; po chwili całymi stadami zerwały się do lotu w poszukiwaniu spokojniejszej miejscówki.

Wybiegł z parku i przebiegł przez ulicę. Minął dom Wiktora, nie zwracając na niego uwagi.

Odwrócił się na sekundę i omal nie z wymiotował. Świecący Człowiek gonił go, lecz nie był to zwykły bieg. Poruszał się jak koszykarz, kozłując głową Kamila niczym piłką. Mięisty język owijał się wokół niej niczym napompowana dętka. Towarzyszył temu odgłos identyczny z odbijaniem piłki do kosza o parkiet.

Marcin usłyszał, jak Świecący Człowiek wykonuje dwutakt i w odruchu schylił się. Głowa Kamila musnęła jego włosy. Owiąło go nieprzyjemne gorąco, a w nozdrza uderzył słodkawy odór zgnilizny.

Wyprostował się i przyspieszył, czując pieczenie w klatce piersiowej.

Głowa Kamila odbiła się od pobliskiego drzewa i niczym bumerang, pędziła prosto na niego. W ostatniej chwili wykonał unik.

Jego uszu po raz kolejny dobiegło odbijanie. Świecący Człowiek znowu kozłował.

Wbiegł na rozwalony chodnik. Płyty były potrzaskane, jakby ktoś z furią walił w nie stukilowym młotem. Część z nich wystawała, czekając tylko, aż potknie się i polecą na twarz.

Natychmiast zbiegł z chodnika na trawnik. Zbierająca się na nim rosa szybko przemoczyła mu buty.

Głowa Kamila ponownie minęła go o centymetr. Po raz kolejny wykonał szybki unik, gdy odbiła się od drzewa i pomknęła w jego kierunku.

Trawa przytłumiła odgłos kozłowania. Najwyraźniej dla Świecącego Człowieka rozwalony chodnik również stanowił wyzwanie.

Marcin przebiegł przez kolejną ulicę.

Wtedy zobaczył, że zapędził się w kozi róg. Na końcu uliczki znajdowało się ogrodzenie. Alternatywą był las. Wiedział jednak, że wbiegnięcie między zarośla oznaczałoby dla niego pewną śmierć. Zalegał tam gęsty mrok i zapewne po przebyciu kilku metrów wpadłby na drzewo lub wyrznął o wystający z ziemi korzeń.

Postanowił szukać ratunku w znajdującym się za płotem domu. Nie miał pojęcia, kto tam mieszka, lecz liczył na to, że ten ktoś nie opala się właśnie na Majorce.

Przeskoczył przez płot, tym razem nie zaplątując się włosami. Biegł przez podwórko, czując, że coraz bardziej słabnie. Dostrzegł człowieka, który stał w dużym balkonowym oknie na parterze. Mężczyzna w średnim wieku palił papierosa i gdy tylko go zobaczył, bez wahania otworzył okno i odsunął się na bok. Zupełnie jakby widział, kto go goni.

Po raz kolejny głowa Kamila z głośnym świstem minęła go o włos i wybiła jedno z okien domu. Ostry dźwięk tłuczonego szkła rozdarł nocny spokój, choć dla Marcina to pojęcie już dawno straciło jakiegokolwiek znaczenie.

Tym razem łeb nie wrócił. Jazgot i bębnienie powoli cichły i gdy Marcin wbiegał przez otwarte drzwi, ustały zupełnie. Nieprzytomny nastolatek padł na podłogę.

Rozdział 14

Gdy niczego niespodziewający się Marcin szedł w stronę samotnej jabłoni, Sławek tradycyjnie zmagał się z bezsennością. Znowu wpatrywał się w sufit, a jego myśli błądziły wokół wydarzeń minionego dnia.

Widział Artura na miejscu wypadku i nie miał wątpliwości co do tego, że to on go spowodował.

Rozmawiał o tym z Darią, lecz nie mogli dojść do porozumienia. Ona nic nie widziała i nie chciała uwierzyć w jego słowa. Po jej minie Sławek wywnioskował, że ostatekami sił wzbrania się przed łączeniem Artura z tym, co się wydarzyło.

Zdjęcie w gazecie mówiło samo za siebie. Dziwne było również to, że gdy próbowali pokazać fotografię Laurze, zdjęcie w niewyjaśniony sposób zniknęło. Wtedy zaczął się poważnie zastanawiać nad tym, czy nie wariują.

Wypadek wszystko zmienił. Widział Artura i nie interesowało go zdanie Darii. Miał pewność, że nie dostał zwidów wskutek zatrucia dymem.

Wygramolił się z łóżka i podszedł do okna balkonowego. Sięgnął po papierosy i stojąc bez ruchu, bezmyślnie przyglądał się paczce. W końcu wyciągnął jednego i zapalił.

Na przemęczony umysł spłynęła błogosławiona pustka. Myśli krążyły leniwie w jego głowie.

Kolejna noc bez Artura, pomyślał, nie mogąc określić, czy to dobrze, czy źle. Dzięki temu oszczędził sporo nerwów, lecz niepokój go nie opuszczał. Pomimo strachu przed upiorną postacią syna czuł, że nadal go kocha i pragnie jego bliskości. Marzył, aby wyjść z nim na długą przechadzkę, tak jak w każdą sobotę, nim natłok zajęć Artura sprawił, że musieli ograniczyć spacery do jednego w miesiącu.

Wspomnienie wspólnych przechadzek wywoływało u niego mieszaninę smutku, zadumy i w pewnym sensie radości. Były to dobre i szczęśliwe czasy. Mogłoby się wydawać, że bezpowrotnie przeminęły, lecz Sławek wierzył, że przetrwają tak długo, jak jego pamięć.

Kontakt z synem śmiało mógł określić jako świetny. Wiedział, że stanowił dla niego autorytet i starał się dawać mu najlepszy przykład – jak każdy dobry ojciec.

Artura cechowała nadzwyczajna, niekiedy wręcz przerażająca szczerość. Otwarcie rozmawiali na tematy, jakie większość nastolatków uważała za zbyt prywatne, by dzielić się nimi z kimkolwiek, a w

szczegółności z rodzicami. W trakcie spaceru potrafił wyznać, że podoba mu się jakaś dziewczyna i nie ma pojęcia jak do niej zagadać. W takich sytuacjach Sławek starał się udzielać mu rad, choć niekiedy łapał się na tym, że używał takich samych zwrotów jak do uczniów. Mimo to uważał, że dobrze spełniał rolę ojca.

Syn opowiadał nie tylko o miłosnych rozterkach. Przyznawał się do każdego papierosa, którego zdarzyło mu się wypalić albo do każdej wypitej butelki piwa.

W takich sytuacjach Sławek zachowywał spokój. Artur nie wykazywał skłonności do nałogów, a sporadyczne wysoki spowodowane były jedynie głupią, acz typową dla wieku ciekawością. Owszem, niekiedy chciał wylać mu na głowę kubel zimnej wody, lecz wtedy wracał pamięcią do czasów, gdy sam miał kilkanaście lat. O siedemnastoletnim Sławku z pewnością nie dało się powiedzieć, że był przykładem spokojnego i ułożonego młodzieńca, więc zawsze starał się używać argumentów odwodzących syna od kolejnych prób kosztowania papierosów i alkoholu. Resztę pozostawiał jemu. Ufał rozsądkowi swojego dziecka i nigdy się na nim nie zawiodł.

Chciałby pójść z Arturem na długi spacer. Ciekawiło go, do czego teraz przyznałby się syn. Do spowodowania wypadku? Do zabicia kilku młodych ludzi? Czy w ogóle byłby tak szczery jak zawsze? No i jakie miałby intencje wobec niego?

Od niedopałka odpalił kolejnego papierosa i zaciągnął się mocno. Daria wymruczała coś przez sen. Najprawdopodobniej próbowała przekazać mu, żeby nie palił w domu, lecz spała na tyle głęboko, że zdołała wydać tylko parę pomruków.

Przeszły go ciarki. Do tej pory nigdy nie miał aż tak silnego przeczucia, że zaraz stanie się coś złego. Oczami wyobraźni ujrzał chmurę ptaków rodem z filmu Hitchcocka. Spłoszone przez coś niedostrzegalnego dla ludzi, zwierzęta z szumem skrzydeł zerwały się do lotu. Czerń przysłoniła pogodne niebo, zapowiadając nadchodzące zagrożenie.

Nagle, stojąc w samych slipkach, zapragnął pobiec w nieznane. Mięśnie jego nóg naprężyły się, gotowe do morderczego, gwarantującego bezpieczeństwo wysiłku.

Mimo to Sławek stał w miejscu. Wytężył wzrok i po chwili zobaczył zbliżającego się człowieka. Nieznajomy przemieszczał się bardzo szybko, najprawdopodobniej przed kimś uciekał.

Kilka sekund później pojawił się Artur. Poruszał się z gracją zawodowego koszykarza. Miał coś, co z daleka przypominało piłkę. Sławek w mroku nie zauważył, że to głowa jednego z zabitych nastolatków.

– Daria! DARIA!

– C-cooo? – zapytała żona zaspianym głosem.

– Uciekaj stąd!

– Co?! – Momentalnie się rozbudziła.

– UCIEKAJ! – ryknął Sławek, po czym otworzył okno na oścież. Zaczął wołać do biegnącego. Artur deptał mu po piętach, dzieliły ich zaledwie metry.

Przez zakryte dłonią usta Darii przedarł się wysoki pisk. Sławek spojrział na nią, lecz nic nie powiedział.

Skupił się na scenie, która rozgrywała się przed domem. Młody człowiek uciekał ostatkiem sił. Jego nieprzyzwoicie długie blond włosy powiewały za nim jak ogon komety. Dało się słyszeć głośnie sapanie.

Nagle Artur zatrzymał się. Sposób, w jaki to zrobił, wyglądał tak nienaturalnie, że wydawał się łamać prawa fizyki. Z pełnego koszykarskiego sprintu w ułamku sekundy stanął w bezruchu. Przez moment kozłował dziwną piłką, po czym rzucił ją tak, jakby celował do kosza. Piłka z ogromną prędkością poleciała w kierunku uciekającego nieszczęśnika. Facet miał ogromnego farta, gdyż minęła go o włos.

– Uważaj! – krzyknął Sławek po części do nieznanego, a po części do Darii. Jego żona w ostatniej chwili padła na podłogę.

Piłką wybiła okno i z oszałamiającym łomotem walnęła w ścianę. Uderzeniu towarzyszyła siła tak wielka, że cały dom zadrżał niczym po zdetonowaniu ładunku wybuchowego.

Sławek zdążył zauważyć, że piłka w rzeczywistości jest głową długowłosego nastolatka. Domyślił się, że to jeden z muzyków zabitych w trakcie próby, zaś młodzieniec, który właśnie wspinał się na balkon, to zapewne jego kolega – jedyny ocalały.

Pomógł mu wejść.

Chłopak wczołgał się do sypialni i tam padł twarzą na podłogę. Jego świszczący oddech świadczył o tym, że przebiegł kawał drogi. Drżał, a ciemne plamy potu pokrywały całą jego koszulkę.

Sławek szybko zamknął drzwi balkonowe. Spojrział na Artura. Przez krótką chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, lecz jego syn zaraz się odwrócił, by odejść niespiesznym krokiem.

W jego głowie pojawiły się setki myśli, lecz teraz nie miał czasu na zastanawianie się nad tym, co, jak i dlaczego. Nastolatek rozciągnięty na podłodze sprawiał wrażenie oszalałego z szoku. Ciężko dyszał, a na jego kroczu bardzo szybko rosła ciemna plama.

Ukucnął i położył dłoń na ramieniu chłopaka. Poczł, jak jego mięśnie naprężają się, jakby w odruchu nakazującym zerwanie się do dalszej ucieczki.

– Już dobrze. Uspokój się – powiedział, siląc się na pocieszający ton. –

Nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczny.

Musiał dać mu trochę czasu. Wstał i spojrzał prosto w wytrzeszczone oczy Darii. Cała drżała, po jej policzkach spływały łzy, a na czoło wystąpiły duże krople potu.

Później będzie zachodził w głowę, jakim cudem udało mu się zachować zimną krew i nie oszaleć. Jego serce waliło jak młotem, lecz na twarzy malował się spokój.

Rozejrzył się po sypialni. Ze ściany, w którą uderzyła głowa, odpadł spory kawał tynku, odsłaniając gołą cegłę. Po samej głowie nie było zaś śladu. Zupełnie, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Sięgnął po stojącą przy łóżku butelkę wody. Ponownie ukucnął przy nastolatku.

– Chcesz się napić?

Chłopak spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Zaraz jednak w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– T...t...t... – Nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Sławek uniósł nieco jego głowę i przystawił butelkę do ust. Chłopak wypił łączywie prawie połowę zawartości i czknął.

– Dziękuję – wychrypiał. Jego oddech powoli się uspokajał. – Przepraszam za...

– Daj spokój – przerwał mu Sławek. – Chodź, zaprowadzę cię do łazienki. Przyda ci się porządny prysznic. Myślę, że znajdzie się też świeże ubranie.

– Dziękuję – powtórzył nastolatek, po czym z pomocą Sławka wstał.

– Kochanie, znajdź coś do przebrania – powiedział do żony, gdy wychodzili z sypialni. Daria, nadal oszołomiona, skinęła głową i otworzyła jego szafę.

Rozdział 15

O tej porze park świecił pustkami. Daniel po raz pierwszy szedł z dziewczyną za rękę. Owo doznanie wydawało mu się dość dziwne – tyle przyjemne, co krępujące. Podobnie mógł czuć się pies prowadzony przez właściciela na zbyt krótkiej smyczy.

Dziewczyna miała na imię Marta i cholernie mu się podobała. Zazwyczaj związane w koński ogon, blond włosy tym razem swobodnie opadały zawadiackimi lokami, sięgając ramion. Makijaż wyglądał jak nałożony przez profesjonalną kosmetyczkę – Marta potrafiła dobrze się umalować. Delikatny make-up nie maskował jej naturalnej urody, lecz ją podkreślał. Subtelne cienie uwydatniały duże niebieskie oczy, a kreski na powiekach zostały wykonane z nadzwyczajną precyzją. Całości dopełniała szminka o intensywnym kolorze.

Ubrała się również oszłamiająco. Niebieska sukienka idealnie pasowała do jej talii i uwydatniała pełne piersi, którym nie mógł się nadziwić. Takie cycki nie należały do częstych zjawisk. Ciągłe przyłapywał się na tym, że spogląda na nie chciwie. Miał jedynie nadzieję, że dziewczyna tego nie zauważyła.

Szli w milczeniu, napawając się urokiem letniej nocy. Dookoła panowała niemalże idealna cisza, wiatr niósł ze sobą zapach kwiatów.

Usiedli na ławce. W tym samym momencie, kilkaset metrów dalej, Marcin wbiegał przez balkon do domu Sławka.

– Dlaczego tak milczysz? – zapytała Marta.

Na dźwięk jej głosu Danielowi pod gardło podchodziła gula, która następnie opadała aż do krocza, powodując przyjemne uczucie, przez romantyków opisywane jako motyle w brzuchu, a przez realistów – jako ochota na szybki numer.

– Dobrze mi tutaj – odparł po chwili namysłu.

– Ano, ładna noc – przyznała dziewczyna, po czym wyciągnęła z torebki papierosy. – Chcesz?

– Mówiłem ci, że nie palę – odpowiedział, tłumiąc frustrację.

– No dobrze, nie denerwuj się. Uznajmy, że nie zadałam tego pytania. – Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– Paskudne uzależnienie – rzekł nieco spokojniej. Dwa lata temu jego ojciec zmarł na raka płuc. To wtedy Daniel wyrzucił swoje papierosy do kosza, niniejszym zrywając z nałogiem. Nie podobało mu się, że Marta pali, jednak była to ich pierwsza randka. A rozpoczynanie znajomości od zakazów to najlepszy sposób na pozostanie samotnym prawiczkim.

Ich spotkanie przebiegało niczym w notorycznie oglądanych i

czytanych przez jego matkę romansidłach. Przyjechał po dziewczynę samochodem, otworzył jej drzwi jak na gentlemiana przystało, po czym wybrali się na przejażdżkę. Najpierw pojechali w kilka odosobnionych miejsc, aby porozmawiać w całkowitym spokoju, a później udali się do kina na grany od miesiąca film. Widział go przynajmniej dwukrotnie, ale w towarzystwie Marty odbierał te obrazy tak, jakby oglądał je po raz pierwszy. Później pojechali do kawiarni. Ona wybrała cappuccino, a on espresso jak na faceta przystało. Zamówili po kawałku ciasta owocowego i w miłej atmosferze spędzili kolejną godzinę.

Daniel ze smutkiem uświadomił sobie, że park jest ostatnim punktem programu dzisiejszej nocy. Randka nieubłaganie dobiegała końca.

Marzyła mu się randka zwieńczona porządnym seksem.

Gdyby tak zaprosiła mnie na „herbatę”, pomyślał z nadzieją, lecz z góry założył, że najprawdopodobniej obejdzie się smakiem, gdyż Marta mieszkała z rodzicami.

– Jesteś jakiś inny – powiedziała.

– Czyli jaki? – Zdo był się na uśmiech, ale po wyrazie twarzy Marty dało się poznać, że nie wyszedł wiarygodnie.

– Jakiś nieobecny. Wracamy?

– O nie! – zaprzeczył. – Po prostu trochę... trochę się zamyśliłem.

– A nad czym tak rozmyślasz, młody człowieku? – zapytała żartobliwie, co tym razem skłoniło go do szczerego uśmiechu.

– Gdybyś wiedziała, o piękna niewiasto, co siedzi w mojej głowie, pierzchłabyś w popłochu tam, gdzie nawet diabeł nie mówi dobranoc – odparł niskim, zachrypniętym głosem. Przywodził na myśl stereotypowego detektywa, który próbuje zaimponować przypadkowo napotkanej kobiecie.

Marta przez chwilę mu się przyglądała. Zaczął się już bać, że się zbłąźnił. Strzelanie głupimi tekstami w najmniej odpowiednich sytuacjach było do niego podobne. Próbował panować nad językiem, lecz nie zawsze mu się udawało.

Ciszę zalegającą w parku zmącił dźwięczny śmiech Marty. Daniel odetchnął w duchu. Jednak nie spieprzył sprawy.

– Masz bardzo dziwne poczucie humoru, ale podoba mi się.

– Cieszę się – odparł. – Zwłaszcza że nie potrafię inaczej.

– I bardzo dobrze. Według mnie, nie ma sensu na pierwszej randce udawać kogoś, kim się nie jest.

– Racja – przyznał, po czym usłyszał w głowie uporczywy głosik męczący go od samego początku tej znajomości.

Poznali się zaraz przed końcem roku szkolnego, podczas imprezy zorganizowanej na działce. Koledzy opowiadali mu najróżniejsze rzeczy dotyczące Marty, z których większość nie stawiała dziewczyny w

najlepszym świetle. Ponoć leciała na drogie samochody, gruby portfel i umięśnioną klatę.

Ta myśl nachalnie do niego wracała, spędzając sen z powiek. Za każdym razem wywoływała paskudną mieszankę uczuć, na jaką składały się wyrzuty sumienia, smutek, nadzieja i cholera wie, co jeszcze. Wielokrotnie zastanawiał się, czy odwołać randkę i dać sobie spokój.

Ostatecznie, po paru nieprzespanych nocach pełnych zwątpienia, Daniel zdecydował się podjąć ryzyko. Osobiście nie miał żadnych dowodów na to, aby Marta należała do łatwych idiotek. Nie chodził na siłownię, jeździł starym fordem sprezentowanym przez matkę, gdy kupiła sobie nowe auto, a jego dochody wystarczały na utrzymanie się i odkładanie drobnych oszczędności. Jeżeli opowieści kolegów byłyby prawdą, Marta w ogóle nie powinna była zwrócić na niego uwagi.

Odpędził negatywne podszepty, nim dziewczyna połapała się, że coś jest nie tak. Zgasiła papierosa i wrzuciła niedopałek do pobliskiego śmietnika.

– Nie boisz się tu przebywać o tej porze? – Pytanie wyrwało się z jego ust, nim ugryzł się w język. Nie chciał psuć tak przyjemnej nocy, ale jednocześnie wiedział, że powinien podjąć rozmowę; na jakikolwiek temat. Milczenie coraz bardziej męczyło i obawiał się, że wyjdzie na nudziarza.

– O co ci dokładnie chodzi?

– O to, co się ostatnio dzieje w naszym miasteczku.

Na twarzy Marty pojawiła się mieszanina niepokoju i niepewności.

Brawo, zasrańcu! Właśnie wszystko spieszyłeś, pomyślał z rezygnacją.

– Nooo... sama nie wiem – powiedziała w końcu.

– W sumie głupi temat – rzekł i ponownie pożałował swoich słów, które wydały mu się jeszcze gorsze. Wbiegł z zasłoniętymi oczami w kozi róg i zamiast z niego wybrnąć, pograżał się z każdym słowem.

– Nic się nie dzieje. – Marta znów się uśmiechnęła, choć inaczej, czujnie. Jej źrenice się rozszerzyły. Napięła mięśnie w gotowości do ucieczki.

Do tej pory nie złapano mordercy, a policja nic nie ustaliła na jego temat. Poruszając niewdzięczny temat, Daniel mógł wzbudzić podejrzenia dziewczyny. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Wstał.

– Powinniśmy już chyba spadać. Zrobiło się późno, ale jutro też możemy się spotkać.

Marta również wstała. Daniela zdziwiło, jak szybko potrafią się zmieniać jej uczucia. Na jej twarz wrócił pogodny wyraz, a wzrok wydawał się błędzić po krainach marzeń, do których tylko ona miała

dostęp.

Podeszła do niego. Światło latarni odbijało się w jej oczach, niczym księżyc w lustrze wody. Rozchyliła lekko usta. Daniel poczuł przez koszulkę dotyk pełnych piersi. Nim zdążył złapać oddech, jego spodnie wypełniła potężna erekcja.

– Chodź – powiedziała cichym, kuszącym głosem, złapała go mocno za rękę i pociągnęła za sobą.

Przeszli przez świeżo skoszony trawnik. Woń uschniętej trawy wydawała się mocniejsza niż w ciągu dnia. Przywodziła na myśl sianokosy. Daniel wrócił pamięcią do czasów, gdy miał dwanaście lub trzynaście lat, kiedy to żyli jego dziadkowie, u których spędzał lato, rozkoszując się zapachem siana.

Weszli w zarośla, by po chwili dostać się na niewielką polanę. Miejsce otaczały krzaki i drzewa. Ze względu na późną godzinę, nie musieli obawiać się, że ktoś ich zobaczy. O tej porze miasteczko już dawno spało.

Marta odwróciła się i niemal rzuciła na niego. Wpiła się wargami w jego usta, wolną dłonią mocno ściskając zgrubienie na kroczu. Silny chwyt okazał się tak przyjemny, że nie mógł powstrzymać jęknięcia. Jedną ręką objął ją w pasie, drugą chwycił pierś. Czuł jej ciepło przez stanik i delikatny materiał sukienki.

To wszystko było niesamowite, zwłaszcza dla żółtodzioba. Nigdy nie posiadał dziewczyny; żadnych szybkich numerków, czy epickiego pieprzenia w łóżku rodziców pod ich nieobecność. Jedyna jego wiedza na temat seksu brała się z mocno naciąganych opowieści kolegów oraz jeszcze bardziej abstrakcyjnych pornosów.

Rozpiął pasek i opuścił spodnie aż do kostek. Szybko ściągnął koszulkę, odsłaniając tatuaż przedstawiający drzewo. Z jednej gałęzi zwisały sznurki tworzące huśtawkę; siedziała na niej jakaś postać. Po drugiej stronie drzewa, tuż obok pnia, znajdował się nagrobek. Całość symbolizowała równowagę między życiem a śmiercią. Ze zrozumiałych przyczyn nie zwrócił uwagi na to, że zabawia się z Martą praktycznie pod takim samym drzewem, jakie widniało na jego tatuażu. Brakowało tylko huśtawki i nagrobka.

Nagle pojawiło się silne białe światło. Daniel z jękiem zacisnął powieki i w tej samej chwili odniósł wrażenie, jakby coś rozsadzało go od środka. Z początku przypuszczał, że to potężny wytrysk, gdyż zostało mu zaledwie kilka pchnięć. Zamiast tego jego ciało przeszył ogromny ból i falą rozszedł się aż po czubki palców. Niemal słyszał chrzęst niszczonej mięśni, pękających narządów oraz łamanych kości.

Na sekundę przed osiągnięciem pierwszego orgazmu, Daniel został rozerwany na strzępy.

Rozdział 16

Rozgorączkowany Marcin drżał na całym ciele. Umył się i przebrał w stare sztruksy i flanelową koszulę Sławka. Może ubrania nie pasowały do fana muzyki heavymetalowej, ale lepsze takie od zasikanych dżinsów.

Siedzieli przy stole w milczeniu. Spojrzał na kubek herbaty, ale jego boleśnie ściśnięty żołądek sygnalizował, że jak wypije choć łyk, to wymiotuje. Nogi miał jak z waty. Przemęczone mięśnie zmagaly się z ogromnymi ilościami kwasu mlekowego. Najbliższe dwa lub trzy dni upłyną mu pod znakiem zakwasów i problemów z poruszaniem się. Mógł jedynie liczyć na to, że nie odwiedzi go wtedy Świecący Człowiek.

Spojrzenia Sławka i Darii naruszały jego strefę komfortu. Najwyraźniej czekali aż nieco się uspokoi. Później zaczną się pytania i w końcu będzie musiał opowiedzieć, co za straszycło zagoniło go do ich domu w samym środku nocy.

Sławek zapalił papierosa. Daria tym razem nic nie powiedziała. Sama wzięła jednego z leżącej na stole paczki. Zaciągnęła się dymem i wypuściła go, pokaślując. Jako nastolatka trochę popalała, ale nigdy nie wciągnęła się w nałóg. Stąd protest nieprzywykłych płuc, lecz to nie powstrzymało Darii przed kolejnym zaciągnięciem.

Zapach tytoniu nieco otrzeźwił Marcina.

– Mogę jednego?

– Jasne, bierz ile chcesz.

– Dziękuję.

Jego ręka tak się telepała, że nie dał rady samodzielnie odpalić papierosa. Czuł się jak pijak w zaawansowanym stadium delirium.

– Kurwa – zaklął.

Zobaczył przed sobą lekko drżący płomyk. Przystawił do niego papierosa i zaciągnął się. Nikotyna zadziałała uspokajająco. Wypuścił siną chmurę dymu i zamknął na moment oczy. Szukał odpowiednich słów. Nigdy mu nie szło zbyt dobrze w te klocki. Kto by pomyślał, że zaledwie pół godziny temu siedział pod drzewem, rozważając pisarską karierę.

Nonsens, pomyślał.

Przypomniała mu się chwila, w której odniósł swój pierwszy mały-wielki sukces gitarzysty. Dostał się do wojewódzkiego konkursu młodych talentów organizowanego przez Dom Kultury. Zmiażdżył konkurencję, wygrywając szalone solówki, prezentując doskonałą technikę. Wywarł ogromne wrażenie praktycznie na wszystkich

jurorach. Oczywiście zawsze znajdzie się ktoś z odmiennym, niekoniecznie słusznym, zdaniem. Jeden stary kutas stwierdził, że to, co właśnie usłyszał, do niczego się nie nadaje i z takim „talentem” może szukać szczęścia najwyżej w garażu. Ewidentnie facet leciał na cysatą licealistkę, która wyła jak zranione zwierzę. Jedynymi jej atutami był odważny dekolt i zgrabne nogi, ale do śpiewania nadawała się tak, jak on do seminarium.

Wtedy przyjechała lokalna telewizja. Zaczepił go młody dziennikarz i poprosił o krótki wywiad. Gdy później oglądał ten materiał, w duchu dziękował montażyście za wycięcie jakaniny stanowiącej lwią część jego wypowiedzi.

Tamtego dnia stawiano mu łatwe pytania: kiedy zaczął grać, skąd czerpał inspirację. Poproszono go także o radę dla rozpoczynających naukę gry na gitarze. Teraz jednak sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Wiedział, że będzie musiał opowiedzieć o tym, co się stało i pojawi się mnóstwo trudnych pytań.

– Widzieliście, co mnie gonilo? – wychrypiał, po czym ponownie się zaciągnął. Skupił wzrok na koniuszku papierosa.

– Tak – odparł Sławek. – I nawet wiemy, czym to jest.

Nagły ból piszczeli rozlał się aż do kolana. Dopiero po chwili Sławek zorientował się, że żona sprzedała mu kopniaka sprowadzającego się do ostrzeżenia: zamknij się.

Spojrzał na nią z namysłem.

– Nie możemy tego dłużej kryć – oznajmił. – To zaszło za daleko.

Daria w milczeniu piorunowała go wzrokiem. W oczach męża widziała upór. Jego decyzja nie podlegała dyskusji. Musiała mu ulec i tyle. Sławek zawsze realizowali swoje postanowienia i nikt ani nic nie mogło zmienić jego zamierzeń – pozostawało jej zacisnąć zęby i pogodzić się z tym faktem.

– No ok – powiedziała wreszcie. – I tak z tobą nie wygram.

– Dobrze. – Sławek szybko dopalił papierosa, po czym nerwowo rozgniół niedopałek w popielniczce.

Otworzył usta, lecz głos uwiązł mu w gardle. Myślał, że przebył już etap najcięższych rozmów: tłumaczenie się rodzicom z wagarów, pytanie, skąd biorą się dzieci, oświadczyzny, dogadywanie się z dzieckiem, odpowiadanie na jego pytania o to, skąd biorą się dzieci... W tym momencie okazało się, że są inne, cholernie trudne tematy.

Odetchnął, przełykając gulę, która wyrosła mu w gardle.

– Ile razy widziałeś Artura? – wychrypiał.

– Artura? – Marcin spojrzał na nich pytająco. Nie znał żadnego Artura. Nie orientował się, czy w ogóle w tym miasteczku żyje ktoś o takim imieniu.

– Świecącego Człowieka – podsunęła Daria.

– Wow, nie wiedziałem, że ten potwór ma imię – odparł nastolatek, marszcząc czoło w zastanowieniu. – Trzy razy.

– Trzy?! – Sławek wytrzeszczył oczy. – Chyba życie cię lubi.

– Może tak, ale powoli zaczynam w to wątpić. Od kilku dni trwam w ciągłym strachu, że w końcu mnie dopadnie i skończę tak, jak Wiktor i Kamil.

– To ty z nimi grałeś w garażu, gdy to się stało?

– Tak – odparł, spuścił głowę i zamilkł. Powstrzymywał łzy. Nie chciał się mazać przy ludziach, którzy go uratowali. Już okazał brak honoru, szczając w gacie na środku ich sypialni. Nie musiał pogarszać swojej sytuacji.

Sławek dał czas chłopakowi. Zdawał sobie sprawę, że to dla niego trudne. Wszak spotkania z Arturem nie należały do przyjemnych doświadczeń. Wiedział, co jego syn zrobił z tymi nieszczęśnikami, a ponadto widział go na miejscu potwornego wypadku, który wydarzył się zaledwie kilkanaście godzin temu.

– Kim jest Artur? – zapytał Marcin, przerywając przedłużającą się ciszę.

– Naszym synem – odparł Sławek, a następnie w dużym skrócie opowiedział nastolatkowi całą historię. Wspomnienia wywołały ból, rozrywały ledwie zabliznioną ranę. Popłynęła z niej świeża krew, a łzy pojawiły się w jego oczach tak nagle, że nie od razu zorientował się, że ma mokre policzki.

Marcin uważnie słuchał. Kiwał głową, dając znać, że słowa do niego docierają. Opowieść Sławka była niewiarygodna. Przyszedł do nich ktoś, kto zaoferował, że magicznym sposobem wskrzesi ich syna. Scenariusz jak z kiczowatego horroru, ale otoczka realizmu zupełnie zmieniała postać rzeczy.

Nastolatek miał mętlik w głowie, aczkolwiek wierzył w każde słowo, jakie usłyszał od Sławka i Darii. Gdyby wyssali tę historię z palca, nie mówiliby o tym w tak emocjonalny sposób. Oczywiście ludzie potrafili udawać. Raz kumpel opowiadał mu, jak jego była dziewczyna symulowała orgazmy. Całkiem nieźle opanowała tę sztukę, gdyż nie zorientował się przez pół roku ich związku. Ludzie zgrywali niewinnych, gdy zostali przyłapani na kradzieży, a jego ojciec udawał, że nigdy nie przeleciał swojej „przyjaciółki z piaskownicy”. Wszystkie te przypadki łączyło uciekanie wzrokiem w bok, szybka zmiana tematu i nagły, niczym nieuzasadniony pośpiech. W przypadku Darii i Sławka rozmowa przebiegała wolno, z nieustannym kontaktem wzrokowym. Ponadto Marcin uważał, że tak negatywnych emocji nie da się udawać.

Sławek dotarł do końca opowieści. Wypił pół szklanki wody i zapalił

kolejnego papierosa. Jego dłonie drżały.

– Nie macie pomysłu, kim jest ta stara baba? – zapytał, gdy cisza po raz kolejny zaczęła doskwierać.

– Nie – odparł Sławek. – Od tamtej pory jej nie widzieliśmy. Nic też o niej nie słyszeliśmy, a myślę, że osoba o takich zdolnościach byłaby tu znana.

– Możliwe – przyznał Marcin. Przypomniawszy sobie internetowych i telewizyjnych wróżbitów podających się za medium. Zwykle wrzucał ich popisy do worka z bajkami. Nie wierzył, że da się porozmawiać ze zmarłym, czy wybrać w astralną podróż. Tymczasem otrzymał niezbity dowód na istnienie jakiejś formy pozagrobowej egzystencji. Wystarczyła starsza kobieta z odpowiednimi zdolnościami oraz wyjątkowo zdesperowani rodzice, którzy zechcą współpracować.

– Jak do tego doszło?

Marcin podskoczył jak oparzony. Zwrócił się w stronę Darii, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego skupienia. Wyglądał, jakby kobieta zadała mu pytanie w obcym języku, a ten, zamiast pokręcić głową na znak, że nic nie rozumie, usilnie próbuje udawać, że wie o co chodzi.

– Co? – zapytał po chwili.

– Może inaczej... Co się stało z twoimi kolegami? Słyszeliśmy różne wersje, a za każdym razem, jak ktoś o tym mówi, odnosimy wrażenie, że dokłada swoje trzy grosze do opowieści.

– Widzę, że teraz dla mnie zaczyna się cholernie ciężki temat. – Pomimo poważnego tonu, Marcin uśmiechnął się słabo; co prawda, grymas kojarzył się bardziej z nagłym atakiem bólu brzucha.

– Oko za oko – rzekł Sławek, wyciągając papierosy w stronę nastolatka.

Po raz kolejny przyszło mu brnąć przez ten koszmar. Próba, jaramie zioła i nagłe pojawienie się Świecącego Człowieka. Gdyby opowiedział coś takiego szerszej publiczności, nieświadomej jak poważna jest sytuacja, prawdopodobnie już jechałby do pobliskiego zakładu dla czubków.

Najgorsza część opowieści dotyczyła chwili, kiedy Wiktor z Kamilem wybiegli na spotkanie Arturowi. Gdy dotarł do momentu, w którym ciała jego kumpli po prostu wybuchły, głos mu się załamał. Nastąpiła ciężka cisza. Spalił kolejnego papierosa i wypił łyk herbaty. Żołądek podskoczył, lecz nie zanosilo się na to, aby chciał pozbywać się zawartości.

Zebrał się w sobie i opowiedział o ucieczce oraz o tym, jak wrócił na drugi dzień. Przyznanie się do egoizmu wynikającego z głupiej chęci pogrania na gitarze stanowiło spore wyzwanie, lecz czuł się zobowiązany do całkowitej szczerości. W końcu gdyby nie oni, Marcin najprawdopodobniej zakończyłby swój nocny maraton w kawałkach.

– Jasna cholera... – Sławek potarł pokryty szczecina policzek.

– Ano...

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak źle.

– Bo Artur nie poluje na ciebie.

– Ale przyszedł do nas – wtrąciła Daria. – Hałasował w pokoju na górze, ale nie robił nic poza tym.

– Lepiej dla was – odparł Marcin. – Gdyby chciał was zabić, zrobiłby to bez problemu. Nie wiem, jakim cudem wciąż udaje mi się mu umknąć. Widocznie jestem cholernym farciarzem.

– Tu ci przyznam rację.

Sławek wstał. Po chwili wrócił z gazetą i zabrał się do przekładania stron. Gdy trafił na właściwy artykuł, rozłożył gazetę na stole i wskazał na jedno ze zdjęć.

– Widzisz?

Marcin spojrział na fotografię. Od razu domyślił się, kim jest widoczna na pierwszym planie staruszka.

– Ona sprowadziła Artura – stwierdził Marcin.

– Czyli widzisz zdjęcie – rzekł Sławek.

– No widzę, a czemu niby miałbym nie widzieć?

– Znamy się z pewną starszą kobietą. Uznałem ją za najlepszą osobę, której mogliśmy zapytać o radę, więc poszliśmy do niej zaraz po tym, jak trafiliśmy na tę fotografię. Chciałem jej pokazać zdjęcie w nadziei, że rozpozna staruszkę. Zgadnij, co się stało.

Marcin przecząco pokręcił głową.

– Zdjęcie zniknęło.

– O cholera.

– No...

Marcin ponownie spojrział na gazetę. Wyglądało na to, że żadna z osób na zdjęciu nie dostrzegła staruszki. Po kręgosłupie przeszedł mu nieprzyjemny dreszcz.

– Chyba mam pewne wytłumaczenie – palnął Marcin, zanim zdążył ugryźć się w język. W zasadzie nie był pewien swojej tezy, ale skoro już zaczął, wypadało dokończyć.

– Jakie? – zapytała Daria.

– Tę kobietę widzą tylko osoby, które trafiły albo na nią, albo na Artura – oznajmił. – Czy ta wasza znajoma zetknęła się z nimi?

– Nie – odparł Sławek.

– Skąd ta pewność? – zapytała Daria. – Przecież nic nam nie mówiła.

– Właśnie stąd. Gdyby coś wiedziała, to podzieliłaby się tym z nami. No i zareagowałaby na zdjęcie.

– Chyba masz rację.

– Znam Laureę od lat i nie sądzę, aby coś przed nami ukrywała.

Ponownie w kuchni zrobiło się cicho. Marcin poczuł, jak zaczynają mu ciążyć powieki. Zbliżał się świt i nieprzespana noc dawała mu się we znaki. Mimo to bał się, że w trakcie snu Artur postanowi przyjąć do niego z wizytą.

– Co z tym zrobimy? – zapytała Daria.

– Nie wiem – przyznał Sławek. – A ty masz jakiś pomysł? – zwrócił się do Marcina.

– Ja? – Zdziwiony nastolatek wskazał na siebie palcem. – Nie wiem, czy dożyję kolejnego wieczora. Nie znam tej baby i nigdy jej nie widziałem, choć dość dobrze zapamiętuję twarze. To mała miłośnica. Nieznajomi przykuwają uwagę.

– Rozumiem – odparł Sławek.

– Nie jestem pewny, ile czasu dam radę tak uciekać. Obrął mnie sobie za cel i w końcu mnie dopadnie.

– Wiemy... – rzekła Daria. – Uważam, że powinniśmy się z nim spotkać. – Słowa te skierowała do Sławka.

– Tak... – przyznał. – I co mu powiesz? Kazesz mu przestać zabijać, bo dostanie klapsa i szlaban?

– Nie bądź opryskliwy.

– Nie jestem. – W głosie Sławka pojawiła się nuta zniecierpliwienia. Po chwili jednak nieco się uspokoił. Przemyślał sugestię żony, skinął głową.

– Ja odpadam – powiedział Marcin, nie kryjąc strachu.

– Nie wymagamy tego od ciebie. Nawet lepiej, gdybyśmy sami z nim porozmawiali – odparł Sławek. – Jeżeli pamięta czasy sprzed śmierci, to możliwe, że tylko my jakoś nad nim zapanujemy.

– Oby. – Marcin spojrział przez okno. Wkrótce nadejdzie świt; ten fakt wcale nie przyniósł mu ulgi. Miał świadomość, że Artur nie jest wampirem. Mógł go dopaść zarówno w dzień jak i w nocy.

– Daj swój numer – poprosił Sławek. – Wszyscy w tym siedzimy i prawdopodobnie przyda nam się twoja pomoc.

– Jasne – odparł Marcin, po czym podyktował ciąg cyfr. Nie uśmiechało mu się zbliżanie do Artura, lecz gdyby nie Sławek i Daria, to zostałyby z niego krwawa miazga rozbryźnięta w promieniu kilkudziesięciu metrów. Był im winien przysługę.

Chwilę później Marcin podziękował za wszystko, co dla niego zrobili i ostrożnie wyszedł z ich domu. Na nocnym niebie pojawiły się ciężkie chmury i siąpiła nieprzyjemna mżawka. Chłodny wiatr bezlitośnie kasał odsłonięte części ciała. Sławek i Daria proponowali mu przespanie się na kanapie w salonie, lecz odmówił. Chciał zostać sam, miał dość rozmowy o Świecącym Człowieku. Podjął ryzyko powrotu do domu pod osłoną

nocy.

Rozglądał się na boki niczym wystraszony kot. Musiał zachować maksymalną czujność. Niewykluczone, że za którymś z tych krzaków czy drzew ukrywał się Artur.

Idąc szybkim krokiem, doszedł do wniosku, że po raz pierwszy w życiu tak bardzo pragnie wrócić do domu.

Rozdział 17

Od dziesięciu lat nie było nocy, aby Laura nie musiała wstawać przynajmniej trzy razy. U osób starszych bywało przeróżnie ze snem. Jedni spali jak zabici przez wiele godzin, inni sypiali krótko, zupełnie jakby chcieli kosztem snu przedłużyć jesień życia. Niezależnie od ilości przespanych godzin, poranki i tak zawsze były dla nich wszystkich ciężkie i senne.

Laura wymacała włącznik lampki, po czym wsunęła lekkie pantofle. Przez chwilę siedziała bez ruchu. Kolejna rzecz dotycząca wielu osób w podeszłym wieku – nie wstawać zbyt szybko, by uniknąć zawrotów głowy lub mroczków. Poza tym, Laura miała również problemy z kręgosłupem. Ból wyjątkowo mocno dawał się we znaki, co zapowiadało deszczowy dzień.

Chwyciła się starego ciężkiego biurka, które stało przy łóżku i z jęknięciem wstała. Stawy zatrzeszczały.

W nocy jej mózg działał na zwolnionych obrotach. Niekiedy nachodziła ją upiorna myśl, że zaczyna odczuwać pierwsze oznaki Alzheimera. Ta choroba wywoływała u niej strach, odkąd przekroczyła sześćdziesiątkę. Wolałaby umrzeć nagle. Zawał albo późno wykryty nowotwór złośliwy. Stosunkowo łatwa śmierć, trochę bólu i po krzyku. Alzheimer natomiast postępował powoli, sukcesywnie zamieniając mózg w rozmoknięte płatki na mleku; w bezużyteczną papkę, która wreszcie zapomina, do czego została stworzona. Niekiedy degradacja trwała wiele lat, podczas gdy człowiek robił pod siebie i cofał się w rozwoju do czasów, kiedy jeszcze nie potrafił powiedzieć „mama”. Taka wizja przerażała Laurę. Widziała na własne oczy osoby chore zarówno na Alzheimera, jak i raka, i nadal uważała, że druga opcja jest znacznie lepsza.

Ostrożnie wstała i zachwiała się. Złapanie równowagi wymagało skupienia i odrobiny uporów. Najgorszym momentem w ciągu doby było zwleczenie się z łóżka, kiedy stawy działają jak nienaoliwione zawiasy, a mózg wydaje się skołowany faktem zmiany pozycji ciała. Trwało to zaledwie kilka minut, lecz pozostawiało niesmak na długo.

Gdy upewniła się, że po przejściu dwóch kroków nie wyląduje na podłodze, Laura podreptała do łazienki i pod czujnym okiem obu kotów załatwiła swoje potrzeby. Po wyjściu z toalety stwierdziła, że już tej nocy nie zaśnie. Resztki snu zostały splukane wraz z wodą, a na ich miejscu pojawiła się zaduma.

Starzy ludzie mają na rozmyślanie całe dni, choć często z tego nie korzystają. W końcu jednak pojawia się moment, który skłania ich do

refleksji. Zazwyczaj kilka minut przed zaśnięciem, kiedy analizują przebieg minionego dnia lub snują błogie marzenia.

W przypadku Laury przemyślenia dotyczyły całego życia. Wiedziała, że nie zostało jej go już wiele, dlatego robiła porządki w swojej głowie, jak człowiek szykujący się na długie wakacje. Noc nadawała się do tego idealnie. Brakowało jej tylko rumianku i wygodnej ławeczki w ogródku.

Poszła do kuchni, aby wstawić wodę. Ze zdziwieniem zauważyła, że ma ostatnią torebkę ziół. Do tej pory pamiętała o regularnym uzupełnianiu zapasów. Usilnie starała się przekonać samą siebie, że jej zapominalstwo nie musi od razu oznaczać demencji.

Z elektrycznego czajnika uniosła się para. Urządzenie trzęsło się, a z jego wnętrza dobiegał narastający bulgot. Po chwili ciche kliknięcie obwieściło, że woda jest zagotowana.

Nalała wrzątku do kubka, po czym ostrożnie zaniósła naczynie do ogrodu. Usiadła wygodnie i obserwowała unoszącą się leniwie parę. Nocne powietrze przyjemnie chłodziło, co stanowiło kolejną zapowiedź deszczowego dnia. Gęste chmury przysłoniły gwiazdy, przez co noc nie należała do najpiękniejszych, jakie widziała.

Z westchnieniem oparła się, czemu towarzyszył jęk starych desek.

Kiedyś to oparcie pęknie, a razem z nim mój stary kręgosłup, pomyślała, wiedząc, że i tak te deski pozostaną w jednym kawałku jeszcze długo po tym, jak ona spocznie w grobie.

Powiał lekki wietrzyk. Z jednej strony bardzo przyjemny, z drugiej niosący ze sobą coś dziwnego; coś, co się jej nie spodobało. Przez dłuższy czas nie mogła dojść do tego, cóż stanowiło źródło niepokoju. Odpowiedź przyniósł dopiero kolejny, nieco silniejszy podmuch.

– Dziwnie pachnie – mruknęła pod nosem, ostrożnie wciągając zapach kojarzący się z ozonem. Zupełnie tak, jakby przeszła burza, choć tej nocy jeszcze nie spadła ani kropla deszczu. W innym wypadku jej sen zostałby gwałtownie przerwany pierwszym grzmotem. Poza tym, na ławce nie znalazła najmniejszych śladów wilgoci.

W tej woni znajdowało się coś jeszcze. Musiała jednak poczekać na kolejny lekki podmuch, aby to wychwycić.

– Szpital – powiedziała do siebie. – Tu śmierdzi jak w szpitalu.

Czuła wyraźnie te zapachy. Detergenty, leki, choroba i... ozon. Mieszanka specyficznych aromatów sprawiła, że jej receptory zapachowe niemal oszalały, choć nie wiązało się to ze strachem czy zdziwieniem, wręcz przeciwnie – odniosła wrażenie, że doskonale zna tę woń. Cieszyła się, jakby spotkała kogoś, kogo nie widziała przez bardzo długi czas. Ten z pozoru przykry zapach niemal wprawił ją w radość.

Ostatni przeblysł świadomości zmusił ją, aby pochyliła się nad kubkiem z rumiankiem. Wdychała aromat ziół, czując ulgę. Dziwna

euforia minęła, lecz nie pozostała bez echa.

Już wiedziała, że egzystencjalne rozterki zostawi sobie na kiedy indziej. Teraz w jej głowie panował lęk. Ten zapach nie był niczym normalnym. Jego źródło znajdowało się niedaleko, lecz strach nie pozwolił jej na sprawdzenie, gdzie dokładnie.

Zaniepokoiła ją również nieobecność kotów. Noc stanowiła ich ulubioną porę doby i zazwyczaj, gdy pogrążona w kontemplacjach siedziała w ciemnym ogrodzie, koty beztrąsko ganiały nieopodal lub próbowały polować na myszy i inne drobne stworzenia. Tej nocy najwyraźniej wołały zostać w domu, co zupełnie do nich nie pasowało.

Poczuła wilgoć na czubku nosa. Gdy sięgnęła do niego dłonią, spadła na nią kolejna kropla deszczu.

Laura wstała, zapominając o rumianku. Żwawym jak na swoje lata krokiem udała się w stronę ganku.

Nagle usłyszała szelest. Jej serce zabiło szybciej. Chciała uciec do bezpiecznego domu, lecz sztywne nogi nie pozwalały ruszyć się z miejsca. Stała i obserwowała podwórko, drżąc na całym ciele.

Jej uszu dobiegł odgłos nierównych kroków. Zupełnie, jakby zbliżający się człowiek odniósł poważne rany lub przesadził z piwem.

Usiłowała wyteńczyć wzrok, lecz mrok nocy zdawał się złośliwie przybierać coraz ciemniejsze odcienie. Starannie przycięte krzewy i zadbane kwiaty – obiekt zazdrości wielu sąsiadek – stały się bezkształtną masą, która niczym czarna dziura pochłaniała resztki światła.

Zobaczyła niewyraźny kształt, a chwilę później poczuła, jakby ktoś usiadł jej na klatce piersiowej, brutalnie wyciskając z płuc powietrze. Co gorsza, deszcz przybierał na sile, ograniczając widoczność. Laura nawet nie potrafiła określić płci intruza.

Zaniepokoiło ją zachowanie tej osoby. Zamiast się odezwać lub zaatakować, obcy po prostu stał jak słup soli.

Jest pijany, ograniczony umysłowo, czy zastanawia się, co zrobić?

Myśli zmieniały się niczym w kalejdoskopie, a każda zdawała się gorsza od swej poprzedniczki. Rozważyła scenariusze reakcji złodzieja na jej widok.

A jeżeli to...

Morderca.

W gardle Laury rodził się krzyk. Zebrała całą siłę, jaką dysponowały jej stare płuca, aby rozedrzeć się i pobudzić sąsiadów. Może w ten sposób uda jej się uniknąć śmierci, choć – tak na marginesie – nawet to wydawało jej się lepsze niż pieprzony alzheimer.

Nagle człowiek zachwiał się i upadł. Uszu starszej kobiety dobiegł jęk, który zidentyfikowała jako należący do młodej kobiety.

Skurcz mięśni momentalnie ustąpił. Zachwiała się, lecz ostatecznie

udało jej się zachować równowagę. Na jej podwórku jakimś cudem znalazła się młoda, prawdopodobnie ranna, kobieta. Zdziwiło ją, że w ogóle nie usłyszała, jak ta przechodziła przez płot. Kilka lat temu miała suczkę labradora, Jurę. Jak na prawdziwego psa przystało, do jej głównych zajęć należało robienie podkopów. Laura jakoś nadażała za swoim pupilem i zawsze zakopywała świeże doły. Była pewna, że pod płotem nie ma żadnej dziury, a już zwłaszcza tak dużej, by mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Kobieta musiała zatem przejść górą.

Chyba robisz się głucha, ślicznotko, pomyślała z przekąsem, po czym chwiejnym krokiem podeszła do nieznajomej.

– Wszystko w porządku? – zapytała i zaraz wytknęła sobie głupotę. Młoda kobieta przychodzi w środku nocy na jej podwórko i pada ledwie przytomna. Nie trzeba geniusza, żeby zorientować się, że coś jest nie tak.

Dziewczyna nagle poderwała się i stanęła niemal na baczność. W mroku deszczowej nocy nie dało się jednoznacznie stwierdzić czy jest blondynką, czy brunetką.

Laura spojrzała niżej i zamarła. Ubranie dziewczyny zostało podarte na strzępy. Stanik gdzieś zniknął, odsłaniając pokryte zadrapaniami, kształtne piersi. Po jej gołej nodze spływała ciemna substancja, najprawdopodobniej krew.

W jednym momencie do Laury dotarło, co się stało. Ciężar, jaki odcisnęły na niej przeżyte wiosny, znacząco zmalął. Za sprawą zdenerwowania nabrała wigoru, jakby znów miała czterdzieści lat; mogła przenosić góry. Ogarnęła ją bezgraniczna złość. Gdyby ten skurwysyn się tutaj pojawił, oberżnęłaby mu jaja razem z fiutem i kazała je zeżreć.

– Chodź, kochanie – powiedziała, po czym delikatnie objęła dziewczynę. Ta nawet nie zaprotestowała. Po prostu dała się zaprowadzić do domu.

Widok okazał się gorszy niż przypuszczała. W pierwszej chwili dostrzegła, że jej kobiecy instynkt ma się równie kiepsko, jak sen czy szwankujący kręgosłup. Blond włosy tego wieczoru zapewne starannie ułożone, pozlepiały się błotem w strąki pełne patyków, liści i igliwia. Ciało znaczyły fioletowe sińce i głębokie zadrapania. Z rozciętej wargi leniwie płynęła krew, a oczy kojarzyły się ze ślepiami oszałałego ze strachu konia. Dziewczyna wydawała się nie rozumieć, co się dookoła dzieje.

Laura zasłoniła usta drżącą dłonią. Nie zamierzała postępować w tak ostentacyjny sposób, ale odruch należał do bezwarunkowych. Jedno szybkie spojrzenie między nogi dziewczyny potwierdziło jej obawy. Widok może nie zrobiłby na niej aż tak makabrycznego wrażenia, gdyby nie wystający z pochwy kikut. Przypominało to krwawą narośl, ignorowanego guza, który po wielu miesiącach osiągnął monstrialne

rozmiary.

– Chcesz się umyć, czy nie czujesz się na siłach? – usłyszała swój głos.

Blondynka zamrugała nieprzytomnie. Po dłuższym momencie w jej oczach pojawił się wyraz zrozumienia. Zupełnie jakby dźwięk musiał pokonać ogromną odległość, nim dotarł do ucha.

– Ja... ja... – Dziewczyna opadła na krzesło i rozplakała się. Laura usłyszała mokre pacnięcie. W pierwszej chwili powiedziała sobie, że się powstrzyma, lecz ludzka ciekawość szybko wzięła górę. Ukradkiem zerknęła pod krzesło i omal nie krzyknęła. Na podłodze jej kuchni leżał oderwany penis. Wyglądał jak poszarpany kawałek skóry, lecz nie dało się go pomylić z niczym innym.

Boże Wszchemogący, jeżeli naprawdę istniejesz, spraw, proszę, żeby to był tylko wyjątkowo popieprzony sen, pomyślała z rozpaczą. Wiedziała, że jeżeli Bóg usłyszał jej prośbę, z pewnością nie jest zachwycony jej słownictwem.

Pojawił się Maks. Najpierw spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę, później skierował wzrok pod krzesło, na którym siedziała. Jego źrenice momentalnie się rozszerzyły; poruszył koniuszkiem ogona.

– Uciekaj! Psik! WYNOCHA!!! – krzyknęła Laura, wymachując rękami.

Sploszony kot spojrzał na nią z nieskrywaną nienawiścią. Wiedziała, że w ciągu najbliższych dni zwierzę dokona zemsty poprzez załatwianie swoich potrzeb w najmniej dostępnych zakamarkach, lecz wolała taki obrót spraw niż widok pupila pożywiającego się ludzkim penisem.

Wzięła głęboki oddech. Musiała dać dziewczynie nieco ochłonąć. Stanie nad nią miało się z celem. Spotkało ją coś znacznie gorszego od gwałtu. Męskie genitalia nie są przyczepiane na rzep. Wyrwanie ich na pewno nie należało do łatwych czynności, chyba że dziewczyna miała nóż i zrobiła zwyrodnialcowi to, na co zasłużył. Jednakże powątpiewała w taki scenariusz.

Po raz kolejny włączyła czajnik. Tym razem wyciągnęła kawę. W jej domu kawa była przeznaczona tylko dla gości. Sama jej nie piła, gdyż zbyt dużo naczytała się o jej złym wpływie na serce. Dziewczynie jednak przyda się coś, co postawi ją na nogi.

– Przepraszam za najście.

Laura odwróciła się.

– Daj spokój, dziecko. Lepiej, że trafiłaś tutaj niż do jakiegoś innego zboczeńca.

– Słucham? – Na pokiereszowanej twarzy blondynki pojawił się wyraz zaskoczenia.

– No... – Laura poczuła się jak niezbyt inteligentne dziecko wywołane przez nauczyciela do tablicy.

– Uważa pani, że ktoś mnie skrzywdził.

– Tak.

Wyłączył się czajnik. Laura zyskała pretekst, żeby się odwrócić i ukryć zakłopotanie. Nalewała wody do kubka najwolniej jak mogła. W jej głowie szaleńczo wirowały myśli i nie dało się ich uporządkować w spójną całość.

Nie mogła przedłużyć w nieskończoność. Kubek był już wypełniony po brzegi. Ostrożnie zaniósła dziewczynie kawę i przysiadła się, usiłując nie zwracać uwagi na leżące na podłodze, sflaczałe prącie.

– Dziękuję. – Dziewczyna upiła łyk kawy, nawet nie zwracając uwagi na brak cukru. Po jej minie dało się wywnioskować, że wcale nie przeszkadza jej ten ohydny smak. Albo tak bardzo lubiła kawę, albo szok przyćmił jej zmysły. Laura obstawiała to drugie.

– Dobra kawa – oznajmiła blondynka; Laura przeklinała swoją intuicję.

Siedziały w milczeniu. Dziewczyna chciwie opróżniła kubek i z niepokojem zerknęła przez okno. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

– Nie bój się – rzekła Laura. – Tutaj nic ci nie grozi.

– No nie wiem... – odparła nastolatka.

– Co masz na myśli?

– Słyszała pani o tych dziwnych zabójstwach? Że coś niby rozrywa ludzi.

– W małym miasteczku ciężko nie wiedzieć o tak makabrycznych wydarzeniach. Myślę, że pewnie cała Polska już o tym mówi.

– Widziałam mordercę na własne oczy.

– Co?! – Nieprzyjemny dreszcz przebiegł przez ciało Laury. – Jak to się stało?

Marta dopiła resztkę kawy. Na jej ustach została warstwa fusów.

– On nie jest człowiekiem – powiedziała. Słowa zabrzmiały abstrakcyjnie, lecz w oczach dziewczyny było coś, co kazało Laurze dać im wiarę.

– W takim razie czym on jest?

– Wygląda jak człowiek, ale świeci.

– Świeci?

– Tak. Cały. Zupełnie jak chodząca żarówka. Widziałam go, kiedy... – Zawiesiła głos, a na jej zmęczonej brudnej twarzy pojawił się wyraz konsternacji. – Kiedy uprawiałam seks z ko... chłopakiem.

Laura pokiwała głową. Skupiła się na ostatniej części wypowiedzi nastolatki. Najprawdopodobniej chciała powiedzieć „kolegą”, ale szybko się zreflektowała, aby nie wyjść na łatwą dziewczuchę. To, w porównaniu do Świecącego Człowieka, było nic nieznaczącym szczegółem, ale mimo wszystko przykuło uwagę Laury.

– Pojawił się nagle – kontynuowała Marta, jakby pragnęła wypełnić słowami każdą sekundę ciszy. Czuła się podle. Nie chodziło o to, że wyszła na zdziwę. Wiedziała, że starsza kobieta mogła tak o niej pomyśleć; nieznacznym skurczem na jej twarzy mówił sam za siebie.

Daniel.

Wykorzystała go do zaspokojenia swoich potrzeb. Przemek, jej seks-przyjaciel, wygrzewał się nad morzem i planował wrócić dopiero za dwa tygodnie. Od kilku dni nosiło ją do tego stopnia, że mogłaby przelecieć wszystko. Daniel w ogóle nie był w jej typie. Prosty chłopak, jakich pełno. Bez fajnego samochodu, ubrany jak obwieś i w dodatku mądrała. Teraz jego ciało walało się po parku jak rozrzucone śmieci, a przyrodzenie leżało pod jej nogami.

Z trudem powstrzymała napierające łzy. Zrozumiała, że ponosi winę za śmierć chłopaka, któremu wyraźnie na niej zależało i świadomość ta pozostanie z nią do końca życia. Nawet jeżeli kiedyś wyprowadzi się stąd, demony przeszłości nie odstąpią jej na krok.

Marta zorientowała się, że od dłuższego czasu siedzą w kompletnej ciszy. Starsza kobieta patrzyła na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu. Czekala.

– W pewnym momencie zrobiło się jasno jak w dzień. To stało się tak szybko – powiedziała. Słyszała drżenie w swoim głosie. Każde słowo przychodziło jej z coraz większym trudem. Bardziej wypluwała pojedyncze wyrazy, niż je wypowiadała. Zupełnie, jakby były czymś oślizgłym i obrzydliwym, czego jej organizm chciał się pozbyć w trybie natychmiastowym.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Marzyła o papierosie, ale jej paczka wypadła podczas ucieczki.

– To trwało sekundy. Daniel krzyknął, a mnie zalała krew. Zerwałam się i uciekłam.

– Ten Świecący Człowiek – odezwała się Laura. – Gonił cię?

– Nie jestem pewna... – przyznała nastolatka. – Wydaje mi się, że tak, ale szybko odpuścił. Było bardzo ciemno i co chwilę się przewracałam.

Laura skinęła głową. Opowieść zakrawała o szaleństwo, lecz pomimo tego wierzyła jej. Dziewczyna z pewnością nic nie brała, ani się nie upiła. Oczywiście cała historia mogła wynikać z urojenia spowodowanego przez strach.

Kolejną kwestią świadcząca o prawdziwości dziewczyny były ostatnie wydarzenia. Nieszczęśników łączył bardzo młody wiek, a ich śmierć nastąpiła w taki sam sposób – poprzez rozerwanie. Młoda na pewno o tym wiedziała, całe miasteczko nie mówiło o niczym innym. Mogło to ją zainspirować do wymyślenia tej historyjki, żeby na przykład zataić fakt zabicia gwałciciela.

Niedorzeczności mieszały się z prawdopodobieństwami, tworząc bezkształtną breję zwątpienia, lecz ostatecznie Laura uwierzyła nastolatce. Kiedyś widziała zgwałconą dziewczynę. Nie można było nawiązać z nią kontaktu, a każde dotknięcie traktowała jak kolejną napad. Siedząca przed nią blondynka dała się dotknąć i nie bała się Laury. Wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście poszła z kolegą do parku na nocne baraszkowanie.

Okrucieństwo tego wydarzenia skłaniało do refleksji nad istotą zła. Coś nadprzyrodzonego było w stanie rozszarpać młodego mężczyznę. Coś nieuchwytnego zaczęło siać strach w miasteczku i nie przestanie zabijać, dopóki ktoś tego nie powstrzyma.

Nagle Laura zapragnęła zakończyć tę rozmowę. Przez chwilę toczyła w myślach walkę z samą sobą, lecz impuls zwyciężył. Ponadto ogarnęło ją potworne zmęczenie i bezzwłocznie musiała położyć się do łóżka, aby nie zasnąć na siedząco.

– Myślę, że obie powinnyśmy się przespać – oznajmiła, po czym ziewnęła. – Miałaś ciężką noc i nigdzie nie wypuszczę cię w takim stanie.

– Ale rodzice będą się o mnie martwili, jak rano odkryją, że mnie nie ma.

– To do nich zadzwonisz albo napiszesz. Musisz się umyć i przespać. Rano jeszcze porozmawiamy.

Nastolatka chciała postawić na swoim, lecz upór, jaki widniał na twarzy Laury, odwiódł ją od sprzeciwu. Poza tym czuła się, jakby nie spała od kilku dni. Podejrzewała, że kiedy wyjdzie spod prysznic, zaśnie, nim jej głowa dotknie poduszki.

Kwadrans później odświeżona Marta pograżyła się w głębokim, acz niespokojnym śnie.

Rozdział 18

Pilnować oddechu – pomyślała. Oddech jest niezmiernie ważną kwestią przy wszelkiego rodzaju ćwiczeniach. Aneta zaczynała bieg każdego dnia, nim słońce leniwie wychynęło zza horyzontu. Taki trening dostarczał jej energii na cały dzień, poprawiał nastrój i pomagał w kontrolowaniu wagi – same plusy. Kobieta miała tendencję do tycia, a perspektywa stania się tłustą skwarką wcale jej się nie uśmiechała.

Wbiegła do parku. O tej porze panował tu zupełny spokój. Nim skończy trening, pojawiają się tu pierwsi zaspani ludzie, idąc smętnie za swoimi uradowanymi psami i zbierając po nich odchody. Jednak do tego czasu zostało jakieś pół godziny i jak na razie park był tylko do jej dyspozycji.

No... prawie. Na ławce nieopodal leżał pijak. Bijący od niego smród sprawił, że Aneta zasłoniła usta i nos. Odwróciła głowę, dlatego nie zauważyła, że pod ławką leży krwawa maź składająca się między innymi ze zdezelowanego alkoholu wątroby, zniszczonego żołądka i przeżartych wrzodami jelit.

Biegła w błogiej nieświadomości. Smród zostawiła daleko w tyle i szybko o nim zapomniała.

Oddechy – najważniejsza kwestia. Panując nad nimi, mogła biec, robiąc tylko jedną przerwę, w trakcie której nie zatrzymywała się całkowicie, lecz szła szybkim marszem. Nie odczuwała zmęczenia, ale radość i swobodę nawet pomimo kiepskiej pogody. Co prawda deszcz przestał padać jakiś czas temu, jednak zanosilo się na to, że ów dzień zdominują chmury gęste i brudne niczym smog.

Wsluchiwała się w miarowy rytm wybijany przez podeszwy. Mogłoby się wydawać, że wilgotny asfalt nie sprzyja porannemu joggingowi, lecz jej obuwiu świetnie sobie radziło w trudnych warunkach. Nie żałowała pięciu stów, jakie przed tygodniem wydała w sklepie sportowym.

Minęła gęste krzaki, gdzie leżały resztki Daniela – młodego człowieka, który na krótko przed śmiercią porzucił metkę prawiczka, choć raczej Święty Piotr nie spojrzy na niego łaskawiej. Nawet nie obrzuciła tego miejsca krótkim spojrzeniem.

Biegła dalej, na swoje szczęście nie zauważając ciał leżących pod drzewami i przy krzewach. Zupełnie nieświadomie mijała kolejnych mężczyzn i nastolatków odwiedzonych przez Świecącego Człowieka.

Damian Andres obudził się po trzeciej. Mieszkał sam, gdyż pół roku wcześniej jego żona nazwała go nieudacznikiem i stwierdziła, że marnuje życie, mieszkając z nim pod jednym dachem. Głupia cipa, nie doceniała, że ciężko pracował jako listonosz i miał prawo oczekiwać od niej ciepłego obiadu i zimnego piwa. To drugie pomagało mu przetrwać każdy cholerny dzień, choć bywały momenty, kiedy nie robił nic. Niekiedy na jego rejon nie przychodziły listy, przez co miewał zastój, lecz jego ekszona nie rozumiała, że nuda mężczy jeszcze bardziej niż tyranie.

Ciągle gadała o planach pójścia na studia i rzekomym awansie po ich ukończeniu. Nie pamiętał, na jaki kierunek poszła i gdzie dokładnie pracowała. Zapewne w jakimś urzędzie. Takie lalunie zawsze pracują w urzędach. W jego mniemaniu i tak siedziała całymi dniami na dupie, przeglądając głupoty w Internecie. On tutaj harował i przynosił pieniądze, pomimo tego, że zarabiał dwa razy mniej od tej wymalowanej dziwki.

Poszła i tyle. Może mógłby raz na ruski rok zamówić sobie jakąś panienkę, ale łatwe dziewczyny wcale nie były takie proste do zdobycia. Przede wszystkim taka przyjemność sporo kosztowała. Zabranie kobiety na kolację, kupienie jej kwiatów i jakiegoś świecącego cholerstwa na szyję wychodziło taniej niż szybkie bzykanie z dziwką. Zupełnie nie pojmował takiego stanu rzeczy. Przecież dupa to dupa. Każda baba się z nią urodziła, więc jakim prawem żąda za nią takich kosmicznych pieniędzy?! Wszystko schodzi na psy.

Usłyszał głos swojej ekszony. Mówiła mu coś na ucho, co go obudziło. Cholernie go kusiło, aby starym zwyczajem odwrócić się i trzasnąć ją w ten wysmarowany kremem na zmarszczki pysk, lecz w ostatniej chwili coś go powstrzymało.

Przez okno sączyło się jasne światło, choć zegarek wskazywał godzinę trzecią dwadzieścia. Owszem, powoli zbliżał się świt, ale jeszcze nie powinno tak dawać po gałach.

Spojrzał w bok i nic nie zobaczył; już dawno wyrzucił poduszki żony. Leżał sam w wielkim dwuosobowym łóżku. Dużo miejsca pozwalało mu sypiać w każdej pozycji, co z żoną nie zawsze się sprawdzało. Niejednokrotnie budziła go w nocy albo zatykała mu nos, gdy chrapał, przez co do pracy wstawał niewyspany. Na szczęście ten etap życia już za nim; mógł sypiać z nogą na pierdolonej głowie i nikt nie miał prawa nic mu powiedzieć. Cenił sobie ten komfort pomimo tego, że niebawem dom zmieni właściciela, bowiem na przyszły miesiąc został wyznaczony termin licytacji. Długi, jakie narobił, przekroczyły jego możliwości finansowe.

Głośno pierdnął i przekręcił się na drugi bok. Wtedy dotarło do niego, co się dzieje. Dochodzi wpół do czwartej, a na zewnątrz świeci słońce.

– Co jest, do cholery? – powiedział zachrypniętym od alkoholu i papierosów głosem, wstał i podreptał do okna.

Na początku pomyślał, że wczoraj coś wziął. Nie pamiętał szczegółów przebiegu posiadowy w knajpie, ale skoro urwał mu się film, to może coś wciągnął albo zapalił skręta z jakiegoś halucynogennego cholerstwa.

Zamknął przekrwione oczy, policzył do dziesięciu, po czym podniósł powieki. Światło tak jakby zyskało na intensywności, lecz zaraz nieco złagodniało. Oczy przyzwyczyły się do niego i stopniowo dostrzegał detale.

Jego podwórko zawaływały wszelkiego rodzaju graty. Przy zrujnowanej szopie leżały dwa stosy puszek po piwie i duży wór pustych butelek. Kaucja za każdą wynosiła trzydzieści pięć groszy, więc zostawił je sobie na czarną godzinę. Taka ilość mogła mu zapewnić dwa albo nawet i trzy dni chlania na umór. Kontrola nad finansami jest kluczem do życia w dobrobycie.

Przy szopie walał się złom. Stare garnki, jakimi niejednokrotnie rzucał o ścianę, kiedy ta cipa coś przypaliła albo przesadziła z solą, leżały w trawie, powoli napełniając się wodą. Dotarło do niego, że pada, co oznaczało cholernie ciężki dzień w pracy. Nie lubił chodzić w deszczu.

– Szlag – mruknął pod nosem.

Nie interesowały go te wszystkie graty; srał na to, że jego podwórko wygląda jak śmietnisko. Należał do szczęśliwego grona wolnych mężczyzn, nie dyrygowała nim żadna naburmuszona baba. Miał swój cholerny, artystyczny nieład i czuł się z tym dobrze.

Skupiał uwagę na „artystycznym nieładzie”, gdyż usilnie próbował zignorować coś, co zobaczył od razu, lecz niedowierzał. Na podwórku stał człowiek, który świecił, jakby regularnie jadał w restauracji McDonald’s. Pod pachą ścisnął piłkę, która nie była piłką. Damian odniósł wrażenie, że to głowa jakiegoś dzieciaka. Piłki nie zapuszczają włosów ani nie wywalają jęzora.

Postać podniosła rękę i przywołała go do siebie.

Może gdyby wytrzeźwiał, to sprawy potoczyłyby się inaczej. Prawdopodobnie otworzyłyby okno i wysłał to dziwadło do siedmiu diabłów. Pod łóżkiem trzymał wiatrówkę, której z powodzeniem mógłby użyć przeciwko natrętowi, lecz o tym nie pomyślał.

Skupił wzrok na postaci przed domem i parsknął śmiechem. Coś mu się przywidziało. Ujrzał bowiem Andrzeja – najlepszego kumpla od kielicha. Wcale nie świecił, a pod pachą zamiast głowy ścisnął litrową flaszkę. Wyglądało na to, że zamiast łożenia z ciężką torbą w deszczu, czeka go kolejny w tym miesiącu dzień urlopu na żądanie.

Dziarskim krokiem zszedł na dół, włożył zniszczone buty i wyszedł

na podwórko. Jego skacowany umysł uległ dziwnej hibernacji. Tylko raz doznał przebłysku świadomości. Zdał sobie wtedy sprawę, że jakimś cudem znalazł się w parku. Później świat rozpadł się w nicość.

W podobnych okolicznościach zginęło piętnastu mężczyzn w różnym wieku. Każdy budził się w środku nocy i widział Świecącego Człowieka, gestem przywołującego go do siebie.

Na początku mężczyźni czuli strach i niedowierzanie. Gdy próbowali odwrócić uwagę od postaci, zobaczyli bliskiego przyjaciela lub członka rodziny, który w środku nocy coś sobie zrobił bądź przyszedł porozmawiać o ważnych sprawach.

Wraz z wyjściem z domu mężczyźni skazywali siebie na śmierć. Ich umysły się wyłączały i zaczynały działać dopiero w momencie, kiedy od zgonu dzieliły ich zaledwie sekundy.

Bogdan Zieliński jako jedyny zdołał zignorować Świecącego Człowieka.

W ciągu ostatniej doby nie brakowało mu wrażeń. Najpierw nie zdążył dotrzeć do łazienki, później trafiła mu się wątpliwa przyjemność zostania świadkiem wypadku, a po tym jakiś podrostek z mikrofonem i wadą wymowy męczył go setkami bezsensownych pytań.

Świecący Człowiek pojawił się powtórnie. Nikt nie musiał mówić Zielińskiemu, że widziadło nie ma dobrych zamiarów. Przez nieszczelne okno wpadał lekki podmuch niosący ze sobą zapach medykamentów i choroby. Tak samo śmierdziało w jego pokoju, kiedy przez dwa tygodnie leżał z zapaleniem płuc.

Deszcz stukał o parapet, zaburzając równomierny szum ulewy. Minęła godzina czwarta. Często wstawał o tej porze, aby niczym początkujący strażak nieudolnie zмагаć się ze szwankującą pompą, która raz wyrzucała silne strumienie moczu, a raz, wskutek przerośniętej prostaty, w ogóle nie chciała współpracować.

Przez okno wpadał nadnaturalny blask. Zupełnie jakby ktoś ustawił przed jego domem lampę studyjną i rozkręcił ją na pełną moc. Idealnie białe światło waliło po oczach tak bardzo, że nawet ślepy mógłby je zobaczyć.

Coś nakazało starcowi wyrzeć na zewnątrz. Na początku się opierał, lecz ciekawość przemogła. Poderwał się z łóżka niczym młodszy o dobrych trzydzieści lat. Nieco chwiejnym krokiem podszedł do okna i od razu zauważył źródło światła.

– Już cię widziałem, kolego – powiedział zachrypniętym głosem,

wyciągnął z kieszeni pizamy pustą fajkę i pociągnął kilka razy. Wydmuchnął wyimaginowany dym i z powrotem schował drewniany przedmiot.

Świecący Człowiek uśmiechnął się i zaprosił Bogdana gestem, który od razu skojarzył mu się ze starym znajomym z wojska, mającym w zwyczaju wpadać w odwiedziny, aby opowiedzieć całe swoje życie.

Zerknął w lewo. Kiedyś, dawno temu, stała tam zdezelowana szopa. Dechy sprzedawał jakiemuś młodemu waśniakowi z miasta za absurdalnie wysoką cenę. Facet podobno planował przeznaczyć je do wykończenia wnętrza stu pięćdziesięciometrowej chałupy. W miejscu starej drewnianej konstrukcji znajdował się teraz kurnik, lecz ostatnie nioski wylądowały na jego talerzu jakieś pięć lat temu. Przyjdzie czas, kiedy i on rozleci się w drzazgi.

Wrócił spojrzeniem do Świecącego Człowieka. Nagłe rozkojarzenie uruchomiło mu w głowie ostrzegawczą syrenę. Coś próbowało odwrócić jego uwagę. Odszedł od okna na jeden krok.

Ręka przybysza zastygła bez ruchu w geście przypominającym nazistowskie pozdrowienie sieg heil.

– Chodź, powspominamy dawne dzieje.

Bogdan podskoczył, czując nieprzyjemne dreszcze biegnące przez całe ciało. Słowa rozległy się gdzieś blisko i nadal dało się wyłapać ich echo. Dopiero później zrozumie, że Świecący Człowiek mówił do niego w najbardziej bezpośredni z możliwych sposobów – prosto do umysłu.

– Przepraszam, kolego, ale myślę, że się nie znamy – mruknął w odpowiedzi. Nie przypuszczał, że jego rozmówca cokolwiek usłyszy, lecz po nieznacznym drgnięciu dało się wywnioskować, że odpowiedź do niego dotarła.

– Ależ mylisz się Zielonku. To ja, Zenek. Jednostka w Szczecinie. Nie pamiętasz?

– O kurwa... – Bogdan położył rękę na klatce piersiowej, jakby w obawie przed zbliżającym się atakiem serca. Ten ktoś wiedział, gdzie odbywał służbę i jakie nosił wtedy przydomek. Do tego podawał się za jego najlepszego przyjaciela z tamtych lat. Przyjaciela, który zginął pod koniec służby, włączając za tarczę strzelniczą, cholera wie po co.

Zrobił kilka kroków do tyłu. Jego nogi uderzyły w krawędź łóżka. Runął na zapoconą kołdrę i wpatrywał się w sufit bez mrugnięcia.

– To niemożliwe... – Jego głos zabrzmiał sucho i obco. Zupełnie jakby należał do innego człowieka.

– Zielonek, do cholery! A co ze strzelaniem do żab?!

Ukrył twarz w dłoniach, powstrzymując łzy. Nie potrafił dociec czy to łzy żalu, czy strachu. Zenek... jego najbliższy przyjaciel z wojska. Zawsze ratował mu tyłek, a za młodu Zieliński wykazywał ogromną tendencję

do wpadania w kłopoty. Zenek był strzelcem wyborowym, o czym Bogdan zawsze marzył, lecz brakowało mu talentu i sokolego wzroku. Często chodzili razem nad rzekę, aby postrzelać do żab. Dopiero z perspektywy lat zaczął tego żałować i wytykać sobie egoizm. Przez całą służbę przestrzegano ich przed zabijaniem dla przyjemności. Równie dobrze mogli wtedy zestrzeliwać jabłka z drzew, lecz żywy, ruchomy cel, wydawał im się atrakcyjniejszy.

– BOGDAN!

– Spierdalaj! – krzyknął starzec, czując, jak pierwsze łyzy wypełniają koryta zmarszczek, jakie w jego twarzy wyżłobił zaawansowany wiek. – Wracaj do piekła, z którego przyszedłeś. Daj mi święty spokój.

W odpowiedzi światło zgasło. Ostrą biel zastąpiła szarość nadchodzącego dnia. Starzec nie spodziewał się, że Świecący Człowiek tak łatwo ustąpi. Nie przypuszczałyby, że wystarczy kilka razy odmówić, a na końcu zbluzgać, aby się go pozbyć.

Zaśmiał się przez łyzy zrodzone z bezradności i osamotnienia.

Aneta wybiegła z parku, zostawiając za sobą porozrywane ciała mężczyzn. Pozostały jej jakieś trzy godziny normalności, nim dowie się o masakrze, co wywoła u niej nieprzemijającą traumę i zaprowadzi wprost do szpitala psychiatrycznego.

Rozdział 19

Nieprzenikniona czerń otaczała ją gęstym kokonem ciszy. Kryła w sobie również coś przeraźliwego. Uczucie było jednak słabe, pozostawało gdzieś w najgłębszych czeluściach świadomości Marty.

Powoli docierało do niej, że śni. To zawsze wyglądało tak samo. Na początku zupełna pustka. Niekiedy z nicości przebijały się uczucia, których doświadczała na co dzień, lecz stanowiły one niewielki procent tego, co ludzki umysł odczuwa na jawie. W tym osobliwym miejscu pojęcie czasu nie miało znaczenia, więc nie mogła stwierdzić, ile trwała w tym stanie.

W pewnym momencie nicość zaczęła się przerzedzać. Dziwny proces, trudno powiedzieć, czy trwał tygodnie, czy ułamek sekundy. Wreszcie z nicości uformowały się pojedyncze kształty, kawałek po kawałku układając nową rzeczywistość – świat snu.

Pojawiła się ławka. Obok niej wyrosła latarnia rzucająca na szary chodnik niezdrowy mdły blask. Dziwny świat, całkowicie wyprany z barw. Powietrze przesycala lepka wilgoć, trąciło mokrymi liśćmi. Tymczasem senna jaźń Marty wiedziała, że do jesieni jeszcze daleko.

Zerknęła na ławkę. Brakowało jednej deski, co bardzo ją zaniepokoiło. Sen zazwyczaj odwołuje się do świata realnego, lecz nie pamiętała niczego, co wydarzyło się, nim jej umysł tu trafił.

Znajdowała się w zupełnie innym świecie – tak samo znajomym jak obcym.

Usiadła na ławce. Zaraz poderwała się na równe nogi, tłumiąc odgłos obrzydzenia. Przez jej niebieską sukienkę przesiąkła lepka, śliska ciecz. W konsystencji przypominała wydzielinę z nosa, choć Marta wiedziała, że to coś innego. W końcu kto normalny smarkałby na ławkę, w dodatku tak intensywnie, aby każdą deskę pokryć równomierną warstwą glutów? Lecz czy nie śniła? We śnie, nawet jeśli coś wydaje się nieprawdopodobne, może okazać się uzasadnione.

Syknęła z niesmakiem, czując potworny dyskomfort.

– Zajebicie – powiedziała do siebie. Jej głos brzmiał niezwykle nisko, towarzyszyło mu echo, jakby mówiła tenorem na dnie głębokiej studni. Echo zanikało zdecydowanie zbyt szybko, zupełnie, jakby powietrze chciwie pochłaniało każdy decybel, zyskując na gęstości.

Niespodziewanie wyobraźnia wykreowała obraz, który wprowadził ją w przerażenie. Marta ujrzała odzianego w czarną szatę człowieka rozdziawiającego usta, aby niczym czarna dziura pochłonąć jej głos. Męczyznę charakteryzowała nienaturalnie wydłużona twarz; z daleka

wyglądała jak pysk psa, lecz Marta wiedziała, że to jest ogromny kruczy dziób.

Pojawiła się kolejna wizja. Odziany w czerń mężczyzna podbiega do niej i przeraźliwie wielkim, paskudnym dziobem wyłupuje jej oczy.

Wzdrygnęła się. Straszne obrazy spłynęły po niej jak dziwna substancja pokrywająca ławkę.

Spojrzała na drugą stronę alejki i omal nie krzyknęła. On naprawdę tam był. Przykucnął na krawędzi kamiennego śmietnika niczym marmurowy gargulec na dachu gotyckiej świątyni. Jego zwieńczone artretycznie powyginanymi paluchami dłonie przypominały szpony ptaka. Wyciągnął przed siebie długie ręce, co pozwalało mu utrzymać równowagę w pokracznej pozycji. Spod szerokiego kaptura wystawał ostry dziób.

W jej nozdrza uderzył smród gnijącego mięsa. Marta przypuszczała, że podobnie śmierdzi kilkutygodniowy trup. Gdyby nie świadomość, że śni, to z pewnością zwymiotowałaby i czym prędzej wzięła nogi za pas. Sen jednak rządzi się własnymi prawami.

Pomimo strachu, Marta pozostała na swoim miejscu i po prostu milcząco wpatrywała się w stwora.

Podmuch chłodnego wiatru odgonił smród, co otrzeźwiło Martę. Człowiek z kruczym dziobem gdzieś zniknął, choć ciężko mówić o znikaniu czegoś, co nigdy nie istniało. Wyobraźnia spletała jej kolejnego figla w nadzwyczaj złym guście.

Odetchnęła z ulgą, wstała i pospiesznie poszła dalej. Chciała stąd uciec, a najlepiej obudzić się.

Szła powoli, uważnie rozglądając się dookoła. Podświadomie bała się, że stwór wyłoni się z czerni i kościsty dziób wreszcie dosięgnie jej wrażliwych oczu.

– Opanuj się! Opanuj się! To tylko głupi sen! – mówiła do siebie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak głośno krzyczy.

Idąc, wlepiła wzrok w rozciągającą się dookoła czerń, która powoli wypluwała kolejne kształty. Nagle, niecałe pół metra przed nią, pojawiła się ławka. Cudem nie obila sobie nóg. Na usta cisnęła jej się wiązanka przekleństw dla kogoś, kto wpadł na pomysł postawienia tu ławki. Stłumiła gniew, uświadamiając sobie, że narobiła już wystarczająco dużo hałasu. Aby nie kusić losu postanowiła zachować milczenie.

W pewnym momencie czerń gwałtownie tąpnęła, ukazując Marcie znacznie więcej niż dotychczas. Teraz dostrzegła przedmioty znajdujące się dobrych kilka metrów przed nią – śmietnik, dalsze latarnie, mającące w tle drzewa i sylwetkę jakiegoś człowieka.

Wstrzymała oddech, wyteżyła wzrok. Miała nadzieję, że ten ktoś nie jest ubrany w szatę, a z jego twarzy nie wyrasta ogromny dziób.

Nieznajomy znajdował się jednak zbyt daleko.

Postawiła ostrożnie krok, a po nim kolejny, jakby brodziła w bagnie. Zerwał się wiatr. Zadrżała, żałując, że nie ma na sobie ciepłej bluzy, lecz lekką sukienkę z ohydą plamą na tyłku, jakby zsikała się w majtki. Co gorsza, zauważyła, że mężczyzna na drugim końcu alejki kogoś jej przypomina.

Chyba kiedyś go widziałam, pomyślała.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł odpowiedź na zagadkę. Wyczuła lekki aromat najmniej gustownych perfum, z jakimi miała styczność – taniej i zarazem cholernie nieudanej podróbki wody kolońskiej. Woń przywodziła na myśl odświeżacz powietrza, który każdego dnia we wszystkich domach na świecie dzielnie maskuje intensywne zapachy porannych kontemplacji z głową w chmurach i dupą na klozecie. Mimo to zapach ją ucieszył. Nie pamiętała, kto ze znajomych używał takiego paskudztwa. Liczył się fakt, że nie jest tutaj sama. Przyspieszyła kroku, nieco rozluźniona.

Gdy Martę dzieliło od tajemniczego mężczyzny kilka metrów, a może centymetrów – we śnie ciężko o dobre wyczucie odległości – ten odwrócił się do niej. Jego twarz rozciągnął szeroki uśmiech, który nie obejmował oczu. Niepokojące, lecz stłumiła lęk. Nadal nie mogła skojarzyć go z nikim znajomym.

– Znamy się? – zapytała, ignorując dziwne echo, które rozlegało się po każdym słowie.

– Och tak! Nazywasz się Marta – odparł młody mężczyzna, a jego uśmiech stał się szerszy. Marta z trwogą skonstatowała, że jeszcze trochę i jego wargi pękną; widziała każdy ząb i chorobliwie blade dziąsła.

Przez chwilę nie potrafiła wydusić z siebie żadnego słowa. Stała jak kołek, wpatrując się w garnitur nierównych zębów rozmówcy, który szczerzył się, jakby jego mięśnie nie mogły się rozkurczyć.

Wreszcie otworzyła usta, lecz zamiast słów, wydobył się z nich pisk złapanego za ogon szczura.

Oderwała wzrok od wyszczerzonej twarzy, po czym wzięła kilka głębokich oddechów.

– To super, że znasz moje imię, ale ja nadal nie mam pojęcia, z kim rozmawiam – wypluła z siebie.

– Dziwne – odparł ze zmarszczonym czołem. – Ale to nic. Mamy sporo czasu. Jeszcze sobie wszystko przypomnisz.

– O czym ty mówisz?

Rozmówca coraz bardziej ją niepokoił. Na początku cieszyła się, że ma z kim przebrnąć przez dziwaczny sen, lecz teraz wolałaby zostać w nim sama, nawet jeżeli w finale koszmaru główną rolę odegra kruczy dziób wydłubujący jej oczy.

– Chodź, pokażę ci coś.

Zanim Marta się spostrzegła, już – wbrew sobie – szła za młodym mężczyzną.

Zeszli z alejki i poszli w gęstą ciemność. Wyteęzała wzrok, lecz czerń chciwie trzymała przy sobie wszystkie szczegóły otoczenia.

Nagle nogi Marty wpadły w pląsy, co rusz o siebie zawadzając. Stały się plastyczne, jak gdyby wyparowały z nich kości. Przez myśl przeszło jej wspomnienie ze świata rzeczywistego, kiedy po raz pierwszy założyła buty na wysokim obcasie. Chodziła wtedy jak na szrudłach i nim nauczyła się trzymać pion, kilka razy boleśnie obija kolana.

Potknęła się, lecz czerń postawiła na jej drodze drzewo, które zapobiegło upadkowi. Objęła szorstką korę i wzięła głęboki oddech.

– Hej, poczekaj! – krzyknęła za odchodzącym mężczyzną, zanim ugryzła się w język. Ten zupełnie ją zignorował. Nie potrafiła ocenić, czy powinna się cieszyć, czy nie.

Kolejne wydarzenia rozegrały się tak szybko, że nie nadążała. W jednej sekundzie stała w punkcie A i oglądała się za znikającym mężczyzną, by chwilę później leżeć na plecach w punkcie B i głośno sapać.

Euforia opanowała jej umysł, nie pozostawiając miejsca na nic innego. We śnie seks wydawał się o wiele lepszy. Orgazm trwał dłużej, a niezbyt okazałe przyrodzenie partnera nie osłabiało doznań.

Nagle przypomniała sobie imię chłopaka. Daniel. Pamiętała, że kiedyś, dawno temu, poszła z nim na randkę, która skończyła się pieprzeniem w krzakach.

Wszystko wyglądało praktycznie tak samo, lecz tym razem nie poszli do kina, a krzaki wyglądały jak roślinność rodem z tropikalnych wysp. Egzotyczne kwiaty i różnokształtne owoce porastały praktycznie każde drzewo oraz krzew. We florze przeważały ogromne liście, na których można by się spokojnie położyć lub schronić w ich cieniu przed upałem. Rosły bujnie, ledwie przepuszczając słaby blask księżyca, który w tym świecie miał zielonkawy kolor.

Marta pomyślała, że księżyc barwą przypominał gębę jej młodszego brata po podaniu środków na wymioty. Stało się to dzień po tym, jak ten mały skurwiel nakrył ją na paleniu papierosów i podkablował rodzicom przy pierwszej okazji. Dostała wtedy szlaban na miesiąc, lecz i tak czuła ogromną satysfakcję, widząc jak gówniarzem rzucają torsje i zwraca do wanny kolejne porcje rzygów.

Reszta pozostała bez zmian. Po prostu spotkali się z Danielem w parku na szybki numer bez żadnych zobowiązań. W sumie nie potrzebowała niczego więcej do szczęścia. Nie zależało jej na związku, lecz na ostrym bzykaniu i potężnym orgazmie. Daniel radził sobie z tym

znakomicie. Już po chwili jej ciało wygięło się w łuk, a oczy uciekły w głąb czaszki. Mózg zbombardowała potężna ilość endorfin, powodując, że całkowicie zapomniała o tym, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Kilka sekund później na jej twarz trysnął strumień ciepłego, ostrego światła. Wtedy przypomniała sobie, jak skończyła się jej pierwsza i ostatnia randka z Danielem. Otworzyła usta do krzyku.

Zobaczyła nad sobą Świecącego Człowieka. Szybko zamknęła oczy, nie mogąc znieść jasności. Pod jej powiekami z zawrotną prędkością zawirowały kaskady czerwonych i czarnych plam, co niemal natychmiast spowodowało potężną falę mdłości.

Nieprzyjemne gorąco, które w sobie czuła, wywołało ostry ból w podbrzuszu. Dolegliwość zyskiwała na intensywności z każdą sekundą, jakby ktoś wsunął w jej pochwę rozgrzany do czerwoności pręt i powoli przebiegał się do serca.

– PRZESTAŃ! – krzyknęła, z trudem powstrzymując łzy. Oczami wyobraźni widziała jak w jej brzuchu płonie ogień i trawi narządy, pozostawiając dymiące zgliszcza.

Po raz pierwszy pomyślała o śmierci. Do tej pory nie wiedziała, jak bardzo kocha życie, i że nie chce odchodzić w tak młodym wieku. Może nie zawsze jej sprawy układały się w wymarzony sposób, ale nie było najgorzej. Czekają ją wiele lat, z których zamierzała czerpać pełnymi garściami.

– Nie umrzesz.

Głos Świecącego Człowieka wyrwał ją z amoku. Spojrzała na niego nieprzytomnym z bólu wzrokiem.

– C-c-co?

– Nie umrzesz. A przynajmniej jeszcze nie teraz, więc myślenie o śmierci mija się z celem.

– Co...

– Już mówiłem. Nie lubię się powtarzać. Słuchasz mnie?

Marta nie mogła wydusić słowa. Ból osiągnął tak silny stopień, że gdyby tylko otworzyła usta, wyrwałby się z nich ogłuszający krzyk. Zdobyła się jedynie na skinienie głową, co najwyraźniej wystarczyło Świecącemu Człowiekowi.

– Doskonale. Pamiętaj, że zawsze mam rację. Rozumiesz?

Ponownie skinęła, choć słowa docierały do niej niewyraźne.

– I zapamiętaj kolejną, cholernie ważną rzecz. Zrobisz, czego sobie zażyczę. Nawet jakbym ci kazał udusić własną matkę. Dotarło?

– Yhym – wyjąkała. Ledwie znosiła ból i potworne światło, które spiekało jej spoconą twarz.

– Doskonale.

Poczuła kolejne pchnięcie. Do tej pory myślała, że najgorszy ból ma

za sobą, lecz wtedy dotarło do niej, jak bardzo się myliła. Gorąco doszło niemal do płuc, a po chwili rozlało się po całym organizmie.

Świecący Człowiek nieznacznie jęknął, po czym wyszedł z niej i odszedł jak gdyby nigdy nic. Wraz z nim zniknęły ból i dyskomfort. Stało się to tak szybko, że oszołomiona Marta krzyknęła za nim:

– Poczekaj! Dokąd idziesz?

– Do domu. Ojciec chce ze mną porozmawiać. Nie mam dla ciebie więcej czasu.

– Że co? – Marta nic nie rozumiała. Cały ten sen był niedorzeczny, choć jednocześnie przeraźliwie realny.

– Nieważne – odparł. – Ty i tak tu na mnie poczekasz.

– Nigdzie nie będę czekała. Zamierzam się obudzić i zapomnieć o tym chorym koszmarze.

Ciemność przeszył lodowaty śmiech Świecącego Człowieka. Z daleka dobiegł dudniący pomruk grzmotu.

– Nigdzie nie pójdziesz. Poczekasz tu, bo ja tak chcę.

Po tych słowach nastąpiła kolejna salwa szyderczego śmiechu. Dało się w nim słyszeć triumf, zupełnie jakby Świecący Człowiek właśnie osiągnął bardzo ważny cel.

– Co?! Nie chcę na ciebie czekać! NIE CHCĘ!!!

Rozdział 20

Obudziła się z krzykiem, który zamarł jej na ustach. Niewiele brakowało, a wrzaskiem obudziłaby całą okolicę.

Laura usiadła, czując, jak jej koszula nocna lepi się do pleców. Niejednokrotnie budziła się w niezbyt dobrym stanie, ale tym razem było naprawdę źle. Stawy bolały ją niczym nakłute setkami długich igieł. Kręgosłup natomiast przypominał rozpalony do czerwoności pręt, który wsączał w jej ciało potworne cierpienie.

Już miała podjąć próbę wstania, lecz nagle świat zawirował. Runęła z powrotem na mokre od potu poduszki. W głowie cały czas słyszała jednostajny szum, który wkrótce zaczął doprowadzać ją do szału.

Stało się coś bardzo złego. Ze wszystkich sił usiłowała wstać, aby sprawdzić dom, lecz jej organizm odmawiał posłuszeństwa. Więzień we własnym ciele; okropnie ją to frustrowało. Po raz kolejny pożałowała, że nie ma dwudziestu lat.

Leżała przez kilka minut, walcząc z niepokojącymi myślami. Nigdy nie obudziła się aż tak przerażona. Nawet nie wiedziała, co było silniejsze – strach czy złe samopoczucie? Gdy spała, jej serce wskoczyło na zbyt wysokie obroty. Na jej czole pojawiły się duże krople potu, choć w pokoju panował chłód.

Pozwoliła myślom popłynąć swobodnie. I tak nie potrafiła się skupić na czymkolwiek poza bólem i nierównym rytmem serca.

Marta. Imię wyświetliło się w jej wyobraźni niczym wielki neonowy napis. Z początku nie mogła go powiązać z nikim, kogo znała, lecz po paru minutach jej przyćmiony bólem umysł zaczął działać nieco sprawniej. Laura przypomniawszy sobie, kim jest Marta. Szybko doszła do wniosku, że właśnie ta nastolatka stanowi przyczynę jej strachu. Stało się z nią coś złego i Laura nie musiała wchodzić do pokoju, w którym dziewczyna spała, by upewnić się, co do swoich przeczuć.

Jej serce nieco zwolniło. Przez wszechobecny szum słyszała jego nierówne uderzenia. Dwa szybkie i trzy – cztery znacznie wolniejsze. Nie wyglądało to zbyt dobrze, ale przynajmniej już nie waliło, jakby próbowało wyłamać mostek i uciec z klatki piersiowej.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Teraz liczył się przede wszystkim spokój. Najpierw musi pomyśleć o sobie, a dopiero później sprawdzi, co z Martą.

Zamknęła oczy, czując jak wiruje świat. Z każdą sekundą obroty stawały się szybsze. Ujrzała siebie, jako małą dziewczynkę siedzącą na karuzeli kontrolowanej przez sadystę, któremu dręczenie dzieci sprawia

ogromną radość i miast wolnych obrotów od razu rozkręca urządzenie na maksa.

Z tyłu głowy pojawił się słaby niepokój. Próbowwała go stłumić, gdyż doskonale wiedziała, że wkrótce niepokój przerodzi się w panikę. Serce znów zaczęło walić jak oszalałe i wszystko wróci do punktu wyjścia.

Spróbowała otworzyć oczy, lecz nie potrafiła. Powieki wydawały się ciężkie niczym betonowe płyty, a mięśnie odpowiadające za ich ruch całkowicie osłabły.

Jej żołądek boleśnie się skurczył, jakby przygotowywał się do spektakularnego katapultowania niestrawionej zawartości. Jęknęła.

Powietrze w pokoju stało się ciężkie. Przywodziło na myśl środek najgorętszego letniego dnia, w czasie którego świat wydaje się dymić, a majacząca na horyzoncie burza nie może się zdecydować, czy przynieść ludziom ulgę, czy po raz kolejny przejść bokiem.

Wreszcie otworzyła oczy. Towarzyszył temu odgłos rozdierania, lecz równie dobrze mógł on wynikać z halucynacji wykreowanej przez wystraszony umysł. Najważniejsze, że mogła teraz swobodnie się rozejrzeć.

Spojrzała w stronę okna i dotarło do niej, że szum, który ciągle słyszy, to szalejąca na zewnątrz ulewa. Jednolita ściana wody spływała z nienackających w czerni chmur.

Po kolejnych paru minutach nieco jej się poprawiło. W żołądku nadal ssało, a stawy, niczym stygnące węgle, miały jeszcze przez długi czas dawać o sobie znać. Dało się to jednak znieść. Poczula ulgę.

Rozcapierzonymi palcami sięgnęła po leżący na biurku telefon. Musiała zadzwonić do Sławka. Wiedziała, że poprawa samopoczucia jest chwilowa. Przeczuciwała, że to cisza przed burzą, w której prawdopodobnie wyzionie ducha. Lekki ból pod lewą pachą i nierówne bicie serca wskazywały na zbliżający się zawał. Nawet się ucieszyła. Wiedziała, że zaboli jak jasna cholera, ale katusze szybko przeminą. Ta chwila cierpienia nadal wydawała się atrakcyjniejsza niż pieprzony Alzheimer albo wylew, po którym można przez lata wegetować.

Chwyciła krawędź biurka. Zaciśnęła usta w kreskę, po czym podciągnęła się, wykorzystując resztki sił. Jej stawy zareagowały falą bólu, który nerwami pomknął aż do kręgosłupa. Nie przejęła się tym jednak. Miała większe zmartwienie – w jej serce wbiła się pierwsza igła bólu, przez co momentalnie zapomniała o szwankujących stawach.

Z jej gardła wydarł się ochryply krzyk, który brzmiał jak krakanie gawrona na zamarznętym ugorze. Lewą dłoń zaciśnęła na krawędzi biurka, jakby chciała ją zmiażdżyć. Nie dotarło do niej, że złamała przy tym kilka paznokci.

Prawą dłoń położyła na klatce piersiowej, w podświadomej obawie,

że jej żebra zaraz się rozstąpią, by wypuścić zmęczone siedemdziesięcioletnią pracą serce.

Dasz radę. Wytrzymaj jeszcze trochę, powiedziała sobie w myślach. Jej usta ponownie zbiegły się w kreskę, a wargi posiniały, zlewając się z kolorem reszty skóry. W panującym mroku ktoś mógłby pomyśleć, że Laura nie ma ust.

Modliła się, aby ból serca jak najszybciej odpuścił. Wiedziała w jak tragicznej jest sytuacji i że czas działa na jej niekorzyść. Nie mogła pozwolić sobie na czekanie.

Ostatkiem sił podciągnęła się i chwyciła telefon. Drżącymi palcami odpięła go od ładowarki i legła na przyjemnie chłodnym łóżku. Powieki momentalnie zaciążyły, serce znów zakłuło.

Na jej szczęście, Laura starała się iść z duchem czasu. Co prawda, nie znała wszystkich nowinek dotyczących technologii XXI wieku, lecz uważała, że wie całkiem sporo na temat obsługi telefonu komórkowego czy prostego smartfona.

Nie pamiętała, kiedy dokładnie wzięła numer Sławka, ale dziękowała Bogu, że to zrobiła. Wystarczyło jedno kliknięcie, aby dodzwoniła się do człowieka, którym wiele lat temu tak często się opiekowała.

W słuchawce panowała zupełna cisza. Spojrzała na telefon w obawie, że bateria się rozładowała. Urządzenie działało bez zarzutu. Przystawiła je z powrotem do ucha. Nadal nic.

Może przez tę ulewę jest problem z zasięgiem?

Strach powoli zaczął sobie wic gniazdo pośrodku jej klatki piersiowej. Minęło kilka sekund, nim usłyszała upragniony długi sygnał. Odetchnęła, czując, jak artretyczne, zaciskające się z nieludzką siłą łapsko na moment cofa się od jej serca.

Czekając, aż Sławek odbierze, Laura po raz kolejny dała myślom biec samopas. Dzięki temu ból w piersi wydawał się odleglejszy, choć podświadomie wiedziała, że stale się nasila.

Dlaczego Marta nie zadzwoniła na policję, skoro widziała morderstwo?

Pytanie pojawiło się nagle i, biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się całkowicie absurdalne, niemniej nie potrafiła zrozumieć, dlaczego dziewczyna nie powiadomiła policji o zajściu w parku.

Po bezowocnej próbie rozwikłania tej zagadki, starsza kobieta stwierdziła, że zastanawianie się nad tym nie ma najmniejszego sensu. Zamiast tego skupiła uwagę na rozlegającym się w słuchawce sygnale.

Tyyyyyyyyyk... tyyyyyyyyyk... tyyyyyyyyyk... tyyyyyyyyyk...

Czas dłużył się, sącząc w jej umysł coraz większy niepokój. Przeszło jej przez myśl, że Sławek ma wyciszony telefon. Sztuczny głos obwieszczający, że abonent nie odpowiada, oznaczałby dla niej wyrok

śmierci.

Wtem w słuchawce rozległ się szmer i ciche chrząknięcie.

– Słucham? – Całkowicie rozbudzony i wyraźny głos sprawił, że niemal zapłakała z ulgi.

– Słucham? – powtórzył, gdy po drugiej stronie nadal panowała cisza. – Laura, coś się stało? Jesteś tam?

– T-t-tak – odparła kobieta. Jej głos przepełniały ból i zmęczenie. Sławek odniósł wrażenie, że rozmawia z kimś obcym, kto w dodatku nie ma dobrych intencji. Uczucie to szybko minęło, a jego miejsce zastąpiła troska.

Na czole Sławka pojawiła się podwójna pionowa zmarszczka. Po minie męża Daria od razu zrozumiała, że coś nie gra.

– Coś ci się stało? – zapytał poważnym, pozbawionym wyrazu głosem.

– T-tak. S-s-serce. Boli. Mam a-a-att...

– Zaraz u ciebie będę. – Zakrył dłonią słuchawkę, po czym zwrócił się do Darii: – Zadzwoń po karetkę. Laura ma atak serca.

Daria stała jak wryta i wytrzeszczała na niego oczy, jakby właśnie powiedział jej, że na ich podwórku wylądowało UFO, a małe zielone ludziki wzięły się za rozkopywanie trawnika.

W takich momentach miał niekiedy ochotę chwycić ją za te drobne ramiona i potrząsać, aż w jej głowie zajdą na siebie właściwe tryby. Odetchnął głęboko.

– No idź! – ryknął.

Daria zamrugała, niczym wyrwana z letargu, doznała olśnienia i pobiegła do sypialni, gdzie zostawiła swój telefon.

– Laura, posłuj...

– Marta – wpadła mu w słowo kobieta. Jej głos był o wiele pewniejszy. Widocznie zebrała w sobie wszystkie siły by, nim odejdzie, zużyć je na przekazanie czegoś ważnego. Sławek zrozumiał to od razu, więc nie przerywał.

– Tak?

– Ta dziewczyna jest u mnie. Mówiła o Świecącym Człowieku.

Sławek wytrzeszczył oczy. Po jego kręgosłupie przebiegł lodowaty dreszcz. Nawet nie dotarło do niego, że w domu zrobiło się znacznie jaśniej. Jakby żarówki nagle straciły ograniczenie mocy i świeciły, nie przejmując się tym, że gospodarze zapłacą piekielnie wysoki rachunek za prąd.

– Ja chyba wiem, skąd on się wziął. Nie chciałam znów przez to przechodzić, ale... – W tym momencie Sławek usłyszał długi jęk, po

którym zaległa cisza.

– Laura? LAURA!

Odwrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku drzwi wyjściowych. Ściągnął kluczyki z wieszaka. Miał nadzieję, że jego wymagający przegląd samochodu odpali bez problemu.

Chwycił klamkę i otworzył drzwi na oścież. Potężna fala ostrego światła wdarła się do domu.

– Cześć, tato. Słyszałem, że rwiesz się do rozmowy ze mną.

– No kurwa, włącz się! – krzyknęła Daria do ciemnego ekranu swojego telefonu. Złośliwość rzeczy martwych to utrapienie XXI wieku i zapewne pozostanie nim, dopóki nie umrze ostatni człowiek.

Gdy dotarł do niej sens słów Sławka, wszystko potoczyło się w zastraszająco szybkim tempie. Coś złego stało się z Laurą. Chyba chodziło o zawał, ale nie miała pewności. Sławek w panice zbierał się do wyjścia, a ona tu przybiegła, żeby zadzwonić na pogotowie.

Roztarła pulsujące bólem kolano. Biegnąc, nie wyrobiła na zakręcie i przywaliała w niską szafkę na buty, a raczej starego rupiecia, którego najchętniej już dawno by się pozbyła, lecz Sławek od samego początku bronił mebla jak niepodległości. Oznajmił, że szafka wyszła spod ręki jego ojca i ma zostać tam, gdzie stała, odkąd pamiętał. Teraz owo dzieło zemściło się za to, że Daria w ogóle pomyślała o wywaleniu go na śmietnik.

Poczuła wilgoć. Mimochodem spojrzała na nogawkę luźnych spodni od pizamy. Od kolana w dół biegł ciemnoczerwony krwawy szlak. Przyjęła fakt do wiadomości, po czym ponownie spojrzała na telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się ikonka przedstawiająca wyczerpaną baterię.

Zawsze zwracała uwagę na poziom baterii w telefonie, jednak tym razem wyjątkowo nie pomyślała o podłączeniu go do ładowarki.

Po raz kolejny spróbowała włączyć telefon. Wcisnęła guzik z boku urządzenia tak mocno, że pobielał jej palec. Wlepiała wzrok w ekran, na którym wreszcie coś się zadziało. Z dołu dobiegły pośpieszne kroki Sławka. Nie zważała na to. Liczyło się jak najszybsze dodzwonienie na pogotowie.

Każda sekunda była na wagę złota. Może gdyby nie nerwy, to zamiast czekać aż wysłużony telefon się włączy, wróciłyby do kuchni i zadzwoniła od Sławka, lecz nie miała już czasu. Usłyszała, jak jej mąż idzie w stronę drzwi wyjściowych.

– Jest! – krzyknęła z ulgą. Wreszcie telefon się włączył. Wydawało jej się, że trwało to wieki, lecz w rzeczywistości minęła zaledwie minuta.

Drżącym palcem wybrała numer pogotowia. Sygnał, który się

rozlegał, miał w sobie specyficzny, kpiący akcent. Z każdym kolejnym słyszała nową, jeszcze gorszą obelgę.

W słuchawce coś trzasnęło i rozległ się zaspany głos dyspozytorki:

– H-haloooo.

Darią targnęła fala niepohamowanej wściekłości. Stała z kurczowo przyciśniętym do ucha telefonem, wiedząc, że nie może rozpocząć rozmowy od opieprzania dyspozytorki za spanie na dyżurze.

– Dobry wieczór – powiedziała przez ściśnięte gardło. – Chciałam wezwać karetkę na ulicę Lipową.

– Co się stało?

– Najprawdopodobniej zawał. To kobieta w podeszłym wieku.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Dało się słyszeć jedynie dziwny szmer, niechybnie zakłócenie na linii.

– Czy kobieta jest przytomna?

– Tak... znaczy... nieeee... – Daria zająknęła się i umilkła. Nienawidziła siebie za tak słabą odporność na stres. Przez to procedura tylko się przedłużała, a Laura nie mogła czekać.

– Słucham?

– Była przytomna, jak dzwoniła.

– Dzwoniła?

– Tak. To znajoma mojego męża i zadzwoniła do niego. Mąż właśnie tam jedzie.

– Rozumiem – odparła dyspozytorka bezbarwnie jak automat. – Poproszę dokładniejszy adres.

– Ulica Lipowa... – Daria po raz kolejny przerwała w pół zdania, z przerażeniem orientując się, że wyleciał jej z głowy numer domu Laury.

Sięgnęła pamięcią do momentu, kiedy odwiedzali ze Sławkiem starszą kobietę. Przy furtce, albo na ścianie domu, musiała znajdować się tabliczka z numerem. To jedna z tych rzeczy, którą człowiek widzi, ale zaraz o niej zapomina.

Oczami wyobraźni odtworzyła drogę do Laury. Minęli budynek, w który ząb czasu wgryzł się na tyle głęboko, że cały dach zapadł się do wnętrza. Na zardzewiałej metalowej siatce, jaka pełniła funkcję płotu, wisiał stary jak świat kawałek blachy, którego powierzchnię pokryła korozja i dziury. Pomimo fatalnego stanu, dało się dostrzec na niej liczbę dwadzieścia dwa. Dom Laury znajdował się po tej samej stronie ulicy, więc jego numer jest parzysty.

Usłyszała stęknienie, które wyrażało niecierpliwość dyspozytorki. Zapewne była to kobieta koło pięćdziesiątki, z dodatkową pięćdziesiątką nadwagi i nieodpartą chęcią wrócenia do drzemki.

– Sekundę – rzuciła bardziej do siebie niż do znużonej dyspozytorki.

Minęli ze Sławkiem cztery domy. W oddali dało się dostrzec kwiecisty

ogród Laury, lecz nadal nie widziała tabliczki z numerem.

Daria wyteżala umysł tak mocno, że przestała zwracać uwagę na to, co dzieje się dookoła. Nie zauważyła, że w pokoju zrobiło się o wiele jaśniej; wewnątrz wyglądało jak w popołudniowym słońcu. Można by pomylić dzień z nocą.

– Lipowa dwadzieścia osiem – powiedziała wreszcie.

– Dziękuję. Natychmiast wysyłam karetkę – odparła dyspozytorka. – Poproszę jeszcze pani imię i nazwisko.

Daria przedstawiła się, podziękowała i rzuciła telefon na łóżko. Zamknęła oczy, czując, jak napięcie schodzi z niej niczym powietrze z dziurawej dętki. Z dołu dobiegał jakiś głos. Słowa były niewyraźne, lecz dowiedziała się z nich jednego: głos nie należał do Sławka.

Z narastającym niepokojem ruszyła w stronę drzwi, ale po przejściu dwóch kroków jej ciało zastygło w bezruchu. Paraliż objął każdy, nawet najdrobniejszy mięsień, zamieniając ją w wykuty z kamienia posąg. Nie mogła ruszyć palcem ani mrugnąć.

Dopiero wtedy zauważyła, że w pokoju jest niezwykle jasno. Źródło światła znajdowało się tuż za oknem. Na przeciwległą ścianę padł jej ostry cień, który zdawał się przenikać przez niezliczone warstwy farby i brutalnie wgryzać w stare cegły.

Usłyszała kolejną niezrozumiałą wypowiedź, co utwierdziło ją w przekonaniu, że do domu wszedł ktoś obcy. Niepokój przerodził się w strach.

To wydarzyło się nagle. Jej sparaliżowane ciało momentalnie osłabło. Nogi stały się giętkie, jakby wypełniała je wata i wkrótce utrzymanie równowagi okazało się zbyt trudne. Starła się z tym walczyć, lecz paraliż nie odpuszczał. Daria zachwiała się i nie mogąc w żaden sposób zamortyzować upadku, poleciała prosto na twarz. Usłyszała nieprzyjemny trzask, po czym z jej złamanego nosa buchnął strumień krwi.

Latające przed jej oczami mroczki powoli łączyły się, stopniowo ograniczając pole widzenia, aby zaraz zlać się w ciemność. Chciała zawołać Sławka, lecz nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Wszystkie zmysły odmówiły posłuszeństwa; węch, czucie, słuch... Przez chwilę pozostała tylko świadomość. Daria wiedziała, kim jest i co się stało, choć nie rozumiała nic poza tym. Do domu przyszedł ktoś obcy, choć jednocześnie znajomy. Nim dotarło do niej, że Artur przybył z niechcianą wizytą, osunęła się w najgłębszą czarną otchłań.

Część druga
Polowanie

Rozdział 21

Usiadł przy kuchennym stole, rozkoszując się czarną, niesłodzoną kawą. Obok starego kubka z grafiką upamiętniającą zlot fanów latających modeli leżała drewniana fajka. Bogdan postanowił oddać się rozkoszom, które trzymały się z nim przez całe życie i omal nie doprowadziły do jego zakończenia.

Po spotkaniu ze Świecącym Człowiekiem uznał, że skoro nie umarł wtedy ze strachu, to nic nie jest w stanie go zabić. Musiał przemyśleć sporo ważnych kwestii, a przy tym chciał oddać się rytuałowi picia gorzkiej jak diabli kawy i paleniu drobno zmielonego Mac Barena. Tytoń co prawda wysechł na wiór i przez te wszystkie lata zdążył już zwietrzeć, lecz Bogdan i tak wiedział, że będzie mu smakował jak nigdy.

Drżącymi palcami wypełnił główkę fajki i ugniół jej zawartość. Spojrzał na wykonaną pracę sceptycznym okiem konesera, po czym z szeleszczącego foliowego opakowania wyjął jeszcze trochę okruchów i dobił.

Sięgnął po starą zapalniczkę Zippo, której nie trzymał w ręku, odkąd rzucił palenie. Nie widział jej przez ładnych kilka lat, lecz dziś trafił na nią zupełnym przypadkiem, jakby przez cały ten czas zapalniczka czekała na właściwy moment.

Przyjrzał się uważnie wygrawerowanemu w metalu napisowi.
„Zielonek”.

Dostał ją od Zenka, lecz nie mógł sobie przypomnieć z jakiej okazji. To wywołało kolejną falę wspomnień.

Wojsko. Najgorsze lata jego życia, za którymi niekiedy w irracjonalny sposób tęsknił i pomimo wielu fatalnych doświadczeń lubił wracać do nich pamięcią. Dostawał dreszczy na myśl o tym, że niejednokrotnie przychodziło mu stać w okopie w deszczowy dzień, kiedy niska temperatura i wilgoć w szczególności dawały się we znaki. Służba w wojsku oznaczała spartańskie warunki i ostry rygor.

– Ech... – westchnął, oderwał wzrok od zapalniczki i odpalił ją. Wąski płomyk podrygiwał leniwie w świetle deszczowego poranka. Spierzchniętymi wargami objął ustnik fajki i przystawił płomyk do ubitego w główce suszu.

Pierwsze zaciągnięcie można porównać do łyka wody na pustyni, a zarazem posypania solą rozprutych wnętrzości. Z jednej strony poczuł się swobodny, z drugiej zaś stary nałóg rzucił kotwicę, która zagłębiła się w jego mózgu, by już nigdy go nie opuścić.

Rozkaszał się, aż sztuczna szczęka wyleciała z jego ust niczym pocisk

i wylądowała po drugiej stronie kuchni. Jego oczy zaszyły łzami, a w głowie rozległ się dziwny gwizd, który kojarzył się z czajnikiem. Na szczęście kaszel ustał równie szybko, jak się pojawił. Pozostało po nim tylko uporczywe drapanie w gardle, które splukał kolejnym łykiem kawy.

Spojrzał na fajkę. Podczas ataku kaszlu wysypała się praktycznie cała jej zawartość, lecz na dnie główki zostały jakieś resztki.

– Do odważnych świat należy – mruknął, po czym ponownie odpalił zapalniczkę.

Tym razem dym wydawał się delikatniejszy. Tytoń, pomimo wielu lat leżenia w szufladzie, zachował swój smak.

Oparł się wygodnie na krześle i wyrzał przez okno. Podwórko wyglądało tak jak zawsze, choć przypuszczał, że jeżeli nie przestanie lać, to do wieczora zamieni się w jezioro. Lecz nie tym się przejmował. Szukał śladów, które świadczyłyby o tym, że Świecący Człowiek naprawdę się tu pojawił.

– Na pewno mi się to nie przyśniło – odezwał się do siebie. Jego głos zabrzmiał obco. Starał się mówić pewnie, lecz nie potrafił wytłumaczyć pytającej nuty. Zastanawiał się nad tym, czy nie zaczyna mylić jawy ze snem. Takie rzeczy można zobaczyć na filmie lub oczami wyobraźni po przeczytaniu książki, ale nie w prawdziwym świecie. Bogdan miał swoje lata i do tej pory myślał, że już nic go nie zaskoczy.

Kwadrans później skonstatował, że jest zdrowy umysłowo. Chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z faktem, że doszło tutaj do czegoś cholernie dziwnego.

Z mętliku na wierzch stałe wypływało jedno pytanie:

Co dalej?

Chociaż nie zwariował, rozum podpowiadał mu, że jeżeli Świecący Człowiek nie przestanie go nachodzić, w końcu mu odbije. Pomimo odbycia służby, Bogdan nie miał nerwów ze stali, zwłaszcza jeżeli chodziło o coś tak obcego.

Mógłbym zastawić na niego pułapkę, pomyślał. Liczne zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, odejmując mu przynajmniej dwadzieścia lat. W jego wodniste oczy wstąpiła iskra wigoru.

Uśmiechnął się pod nosem. Przypomniał sobie o pewnej grze, którą kultywowali w wojsku.

– Zrobimy sobie polowanie na skurwysyna – powiedział z groźbą lecz i z radością.

Rozdział 22

Gęsta mgła zasnuwająca jej umysł zaczęła powoli opadać. Z początku miała poważne problemy ze słuchem. Dźwięki zdawały się przytłumione, zupełnie jakby ktoś napchał jej do uszu waty. Ćmiło ją w głowie i czuła dyskomfort w klatce piersiowej.

Kiepsko ze mną...

Ostatnim wspomnieniem był potężny huk. Pomyślała, że ktoś próbuje wysadzić jej dom w powietrze, lecz wnet uzmysłowiła sobie, że to drzwi. Jakiś męski głos wołał ją po imieniu. Próbowała odpowiedzieć, ale czuła się zbyt słaba.

Gdy zobaczyła ratowników wchodzących do pokoju, jej świadomość zgasła.

Teraz leżała w białej sali, a dookoła słyszała odgłosy aparatury medycznej. Miarowe pikanie wskazywało na to, że lekarzom udało się odratować jej szwankujące serce. Może jeszcze trochę pociągnie. Nie oczekiwała dożycia setki i spokojnej śmierci we śnie, aczkolwiek kochała życie.

Sławek.

Otworzyła szerzej oczy, a aparatura monitorująca pracę jej serca nieco przyspieszyła. Nie pamiętała, by Sławek pojawił się w jej domu, choć mówił, że przyjedzie. Znała go od dziecka, nie przypuszczała, by poprzestał na zadzwonieniu po pogotowie, a potem spokojnie wrócił do łóżka. Gdzie się zatem podział? Przecież zawsze dotrzymywał słowa. Była pewna, że coś się stało.

– Nie denerwuj się – powiedziała do siebie. Zakładanie czarnego scenariusza nie miało najmniejszego sensu. Niekoniecznie naszedł ich Świecący Człowiek. Równie dobrze Sławkowi mógł zepsuć się samochód i nie zdążyć przyjechać przed karetką.

Laura zmarszczyła czoło. Taki przebieg spraw wydawał się wysoce prawdopodobny, lecz czarny scenariusz zakorzenił się w jej głowie jak zgniły ząb, który sący do krwiobiegu truciznę.

Podjęła próbę przekręcenia się na bok, lecz jej ciału brakowało sił. Ponadto liczne rurki, które do niej przypinano, krępowały ruchy. Westchnęła.

Co jakiś czas na prawie pustym korytarzu pojawiały się pielęgniarki. Jedne niemal biegły, inne szły leniwym krokiem, jakby przemierzały galerię handlową w poszukiwaniu butiku lub – biorąc pod uwagę gabaryty niektórych z nich – dobrej cukierni.

Laura spojrzała po ścianach, licząc na to, że znajdzie zegar, lecz

najwidoczniej założono, że osoby leżące na oddziale intensywnej terapii nie potrzebują wiedzieć, która jest godzina. Nie pozostawało jej nic poza czekaniem, aż ktoś łaskawie zwróci na nią uwagę.

Zerknęła na kroplówkę. Z półlitrowej butelki skapywała przezroczysta ciecz, po czym długim wężykiem spływała wprost do jej żyły. Obok wisiała kolejna kroplówka, która biegła do jej drugiej ręki. Laura nienawidziła igieł, rurek i innych tego typu rzeczy. Najbardziej przerażał ją jednak cewnik. Na myśl o nim poczuła lekki niepokój, lecz brakowało jej siły, aby sprawdzić, czy tam również ktoś postanowił wsadzić jej rurkę. Westchnęła i wróciła myślami do ostatnich wydarzeń w miasteczku. Odkąd sięgała pamięcią, lokalne życie przestępcze obracało się wokół drobnych kradzieży i sporadycznych pobić. Te drugie zdarzały się zazwyczaj w piątkowe i sobotnie wieczory, gdy alkohol dawał nerwowym mężczyznom zbyt dużo wigoru. Tylko raz doszło tu do zabójstwa. O sprawie mówiła cała Polska przez prawie tydzień.

Dom, w którym rozegrały się makabryczne wydarzenia, należał do takich, w których pito więcej wody niż kawy; typowy obraz patologicznej rodziny, gdzie pijany facet bije swoje dziecko, a jego równie pijana partnerka albo mu pomaga, albo obrywa rykoszetem. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, nikt nic nie wiedział, nikt nic nie słyszał.

Koszmar trwał dobrych kilka lat, aż oprawca rodziny przesadził. Szcątkowy instynkt macierzyński jego partnerki wziął wtedy górę i doszło do tragedii.

Dziecko zostało skatowane do tego stopnia, że wylądowało w szpitalu z połamanymi kończynami i pękniętą czaszką. Jego matka, zdając sobie sprawę, że i tak czeka ją więzienie, najwidoczniej doszła do wniosku, że pójdzie tam za coś, czego nie będzie żałowała. Jej partner zalał się do nieprzytomności i zasnął na kanapie. Wówczas ona poszła do rozsypującej się szopy po dużą siekierę, którą konkubent niejednokrotnie jej groził. Kilkoma uderzeniami odcięła mu głowę, po czym gnana ślepą furją, rąbała jego ciało jak drewno do kominka. Przestała dopiero wtedy, gdy zemdląła z wyczerpania.

Zaalarmowani krzykami sąsiedzi zadzwonili na policję. Gdy funkcjonariusze dokonali oględzin, stwierdzili, że ciało faceta jest tak zmasakrowane, że jedynym sposobem by go zidentyfikować są badania DNA.

Rodzinna tragedia wstrząsnęła mieszkańcami miasteczka i choć minęło już parę dekad, ludzie nadal pamiętali. Pamięć ta zapewne przetrwa tak długo, dopóki nie stanie się coś równie złego, co odciągnie uwagę od przeszłości.

Właśnie działo się coś bardzo złego, a ludzie nie wydawali się tym przejmować. Owszem, pierwsze zabójstwa wzbudziły ogólny strach, lecz

z biegiem czasu uczucie to zamieniło się w zwykłą ciekawość. Zupełnie jakby w miasteczku nie dochodziło do niewyjaśnionych morderstw, lecz działo się coś naturalnego. W prasie sytuacja wyglądała podobnie. Pierwsze morderstwa zyskały trochę rozgłosu, lecz nie na tyle, aby rozejść się na cały kraj.

Leżąc w szpitalnej sali, Laura nie miała pojęcia, że przed paroma godzinami w parku znaleziono kilkanaście rozdartych na strzępy ciał. Nie widziała również gazety. Gdyby ją przejrzała, to między artykułem o przebudowie głównej drogi a przepisem na dietetyczną zapiekankę z soczewicy zauważyłaby krótką wzmiankę informującą, że w parku doszło do niewyjaśnionych morderstw, których ofiarami padli sami mężczyźni w różnym wieku. Żadnego nagłówka na pierwszej stronie ani szczegółowego artykułu. Ot, zwykła notatka niewarta taniego papieru, na jakim została wydrukowana.

Drzwi sali otworzyły się. Laura dostrzegła młodego lekarza, który stanął w progu i patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. Błada twarz i sine wory pod oczami wskazywały na to, że jego dyżur trwa o wiele dłużej niż powinien. Policzki mężczyzny pokrywał dwudziestoczterogodzinny zarost.

Lekarz stał w miejscu, jakby nie mógł się nadziwić temu, co widzi. Zaraz jednak potrząsnął głową i wykrzywił usta w grymasie, który prawdopodobnie miał przypominać uśmiech.

– Jak się pani czuje? – zapytał, wchodząc nieśmiało do sali.

– Jakby mnie czołg rozjechał, ale poza tym jest dobrze, dziękuję. – Laura odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, choć od razu zdała sobie sprawę, że jej również nie wyszło.

Lekarz podszedł do aparatury, aby przestudiować widniejące na ekranie parametry. Wyciągnął niewielki notes i obgryziony długopis. Drżącą dłonią coś zapisał, po czym pokiwał głową. Laura pomyślała, że właśnie poznała tajniki paskudnego charakteru pisma lekarzy – po prostu im wszystkim telepią się ręce.

– Bardzo źle? – zapytała, siłąc się na spokój. Jej zdenerwowanie nie umknęło jednak uwadze aparatury. Miarowe pikanie przyspieszyło, co w uszach Laury zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– Proszę się nie denerwować. To niewskazane – powiedział lekarz. – A odnośnie pani zdrowia, na razie musimy wstrzymać się z rokowaniami. Zawał był dość mocny, ale na szczęście karetka dojechała na czas. Myślę, że za dzień lub dwa pani stan zacznie się stabilizować i wtedy porozmawiamy o tym, co dalej.

Pikanie aparatury zwolniło do poprzedniego tempa. Laura odetchnęła.

Jeszcze sobie trochę pożyję, pomyślała.

– Dziękuję, doktorze – odparła. Tym razem jej uśmiech był nieco bardziej przekonujący.

Lekarz kiwnął głową, życzył jej dobrej nocy, odwrócił się i powłóczył krokiem wyszedł z sali. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Laura pożałowała, że zapomniała zapytać o godzinę, a może nawet dzień. Nie wiedziała, jak długo leżała nieprzytomna.

Wysłuchiwała się w szmer aparatury i odgłosy dochodzące z korytarza. Starła się nie stresować, lecz myśli o wydarzeniach rozgrywających się w miasteczku nie chciały odejść.

Westchnęła i po raz kolejny spróbowała przekręcić się na bok, lecz nie dała rady. Zakłęła pod nosem, nie mogąc dłużej znieść leżenia w jednej pozycji. Plecy bolały ją jak po całym dniu stania na baczność.

Ile to ma trwać?

Ile osób jeszcze poniesie tak tragiczną śmierć?

Czy da się to jakoś powstrzymać?

Pytania te tłukły się w głowie Laury, bez odpowiedzi. Najgorsze jednak było poczucie odpowiedzialności. Zupełnie, jakby ona ponosiła winę za taki obrót spraw. Coś jej mówiło, że jest jedną z ważniejszych części napędowych tej śmiercionośnej maszyny.

Rozdział 23

Marcin odrzucił na łóżko gazetę i spojrział na nią, sfrustrowany. Dziennikarska robota w odniesieniu do tego, co stało się w parku, była godna pożałowania. Zamiast długiego artykułu na pierwszej stronie, ktoś nabazgrał krótką notatkę, która wyglądała tak, jakby wziął się za to dzieciak z podstawówki. Niektóre zdania zaczynały się z małych liter, a ortografia pozostawiała wiele do życzenia. Jak coś takiego w ogóle mogło wyjść w gazecie?

Notatkę zamieszczono w najgorszym z możliwych miejsc. Z jednej strony znajdował się artykuł dotyczący remontu drogi i chodnika z epoki Mojżesza, a z drugiej przepis na gówniane wegańskie żarcie. Nonsens.

Marcin wymacał paczkę Chesterfieldów i odpalił papierosa. Jego rodzice już dawno wyszli do pracy, więc bez obaw mógł palić w pokoju.

Pomysł przejrzenia gazety zaświtał mu w głowie, gdy usłyszał od sąsiadki, że w parku stało się coś złego. Kobieta zagadała go, gdy malował płot. Ojciec dał mu na dzień dobry owo zaszczytne zadanie, choć płot pomalowali na wiosnę i jeszcze pachniał świeżą farbą. Marcin nie miał ochoty znowu kłócić się ze starym, wziął pędzel, wziął farbę i zabrał się do roboty.

Sąsiadka zaczęła go, wracając ze sklepu. Najpierw stwierdziła, że palenie jest niezdrowe.

– Na coś trzeba umrzeć – odpowiedział, nie kryjąc zgryźliwości.

Kobieta nie zrozumiała aluzji, co w ogóle go nie zdziwiło. Nie posądzał jej o inteligencję, zwłaszcza że nosiła mało chwalebne miano jednej z największych plotkar w miasteczku. Tego dnia nauczył się, że tacy ludzie też bywają pożyteczni.

W parku doszło do potwornej tragedii. Pech chciał, że odkrył to jej piętnastoletni syn – Eugeniusz. Marcin nie przepadał za nim, gdyż cechowało go nerdostwo i nie dało się z nim porozmawiać na żaden sensowny temat. Ciągle nosił ze sobą karty do Magic: The Gathering i z marnym skutkiem szukał kompanów do gry. Ponadto Eugeniusz miał tlenione włosy z ulizaną na bok, pedalską grzywką. Marcina szlag trafiał za każdym razem, gdy widział tego pajaca.

Na wzmiankę o wydarzeniach w parku Marcin wdał się w rozmowę z upierdliwą sąsiadką. Musiał przyznać, że jej długi jęzor i talent do zapamiętywania najdrobniejszych szczegółów na coś mu się przydały.

Po rozmowie szybko pomalował resztę płotu. I tak ojciec się nie zorientuje, że praca została wykonana na odwal się. W końcu malował

biały płot na biało, w dodatku tą samą farbą, co poprzednio.

Znalazł w domu telefon i wstukał numer Sławka, lecz po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Chodząc nerwowo po podwórku i paląc papierosa za papierosem, bezowocnie próbował się dodzwonić. Dochodziła dwunasta, a chmury, które dotąd zasnuwały niebo, wreszcie się rozstępowały.

Po pewnym czasie Marcin postanowił pójść do kiosku po gazetę. Zakładał, że matka Eugeniusza coś przekręciła albo wyolbrzymiła i artykuł w gazecie okaże się znacznie wiarygodniejszy. Oczami wyobraźni widział tytułową stronę krzyczącą o wydarzeniach w parku, lecz wtedy doznał pierwszego rozczarowania. Odrzuciwszy gazetę w kąt, zajrzał do Internetu, lecz tam w ogóle nie znalazł wzmianki o nocnej rzezi. Wszystko wskazywało na to, że musi się zadowolić informacjami od wścibskiej sąsiadki.

Strząsnął popiół na gazetę i ponownie spróbował połączyć się ze Sławkiem. Po raz kolejny nic z tego nie wyszło.

Marcin krążył nerwowo po pokoju. Niepokoiły go dwie rzeczy. Po pierwsze, coś starało się odciągnąć uwagę ludzi od zabójstw, a po drugie, Sławek przepadł.

W żołądku Marcina wyrosła bryła lodowatego strachu. Nie chciał dopuścić do siebie tej myśli, lecz ona uporczywie wracała, więc wreszcie się poddał.

Świecący Człowiek wrócił do domu Sławka i wyrządził mu krzywdę.

Marcin pstryknął niedopałkiem, który wyleciał przez otwarte na oścież okno i wylądował w rabatkach, o które jego matka tak bardzo dbała. Z pewnością zrobi mu awanturę, gdy wśród kwiatów znajdzie niespodziankę, lecz Marcin na to nie zważał. Przeczuiwał, że Świecący Człowiek pojawi się również tej nocy. Polował na Marcina i nie przestanie, dopóki go nie dopadnie.

Chwycił książkę, nad którą spędził prawie całą ubiegłą noc i położył się na łóżku. Otworzył ją na oznaczonej zakładką stronie i zaczął czytać. Liczył na to, że lektura odciągnie jego uwagę od rzeczywistości, lecz tym razem sens zdań w ogóle do niego nie docierał. Litery rozmazywały się, tworząc szlaczki, których nie dało się rozczytać.

Zamknął oczy i leżał tak przez chwilę. Nieprzespana noc zaowocowała uciążliwym pieczeniem pod powiekami. Po powrocie do domu nie mógł bowiem zmrużyć oka. Marzył chociaż o godzinnej drzemce, lecz gdy tylko zamykał oczy, od razu dostawał zawrotów głowy.

Rozchylił obolałe powieki i spojrzał w sufit. Pierwsze promienie słońca wreszcie przebiły się przez warstwę chmur. Ciepły wiatr wpadł do pokoju, rozrzucając po nim niezliczone kartki, na których pisał teksty

oraz gitarowe partie.

Wpatrywał się, jak papiery leniwie opadają na podłogę, co poniekąd przypominało opadanie jesiennych liści, które niechętnie zbliżają się do mokrej ziemi, aby tam zgnić.

Zamknął książkę, nie przeczytawszy nawet strony. Musiał coś zrobić, a jedyną sensowną opcją wydawało się odwiedzenie Sławka. Nie był do końca pewien, czy pamięta drogę oraz wygląd domu, lecz wiedział jak dojść do legendarnego chodnika, który miał na sumieniu pokolenia rozbitych kolan. Dodatkowy plus stanowiło wybite okno. Marcin przypuszczał, że Sławek nie zdążył jeszcze zorganizować ekipy, która wymieni stłuczoną szybę. Znalezienie jego domu nie powinno zatem przysporzyć większego problemu.

Wstał z łóżka, zgarnął telefon i wyszedł. Mijając płot, zauważył paskudny zaciek z farby, lecz tylko prychnął pod nosem.

Pieprzyć to.

Ulice świeciły pustkami. Zupełnie, jakby ludzie pozamykali się w domach i czekali, aż minie niebezpieczeństwo. Brak ciekawskich spojrzeń to duży plus, lecz opustoszałe ulice robiły upiorne wrażenie.

A jeśli dopadł ich Świecący Człowiek?

Spoglądał na budynki, zastanawiając się, czy ich lokatorzy w ogóle żyją.

Właśnie przechodził obok sklepu z używaną odzieżą. Mniej więcej o tej porze przychodziła dostawa nowych ubrań. Zazwyczaj w środku znajdował się tłum ludzi, lecz tym razem kręciły się tam zaledwie dwie młode kobiety przeglądające spodnie. Marcin zachodził w głowę, czy to nie pracownice, które korzystając z zerowego ruchu, polują na najlepsze kąski.

Minął ciucholand i skręcił w lewo. Nigdy nie chodził ze wzrokiem wlepionym w ziemię, lecz teraz spojrzął pod nogi i omal nie krzyknął. Brunatno-brązowe ślady przecinały chodnik oraz wąską uliczkę, po czym ginęły w gąszczu kwiatów i równo przyciętego żywopłotu. Krew. Dużo krwi. Nie przypuszczał, aby doszło tu do bójki. Z tego, co wiedział, w domu nieopodal mieszkała starsza kobieta, a okolica należała do spokojnych.

Powinienem sprawdzić, czy nie stało się coś złego.

Pomysł wydał mu się sensowny, w szczególności, że krwawy ślad wyglądał, jakby ktoś szedł z rozciętym brzuchem, a nie zaledwie rozwalonym nosem.

Nieświadomie ruszył w stronę domu. Zatrzymał się na środku ulicy, bijąc się z myślami. Krwawy ślad nie prowadził bowiem do furtki, lecz biegł do żywopłotu i ginął w krzakach. Marcin w pierwszej kolejności postanowił sprawdzić zarośla.

Podszedł tam, gdzie ślad się urywał. Żywopłot był połamany, ukazując niską siatkę. Brak uszkodzeń wskazywał na to, że osoba, która tędy przechodziła, pokonała siatkę górą.

Już wychodził z zarośli, gdy nagle usłyszał szelest. Jego serce zabiło szybciej. Wyteżył wzrok, próbując dojrzeć coś przez sieć drobnych gałązek. W pierwszym momencie uznał, że zarośla są zbyt gęste, lecz zaraz w niewielkim prześwicie ujrzał zielonkawe oko z cienką pionową źrenicą.

– O kurwa!

Marcin niemal wystrześlił z krzaków, z trudem powstrzymując krzyk. Rozejrzał się oszalałym wzrokiem, jakby oczekiwał, że kolejne koty lada moment zajdą go od tyłu. Ulica jednak świeciła pustkami.

Wziął kilka głębokich oddechów i ponownie spojrzął na dom. Po krótkim namyśle uznał, że dzwonienie i pytanie, czy wszystko w porządku, jest bezsensowne. Poza tym po podwórku łąził kot, a po ostatnich wydarzeniach Marcin pałał niechęcią wobec tych zwierząt.

Jeżeli poszkodowany był w na tyle dobrym stanie, aby przejść przez płot, to nie ma potrzeby nachodzenia starszej kobiety. Nie prowadził organizacji charytatywnej zajmującej się ofiarami barowych bójek, a poza tym miał ważniejsze sprawy na głowie. Sprawy, od których zależało jego życie.

A nie pomyślałeś, że...

– Nie – powiedział sam do siebie stanowczo. Świecący Człowiek zabijał w zupełnie inny sposób. Gdyby faktycznie coś go z tym łączyło, to dookoła walałyby się kawałki ciała.

Odwrócił się i szybko poszedł w kierunku zniszczonego chodnika. Może przyjdzie mu później pożałować tej decyzji, lecz teraz uważał, że postąpił słusznie.

Spojrzał na płyty chodnikowe, których krawędzie tylko czekały, aż będą mogły rozorać mu rękę, nogę lub twarz. Nie chciał ryzykować, więc przeszedł na drugą stronę chodnika i pomaszerował trawą, przypominając sobie nocną ucieczkę przed Świecącym Człowiekiem. Wspomnienie wprawiło go w przerażenie i jednocześnie podziw dla ogromnego szczęścia, jakie mu dopisało.

Dom Sławka rozpoznał z daleka. Nie potrzebował sprawdzać, czy jest w nim wybite okno. Zapadł mu w pamięci charakterystyczny spadzisty dach.

Nacisnął klamkę. Furtka otworzyła się z cichym skrzypieniem. Przez chwilę wahał się, niepewny reakcji na niezapowiedzianą wizytę.

A co, jeśli Sławek postanowił spędzić z żoną czas na baraszkowaniu w łóżku?

Marcin złapał się za głowę, nie mogąc uwierzyć, że pojawiło się w

niej coś tak głupiego. Po tym, do czego doszło w nocy, nawet najbardziej wyposzczony wariat straciłby ochotę na seks.

Uznał, że te myśli wynikają z deficytu snu, po czym niepewnym krokiem wszedł na podwórko. Na wszelki wypadek zostawił nieco uchyloną furtkę. Nie wiedział, co zastanie w domu i czy nie przyjdzie mu stąd uciekać.

Stanął przed drzwiami. Promienie letniego słońca dokuczliwie grzały go w tył głowy. Dookoła panowała niepokojąca cisza. Zupełnie, jakby ludzie wyparowali, ptaki wyniosły się dawać swoje koncerty gdzie indziej, a powietrze pochłaniało wszelkie odgłosy.

Wyciągnął rękę do klamki i wtedy dostrzegł, że drzwi są uchylone. Przypomniało mu się, że gdy wychodził stąd nad ranem, Sławek zamknął je na łucznik.

Obawy wydawały się irracjonalne. W końcu Sławek był u siebie. Mógł wyjść na moment do szopy i zostawił uchylone drzwi. To nic nadzwyczajnego.

Złe przeczucia wzięły jednak górę. Marcin już chciał popchnąć drzwi, lecz w ostatniej chwili się pohamował. Przyzwoitość nakazywała zapukać albo zawołać któregoś z domowników.

Drżącą dłonią kilkakrotnie zastukał. W myślach prosił opatrność, aby zaraz rozległ się odgłos kroków, lecz niestety tak się nie stało. Ponowił pukanie i gdy przyniosło ten sam skutek, zawołał:

– Sławek!

Cisza. Wdzierała się w głąb jego umysłu, nasuwając same czarne scenariusze; miał ochotę uciekać.

– SŁAWEK!

Cisza.

Mimowolnie pchnął drzwi i ujrzał przedpokój. Na wieszaku wisiały dwie bluzy i lekka skórzana kurtka. Na podłodze zaś leżał prostokątny dywanik, na którym w nienagannym porządku ułożono buty – od eleganckiego męskiego obuwia, poprzez zakurzone adidasy i buty na wysokim obcasie, na kłapkach i balerinach skończywszy. Ten widok nieco go uspokoił. Może gdzieś pojechali i Sławek zapomniał telefonu?

Ale każdy, kto wyjeżdża, zamyka drzwi na cztery spusty, czyż nie? Skoro są otwarte, wniosek jest taki, że lokatorzy powinni być w domu.

Lodowata bryła strachu, jaką nosił na dnie żołądka, zaczęła topnieć, lecz wtedy jego nozdrzy doleciał lekki zapach, który uruchomił ostrzegawczą syrenę. Wytrzeszczył oczy, a po jego czole spłynęły grube krople potu. Woń ozonu i choroby. Niemal zobaczył szpitalną salę, na której leżą osoby odliczające czas do spotkania ze Świętym Piotrem.

Mimowolnie postąpił dwa kroki do tyłu. Zawadził o próg i omal nie poleciał na plecy; w ostatnim momencie złapał równowagę. Zatrzymał

się, dysząc jak po przebiegnięciu maratonu. Przed oczami zrobiło mu się ciemno. Uderzył się w policzek, by otrzeźwieć.

Uspokój się, pomyślał, lecz łatwiej powiedzieć niż zrobić. Woń Świecącego Człowieka stawała się coraz silniejsza. Zupełnie, jakby upiór czaił się w kuchni i właśnie postanowił wyjść mu na spotkanie.

Marcin nie uważał się za strachliwego. Oglądał setki horrorów, przy których znajomi wymiękali. On natomiast ze stoickim spokojem, a niekiedy żywym zainteresowaniem, patrzył na obrzydliwe sceny ukazujące najwymyślniejsze sposoby na okaleczenie lub zabicie człowieka. Jego odporność załamała się, gdy na własne oczy ujrzał coś, co z pewnością spodobałoby się każdemu autorowi scenariusza grozy: człowieka rozrywanego na strzępy w mniej niż sekundę. To byłby murowany hit kinowy, na który z chęcią poszedłby w dniu premiery. Patrząc na sceny rozgrywające się na wielkim ekranie, spokojnie pogryzałby popcorn, podczas gdy jego znajomi robiliby w gacie.

Horror rozegrał się w prawdziwym świecie. Widział gejzer krwi, który nagle wystrzelił z żył i tętnic jego najlepszych kumpli. Kontrolę wtedy przejął nad nim strach, lecz dzięki niemu zdołał ocaleć. Teraz, w milczącym domu Sławka, coś podpowiadało mu, że ponownie stanął w sytuacji zagrożenia.

Poza samą wonią nic nie wskazywało, aby Świecący Człowiek nadal tu przebywał. Blask, jakim emanował ten stwór, był nieprawdopodobnie silny. Zachowując tak daleko posuniętą czujność, bez trudu zauważyłby, gdyby z okien zaczęło wylewać się nienaturalne światło.

Marcin zebrał się na odwagę, wziął haust śmierdzącego powietrza, po czym ruszył dalej. Przedpokój wydawał się niemiłosiernie długi, zupełnie jakby każdy przebyty metr dodawał do długości korytarza co najmniej kolejne cztery. To było nie do zniesienia, lecz Marcin uparcie szedł dalej.

Niespodziewanie przepelniony strachem umysł nastolatka uległ oczyszczeniu. W jego głowie zapanowała pustka; stawiał kroki znacznie swobodniej.

Wszedł do kuchni. Tutaj smród ozonu i choroby zyskał na intensywności. Marcin zasłonił dłonią usta i nos, ale na niewiele się to zdało. Targnął nim odruch wymiotny, lecz pusty żołądek nie miał nic do rzucenia i skończyło się tylko na głośnym beknięciu.

Załamionymi oczami rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystko leżało na swoim miejscu. Ktoś odsunął od stołu jedno z drewnianych krzeseł na jakieś dwa metry. Marcinowi stanął przed oczami obraz zaskoczonego Sławka, zbyt gwałtownie podrywającego się z siedzenia. Niezależnie od okoliczności, w jakich krzesło znalazło się tak daleko, najważniejsze, że na podłodze nie widniała krwawa kałuża.

Wyszedł z kuchni. Jego nos z wolna przywykał do smrodu Świecącego Człowieka.

Przeszedł ciemnym korytarzem. Po jego przeciwległej stronie usytuowana była sypialnia, a po bokach dwoje innych drzwi. Te po lewej prowadziły do łazienki, a te po prawej do pokoju gościnnego.

Było też poddasze. Z daleka widział schody do czarnego wnętrza. Przypuszczał, że albo jest tam składowisko rupieci, albo puste pokoje, które czekają na umeblowanie. Na samą myśl o wejściu tam poczuł ukłucie strachu. Intuicja podpowiadała, że wchodzenie na górę nie jest dobrym planem. Postanowił posłuchać i ruszył do sypialni. O górnym poziomie pomyśli dopiero wtedy, gdy nie pozostanie nic innego.

Stał przed otwartymi drzwiami sypialni. Panująca w domu cisza przytłaczała, powietrze konsystencją przypominało budyń. Marcin poczuł się, jakby zamknięto go w trumnie pozostawionej na pełnym słońcu w najgorętszy dzień lata. Pot obficie spływał po jego ciele, a włosy powoli zamieniały się w tłuste strąki przypominające zawszone dredy naćpanego rastafarianina, który żyjąc w zgodzie z naturą, nie używa mydła ani szamponu.

Serce waliło mu jak po działce amfetaminy popitej potrójnym espresso. Adrenalina krążyła w jego organizmie niczym przed pierwszym skokiem ze spadochronem. Spodziewał się, że za drzwiami znajdzie odpowiedzi. Zaledwie jeden krok dzielił go od poznania prawdy.

Zamknął oczy, wsłuchując się w ciszę. Próbował się uspokoić, lecz ciągle dręczyły go złe przeczucia. Jakby cały dom ze wstrzymanym oddechem czekał, aż przekroczy ten przekłety próg sypialni i odkryje jego tajemnicę.

Usłyszał śmiech.

Śmiech? Płacz? A może obłąkańczą fuzję radości i bólu?

Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Rozdział 24

Kac – stan, o którym już dawno zdążył zapomnieć. Lata codziennego picia na umór sprawiły, że poranne dolegliwości, które dla przeciętnego człowieka bywają nie do przejścia, dla niego stały się tak normalne jak oddychanie.

Dawid Chmiel przez całe dorosłe życie był pijakiem i wyrzutkiem. Jego nazwisko wiele o nim mówiło, choć od piwa wolał gorzałę, tanie wina, a w ostateczności denaturat. Piwo uważał za dobrą popitkę do najpodlejszej wódki, na którą zawsze udawało mu się jakoś uzbierać.

Głośno beknął, czując w gardle ostry smak żółci. Na jego przeпоconym swetrze zastygła porcja wymiocin, które musiał wypuścić w nocy. Żołądek skurczył się boleśnie, błagając o litość i coś do jedzenia; coś lepszego od nadpsutych resztek znalezionych w śmietniku.

Przekręcił się na bok w nadziei, że żołądek się uspokoi. W końcu zawsze, prędzej czy później, skurcz przechodził, co pozwalało mu na wychylenie następnych kolejek.

Ten ranek zapowiadał się wyjątkowo paskudnie i nie chodziło o pogodę. Jego największym problemem, który niemal każdego dnia przyprawiał go o depresję, był brak alkoholu albo brak pieniędzy, żeby go kupić. W tym przypadku oba problemy przybiły sobie piątkę – nie miał co pić ani za co.

– Do dupy z takim życiem – mruknął, po czym głośno beknął. Ciężki smród jaki przy tym wydzielił, sprawił, że aż zmarszczył nos.

Powoli usiadł i rozejrzał się. Minioną noc ponownie spędził w rozpadającej się chacie, którą otaczał płot wykonany z zardzewiałej siatki pełnej rozdarć. Ponoć lata temu w tym domu jakaś szurnięta baba siekierą przerobiła swojego męża na mielonkę. Nie interesowało go jednak, czy stało się to naprawdę, czy nie. Był tu kawałek podłogi, na którym mógł rozłożyć przegniły koc, miał dach nad głową, który wbrew pozorom nie przeciekał aż tak tragicznie. Trzeszczące ściany chroniły go zaś przed wiatrem i spojrzeniami wścibskich ludzi. Co noc słyszał harcujące w nich myszy, ale je ignorował.

Spojrzał na dłonie. Jego palce nieznacznie drżały. Jeżeli szybko nie wypije przynajmniej dwóch piw, drząc zaczną całe ręce. Wtedy zostanie mu niewiele czasu na zaspokojenie głodu, nim dostanie mocnych drgawek, a w efekcie ataku padaczki.

– Kurwa – mruknął pod nosem, grzebiąc w kieszeniach brudnej kurtki. Po chwili wymacał paczkę Marlboro – jedną z najlepszych zdobyczy w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Jego egzystencja polegała na tułaczce od jednego śmietnika do drugiego. Często znajdował przydatne rzeczy, ale rzadko trafiało się coś naprawdę cennego. Papierosy dorwał na przystanku. Paczka po prostu leżała na długiej ławce.

Wytrząsnął z wymiętej paczki niedopałek i odpalił go. Śmierdzący dym wypełnił wnętrze. Kaszlnął i splunął w kąt żółtobrazową flegmą. Musiał wymyślić, w jaki sposób dopaść przynajmniej jedno piwo. Jego wyżarte przez alkohol szare komórki potrzebowały kilku minut, nim poczęły w miarę sprawnie funkcjonować.

Nienawidził trzeźwości. W tym stanie nic nie miało najmniejszego sensu; docierało do niego, że jest zwykłym wrzodem, który uprzykrza ludziom życie. Wpadał w depresję i zastanawiał się nad tym, ile jest sensu w takim wegetowaniu. Niekiedy pojawiały się także myśli samobójcze, lecz znikaly wraz z pierwszym łykiem gorzały.

Trzeźwość oznaczała również napady delirium. W takich momentach zbyt jasny umysł odsłaniał coś, o czym przez lata starał się zapomnieć. Gdy był pijany, wspomnienia topiły się w falach wody. Jeśli nie chłał, fale wycofywały się, odkrywając przeszłość niczym zepsuty skarb.

Dyskoteka, alkohol i ładne dziewczyny, które można złapać tu i tam. Przy odrobinie szczęścia trafiał się nawet szybki numerek. Tego wieczoru jego alkoholowe hamulce ponownie zawiodły i spił się na umór.

Przypominał sobie pijanego Norberta, który po wyjściu z klubu, na klęczkach, przytrzymał się ściany i rzygał jak kot. Tamtej nocy stworzył na murze barwną mozaikę, której ślady pozostały jeszcze na długo po jego śmierci. Wtedy Dawid stał obok i tak się z niego śmiał, że omal nie popuszczył w spodnie.

Niesamowita impreza skończyła się tragedią, która sprawiła, że obrał taką, a nie inną drogę.

Gdy Norbert przestał wreszcie wymiotować, nie miał siły, aby ustać na nogach, nie wspominając o przejściu kilkunastu metrów, jakie dzieliły ich od samochodu. Dawid, który sam z trudnością łapał równowagę, zatargał kumpla do auta i zapakował na fotel pasażera. Następnie, opierając się o karoserię, przeszedł na drugą stronę, po czym wsiadł za kółko.

W samochodzie wydawało mu się, że wytrzeźwiał na tyle, żeby dojechać do domu. Wtedy alkohol po raz pierwszy pokazał Dawidowi swoje zdradzieckie oblicze. Los zadecydował o tym, że Norbert zginie, a on zostanie zapijaczonym śmieciem mającym na sumieniu najlepszego przyjaciela.

Na początku jechało się całkiem nieźle. Otworzył okno od strony kierowcy i rozkoszował się chłodnym wiatrem, który owiewał jego

rozpaloną twarz. Norbert zasnął snem pijanego i nigdy się nie obudził.

Alkohol go zdradził. Żołądek podskoczył mu do gardła i struga wymiocin zalała deskę rozdzielczą. Stracił panowanie nad samochodem. Czuł się, jakby ktoś umieścił go w symulatorze rodem z filmów *science fiction*, w którym pełno jest pokręteł i przycisków o nieznanym przeznaczeniu.

Równą drogę zastąpiły wyboje pobocza. Później rozległ się przeciągły zgrzyt rozdieranego metalu i niesamowity łomot.

Potrząsnął głową, by pozbyć się uporczywych wspomnień. Te jednak zawsze pozostawiały po sobie echo, które zagłuszał dopiero alkohol.

Wtem jego uwaga odwróciła się od ponurych myśli. Coś, co potrafiło wybić mu z głowy traumatyczne wspomnienia, automatycznie stawało się błogosławieństwem. Spojrzał w stronę trzymających się na jednym zawiasie drzwi i wydał ochryply okrzyk. Jasne światło brutalnie zaatakowało jego przekrwione oczy, powodując ostry ból głowy. Nim Dawid zdążył zareagować, zobaczył zjawisko, które nie mogło istnieć naprawdę.

Naprzeciwko stał młody mężczyzna, który... świecił. Właśnie tak; facet po prostu roztaczał wokół siebie blask jak jakaś cholerna żarówka. Każdy por na jego ciele wydawał się diodą o niewiarygodnie dużej mocy. Wraz z przyjściem nieznanego Dawid wyczuł zapach burzy i czegoś jeszcze, lecz nie mógł odgadnąć, co to takiego. Z jednej strony owa woń była przyjemna, ale z drugiej drażniła niczym żrący detergent.

Człowiek wpatrywał się w niego oczami pozbawionymi wyrazu. Jego oblicze było niemal całkowicie gładkie, bez wyrazu.

Igła strachu przeszła pierś Dawida. Dłonie momentalnie przestały mu drżeć. Powrócił ostry ból brzucha, jakby ktoś wbił mu rękę w trzewia i powoli je zgniatał, kawałek po kawałku.

Nagle na obliczu Świeącego Człowieka pojawił się uśmiech. Okropny grymas obejmował same usta, resztę twarzy pozostawiając bez zmian. Resztki instynktu samozachowawczego Dawida krzyczały, aby brał nogi za pas i spieprzał, lecz nie potrafił oderwać wzroku od przybysza. Wkrótce zrozumiał, że pomimo strachu, jest nim zafascynowany.

Coś zapiekło go w wargę. Sięgnął tam dłonią i zrzucił niedopałek papierosa, o którym zupełnie zapomniał. Nie mógł oderwać wzroku od Świeącego Człowieka.

– K-k-kim j-j-jes-s-steś? – wychrypiał ledwie słyszalnym głosem.

– Kimś, kto przyszedł tu w *jasno* określonym celu – odparł Świeący Człowiek. Jego głos przerażał; brzmiał jak wszystkie cierpienia świata połączone w jeden krzyk, od którego chciała pęknąć głowa. Ponadto towarzyszyło mu dziwne echo, jak we wnętrzu olbrzymiej świątyni, gdzie nawet najcichszy odgłos dociera aż do najdalszego kąta.

Znajdowali się jednak w zrujnowanej chacie, gdzie ściany prędeż rozleciałyby się w drobny mak, niż odbiły dźwięk.

Chwilę później uświadomił sobie, że echo dobiega prosto z gardła Świeącego Człowieka. Wyniszczony alkoholem mózg Dawida wskoczył na najwyższe obroty i wykreował obraz, na którym we wnętrzu przybysza, niczym w matriosce, siedzą jego wierne kopie i z niewielkim opóźnieniem powtarzają każde słowo. Zadygotał.

Dawid zorientował się, że od kilku minut stoją w milczeniu. Nie miał pojęcia, czy Świeący Człowiek wymagał od niego odpowiedzi, czy nie. Cisza robiła się nieznośna.

– T-to ja sobie pó...

– Widzę, że trzęsą ci się ręce, przyjacielu – Świeący Człowiek wszedł mu w zdanie.

– Tak? – Dawid spojrział na swoje dłonie. Chodziły mu tak, że gdyby ktoś dał mu szklankę wody, nim zdążyłby nią trafić do ust, rozlałby całą zawartość.

Świeący Człowiek nie odpowiedział. Uważnie lustrował pijaka, a jego wargi nadal wyginały się w paskudnym grymasie.

– No cóż... – Dawid chrząknął zakłopotany. Do tej pory nie odczuwał wstydu, podchodząc do ludzi i w mniej lub bardziej natarczywy sposób „prosząc” o pieniądze, papierosy lub coś do jedzenia. Nie wstydził się chodzić w ubraniach śmierdzących moczem i Bóg wie czym jeszcze. Miał czelność pokazywać się na ulicy, otoczony chmurą smrodu i uprzykrzać ludziom życie. Nie widział również nic złego w wyzywaniu osób, które nie chciały mu nic dać lub bez słowa omijały go szerokim łukiem. Grzebanie w śmietnikach w poszukiwaniu puszek lub zwrotnych butelek po piwie także nie stanowiło ujmy na strzępach jego godności.

Tym razem wszystko wyglądało inaczej. Dawid postrzegał Świeącego Człowieka jako bóstwo. Surowy, czysty i wszechmogący. Tak, Świeący Człowiek z pewnością był wszechmogący. Respekt, jaki do siebie wzbudzał, stanowił tego najdobitniejszy dowód. Dawid nie odważyłby się prosić go o cokolwiek. Gdyby zobaczył go na ulicy, od razu poczułby wstyd i obrzydzenie do własnej osoby. Uciekłby na drugą stronę i prosił opatrność, aby ten doskonały człowiek nie zwrócił na niego uwagi.

– Chyba mam dla ciebie lekarstwo – powiedział Świeący Człowiek.

– Nie potrzebuję lekarstwa. Przejdzie mi – odparł speszony Dawid.

– Ależ potrzebujesz, Dawidzie. Obaj doskonale wiemy, że ten proces postępuje.

Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Po prostu kiwnął głową, choć nie wiedział, o jakim lekarstwie mówi przybysz. Zastanawiało go, skąd w ogóle zna jego imię. Świeący Człowiek z pewnością nie mieszkał w

miasteczku. Dawid, jako obywatel każdej ulicy w tej dziurze, na pewno zwróciłby na niego uwagę.

Świecący Człowiek wyciągnął do niego rękę. Dawid drgnął, podświadomie spodziewając się ciosu w twarz. Zaraz jednak przekonał się, że nie ma powodu do obaw.

Zobaczył szklaną butelkę i poczuł, że coś w nim wybuchło; połączenie chorego podniecenia na myśl o upiciu się i niecierpliwość dziecka wyczekującego pierwszej gwiazdki. Do jego ust napłynęła gęsta ślina. Wzrok się wyostrzył, a w uszach słyszał szum, jak po wyjściu z hałaśliwego heavymetalowego koncertu.

Wyciągnął rękę, skupiając się na tym, aby nie upuścić butelki, którą podał mu Świecący Człowiek. W jego dłoni spoczął przyjemny ciężar litrowej, lekko schłodzonej flaszki.

Gdy spojrział na etykietę, omal nie wrzasnął. Grants! Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni pił TAKI alkohol. Gwałtownie odkręcił zakrętkę z szyjki i pociągnął potężny łyk. Whiskey była doskonała. Pomyślał, że jeżeli niebo ma jakiś smak, to został on zamknięty właśnie w tej butelce. Alkohol kojącym ciepłem rozchodził się po jego ciele. Żołądek podskoczył, lecz zaraz się uspokoił, pogodzony z myślą, że czeka go kolejny cholernie ciężki dzień. Dłonie przestały drżeć, umysł się rozjaśnił.

– Dz-dz-dziękuję – odparł i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że zaznał jednorazowej przyjemności. Świecący Człowiek dał mu się napić, bo widział, że lada moment dostanie potężnego ataku delirium. Skoro drżenie ustało, przyjdzie mu rozstać się z tym cudownym smakiem.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Dawid nawet by się nie zawahał. Zdzieliliby delikwenta butelką przez łeb, oczywiście tak, aby jej nie potłuc, uciekłyby ze swoją zdobyczą, zaszyłyby się w jakimś ciemnym kącie i urznął w trupa trunkiem dla bogaczy.

Bezsensowne gdybanie, pomyślał. Przecież stał przed Bogiem, który w swym dobrodziejstwie obdarzył go wielką łaską.

– Dziękuję – powtórzył więc, zakręcił butelkę i podał ją Świecącemu Człowiekowi.

– Nie – odparł. – Należy do ciebie.

– Co?! – Dawid nie mógł uwierzyć we własne szczęście. W jego głowie pojawiła się przykra myśl, że śni i zaraz obudzi się w śmierdzącej szopie, z zasikanyimi gaciami i w ponurym nastroju.

Gdy jego umysł zaczęła zasnuwać szara chmura melancholii, żołądek podjął kolejną próbę sprzeciwu. Ból zdawał się całkowicie realny. Znał go dobrze, więc wiedział, że nie chodzi o wytwór śpiącego umysłu. Świecący Człowiek wciąż tu stał, a butelka Grantsa nadal przyjemnie ciążyła mu w dłoni. To działało się naprawdę!

– Możesz zatrzymać alkohol, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? Zrobię dla pana wszystko! – Dawid prawie padł na kolana, opanował się w ostatniej chwili. Tak czy owak, jego deklaracja była szczerą. Za taki trunek mógł wykonać dla Świeącego Człowieka każde zadanie – bez najmniejszych oporów. Jeżeli jego zbawca zapragnie, żeby ktoś zrobił mu loda, Dawid się tym zajmie i dołoży wszelkich starań, aby robota została wykonana profesjonalnie.

– Napij się jeszcze, przyjacielu. Ochłoń trochę, a po tym uważnie mnie posłuchasz. Rozumiesz?

Dawid z sumiennością przystąpił do pierwszego zadania. Teraz, już znacznie mniej łapczywie, odkręcił butelkę i wziął kolejny łyk bursztynowego nieba. Alkohol przyjemnie zapiekł w gardle. Odpalił niedopałek z paczki Marlboro i zaciągnął się z rozkoszą.

Jeden z moich najlepszych dni na tym zaszranym świecie, pomyślał. Znalezienie prawie całej paczki papierosów zdawało się nic nie znaczyć przy szczęściu, jakie go wypełniało w tym momencie. Miał dużą butelkę whiskey, na którą nigdy nie śmiał spojrzeć, kupując tanie sikacze, trochę papierosów z wyższej półki, a Świeący Człowiek... Ten już dwukrotnie nazwał go przyjacielem. Po raz pierwszy od kilkunastu lat usłyszał taki zwrot w odniesieniu do swojej osoby. Do tej pory ludzie używali wobec niego najwymyślniejszych zwrotów, począwszy od żuła, na skurwysynu skończywszy.

Zdał sobie sprawę, że ze Świeącym Człowiekiem łączy go silna więź. Zupełnie, jakby trafił na bratnią duszę, choć nie odważyłby się wypowiedzieć tego na głos. Kim był on, a kim Świeący Człowiek? Dawid wyglądał przy nim jak psie gówno na nienagannie utrzymanym trawniku.

Skierował butelkę w stronę Świeącego Człowieka.

– Może łyeczka?

– Nie dziś – odparł. – Mam dużo rzeczy do zrobienia, więc muszę zachować jasność umysłu.

– Rozumiem. – Dawid zaciągnął się ostatni raz i zgniótł niedopałek zdezelowanym butem. Pociągnął kolejny łyk whiskey i po chwili poczuł pierwsze oznaki jej dobroczynnego działania.

– Widzę, że możesz już uważnie mnie wysłuchać, przyjacielu – oznajmił Świeący Człowiek.

– Tak – odpowiedział Dawid poważnie, co zupełnie nie pasowało do jego wyglądu i smrodu, jaki dookoła roztaczał.

Świeący Człowiek mówił, a Dawid uważnie słuchał.

Rozdział 25

Daria ocknęła się w środku nocy. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu Sławka, lecz łóżko po jego stronie okazało się puste. Pociągnęła nosem, spodziewając się, że poczuje te jego śmierdzące papierosy, lecz powietrze było ciężkie, suche i pozbawione zapachu.

Otworzyła szerzej oczy i wtedy dotarło do niej, że nic nie widzi. Leżała w zupełnych ciemnościach i wcale nie w małżeńskiej sypialni.

Ale łóżko...

A raczej coś, za co je na początku wzięła; teraz straciło swą pozorną miękkość. Plecy bolały ją jak po kilku godzinach leżenia na twardej powierzchni. Przesunęła dłonią po podłożu i syknęła. Szorstki kamień boleśnie poranił jej skórę.

Daria poderwała się, lecz nim zdążyła wstać, uderzyła głową w twardą barierę. Upadła, czując tępy ból i mdłości.

Znajdowała się w pomieszczeniu, które nie miało więcej niż metr pięćdziesiąt wysokości.

– Gdzie ja, do cholery, jestem? – zapytała samą siebie, choć w jej głowie panowała taka sama czerń jak dookoła. Próbowła sięgnąć pamięcią wstecz, ale nie mogła sobie niczego przypomnieć.

Zaczęła raczkować w poszukiwaniu wyjścia – niełatwe zadanie w całkowitych ciemnościach. Dłoni i kolanami boleśnie odczuwała każdą nierówność podłoża.

Natknęła się na ścianę wykonaną z szorstkiego kamienia przypominającego ten, z którego zrobiono sufit i podłogę. Zakłęła pod nosem. Nie zniechęciło jej to, choć coś jej podpowiadało, że odnalezienie drzwi wcale nie będzie proste.

Skreśliła w prawo, ale jej palce ponownie napotkały szorstką barierę. Dwie ściany umiejscowione blisko siebie wywołały klaustrofobię. Przerazała ją wizja, że jak przesunie się jeszcze o kilka centymetrów, to trafi na kolejną kamienną barierę.

Uspokój się. Najprawdopodobniej jesteś w kącie bardzo długiego i wąskiego pokoju. Idź dalej, a wreszcie trafisz do wyjścia.

Przecież nie było możliwe, aby znajdowała się w pomieszczeniu o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, w którym nie ma drzwi. Kto i jak by ją w nim zamknął?

A może...

Nim kolejny czarny scenariusz zdążył się rozwinąć, Daria wyrzuciła go z głowy.

Zebrała się w sobie i kontynuowała wędrówkę. Dotarła do kąta i tam

również skręciła w prawo. Z narastającym strachem pokonywała kolejne centymetry, nie zauważając, że porusza się coraz wolniej. W ten sposób droga wydawała się dłuższa, co dowodziło, że pomieszczenie ma kształt rozciągniętego prostokąta. Powoli zaczęła odczuwać ulgę i uspokajać się.

Nagle jej palce po raz kolejny natrafiły na ostry kamień. Z jej gardła wydarł się szaleńczy krzyk. Myśl, której tak usilnie próbowała się pozbyć, brutalnie wdarła się do jej głowy i zapuściła korzenie daleko w głąb mózgu.

Jestem w grobie! Zamurowali mnie żywcem!

– Słaaaaaaaaweeeeeeek! – krzyknęła, choć wiedziała, że mąż i tak jej nie usłyszysz. On był tam, na górze.

Czy mnie szuka?

Czy w ogóle się zorientował, że zniknęłam?

A może właśnie płacze nad moją trumną?

– Słaaaaaaaaweeeeeeek! – Po jej policzkach potoczyły się łzy. Skóra zapiekła, jak gdyby z oczu popłynął kwas. Atmosfera zrobiła się znacznie cięższa, Daria odniosła wrażenie, że ściany zbliżyły się do siebie, zmniejszając i tak przeraźliwie małą przestrzeń.

Zacisnęła dłonie w pięści i tłukła nimi w chłodny kamień. Po kilku ciosach z jej kostek została krwawa miazga, lecz ból wydawał się odległy, jakby do niej nie należał.

– SŁAAAAAAAAAWEEEEEEEEEEK! – ryknęła, zdzierając gardło. Otaczający ją kamień pochłaniał dźwięk. Jeżeli ktoś teraz stoi nad jej świeżo zamurowanym grobem, to i tak niczego nie usłyszysz.

– Przestań tak wrzeszczeć!

Powietrze gwałtownie opuściło jej płuca, jakby upadła na plecy z dużej wysokości. Gdy minął szok, Daria wytrzeszczyła oczy, próbując dojrzeć coś w ciemności.

– H-halo? Kto mówi? – odezwała się niepewnie.

– Osoba, która znajduje się w takiej samej sytuacji, co ty – odparł głos.

Należał do młodej kobiety, może nastolatki. Daria próbowała zlokalizować miejsce, z którego dobiegał, lecz po chwili uznała, że nie zdoła. Przerazał ją fakt, że rozmawia z kimś, kogo nie widzi, ale przynajmniej nie była tutaj sama. To ją nieco pocieszyło.

Wzięła kilka głębokich oddechów i wtedy poczuła coś, co skojarzyło jej się z lekami, chorobą i szpitalem – momentalnie rozboleła ją głowa. Upadła na plecy i zamknęła oczy, prosząc Boga, aby koszmar dobiegł końca.

Już wiedziała. Artur postanowił ją uwięzić. W jej głowie zrodziło się pytanie, choć nie miała pewności, czy chce znać na nie odpowiedź.

Co tu uwięziono? Moje ciało, duszę, czy jedno i drugie?

Milczenie się przedłużało. Nastolatka nie starała się podtrzymywać kontaktu. Rozumiała to; podczas gdy jedni potrzebują wsparcia ze strony drugiej osoby, inni wolą uporać się ze swoimi potworami w samotności. Musiała się jednak czegoś dowiedzieć.

– Długo tu przebywasz? – Nie wiedząc, gdzie znajduje się rozmówczyni, Daria skierowała pytanie do sufitu.

– A ty?

Daria zmarszczyła czoło. Nienawidziła, jak ktoś odpowiadał pytaniem na pytanie. Z tego powodu niejednokrotnie wrzeszczała na Sławka, zwłaszcza gdy ten robił tak przez złośliwość.

Intuicja jednak podpowiedziała jej, że w pytaniu nastolatki zawarta jest odpowiedź. Daria nie wiedziała, od kiedy tutaj przebywa. Może obudziła się kilka minut temu, ale niewykluczone, że przeleżała tu całe godziny. Ciężko mówić o czasie, będąc zamkniętą w grobie.

– Rozumiem, że obie nie wiemy – odparła.

– No właśnie.

– Jak się nazywasz?

– Marta, a ty?

– Daria.

– Ładne imię.

– Dzięki.

Zapadło dłuższe milczenie. Zakłopotana Daria gorączkowo rozmyślała nad tym, jak dalej pociągnąć rozmowę. Z pomocą przyszedł jej kolejny głos, tym razem męski i niezwykle oziębły:

– Witajcie dziewczyny. Mam na imię Wiktor.

Daria podskoczyła i omal nie uderzyła głową w niski sufit.

Ile jest tutaj osób?

W oddali usłyszała, jak Marta odpowiada na powitanie. Sama nie mogła wykrztusić ani jednego słowa. Przeczowała, że zaraz stanie się coś złego.

– Słyszałem, o czym rozmawiałyście – odezwał się Wiktor. – Ja chciałbym zapytać o coś innego. Pamiętacie może, w jaki sposób tutaj trafiłyście?

– Ja nic nie pamiętam. – Daria skłamała do sufitu. Oczami wyobraźni widziała świecącą sylwetkę Artura.

– Na pewno?

Nie mogła wydusić ani słowa. Musiała przełknąć twardą gulę, nim wreszcie zdobyła się na krótką odpowiedź:

– Wiem, że mam męża.

– I wiesz coś jeszcze – powiedział Wiktor spokojnym głosem. – Jak mogłaś zapomnieć o synu? Mądry i uzdolniony chłopiec. Takie dziecko

jest dumą dla rodziców. Zawsze był najlepszy. Kuba Rozpruwasz nawet do jaj mu nie sięga.

Po tych słowach rozległ się pozbawiony radości śmiech. Wdarł się do głowy Darii i zaatakował bezbronny mózg. Przewróciła się na bok, drżąc na całym ciele. Chciała krzyczeć, lecz jej gardło wzbraniało się przed wydaniem jakiegokolwiek dźwięku. Po chwili do upiornego śmiechu Wiktora dołączył głos, który obrzucał ją tak wymyślnymi wyzwiskami, że w normalnych warunkach nie mogłaby się nadziwić jego kreatywności. Puszczala obelgi mimo uszu, licząc, że brak jej reakcji znudzi Wiktora. Niestety nie zniechęcał. Nadal, niczym zaprogramowany automat, wypluwał wiązanki przekleństw pod jej adresem.

Nagle ze wszystkich stron zaczęły odzywać się męskie głosy; kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt. Słyszała nastolatków, którzy ledwo weszli w mutację, a także znacznie starszych mężczyzn, u których intensywne picie piwa i palenie ogromnych ilości papierosów wyrobiły charakterystyczną chrypę Kurta Cobaina. Męskie i chłopięce głosy nakładały się na siebie, tworząc narastający bełkot. Daria zakrwawionymi dłońmi zasłoniła uszy, lecz niewiele to dało. Głosy skutecznie pokonywały tę barierę.

Teraz wiedziała, gdzie jest, i wiedziała, co się z nią stało. To miejsce faktycznie było grobem. Grobem, który wykopał dla niej jej własny syn, tuż obok mogił wszystkich zabitych przez siebie ludzi.

Ponownie otworzyła usta, a z jej gardła w końcu wydostał się długo wstrzymywany krzyk.

Rozdział 26

Widok, jaki zastał w sypialni, przyjął z ulgą, ale i z przerażeniem. Sławek klęczał na podłodze i pustym wzrokiem wpatrywał się w kształt ludzkiego ciała wypalony na dywanie. Marcin domyślał się, do kogo należał.

Sławek powoli podniósł głowę i spojrzał na niego. Jego blada twarz i przekrwione oczy wskazywały na to, że niedawno płakał. Mężczyzna próbował coś powiedzieć, lecz dał wreszcie spokój i tylko pokręcił głową.

Co tu się stało, do jasnej cholery, zastanawiał się Marcin. Do tej pory Świecący Człowiek nie działał w taki sposób. Jego ofiary dosłownie pękały, jak przepelnione krwią balony, do których ktoś nagle przystawił igłę. Z innej strony, nic nie wykluczało odmiennych metod zabijania. Wszak media nie stanowiły rzetelnego źródła informacji.

Brak krwawej miazgi nieco uspokajał, ale nie na tyle, aby Marcin poklepał Sławka po ramieniu i powiedział, że nie stało się nic złego. Kto wie, czy jak umierała – o ile umarła – to, nie cierpiała jeszcze bardziej niż jego kumple? Kamil i Wiktor zginęli bolesną, lecz szybką śmiercią. Nieporównywalnie szybszą niż spalenie.

Zrobił dwa kroki i omal nie runął na podłogę na roztrzęsionych nogach, tuż obok wypalonego kształtu ciała Darii. W ostatniej chwili chwycił się pobliskiej półki. Kilka książek z głuchym łupnięciem spadło na podłogę.

– Co... – Marcin zawiesił głos. Poczłł nieprzyjemny ścisk w gardle. Dobrze znał owo uczucie. W dzieciństwie towarzyszyło mu przynajmniej dwa razy w tygodniu, tak często bowiem jego ojciec się wkurzał. Stary nie potrzebował konkretnego powodu, wystarczyło, że Marcin dostał ze sprawdzianu tylko czwórkę i nawet, jeżeli okazywała się najlepszą oceną w klasie, dla jego ojca nie miało to żadnego znaczenia. W końcu czwórka nie jest piątką albo szóstką, a w tamtych latach rodzice kładli ogromny nacisk, by został szkolnym prymusem.

Potrząsnął głową, aby pozbyć się wspomnienia. Niewidzialna ręka, ściskająca go za gardło, również zniknęła. Wziął głęboki oddech.

– Chcesz zapalić? – zapytał.

Sławek spojrzał na niego jak na kogoś, kto przemówił do niego w obcym języku. Marcin domyślał się, w jak ciężkim szoku jest mężczyzna. Zamiast ponowić pytanie, po prostu wyciągnął paczkę i skierował ją w stronę Sławka. Ten drżącą ręką wziął papierosa i poklepał kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Marcin usiadł obok i przez chwilę milczeli.

– Nie wiem, co powiedzieć – oznajmił, wypuszczając chmurę dymu.

Sławek pokiwał głową, nadal wpatrując się w brązowy ślad. Marcin również skierował tam wzrok. Nieco pocieszył go fakt, że nie dostrzegł skrawków spalonych ubrań, czy zwęglonych resztek ciała. Do tego w ogóle nie śmierdziało spalenizną. Ślad wyglądał tak, jakby leżało tam coś bardzo gorącego, ale niebędącego źródłem ognia. Chaos, z jakim rozprzestrzeniają się płomienie, uczyniłby wiele zniszczeń, podczas gdy tu pozostał jedynie wypalony kształt. Nie chciał jednak mówić o tym Sławkowi. Wypadało poczekać, aż ten nieco ochłonie.

Przydałoby się trochę trawy, pomyślał, choć naraz wydało mu się to strasznie głupie. Zioło na nic się tu nie przyda.

– Zaraz wrócę – oznajmił, po czym udał się do kuchni. Po drodze sprawdził w Internecie, czy jest jakiś domowy sposób, aby pomóc Sławkowi dojść do siebie. Wyszukiwarka Google podsunęła kilkanaście stron z pseudo-dietetycznymi poradami, gdzie działanie melisy wyносono na piedestał. Super. Teraz musi ją znaleźć.

Nie lubił grzebać w cudzych rzeczach, ale świadomość, że robi to w dobrej wierze, nieco uspokoiła jego sumienie.

Sztućce, słoiki, szklanki, kubki, talerze. Kurwa, gdzie oni trzymają pieprzoną herbatę?

Otwierał szafkę za szafką, a jego cierpliwość malała.

W końcu, po przetrząśnięciu niemal całej kuchni, Marcin trafił na herbaty. Na ogół ludzie trzymają takie rzeczy w górnych szafkach – to tak samo popularne, jak śmietnik pod zlewem czy samotna rolka papieru toaletowego na rezerwuarze. Jednak w domu Sławka herbatę chowano w najniższej szufladzie. Tam zazwyczaj bywały podstawowe narzędzia i inne pierdoły. Wyciągnął szufladę i położył ją na stole.

Earl Grey, herbata wieloowocowa, malinowa, cytrusowa, o smaku mango. Herbata angielska, biała, zielona, żółta, niebieska, kurwa, fioletowa!

Ręce Marcina telepały się jak w febrze. Oprócz miliona różnych herbat, znalazł tylko kawę (zbożową, parzoną oraz rozpuszczalną), a także siemię lniane i miętę. Żadnej herbatki na uspokojenie. Tak się tym zdenerwował, że sam chętnie wypiłby kubek melisy, choć podejrzewał, że w smaku będzie podobna do suszonego gówna w torebce.

Westchnął i wrócił do sypialni.

– Skoczę do sklepu. Przyda ci się coś na uspokojenie. Chyba że masz jakieś tabletki – oznajmił.

Sławek zdawał się nie słyszeć pytania; kiwał się w przód i w tył jak dziecko z chorobą sierocą. Po chwili drgnął jak obudzony z drzemki i odparł zachrypniętym głosem:

– Nic nie mam i nie wiem, czy cokolwiek mi pomoże.

– Zobaczymy.

Marcin nie zwlekał. Nie chodziło już o to, że planował przyjść do domu, nim wrócą rodzice. Szczerze mówiąc, miał ich gdzieś. W miasteczku działy się bardzo złe rzeczy i czuł, że najgorsze dopiero nadejdzie. Może nie dziś, ale za dwa lub trzy dni ludzie ze strachu zamkną się w domach, a na ulicach zapanują pustki. Oczywiście, zakładając, że ktoś tu wtedy jeszcze zostanie.

Wyszedł z domu i dostrzegł oparty o ścianę rower. Opony były trochę miękkie, ale nie na tyle, aby nie dało się na nim jechać. Wsiadł na starego górala i popedałował w stronę furtki. Gdy tylko dotarł do pewniejszego podłoża, rozpędził się, jakby gonił go sam diabeł albo Świecący Człowiek.

Pod sklepem znalazł się w kilka minut. Oparł rower o ścianę budynku i wszedł do środka. Widok, jaki tam zastał, utwierdził go w przekonaniu, że świat upadł na głowę.

Dawid Chmiel we własnej osobie. Nie zdziwiłby się, gdyby nie fakt, że pijaczyna dopadł prysznic i nowe ubrania. Zazwyczaj, gdy natrafiał na niego w sklepie, zakupy przedłużały się o pół godziny. Najpierw czekał, aż menel kupi, co ma do kupienia, a po jego wyjściu stał przed drzwiami około piętnaście minut, aby sklep się wywietrzył.

– Co za przemiana! – rzekł sprzedawca. Facet przekroczył już pięćdziesiątkę, a jego imponujący kałdun wylewał się spod koszulki w rozmiarze 3XL. Pod jego nosem zawsze perliły się ohydne krople potu, a zaczesana na bok siwa grzywka trzymała się na żeluzi, który wyglądał jak wytwór alergika w szczycie sezonu.

– Co się stało, jeżeli można wiedzieć? Nie będę ukrywał, że jestem zaskoczony twoim wyglądem.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – odparł Dawid, po czym wyszczerzył zniszczone alkoholem zęby.

Marcin stanął za menelem, choć teraz to określenie raczej nie pasowało. Owszem, dało się wyczuć, że coś wypił, ale z pewnością nie śmierdział tanim winem i metabolitem alkoholu. Na oko Marcina Chmiel przerzucił się przynajmniej na w miarę dobrą wódkę albo whiskey.

– Normalnie podałbym standardowy zestaw, ale zmysł sprzedawcy mówi mi, że przyszedłeś po coś innego. Może nawet nie po alkohol.

– Dobry masz ten zmysł – odparł Chmiel oschłym i rzeczowym tonem. – Alkohol też się przyda, ale najpierw mam robotę do zrobienia. Czas odbić się od dna. Nie mogę tak żyć przez resztę lat.

– Święta racja, święta racja – potwierdził sprzedawca. – Cieszę się, że wychodzisz na prostą i trzymam kciuki! – Dla podkreślenia szczerości swoich słów mężczyzna uniósł ręce z zaciśniętymi kciukami.

– Możesz mi odłożyć na bok Grantsa i Pepsi. Zapłacę z góry, ale odbiorę wieczorem.

Po ulanej facjacie sprzedawcy przeszedł cień zdziwienia. Przez moment stał jak wryty, a jego mina przywodziła na myśl człowieka, który właśnie dowiedział się o tym, że został milionerem. Zaraz jednak sięgnął na wyższą półkę i zdjął zakurzoną butelkę whiskey. Przeszedł do części z napojami i chwycił dwulitrową Pepsi. Wszystko zapakował do reklamówki i ustawił pod ladą. Z jego twarzy nadal nie schodził wyraz zaskoczenia.

– Daj mi też sok z czarnej porzeczki.

– W kartonie? W butelce?

Dawid zastanowił się. Jego oblicze pociemniało, lecz zaraz się rozpozgodził, jakby podjął niezwykle ważną decyzję.

– W kartonie.

– Coś jeszcze?

– Marlboro czerwone. Dwie paczki.

Sklepikarz nabił towary na kasę i podał cenę: sto pięćdziesiąt złotych. Dawid Chmiel bez słowa sięgnął do kieszeni nowych jeansów i wyciągnął skórzany portfel. Pogmerał w nim trochę, wyjął dwustuzłotowy banknot i od niechcenia rzucił go na ladę.

Oniemiały sprzedawca uszczypnął się w podwójny podbródek o imponujących rozmiarach, po czym zamrugał wytrzeszczonymi oczami. Przyjął banknot i wtedy na jego twarzy pojawiła się niepewność.

– Ach tak. Rozumiem – rzekł Dawid, po raz kolejny ukazując garnitur zębów, na których dentysta mógłby zbić fortunę. – Nie krępuj się, sprawdź banknot.

Grubas spojrział na pieniądz pod światło i ze zdziwieniem skonstatował, że nie jest fałszywy. Drżącym paluchem wstukał coś na kasie i wydał resztę.

– Bywaj, przyjacielu. Wpadnę wieczorem po pozostałe zakupy.

– J-jasne.

Dawid odwrócił się i przeszedł obok Marcina, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Do tej pory za każdym razem, kiedy się mijali, podchodził, prosząc o papierosa, bułkę albo złotówkę na piwo.

Marcinowi nie spodobał się wyraz jego twarzy. Z jednej strony wydawał się nieobecny, a z drugiej dało się w nim wychwycić ostrzeżenie. Ziemista skóra sprawiała wrażenie naciągniętej do granic wytrzymałości. Niemal słyszał, jak błagalnie jęczy pod wpływem niewyobrażalnej siły, która rozpina ją na całej czaszce. Jego oczy natomiast przypominały głębokie czarne czeluści.

Nad drzwiami zadzwonił dzwoneczek, po czym rozległ się przeciągły jęk nienaoliwionych zawiasów. Sprzedawca wgapiał się w okno

wystawowe. Dawid właśnie otwierał paczkę Marlboro. Odpalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił chmurę siwego dymu. Po tym ruszył żwawym krokiem w tylko sobie znanym kierunku.

– To miasto wariuje – mruknął pod nosem otyły sprzedawca.

– Też mi się tak wydaje – potwierdził Marcin.

Mężczyzna podskoczył, jakby nadepnął na ogon psa. Dawid pochłonął jego uwagę tak dalece, że zupełnie nie zauważył kolejnego klienta. Nerwowo przyglądał lśniąca od żeluz grzywkę i zapytał, co podać.

– Poproszę melisę albo jakieś tabletki na uspokojenie – oznajmił Marcin.

– Aż takie wrażenie na tobie wywarł? – Sprzedawca odwrócił się celem przeszukania półki.

– Powiedzmy. – Marcin momentalnie zapomniał o menelu, który wyglądał jak bogaty facet przechodzący kryzys wieku średniego. Myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu Sławka i dowiedzieć się, do czego tam doszło.

Wreszcie sprzedawca wygrzebał prostokątne pudełeczko z dwudziestoma saszetkami melisy. Marcin zapłacił i zadowolony opuścił sklep. Pospiesznie poszedł w miejsce, gdzie zostawił rower i...

– Kurwa mać! – zaklął. Rower zniknął. Nawet wiedział, kto go zabrał. – Pierdolony menel!

Wściekły nastolatek szybkim krokiem udał się w drogę powrotną. Nie chciał tracić czasu na szukanie obwiesia, zwłaszcza że tamten mógł pojechać dokądkolwiek. Rower lata swojej młodości miał już dawno za sobą, a jego wartość mogła wynosić nie więcej niż pięćdziesiąt złotych. Najwyżej zwróci Sławkowi pieniądze.

Pomimo tego, że szedł bardzo szybko, powrót zajął mu dłużej niż zakładał. Palił papierosa za papierosem, nie mogąc wyjść z podziwu, jak ten łachudra zdołał ukraść rower wprost sprzed jego nosa. No cóż, facet żył na ulicy, odkąd Marcin jeździł na nocniku, więc przez te lata z pewnością stał się wprawnym złodziejem.

Dotarł do domu Sławka kwadrans później. Tym razem zastał mężczyznę palącego papierosa na schodach. Skinął w stronę ściany, o którą jeszcze niecałą godzinę temu stał oparty rower.

– Brałeś go?

– Tak, ale po drodze doszło do drobnych komplikacji.

Sławek machnął ręką, dając tym samym do zrozumienia, że nie interesuje go to. Marcin podał mu pudełko melisy.

– Walnij sobie. Powinno nieco pomóc – powiedział.

– Przydałaby mi się butelka czegoś mocniejszego.

– Niestety, nie dla nas takie luksusy. – Marcin westchnął. Sam chętnie

wypilby kilka głębszych albo nawet się urznął. Lecz wtedy nie ustaliliby planu działania, tylko skupili się na rozpaczaniu. Sławek najprawdopodobniej zadręczałby go opowieściami o Darii. Mówiłby o ich życiu, ślubie i innych duperelach, które Marcin wpuszczałby jednym uchem i wypuszczał drugim. Kiwałby głową i potakiwał, co dodatkowo nakręcałoby Sławka, i tak w kółko. W końcu byliby tak narąbani, że po prostu zasnęliby przy stole, a wtedy Świecący Człowiek przyszedłby w odwiedziny i pomalował ściany ich flakami. Picie było cholernie złym pomysłem.

– Musimy wymyślić jakiś plan – oznajmił Marcin po chwili milczenia.

– Plan? Niby co chcesz zrobić?

– Złapać to świecące gówno i zgasić. Chcę czuć się bezpiecznie i nie słyszeć o tym, że każdej nocy ktoś zginął. Słyszałeś o tym, co stało się w parku?

Sławek pokręcił przecząco głową.

– Zaraz ci opowiem, ale najpierw wypij te ziółka. Kiedyś napijemy się czegoś normalnego.

Weszli do kuchni. Sławek wstawił wodę i nieobecny wzrokiem rozejrzał się dookoła. Jego rozpacz wkroczyła już na ten etap, kiedy człowiek czeka, aż bliska osoba znów wejdzie do domu, zupełnie jakby udała się do zaświetów tylko po chleb i mleko.

– Ubiegłej nocy w parku zginęło kilkunastu mężczyzn. Niestety, nie znam szczegółów, bo media zupełnie milczą. W gazecie znajduje się krótka informacja, w dodatku napisana językiem dziecka z zerówki. W Internecie również nie da się niczego znaleźć i założę się, że w telewizji teraz spokojnie nadają kolejne powtórki programów sprzed pięciu lat.

Nowe wieści przywróciły Sławka do pionu. Spojrzał na Marcina wytrzeszczonymi z niedowierzania oczami.

– Jakim cudem nie podano żadnych informacji na ten temat?

– Nie mam zielonego pojęcia, o co w tym chodzi, ale wydaje mi się, że coś... – Marcin zawiesił głos, szukając właściwego wyrażenia – wyższego kieruje tym wszystkim. Wiem, że to brzmi absurdalnie i sam dotąd nie wierzyłem w podobne farmazony, dopóki na mej drodze nie stanął Świecący Człowiek.

Sławek pokiwał głową. Przetwarzał wydarzenia z ostatniej nocy. Najpierw uratowali Marcina. Po tym zadzwoniła Laura z atakiem serca, a gdy wychodził, żeby do niej jechać, pojawił się Artur i zabrał Darię.

Rozmawiali długo, lecz nie jak ojciec z synem. Nigdy dotąd Sławek nie zetknął się z czymś równie okropnym. W trakcie rozmowy czuł się jak szary robak, którym Artur pomiatał; niemalże pluł na niego i każdym swoim słowem okazywał, jaką odrazę do niego czuje. Sławek żył i ów fakt najbardziej mierzył Artura. Nienawidził żywych, gdyż przez

nich pojawił się na tym świecie.

Ostatnia noc dobitnie pokazała Sławkowi, że Artur wcale nie wrócił z zaświatów. Zamiast niego przyszedł tu stwór, który nigdy nie powinien opuszczać piekła. Umarli nie wracają. Nie wiedział, co nim kierowało, kiedy wyraził zgodę, by nieznajoma staruszka przeprowadziła w jego domu swoje niebezpieczne gusła. Nawarzył dużo piwa i teraz musiał je wypić. W parku zginęli kolejni ludzie i nie zanosiło się na to, żeby Artur przestał zabijać.

Laura. Co z Laurą? Przeżyła?

Sławek uświadomił sobie, że w ferworze ostatnich wydarzeń całkowicie o niej zapomniał. Postanowił, że zadzwoni do szpitala i dowie się, w jakim jest stanie.

Zaparzył dwa kubki melisy, usiadł przy stole i przez dłuższy czas patrzył, jak para leniwie unosi się ponad krawędź naczynia. W jego głowie pojawiały się urywki wspomnień z ubiegłej nocy. Próbował je wyrzucać, lecz te wracały jak bumerang.

– Co dalej?

Pytanie Marcina wyrwało Sławka z ponurego zamyślenia. Zamrugał, jakby nagle znalazł się w zupełnie nieznanym miejscu, chrząknął i spojrzał na dłonie. Jego palce były pogryzione niemal do żywego mięsa. Tak reagował na stres, odkąd pamiętał. Obgryzał palce, nie zważając na ból ani płynącą krew.

– Najpierw... – zaczął, po czym zmarszczył czoło. No właśnie. Co najpierw? Czy faktycznie dzwonienie do szpitala jest dobrym pomysłem? Z jednej strony chciał wiedzieć, jak się miewa Laura, lecz z drugiej bał się, że otrzyma złą wiadomość. W informacji powiedzą mu, że karetka nie dojechała w porę albo że Laura zmarła w drodze do szpitala. Istniała jeszcze jedna ewentualność, lecz na samą myśl na jego skórze jeżyły się włosy.

Daria nie zdążyła.

Ile czasu minęło, od momentu, w którym pobiegła wezwać karetkę, do przyścia Artura? Minuty? Sekundy? Istniało zatem spore prawdopodobieństwo, że gdy zadzwoni do szpitala, to usłyszy, że na oddziale nie przebywa osoba o takim nazwisku.

– Halo, ziemia do Sławka – odezwał się Marcin, pstrykając palcami przed jego twarzą.

Sławek wzdrygnął się.

– Przepraszam. Zamyśliłem się – odparł, po czym upił łyk melisy. Skrzywił się nieco, lecz zaraz zmusił się do opróżnienia połowy kubka.

– No i...?

– W miasteczku mieszka pewna osoba. To kobieta po siedemdziesiątce, która jest dla mnie jak ciotka. Zadzwoniła w środku

nocy, mówiąc, że ma atak serca i przed śmiercią próbowała mi coś przekazać. Coś, co dotyczyło Art... – Sławek zmrużył oczy. – Dotyczyło Świecącego Człowieka – dokończył. Tak brzmiało lepiej. Nie miał zamiaru dłużej nazywać demona imieniem swojego syna. Artur był dobrym dzieckiem i takim wolał go zapamiętać.

– Co dokładnie mówiła?

– I tu pojawia się problem. Nie dokończyła. Nie zrozumiałem wiele, a zaraz potem przyszedł Świecący Człowiek.

– Rozumiem. Chcesz sprawdzić, czy żyje?

– Tak. Daria poszła zadzwonić na pogotowie, a ja w tym czasie zbierałem się do domu Laury. Mam nadzieję, że zdążyła nim.... nim... – Sławek urwał.

– Nie kończ. Rozumiem, o co chodzi. – Marcin spróbował melisy. Okazała się całkiem niezła, a po dosypaniu dwóch łyżeczek cukru uznał, że jest lepsza od zwykłej herbaty. Mieszał w kubku, z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie wiadomo, czy karetka dotarła, tak?

– Tak – mruknął Sławek, odpalając papierosa. Nikotyna uspokajała go nieco skuteczniej niż ziółka, lecz doceniał gest Marcina. – Mam nadzieję, że Darii udało się wezwać karetkę, ale boję się dzwonić do szpitala.

– Więc wybierzmy się do niej do domu.

– Właśnie taki mam zamiar.

Przez kilka minut w milczeniu palili papierosy i popijali melisę.

– Co się tutaj właściwie stało? Rozmawiałeś ze Świecącym Człowiekiem? – Słowa te wyleciały z ust Marcina, nim zdążył ugryźć się w język.

– Rozmawiałem z nim, ale na razie nie będę o tym opowiadał – odparł stanowczo Sławek. – Najpierw muszę się dowiedzieć, co z Laurą. Jeżeli jest cała, to wtedy wszystko opowiem.

Po chwili siedzieli w samochodzie, zmierzając do domu Laury. Minęli trzy radiowozy policyjne jadące w stronę parku. Każdy z nich poruszał się wolno, jakby policjanci jechali na standardowy patrol, a nie do miejsca krwawej rzezi.

– Faktycznie – rzekł Sławek, oglądając się za ostatnim radiowozem. – Wygląda na to, że chłopakom wcale się nie spieszy.

– No – przyznał Marcin. – Założę się, że w parku nie ma ani jednego reportera. W normalnych warunkach dziennikarze rozbiliby tam obóz i czuwali przez całą dobę.

– Dziwne.

Marcin poczuł ukłucie niepokoju. Z każdym przejechanym metrem narastało w nim podejrzenie, że jadą do domu, przy którym widział ślady krwi. Budynek majaczył w oddali, a rosnący przy nim żywopłot

wydawał się ostry i kanciasty niczym kamienny mur otaczający starożytną twierdzę.

Sławek przyspieszył, skupiony na kierowaniu. Dopiero teraz Marcin dostrzegł, jak bardzo jest przemęczony i ile wysiłku kosztuje go prowadzenie samochodu. Przekrwione oczy, niezdrowy, blade kolor skóry i przetłuszczone, rozczochrane włosy. Marcin przypuszczał, że wygląda niewiele lepiej.

Zatrzymali się przed domem. Sławek wjechał na smugę zaschniętej krwi, nawet tego nie zauważając.

– Przechodziłem tędy – powiedział Marcin, wpatrując się w żywopłot.

– Tak? Kiedy?

– Dzisiaj, jak szedłem do ciebie.

– I...?

– Tu coś się stało. Zaparkowałeś na zaschniętej krwi, a w żywopłocie jest dziura, jakby ktoś chciał się tam dostać.

– Cholera jasna.

Sławek szybko odpiął pas i wyszedł z samochodu. Nie dbał o to, aby wyciągnąć kluczyki ze stacyjki, czy chociażby zamknąć drzwi.

Podeszli do dziury w żywopłocie. Sławek obejrzał krew, która pomimo padającego wcześniej deszczu i tak zachowała się na drodze. Obejrzał wyrwę w krzakach i ze zmarszczonym czołem spojrzał na Marcina.

– Widocznie Laura miała wczoraj niezapowiedzianego gościa.

– Doszedłem do podobnego wniosku, ale nie wiedziałem, kto tu mieszka. Założyłem, że równie dobrze mógł to być pijany facet, który dostał przed knajpą w gębę i szedł z rozbitym nosem. Wściekła żona zamknęła furtkę i gość jakoś musiał sobie poradzić.

– Z jednej strony brzmi sensownie, z drugiej nie rozumiem, po jaką cholereę przełazić przez żywopłot, skoro można przeskoczyć furtkę. Po pijaku zapewne nie jest łatwo, ale nadal lepszy taki sposób, niż przedzieranie się przez krzaki.

– Racja – przyznał Marcin.

Podeszli do furtki. Sławek chwycił klamkę i zastygł. Jeżeli furtka okaże się zamknięta, będzie to oznaczało, że karetka nie przyjechała. Wtedy najprawdopodobniej zastaną w domu trupa.

Zamknął oczy i nacisnął klamkę, która ustąpiła z cichym kliknięciem. Odetchnął z ulgą. To dobry znak. Wszedł na podwórko i skierował się w stronę dziury w żywopłocie, aby dokładniej ją zbadać. Wtedy przypomniał sobie, że Laura o kimś mówiła i z pewnością nie był to jej pijany mąż, syn, ani ktokolwiek inny, kto zbyt ostro zabalował na imprezie.

– Marta – mruknął pod nosem.

– Co? – zapytał zdziwiony Marcin.

– Marta – powtórzył Sławek. – Na śmierć o tym zapomniałem. Gdy Laura do mnie zadzwoniła, wspominała, że tej nocy przyszła do niej jakaś Marta.

– Sugerujesz, że ślady krwi należą do tej dziewczyny?

– Najprawdopodobniej. Znasz jakąś Martę?

– Nawet kilka. Jakby ta dziewczyna nazywała się Genowefa, wtedy mógłbym ci jakoś pomóc, ale w takiej sytuacji nie ma szans... Dziewczyn o tym imieniu jest tu od metra.

– Jasne. Racja. – Sławek spojrział na dom w zamyśleniu.

Rozejrzeli się jeszcze po podwórku, lecz nie znaleźli niczego wartego uwagi. Niczego, poza rozdeptaną grządką kwiatów. Sławek miał nadzieję, że odpowiadają za to ratownicy medyczni, którzy w pośpiechu biegli do umierającej Laury.

W końcu udali się do domu. Sławek spojrział na Marcina i dostrzegł, że jego twarz zastygła w wyrazie zdenerwowania.

– Coś się stało?

– Ta kobieta ma koty? – zapytał nastolatek.

– Tak.

– Cholera. Odkąd pojawił się Świecący Człowiek, mam do nich pewien uraz.

– Te nie są takie złe. Lubią spać na kolanach i drapanie za uszami. – Uśmiechnął się pocieszająco.

Stanęli przed drzwiami wejściowymi. Sławek szukał na futrynie śladów łomu, lecz niczego takiego nie znalazł. Wiedział, że dom ma dodatkowe wejście od drugiej strony i miał zamiar je sprawdzić, gdyby te drzwi okazały się zamknięte. Liczył jednak na to, że los się do niego uśmiechnie.

Zacisnął palce na chłodnej kłamce i natychmiast wstąpił w niego optymizm. Usłyszał delikatne kliknięcie otwartych drzwi. Uwierzył, że karetka zdążyła przyjechać w porę i Laura jest teraz pod opieką lekarzy, zastanawiając się, kiedy przyjdzie i urozmaici jej kiepską szpitalną dietę czymś, co smakuje jak normalne jedzenie.

Niemal żałował, że zamiast od razu zadzwonić do szpitala, postanowił zabawić się w detektywa i najeść przy tym strachu.

Wszedł do środka. Wnętrze okazało się niezmiernie duszne, zupełnie jakby Laura od dawna nie otwierała okien. Wszystko leżało w nienagannym porządku w tych samych miejscach, które pamiętał z dzieciństwa. Na pierwszy rzut oka nic tu się nie zmieniło.

Dobrze znał ten dom. W dzieciństwie miał tu nawet swój pokój. Pamiętał, gdzie się znajduje sypialnia Laury, aczkolwiek intuicja podpowiadała mu, że powinien przeszukać każde pomieszczenie. Laura

nie przepadała za zmianami, lecz niewykluczone, że w pewnym momencie postanowiła wprowadzić coś nowego.

Marcin szedł za nim niczym cień. Rozglądał się uważnie, lecz ściśnięte gardło nie pozwalało mu się odezwać. Strach i nieprzespana noc dawały się we znaki.

Pierwszy pokój okazał się zupełnie pusty; Sławek znalazł go doskonale. Mieszkał w nim, gdy jego rodzice musieli wyjechać na kilka dni i nie mogli go zabrać ze sobą. Zazwyczaj bawił się tu figurkami dinozaurów lub przeglądał książeczki pełne kolorowych ilustracji. Moc obrazów z przeszłości naleciała do jego głowy, lecz odrzucił sentymenty. Później przyjdzie czas, aby nad tym myśleć. Zamknął drzwi i poszedł dalej.

Kolejne pomieszczenie przypominało pobożowisko. Odrzucona na bok kołdra, ślady krwi, bałagan.

To nie jest pokój Laury, pomyślał, przypominając sobie, że sypialnia jest w innej części domu.

Sławek nie zdawał sobie sprawy, w jak ogromny błąd wprowadził samego siebie. Owszem, Laura nie lubiła zmian, lecz po śmierci męża sypialnia wywoływała zbyt wiele przykrych wspomnień. Nie potrafiła spokojnie spać w łóżu, które przez znaczną część życia dzieliła z mężem. Sprzedała je i za te pieniądze kupiła dwa mniejsze jednoosobowe łóżka, a sypialnię przeniósła do innego pokoju.

Zamknął drzwi, za którymi kilka godzin wcześniej ratownicy medyczni reanimowali Laurę. Krew, która poplamiła kołdrę, wypłynęła ze świeżo założonego wkłucia. Sławek błędnie założył, że należała ona do Marty, która najprawdopodobniej dawno uciekła. Jego intuicja poważnie szwankowała. Nie przeszło mu przez myśl, że Marta niekoniecznie była prawdziwą osobą. Umierająca staruszka mogła dostać omamów, które on bezmyślnie łyknął, uznając za prawdę objawioną.

Sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby pewien ratownik nie okazał się pedantem. Gdy jego koledzy wynosili nosze z ledwie żywą Laurą, on dokładnie pozbierał igły i opakowania, po czym wrzucił je do pojemnika, który następnie zabrał ze sobą. Nie zostało nic, co mogłoby uświadomić Sławkowi, że tkwił w błędzie.

Udali się do kolejnego pokoju, w którym dokonali przerażającego odkrycia.

– O kurwa! – wrzasnął Sławek, podbiegając do łóżka.

Sypialnia Laury wyglądała praktycznie tak samo jak wcześniej. Tylko łóżko zostało wymienione na jednoosobowy tapczan, co sprawiało, że pokój wydawał się przestronniejszy.

Na prześcieradle znajdował się taki sam ślad, co na podłodze w jego sypialni. Brązowa, jakby wypalona, sylwetka kobiety, miała rozrzucone

kończyny i dziwnie wykrzywione ciało. Jakby chwilę przed spopieleniem doznała niekontrolowanego skurczu mięśni.

Sławek szybko wyciągnął kilka wniosków.

– Daria nie zdążyła zadzwonić po pogotowie, a Laurę spotkał taki sam los zaraz po tym, jak Świeący Człowiek wyszedł z naszego domu – oznajmił.

Marcin nic nie odpowiedział. Wszystko, co tu zobaczyli, nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Marta najprawdopodobniej zdołała uciec, lecz i tak nie wiedzieli, kim jest ani gdzie jej szukać.

– Co teraz? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Nie mam, kurwa, zielonego pojęcia – odparł Sławek, wpatrując się tępo w ślad na łóżku.

Rozdział 27

Polowaniem na skurwysyna nazywano grę, którą rozpoczynano poprzez losowanie karteczek. Na każdej pisano jakąś cyfrę, z wyjątkiem jednej, oznaczonej literą S. Osoba, która wylosowała S, otrzymywała zadanie polegające na zrobieniu pozostałym jakiegoś kawału, przy czym nie mogła dać się złapać. Samo polowanie skupiało się na tym, aby nie dopuścić do zrealizowania żartu. Jeżeli skurwysyn zrobił kawał każdemu i nie dał się zdemaskować, przez następnych dziesięć kolejek miał spokój i mógł polować. Jednak w przypadku, gdy został złapany, musiał odbyć karę – najczęściej sprzątać toalety przez tydzień.

Z jednej strony zabawa wydawała się durna, lecz z drugiej wiele uczyła. Wykiwanie kilkunastu czujnych żołnierzy nie należało do łatwych zadań. Kawały były wszelkiej maści, od zalewania łóżka pomyjami, poprzez wkładanie do kołdry zwojów drutu kolczastego, na pobudce ciosem w jaja skończywszy. Gra w polowanie na skurwysyna zawsze cieszyła się wśród żołnierzy ogromnym zainteresowaniem.

Tym razem Zieliński postanowił wylosować samego siebie i zostać skurwysynem, który zrobi psikusa Świećcemu Człowiekowi. Oj, zrobi mu taki kawał, że popamięta to do ostatniego dnia swojej zasranej egzystencji.

Nabił do fajki kolejną porcję tytoniu i zapalił. Jego serce mocniej zabiło, lecz nie zważał na to. Przeżył, co swoje i ostatnie chwile chciał spędzić bez wyrzeczeń. Szansa na zagranie w polowanie na skurwysyna poprawiła mu humor. Niemal piał z zachwytu, przygotowując miny domowej roboty.

Przydały mu się śmieci, które zostawiał z myślą o tym, że kiedyś okażą się użyteczne. Mianowicie duże puszki po kukurydzy, których uzbierał dziesiątki, jak nie setki. Siedział i sypał do nich trotyl zmieszany ze żwirem i drobnymi gwoździemi mającymi pełnić funkcję odłamków. Trotyl kiedyś kupił w pewnej knajpie od gościa, który ukrywał się przed policją. Facetowi zależało na natychmiastowym pozbyciu się towaru. W ten sposób Bogdan za śmieszne pieniądze kupił tak duży zapas ładunków wybuchowych, że spokojnie dałby radę posłać w kosmos całe miasteczko.

Wydmuchiwał chmurę dymu, po czym odłożył fajkę na bok. Palenie tytoniu przy ładunkach wybuchowych było, delikatnie mówiąc, oznaką skrajnej głupoty, lecz Zieliński w ogóle się tym nie przejmował. Czuł, że trzyma wszystko w ryzach i jego plan się powiedzie. Otrzymał szczęśliwy los i w takiej sytuacji nic nie miało prawa zadziałać na jego niekorzyść.

Siedział przy stole zakrytym sztywną od zaschniętego tłuszczu ceratą. Nad stanowiskiem pracy ustawił lampę, która dawała mocne światło.

Wyprodukował około trzydzieści min. Zrobiłby ich znacznie więcej, lecz ograniczała go liczba zapalników naciskowych. Te również dopadł w knajpie. Później zastanawiał się, po jaką cholere je kupił. Chyba faktycznie coś było w tym całym gadaniu o przeznaczeniu. Jakaś siła w niebie albo na ziemi już wtedy wyznaczyła mu specjalne zadanie.

Przy pomocy starego dobrego otwieracza do konserw starannie wycinał denka z pozostałych puszek, czemu towarzyszył metaliczny zgrzyt, od którego niemal pękała głowa, lecz Zieliński cierpliwie to znosił. Wycięte blaszki należało umieścić nad zapalnikiem tak, aby trochę wystawały. Gdy Świecący Człowiek nadeptnie na minę, zapalnik wypuści iskrę. Eksplozja rozerwie go na kawałki i prawdopodobnie powybija przy okazji okna w domu. Szkoda szyb, aczkolwiek spokój od świecącego natręta ważniejszy. Zieliński chciał się pozbyć potwora i doczekać swoich dni bez obaw o przetrwanie następnej nocy.

Po raz kolejny dostał skurczu w palcach. Było to potwornie nieprzyjemne i denerwujące, lecz podeszły wiek rządził się swoimi prawami. Pracował, pozwalając sobie na krótkie przerwy, aby dać odpocząć obolałym mięśniom.

Po kilku godzinach odchylił się na krześle i z dumą spojrział na efekty swojej pracy. Na stole stało trzydzieści min, które wyglądały groteskowo. Na puszkach widniała grafika przedstawiająca uśmiechniętą kolbę kukurydzy z podniesionym kciukiem. Obok niej znajdowały się krótkie hasła zachwalające korzyści wynikające z jedzenia kukurydzy. Widząc swoje dzieło, Bogdan przypomniał sobie jedyny raz, kiedy nie udało mu się dorwać skurwysyna.

Przyszedł z ćwiczeń skrajnie przemęczony, uwalany błotem i śmierdzący jak cap. Dostał się pod prysznic, lecz zimna woda pogorszyła sprawę. W jego jednostce ciepły prysznic przypadał raz w tygodniu i przyjemność ta nie trwała dłużej niż pięć minut. Było tak niezależnie od pory roku, a w ten dzień wypadała połowa listopada.

Wrócił do pomieszczenia, które dzielił z kilkoma kolegami i legł na swojej pryczy z zamiarem wcześniejszego pójścia spać.

Zupełnie zapomniał o toczącej się grze i nie sprawdził materaca. Gdy wyciskał na poligonie siódme poty, wylosowany skurwysyn dobrał się do jego łóżka.

Nim głowa Zielińskiego dotknęła poduszki, rozległ się okropny syk, a pomieszczenie wypełniło się gęstą chmurą gryzącego dymu. Nie pamiętał, jakiego żartowniś użył gazu, ale przez kolejne trzy dni jego obolałe oczy wyglądały jakby pił całymi nocami, a z nosa leciała krew za każdym razem, gdy chciał go wydmuchać.

Później przeszukał materac i znalazł pozostałości po ładunku. Puszka po konserwie, z nieco odgiętym denkiem, które po przyciśnięciu uruchamiało zawór. Zawór wypuszczał potężną porcję gazu, który wylatywał przez otwory po bokach puszk. Bogdan, pomimo bólu i złości, musiał przyznać, że ktoś, kto to zrobił, wiedział, do czego służy głowa. Sam nie wpadłby na równie chamski i zarazem genialny pomysł.

Teraz, całe wieki po wyjściu z wojska, Zieliński siedział przy stole pełnym min zrobionych w bardzo podobny sposób.

Pozwolił sobie na chwilę przerwy. Przygotowanie ładunków nie należało do zbyt ciekawych zajęć; żmudna i monotonna robota. Cała czynność zajęła mu prawie trzy godziny i słońce, które nie wiadomo kiedy wyszło zza chmur, zbliżało się do zenitu.

Poczłapał do kuchni, zrobił sobie kolejną kawę, po czym z parującym kubkiem wyszedł na ganek. Wziął opakowanie tytoniu i nabił nim fajkę.

Nie ma niczego lepszego niż kawa i chmurka dymu po ciężkiej pracy, pomyślał z zadowoleniem.

Dzień zapowiadał się na piękny, choć krył w sobie coś wrogiego. Starzec wyczuwał napięcie, jakie panowało dookoła. Wydawało mu się, że nawet powietrze jest inne. Ciężkie i nieprzyjemne, jakby nagle znalazł się na obcej planecie.

Miasteczko świeciło pustkami. Owszem, nigdy nie panował tu ruch jak w Warszawie, ale przynajmniej raz w ciągu kilku minut przejeżdżał samochód. Obecnie miasteczko wydawało się martwe. Jak okiem sięgnąć, nie dało się dostrzec ani jednego dzieciaka na rowerze. O tej porze roku smarkacze byli plagą, która działała mu na nerwy. Szczyle wydzierały się, jak obdzierane ze skóry, co utrudniało oglądanie informacji albo czytanie działu sportowego lokalnej gazety. Stąd też ich nieobecność wcale mu nie przeszkadzała, choć wzbudzała niepokój.

Brak ludzi świadczył o tym, że dzieje się coś złego. Wiedział jednak, że jest to chwilowe, gdyż niedługo wszystko wróci do normy. On – Bogdan Zieliński – zaprowadzi porządek i za pomocą własnoręcznie wykonanych min rozerwie Świecącego Człowieka na strzępy. Zrobi mu taką rzeź, że nie zostanie nic do zbierania. Miasteczko odzyska utracony spokój, a ludzie poczucie bezpieczeństwa.

Wypił ostatni łyk kawy i jeszcze kilka razy pociągnął z fajki. Zakaszłał, czując lekkie kłucie w mostku, wstał i udał się do szopy. Teraz czekała go druga, znacznie trudniejsza część roboty. Musi zakopać miny na odpowiednią głębokość i tak je zakamuflować, aby Świecący Człowiek ich nie zauważył. Patrząc na podwórko, już wiedział, gdzie mniej więcej rozmieści ładunki, lecz czynność ta wymagała maksymalnego skupienia i ogromnej precyzji.

Chwycił stary szpadel, który lata swojej świetności przeżywał gdzieś

w okresie, kiedy rodził się Jezus Chrystus, i zabrał się do roboty.

Rozdział 28

Kiedy Bogdan Zieliński w pocie czoła konstruował miny, ludzie w miasteczku zaczęli podświadomie odczuwać lęk, który skłaniał ich do robienia rzeczy, jakie do tej pory nie przeszłyby im przez myśl.

Ojciec Wiktora – jednej z pierwszych ofiar Świecącego Człowieka – właśnie wracał z długiej i męczącej podróży. W bagażniku jego Mercedesa znajdował się ciężki sejf, a w jego wnętrzu tyle broni, że mógłby uzbroić lokalny posterunek policji.

Impuls sprawił, że obudził się w środku nocy z gotowym planem. Wstał z łóżka i założył pierwsze ciuchy, które wpadły mu pod rękę. W ogóle nie zwrócił uwagi, że jasne, nie noszone od wieków jeansy oraz różowa hawajska koszula, którą żona kupiła mu chyba z czystej złościwości, pasują do siebie jak pięść do nosa.

Mariusz Promiński – człowiek, który sprawował jedno z najwyższych stanowisk urzędniczych w miasteczku, prezentował się niczym stary hipis. Nie przejmował się jednak tym. Musiał jak najszybciej dostać się do Gdańska, gdzie mieszkała pewna osoba, która mogła mu pomóc.

Teraz wracał, a na jego twarzy malował się pogodny uśmiech. Uzbroił się aż po zęby, co dało mu poczucie bezpieczeństwa. Siedem rewolwerów, dwa mini uzi i mnóstwo amunicji – przy takim wyposażeniu Świecący Człowiek wydawał się nie stanowić żadnego zagrożenia.

Promiński dobrze wiedział, kto zabił jego syna. Już rzygał bezradnością policji i dostawał szewskiej pasji na myśl, że ich wynagrodzenie za dawanie dupy w momentach, kiedy powinni być skuteczni, potrącane jest z jego podatków. Podobnie jak wiele innych osób, Promiński zorientował się, że coś tu cholernie nie gra. Gazety milczały. Ciągłe trąbiono na temat kolejnej seksafery w polskim rządzie. Przykro słyszeć, że miłościwie nam panujący panowie posłowie chodzili do burdeli za publiczne pieniądze, lecz Promiński spodziewał się, że makabra w miasteczku stanie się tematem numer jeden na każdej stacji. Tymczasem cisza panowała zarówno w telewizji, prasie jak i Internecie.

Mariusz pamiętał krwawą masakrę, jaką pewna kobieta urządziła swojemu zapijaczonemu konkubentowi. Jedno morderstwo i sprawa rozeszła się na cały kraj. Teraz zabójstw było... No właśnie. Nie dało się stwierdzić, ilu ludzi tak naprawdę zginęło. W takiej sytuacji brak rozgłosu cholernie niepokoił.

Policjanci ponoć dwoili się i troili, ale ich działania nie przynosiły efektów. Promiński odnosił wrażenie, że ta banda kretyków w

mundurach „pracuje” z klapkami na oczach i garścią waty w uszach. Już niemal każdy przekonał się o istnieniu Świecącego Człowieka, lecz policja nadal szukała zabójcy z krwi i kości.

Wjechał na żwirowy podjazd przed swoim domem. Czekając, aż otworzą się drzwi garażu, nerwowo stukał palcami w kierownicę. Sekwencje szybkich uderzeń tworzyły rytm, który skądś kojarzył. Dopiero, gdy wjechał do garażu, zdał sobie sprawę, że wystukiwał partię perkusji, którą kiedyś wymyślił jego syn. Słyszał ją setki razy i niekiedy zakładał stopery, lecz w tym momencie zatęsknił za bębnieniem Wiktora i jego kapeli. Dałby wszystko, aby odzyskać syna. Jedyne, co mógł zrobić, to zemścić się na Świecącym Człowieku.

Gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód zatrzymał się jakieś dziesięć centymetrów od ściany. Odetchnął, wysiadł z auta i zabrał się za rozpakowywanie zakupów.

Również policjanci zaopatrywali się w większe ilości broni. Komendant tutejszego posterunku „przez przypadek” zostawił otwarte drzwi do depozytu z bronią i amunicją, po czym oznajmił, że każdy musi zatroszczyć się o własne dobro. Sam wziął glocka, a do niego dwa pudełka amunicji i pojechał do domu.

Miało dojść do kolejnej manifestacji siły, lecz tym razem nie chodziło o nieporozumienia międzyludzkie, lecz o coś znacznie gorszego; coś, z czym żaden człowiek jeszcze się nie zetknął.

Rozdział 29

Zostawił rower przy szpitalnym parkingu. Stary rupieć nie posiadał stopki, więc po prostu puścił kierownicę. Rower runął na chodnik, a plastikowa rączka hamulca pękła z trzaskiem i odskoczyła kilka metrów dalej.

Zapalił papierosa i przez chwilę stał, wpatrując się w zniszczony rower – kolejny dowód na to, że tego dnia dopisywało mu szczęście. Od szpitala dzielił go spory kawałek i jednośląd znacząco ułatwił mu robotę. Co prawda nie jeździł na rowerze od jakichś dwudziestu lat, ale stwierdzenie, że tej sztuki się nie zapomina, okazało się trafne.

Ruszył w stronę szpitala. Biały budynek górował nad wysokimi sosnami, które rosły w niewielkim szpitalnym parku. Na ławkach siedzieli pacjenci, którzy czuli się na tyle dobrze, aby wyjść, zapalić papierosa i przeczytać poranną gazetę, w jakiej nie znajdują żadnej wzmianki na temat Świecącego Człowieka.

Wypalił papierosa do połowy i pstryknął nim od niechcienia. Niedopałek wpadł do pobliskiego kosza na śmieci. Parsknął pod nosem. Mógłby się założyć o butelkę Grantsa, że gdyby tam celował, pet wylądowałby w trawie, dobry metr obok.

Grants...

Bestia zaryczała, domagając się bursztynowej ambrozji. Dawid stłumił roszczenia potwora, obiecując mu, że gdy tylko wszystko załatwi, nie będzie sobie niczego żałował.

Wszedł do zatłoczonego holu. Ludzie czekali na umówione wizyty ze specjalistami lub na badania. Na ich twarzach dało się dostrzec mieszaninę frustracji, znudzenia i zadumy, jakby nie do końca wiedzieli, po co tu właściwie przyszli.

Dawid podszedł do tablicy informacyjnej. Oddział kardiologiczny znajdował się na trzecim piętrze. Odkasznął, powstrzymując się przed splunięciem w przypadkowe miejsce. Przez lata, które spędził na ulicy, przyzwyczał się płuć tam, gdzie mu się, kurwa, podobało. Tym razem sytuacja wymagała powściągnięcia starych nawyków. Świecący Człowiek sprawił, że nie wyglądał i nie czuł się jak brudny moczymorda, a to go zobowiązywało do odświeżenia sobie zasad życia w społeczeństwie.

Dawid został poinstruowany, do którego domu ma pójść i pod nieobecność właścicieli, którzy grzali tyłki na plaży, doprowadził się do stanu użyteczności. Kosztowało go to mnóstwo czasu i cierpliwości, a niczego nieświadomi właściciele z pewnością zdziwią się, gdy otrzymają

rachunek za wodę. Brud niemal wrósł w jego skórę; jak tatuaż. Nim przestał śmierdzieć, wymieniał wodę w wannie aż cztery razy. Przy okazji skorzystał z toalety, zostawiając tam obraz nędzy i rozpaczy. Nie planował tego, lecz obcięte włosy i broda zapchały kibel. Spuszczając wodę sprawiłby, że cała zawartość muszli wypłynęłaby na podłogę. Jakkolwiek by to nie brzmiało, nie spuszczając wody zrobił przysługę lokatorom domu.

Wreszcie wyglądał jak człowiek. Nie dało się nie zauważyć, że codzienne picie wody doszczętnie go zniszczyło. Na ziemistą skórę i przekrwione, nieco żółtawe oczy nie było innego lekarstwa niż zerwanie z nałogiem, lecz prawdopodobnie dostałby wtedy szoku. Poza tym najzwyczajniej w świecie nie chciał odstawiać butelki.

Przegniłe resztki zębów wołały o pomstę do nieba i nawet ich kilkukrotne umycie niewiele pomogło. Gdy z jego dziąseł poleciała krew, dał sobie spokój.

Użył płynu do płukania ust o cholernie kuszącym zapachu. Na etykiecie widniał duży napis, z którego wynikało, że zawiera całkiem sporo alkoholu. Z wysiłkiem ograniczył się do zastosowania płynu zgodnie z przeznaczeniem, choć gdy nabrał go do ust, w jego żołądku po raz kolejny obudził się potwór. Obiecał sobie, że po wykonaniu zadania w nagrodę urznie się w trupa. Przecież czekał na niego Grants.

Po umyciu się Dawid przeszedł do sypialni. Stała tam duża szafa oraz dopasowana do niej komoda z niezliczonymi szufladami. Nie orientował się, kto tu mieszka; najprawdopodobniej jakieś małżeństwo z dzieciakiem lub dwoma. Wszędzie takich pełno.

Pieprzyć to, pomyślał. W szafie znajdzie pasujące męskie ubrania. Powiedział mu o tym Świecący Człowiek, a on zawsze ma rację. Otworzył lewe skrzydło. Na starannie ułożonych wieszakach wisiały spodnie, koszule i marynarki. Do wyboru, do koloru.

Następnie przeszedł do szuflad. Zakładanie starych ubrań mijало się z celem. Po raz pierwszy od, cholera wie ilu, lat czuł się czysty i nie chciał tego psuć zakładaniem gaci tak brudnych, że można by je oprzeć o ścianę.

Wysunął pierwszą szufladę i zamarł z otwartymi ustami. Szufladę wypełniała damska bielizna. Koronkowe majtki, stringi i staniki. Nie znał się na rozmiarach biustonoszy, ale jeden rzut oka powiedział mu, że jego właścicielka ma cycki jak marzenie.

Mimowolnie począł przetrząsać szufladę, czując narastającą erekcję. Znalazł kurewskie pończochy z koronkowymi elementami i sprzączkami. Wiedział, że ona zakłada to, gdy mają ochotę zabawić się na przykład w niesfornego ucznia i napaloną nauczycielkę.

Nie potrafił się powstrzymać. Potężna erekcja promieniującym do

podbrzusza bólem domagała się, aby coś z nią zrobił. Dawid rzucił pończochy na łóżko, chwycił gorącego penisa i przystąpił do szaleńczej onanizacji. Nie pamiętał, kiedy to robił ostatnim razem. Seks stanowił mgliste wspomnienie z beztroskich lat młodości.

Trwając w wieloletnim ciągu alkoholowym, jego potrzeby ograniczały się tylko do wody i zjedzenia czegoś przynajmniej raz dziennie. Potrzeby seksualne odeszły zaś w jeden z najciemniejszych kątów.

Struga nasienia poleciała na łóżko i pończochy, zostawiając kilkanaście ogromnych, lepkich plam. Przez chwilę stał na drżących nogach, czując niewypowiedzianą ulgę, i przyglądał się swojemu dziełu.

Jakim cudem z tak niewielkich jaj mogło aż tyle wylecieć, zastanowił się.

Czas naglił. Czekala na niego robota, a i tak siedział tu znacznie dłużej, niż planował. Wrócił do komody i otworzył kolejną szufladę. Tam znalazł resztę potrzebnych ubrań.

Trzy godziny później stanął przed drzwiami szpitalnej sali, patrząc na śpiącą Laurę.

Laura ocknęła się z niespokojnego snu. Uczucie, że jest obserwowana, nie dało jej spać. Nadal jej stan pozostawiał wiele do życzenia – przy każdym oddechu klatka piersiowa odzywała się bólem. Lekarz powiedział, że to normalne i nie należy się niczego obawiać, dopóki ból nie stanie się nieznośny.

Znowu poczuła na sobie spojrzenie. Z początku miała nadzieję, że odwiedził ją Sławek. Do tej pory nie dał o sobie znać.

Spojrzała w stronę drzwi i zamarła. Mężczyzna, który tam stał, wydawał jej się jednocześnie obcy i znajomy. Odniosła wrażenie, że nienawidzi go, ale wciąż nie mogła skojarzyć twarzy.

Mężczyzna uniósł pytająco brew. Jego siwiejące włosy zostały niedbale przycięte, zupełnie jakby jakiś pozbawiony talentu praktykant uczył się na nim sztuki fryzjerskiej. Ziemistą skórę znaczyły zmarszczki i głębokie kratery po przebytych w młodości trądziku. Usta miał popękane, a oczy pożółkłe i przekrwione.

Dawid, pomyślała z niedowierzaniem. Pikanie aparatury, która monitorowała jej funkcje życiowe, przyspieszyło.

Nim zorientowała się, co robi, potakująco kiwnęła głową. Dawid nacisnął klamkę i pewnym krokiem wszedł do środka. Ani jednego zachwiania. Najprawdopodobniej wytrzeźwiał, a ponadto doprowadził się do stanu, w którym dało się go nazwać normalnym człowiekiem.

– Dzień dobry, pani Lauro – odezwał się zachrypniętym głosem. Jego

gardło nadal było przeżarte przez litry alkoholu i tytoniowy dym, lecz Laura nie ukrywała wrażenia, jakie na niej zrobił. Nie przeciągnął żadnej sylaby, a litera „r” w jej imieniu zabrzmiała niemal czysto i dźwięcznie. Zero pijackiego akcentu.

– Dzień dobry – odparła. Przyjrzała mu się uważnie. Zabrakło jej języka. W końcu człowiek, który przed nią stał, ponosił odpowiedzialność za śmierć jej syna, a ponadto od tamtego dnia zdążył zwyzywać ją setki razy.

– Pozwolę sobie usiąść – rzekł Dawid spokojnie. Zupełnie, jakby zapomniał o tym, co się stało.

Laura z trudem przełknęła ślinę. Zaszło jej w ustach, lecz nie dałaby rady wypić chociażby małego łyka wody. Jej przełyk ścisnął się w ciasny supeł. Słabe dłonie bezradnie chwyciły rąbek kołdry. Jej serce biło szybko. Musiała się uspokoić.

– Co tu robisz? – Pytanie kosztowało Laurę mnóstwo wysiłku.

– Przyszedłem panią odwiedzić – odparł Dawid, patrząc na nią pustym wzrokiem. – I przyniosłem pani coś na umilenie pobytu tutaj. Nigdy nie leżałem w szpitalu, ale nieraz słyszałem, że karmią tu gorzej niż w więzieniu.

Mężczyzna wyciągnął z siatki sok porzeczkowy, paczkę ciastek i krzyżówki. Położył ów podarunek na stoliku obok łóżka. Pomysł z krzyżówkami i ciastkami przyszedł mu do głowy, gdy zwinął rower gówniarzowi ze sklepu.

– Dziękuję – powiedziała Laura. Nadal nie potrafiła pojąć, co się właściwie dzieje. Mogłaby założyć, że obecna sytuacja wynikała z halucynacji po medykamentach, ale podświadomie wiedziała, że nie w tym rzecz.

– Pewnie dziwi panią mój wygląd – zagadnął Dawid.

– No cóż... – odparła Laura. – Nie będę ukrywała, że zaskoczyła mnie twoja przemiana.

Dawid zaśmiał się krótkim urwanym śmiechem. Odgłos ten nieco przypominał szczeknięcie chorego psa, co sprawiło, że wzdłuż kręgosłupa Laury przeszedł dreszcz.

– Stało się coś, co dało mi trochę do myślenia.

– Ach tak? – Laura włożyła dużo wysiłku, aby zabrzmieć sarkastycznie.

– Tak – odparł stanowczo. Świecący Człowiek dobrze przygotował go do tej rozmowy i póki co, szło mu całkiem nieźle. W myślach miał listę zapisaną koślawym pismem, z której odhaczał kolejne punkty.

– A zdradzisz coś więcej? – Z jej głosu zniknął sarkazm, a jego miejsce zastąpiło zainteresowanie.

– Chodzi o ten wypadek, bodajże sprzed dwóch dni – odparł.

Laura podniosła się nieco i wlepiła w niego badawcze spojrzenie.

– Byłeś przy tym?

– Niestety tak – przyznał. – Choć jak o tym myślę, nabieram przekonania, że dobrze się stało. Paskudny wypadek. Wtedy dotarło do mnie, że nie powinienem tak dłużej żyć. Muszę wziąć się w garść i przestać zalewać wspomnienia wodą. Właśnie dlatego piłem przez tyle lat. Świadomość, że spowodowałem wypadek, w którym zginął pani syn, nie pozwalała mi normalnie funkcjonować. Dzięki wódzie mogłem na moment o tym zapomnieć i dopiero teraz do mnie dotarło, że nie wolno mi tak postępować. Mam na sumieniu grzech do odpokutowania.

Zapadła cisza. W międzyczasie weszła pielęgniarka, aby zapytać Laurę, czy się dobrze czuje. Ta w odpowiedzi kiwnęła głową.

– No cóż – odezwała się po kilku minutach milczenia. – Winę za to ponosisz ty sam. Chodzi tu zarówno o wypadek, jak i zniszczenie sobie życia.

– Wiem.

– Widziałeś coś dziwnego?

W głowie Dawida zawyła ostrzegawcza syrena. Takiego pytania Świecący Człowiek nie wziął pod uwagę, a on za cholere nie wiedział, jak ma na nie odpowiedzieć. Tak naprawdę to nie widział żadnego wypadku i o tym zdarzeniu poinformował go dopiero Świecący Człowiek. Nie orientował się, czy doszło tam do dziwnych zjawisk. Postanowił, że najbezpieczniej będzie założyć, że chłop po prostu wpieprzył się w drzewo i tyle.

– Nie. Nic dziwnego tam nie widziałem – odparł Dawid i wnet zorientował się, że udzielił złej odpowiedzi. Bardzo złej. Uzmysłowił sobie, że Świecący Człowiek opowiedział mu o wypadku, ponieważ sam go spowodował. Raczej nie należał do sympatyków porannego czytania gazet i utrwalania wiadomości poprzez oglądanie tych samych serwisów informacyjnych. Jeżeli mówił, że stało się coś złego, oznaczało to, że maczał w tym palce.

– Yhym – mruknęła Laura. Na jej czoło wystąpiła pionowa zmarszczka, a w oczach pojawił się błysk, którego znaczenia nie potrafił zinterpretować. Musiał ratować sytuację. Jeżeli nie wykona zadania, spotka go surowa kara.

– Choć było tam tyle dymu i kurzu, że mogłem coś przeoczyć – powiedział, dokładając wszelkich starań, aby brzmieć przekonująco.

Laura nieznacznie skinęła. W jej głowie panował taki mętlik, że miała trudności z rozróżnieniem, kiedy Dawid mówi prawdę, a kiedy nie.

– Coś jeszcze chciałeś powiedzieć? – zapytała.

– Tak. Chciałem przeprosić.

Laura zdębiała. Jej oczy niemal wyszły z orbit, a zmarszczki zniknęły, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Z-za co?

– Za wszystko. Za wypadek, za swoją głupotę i za obelgi, którymi obrzucałem panią przez te lata.

Laura zastygła w szoku. Uczucie to tak bardzo ją opanowało, że nie dostrzegła triumfalnie unoszących się kącików ust Dawida.

Rybka połknęła haczyk. Teraz pora na ostatni strzał i można iść świętować! Poleciała mu ślina na myśl o pierwszym łyku Grantsa, który wykrzywi mu twarz i wywróci żołądek do góry nogami. Zasłużył na taką nagrodę jak mało kto.

– I przekazuję pozdrowienia od Sławka i Darii.

Laura nie odpowiedziała. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, a jej żuchwa opadła tak nisko, że Dawid dokładnie widział wewnątrz jej jamy ustnej.

Cholera, ta stara raszpla ma zęby w lepszym stanie niż ja, pomyślał z rozbawieniem, którego jednak nie dał po sobie poznać.

– Oboje są strasznie zapracowani, a do tego Sławkowi popsuł się motocykl. Obiecali, że przyjadą, jak tylko się ogarną.

Laura przytaknęła. Nadal nie mogła wydusić z siebie słowa. Jej myśli stały się bezkształtną masą, w której panował czysty chaos.

Dawid spojrzał na nadgarstek, choć nie miał na nim zegarka.

– Pójdę już – oznajmił. – Zapisalem się do AA i za pół godziny muszę być w ośrodku. Swoją drogą, nie przypuszczałbym, że rozmowa z innymi trzeźwymi pijakami potrafi aż tak zmotywować do tego, żeby nie otwierać kolejnej butelki.

Po raz kolejny skinęła.

– Życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Smacznego – dodał na odchodnym.

– D-dziękuję – burknęła Laura do pleców Dawida.

Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Laura została z totalnym mętlikiem w głowie. Musiała sobie wszystko poukładać. Ten człowiek swoim przybyciem wprowadził wiele zamieszania.

Rozdział 30

Siedzieli przy kuchennym stole, na środku którego stał otwarty sześcioopak piwa. Sławek wpatrywał się w puszkę, jakby spodziewał się, że na jej nadruku odkryje odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Znajdowali się w fatalnym położeniu. Laura, która prawdopodobnie miała jakieś pojęcie o tym, co się działo, zniknęła w równie dziwnych okolicznościach jak Daria. Zostali we dwóch i nie wiedzieli, co dalej. Byli w kropce.

Marcin otworzył swoją puszkę i na raz wypił połowę piwa. Beknął, otarł usta, po czym zapalił papierosa. Piwo przyniosło ulgę, lecz nie rozwiązało problemu. Każda kolejna puszka będzie pogarszać ten stan, ale teraz nie zważał na to. Mógł jedynie modlić się, aby tej nocy Świecący Człowiek dał mu spokój i wziął się na kogoś innego, choć nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłoby tak paskudnego losu.

– O czym rozmawiałeś z Arturem? – zapytał.

Sławek drgnął, jakby dostał w twarz. Popatrzył na Marcina nieprzytomnym wzrokiem i dopiero po chwili w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– To się stało, gdy zbierałem się do Laury – odparł bezbarwnie. Po minucie zaczął opowiadać.

– Cześć tato. Słyszałem, że chciałeś ze mną porozmawiać.

Sławek zrobił dwa kroki w tył i natrafił na ścianę. Oczy rozbolewały go od wpatrywania się w ostre światło, ale nie potrafił odwrócić wzroku. Artur wyglądał tak, jak za życia. Wysoki, szczupły nastolatek z wiecznie potarganymi włosami. Jego twarz zachowała te same pogodne rysy, choć nie zdradzała żadnego wyrazu; tak samo martwa, na jaką wyglądała na krótko przed jego pogrzebem.

– A-Artur... – Tylko tyle mógł z siebie wydusić. Powietrze uleciało z jego płuc niczym z przebitej dętki. Światło przybrało formę przypominającą gęstą ciecz, która uniemożliwiała zaczerpnięcie oddechu.

W kuchni nagle zrobiło się zimno. Sławek zadrżał, nadal nie mogąc się ruszyć.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – Świecący Człowiek uniósł pytająco brew.

– Yyy... – Sławek wykonał ręką gest, który można było uznać za zaproszenie.

Artur wszedł do domu, wnosząc ze sobą jeszcze więcej zimna. Przeszedł do kuchni, jakby doskonale znał rozkład pomieszczeń, a następnie odsunął sobie krzesło i usiadł na nim.

Sławek stał, wpatrzony w ulewę szalejącą za otwartymi na oścież drzwiami. Mógłby uciec. Wystarczyłoby się rozpędzić i nie zwalniać, dopóki nie opadłby z sił. W sypialni znajdowała się jednak niczego nieświadoma Daria, która usiłowała dodzwonić się na pogotowie. Nie mógł jej zostawić na pastwę tego potwora.

Zamknął drzwi. W domu zapanowała cisza. Na nogach jak z waty niechętnie udał się do kuchni. Jego umysł krzyczał, nakazując ucieczkę, lecz taka opcja nie wchodziła w grę.

Artur siedział plecami do niego i na odgłos kroków nawet się nie odwrócił. Gdyby chodziło o zwykłego człowieka, Sławek zyskałby idealną sposobność, by przywalić mu czymś ciężkim w głowę, związać go i zadzwonić na policję. Nim Artur odzyskałby przytomność, siedziałby skuty w radiowozie i jechał na posterunek. Lecz gdyby Sławek zdobył się na taki ruch wobec zjawy... najprawdopodobniej przypląciłby to głową.

Usiadł na krześle i wtedy jego myśli rozwiały się w niebyt.

– Fajnie tu – oznajmił Artur.

– Ta... – mruknął Sławek, ale w porę ugryzł się w język. Na usta cisnęło mu się zdanie, że owszem, jest tu fajnie, ale byłoby lepiej, gdyby nigdy nie wracał z zaświatów.

– Niewiele mówisz – rzekł Artur. Jego głos brzmiał, jakby dobiegał z dna głębokiej studni.

– Jestem zdziwiony twoją wizytą.

– Ach tak? A słyszałem, że chcesz ze mną rozmawiać.

– A niby skąd?

– A czy to ważne?

Sławek poczuł przypływ złości. Artur zrobił coś, za co za życia nie raz dostawał reprimendę. Chamskie odpowiadanie pytaniem na pytanie doprowadzało Sławka do furii. Teraz nic nie mógł na to poradzić i Artur perfidnie z tego korzystał.

– Dobra – oznajmił Sławek. – Powiedzmy, że to nieistotne. Nie interesuje mnie, kto ci o tym powiedział, ale bardzo chciałbym wiedzieć, co tu robisz i czy masz bilet w drugą stronę?

– Drugą stronę? – zdziwił się Artur. – Nie rozumiem, o czym mówisz, tato.

Tato, pomyślał Sławek, z trudem powstrzymując złość. Ten potwór nie ma prawa nazywać go swoim ojcem. Mógłby założyć się o wszystko, że w świecącym ciele Artura nie pozostał nawet najmniejszy pierwiastek z tego, kim był za życia. Przestał uważać go za syna, choć sprawiało mu

to ogromny ból.

– Drugą stronę, czyli do krainy śmierci, piekła, czy cholera wie, gdzie. Po prostu wróc do świata, w którym nikomu nie zrobisz krzywdy.

Upiorny śmiech Świecącego Człowieka odbił się od ścian i wrócił zwielokrotnionym echem. Sławek mimowolnie się skrzywił. W pierwszym odruchu chciał zatkać uszy, lecz zaraz stwierdził, że nie okaże słabości. Zamierzał zmusić potwora do traktowania go jak równego sobie.

– No cóż. Podoba mi się tutaj, więc nie powiem ci, jak mnie oddelegować. Tam, skąd przyszedłem, nie dzieje się nic ciekawego; nudno jak cholera. – Uśmiechnął się. – Poza tym, nie zjawilem się tutaj z własnej woli. Ty i mama chcieliście mojego powrotu.

– Racja – przyznał Sławek. – Ale gdybyśmy wiedzieli, co przyjdzie zamiast naszego syna, z pewnością nie skorzystalibyśmy z pomocy tej starej baby.

– No cóż. Ja niczego nie żałuję i jest mi przykro, że wy nie podzielacie mojego zdania. W moim świecie codzienność polega na wegetowaniu. Tam nie istnieje czas, a w dodatku panują straszne ciemności. Tutaj mam szansę się rozwijać. Z każdym dniem czuję się coraz lepiej. Staję się silniejszy i przestaję odczuwać lęk wobec żywych.

– A czy kiedykolwiek się ich bałeś?

– Od samego początku – odparł Artur. – Każde stworzenie wzbudzało we mnie strach, o ludziach już nie wspominając. Martwi nie są przystosowani do takiego świata. Stąd to całe gadanie o duchach, które rozbijają talerze, zrzucają książki z półek i wywalają na podłogę zawartość szafek. Duchy boją się ludzi, lecz poprzez straszenie ich, nabierają odwagi. Stają się pewne siebie i odkrywają swoją prawdziwą wartość. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Ponieważ wy jesteście żywi, a my jesteśmy martwi. Martwe nie ożyje, a żywego da się zabić. Ten banał sprawia, że stajecie się zabawkami, z którymi możemy robić, co chcemy bez obaw o konsekwencje. – Artur się zaśmiał. – Martwi nie wracają, a ludzie, którzy w to wierzą, są strasznie naiwni. Gratuluję, tato. – Ostatnie zdanie wypowiedział z taką pogardą, że w Sławku aż zawrzała krew. Kusilo go, aby wstać, podnieść gnoja za kołnierz i rzucić nim o ścianę, choć miał na uwadze, że nim jego tyłek podniósłby się z krzesła, całą kuchnię spryskałaby czerwona breja, a jego jelita zawisłyby na żyrandolu, rozlewając na stół swoją śmierdzącą zawartość.

Sławek myślał gorączkowo. Jeśli dać wiarę przypadkom, kiedy egzorcyci wypędzali złe duchy czy demony, stwierdzenie Artura dotyczące jego nietykalności traciło sens. Lecz egzorcyzmy odprawiano

na ludziach lub przedmiotach, w których zamieszkał demon. Artur stanowił wyjątek, gdyż posiadał coś w rodzaju ciała.

– Teraz będzie tylko gorzej, tak? – zapytał Sławek, zanim dotarła do niego absurdalność tego pytania. Czując chłód noża na gardle, pytał swojego oprawcę, czy ten ma zamiar go zabić. Niemal wybuchnął śmiechem, lecz w porę się powstrzymał.

– Owszem. – Artur uśmiechnął się. – Tak już bywa z martwymi. Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Sławek chwycił się za głowę i wlepił wzrok w stół. Faktura drewna układała się w fikuśne kształty, które w irracjonalny sposób przyciągnęły jego uwagę, utrudniając skoncentrowanie się na czymkolwiek innym.

– A puenta tej rozmowy? – zapytał Artur po dłuższej chwili.

– Nie domyślasz się?! – warknął Sławek, nie kryjąc złości. Artur również nie cierpiał odpowiadania pytaniem na pytanie – to było u nich rodzinne. Ta jedna cecha sprawiła, że odnosił wrażenie, jakby faktycznie rozmawiał ze swoim synem. Widząc grymas niesmaku na jego świecącej twarzy, Sławek poczuł przyływ mściwej satysfakcji, po której pojawił się strach.

– Marzy ci się spokojne życie w tym miasteczku, co?

– Powiedzmy.

– No cóż... – Artur odchylił się w krześle. – Możemy zawrzeć pewien układ.

– Jak chcesz zabrać moją duszę, to od razu mogę ci odpowiedzieć... – Sławek urwał w pół zdania.

– Pierdol się. – Artur wyszczerzył zęby. – Nieładnie, TATO. – Na ostatnie słowo położył szczególny nacisk, jakby usiłował wywołać u niego wyrzuty sumienia.

Sławek milczał. W jego żołądku działa się wielka rewolucja. Skurcze stawały się coraz boleśniejsze, a jego zawartość niebezpiecznie podchodziła do gardła.

– Nie potrzebuję twojej duszy, tatuśku – oznajmił Artur. – Ich mam pod dostatkiem i póki ktoś tu żyje, nie będę cierpiał na braki. Później po prostu zmienię miejsce albo ukryję się na jakiś czas, żeby nieco odpocząć.

– Czego więc oczekujesz?

– Żebyś znalazł mamę. Nie jestem w stanie zabić kobiety, ale mogę ją dobrze ukryć. Jeżeli uda ci się ją odnaleźć, obiecuję ci, że odejdę. Co prawda, nie zniknę z tego świata, lecz na pewno dam spokój miasteczku.

– Ale...

W sypialni rozległ się kobiecy pisk.

– DARIA! – Sławek wstał i rzucił się w stronę schodów.

Marcin jednym łykiem wypił resztkę piwa, zgniótł puszkę i położył ją obok przepełnionej popielniczki. Od razu sięgnął po kolejną, lecz wstrzymał się z jej otwieraniem.

– I tak siedziałeś do momentu, w którym cię znalazłem – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Na początku tak – odparł Sławek. – Przez te wszystkie godziny zastanawiałem się, co ze sobą zrobić. Oczywiście, gdy szok ustąpił, przeszukałem cały dom i podwórko, ale gdy nigdzie nie znalazłem Darii, wróciłem do sypialni i siedziałem tam aż do twojego przyjścia.

Marcin kiwnął głową. Powoli zbliżał się wieczór. Brak snu oraz piwo zaczęły dawać mu się we znaki, więc otworzył kolejną puszkę. Powiedzenie, że nieparzysta liczba piw powoduje senność, miało w sobie sporo prawdy.

– No to jesteśmy w dupie – skwitował.

– Eureka – odparł Sławek z nutą sarkazmu w głosie.

– Ale z drugiej strony... – W oczach Marcina pojawił się błysk. Odstawił swoje piwo i spojrzał na Sławka uważnie. – Jeżeli Darię da się znaleźć, znajdziemy też Laurę. Przecież obie zniknęły w ten sam sposób.

Sławek pograżył się w myślach. W słowach Marcina było sporo racji, lecz nie miał pewności, co do szczerości Artura. Ten wcielony diabeł zabił już kilkanaście osób, więc kłamstwa pewnie przychodziły mu równie łatwo.

Cóż, jak dotąd rozszarpywani przez siłę z piekła rodem byli wyłącznie mężczyźni. W tej kwestii Sławek mógł mu wierzyć, lecz w cieniu tajemnicy pozostawało pytanie, jak się to ma do reszty jego słów. Kontemplację na ten temat postanowił zostawić sobie na później, a teraz skupić się na ważniejszym – na osobach, które prawdopodobnie żyją i czekają na ratunek.

Gdzie szukać kobiet?

Co prawda, niewielka powierzchnia miasteczka zacieśniała obszar poszukiwań, ale nie zmieniało to faktu, że przeszukanie każdego mieszkania, piwnicy czy schowka zajęłoby im wieki. Poza tym dookoła rósł gęsty, rozległy las.

– Masz pomysł, gdzie zacząć poszukiwania? – zapytał Sławek, nie licząc na sensowną odpowiedź. Bardzo się zdziwił, gdy Marcin odparł:

– Tak, mam pewien plan.

Rozdział 31

Dopiero wieczorem Laura doszła do siebie. Jej myśli powoli wskakiwały na właściwy tor, po wielu godzinach leżenia, wpatrywania się w sufit i mozolnego porządkowania faktów. Chcąc oderwać się od rozważań i skupić na krzyżówkach, które przyniósł jej Dawid, uświadomiła sobie, że nie ma długopisu. Z frustracją rzuciła krzyżówki na stolik i spróbowała zasnąć, lecz to też jej nie wyszło.

Dawid przyszedł tu jak gdyby nigdy nic i sprawił, że jej mózg przypominał wyżętą gąbkę, lecz z wolna dostrzegła elementy upiornej układanki.

Skąd on w ogóle wiedział, że trafiłam do szpitala?

Dawid powiedział, że zna Sławka. Mógł usłyszeć o tym od niego, ale coś tu nie pasowało. Pierwszy raz spotkała się ze Sławkiem przy sklepie, pod którym został zaczepiony przez Dawida. Z zachowania Sławka nie wynikało, aby się znali. Traktował go tylko jak kolejnego menela, który chce wydebić pieniądze na taniego sikacza. Gdyby rzeczywiście łączyła ich chociażby cienka nić znajomości, rozmowa ta wyglądałaby zupełnie inaczej. Poza tym, z jakiego powodu Sławek miałby mówić obwiesiowi, że jakaś staruszka trafiła do szpitala?

Dawid nie znał Sławka i na sto procent nie rozmawiał ani z nim, ani tym bardziej z Darią. To, skąd usłyszał o jej pobycie w szpitalu, na razie pozostawało niewiadomą.

Kolejna kwestia dotyczyła wypadku. Laura wątpiła, czy w ogóle Dawid przebywał wtedy w jego pobliżu. Z pewnością go tam nie widziała, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. W końcu wszędzie unosił się gęsty dym. Dojrzenie wyciągniętej przed siebie ręki stanowiło nie lada wyzwanie, nie mówiąc już o zobaczeniu znajdującego się w oddali człowieka. Mimo wszystko wewnętrzny głos podpowiadał jej, że ta część opowieści Dawida mijala się z prawdą.

Świecący Człowiek. Gdy gdzieś się pojawiał, nie pozostawało to bez echa. Na miejscu wypadku widziało go mnóstwo osób. Co prawda ona nie zaliczała się do tego grona, ale wierzyła Sławkowi. Dawid natomiast zmienił zdanie, gdy tylko zauważył, że jego odpowiedź jest niewłaściwa. Pogubił się i w nieudolny sposób próbował naprawić swój błąd.

Coś tu nie grało. Jakby każde słowo Dawida zostało dokładnie zaplanowane. Nie wiadomo tylko, po co i przez kogo. Przemiana, która w nim zaszła również wydawała się mocno podejrzana. Znając Dawida od lat, nie spodziewałaby się po nim zmiany podejścia do życia.

Kto go zmusił do przyścia w odwiedziny? Na pewno nie własna,

nieprzymuszona wola. Przecież nienawidził jej tak samo, jak i ona jego. Gdyby nie fakt, że Laura jest w kiepskim stanie i gdyby nie szok, jaki spowodowała jego nagła wizyta, rozmowa ta przebiegłaby zupełnie inaczej. To, że tu przyszedł, nie oznaczało, że zostaną mu odpuszczone winy. Ten człowiek był w jej oczach spisany na straty już w momencie, kiedy przyczepił się do jej syna.

Dziwiła ją również wzmianka Dawida na temat Sławka i Darii. Wiedziała, że Daria ma dużo wolnego czasu, a Sławek zaczyna pracę dopiero we wrześniu. Poza tym, przypuszczała, że choćby się waliło i paliło, to do tej pory któreś z nich odwiedziłoby ją przynajmniej raz. Dawid wspomniał również o motocyklu, którego Sławek nie posiadał.

Co nim kierowało?

W głowie Laury wirowały setki pytań. Prędzej spodziewałaby się wizyty Świecącego Człowieka niż Dawida. Coś jej podpowiadało, że wcale się nie zmienił. Wyglądało to bardziej tak, jakby ktoś go kontrolował. A Dawid, widząc perspektywę zarobienia pieniędzy albo zdobycia kilku butelek wódki, podporządkował się jak grzeszny chłopiec.

Od kogo dostał zadanie i na czym ono polegało?

Odpowiedź przyszła szybciej, niż myślała. Znalazła ją w soku, po który właśnie sięgnęła. Zakrętka chodziła luźno, a więc ktoś przy niej majstrował. Nie pamiętała, aby otwierała karton, poza tym sok z czarnej porzeczki nie należał do jej ulubionych. Sięgnęła po niego, ponieważ wypila całą wodę, a pielęgniarki gdzieś się ulotniły.

Spojrzała na korek, dookoła którego poprzyklejały się drobne grudki białego proszku. Nie chciała wiedzieć, czym on jest, lecz coś jej mówiło, że gdyby teraz wypila choć łyk tego paskudztwa, ciężka praca, jaką lekarze włożyli w wyrwanie jej ze szponów śmierci, poszłaby na marne.

Laura zakręciła sok i postawiła karton na podłodze. Zakodowała sobie w głowie, aby poprosić sprzątaczkę o wyrzucenie go. Po chwili obok napoju wylądowały również ciastka. Co prawda opakowanie wyglądało na nietknięte, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nie warto ryzykować.

– Ty gnido – mruknęła pod nosem.

Wreszcie wprowadził się w stan lekkiego upojenia – preludium do zalania się w trupa. Ten dzień należał do niego. Wykonał zadanie najlepiej jak potrafił. Laura dostała sok, do którego nasypał tyle lewej amfetaminy, że zabiłoby to konia. Pewnie ta stara suka już zdechła. Świecący Człowiek będzie zadowolony.

Pociągnął z butelki solidnego łyka whiskey i lekko się skrzywił.

Pyszne, choć w większej ilości zaczynało wykrzywiać mordę.

Wyciągnął z kieszeni portfel, który znalazł w domu. Zrobiono go z prawdziwej skóry, a nie jej taniej i gównianej imitacji. Zapewne kosztował więcej niż jego życie, ale to plus – gdy zabraknie mu pieniędzy, sprzeda go za połowę wartości i zarobi na dodatkowe parę flaszek.

Na portfel trafił w jednej z szuflad, po umyciu się i przygotowaniu do wykonania zadania. Nie było w nim pieniędzy, lecz coś go podkusiło, żeby poszperać głębiej. Z tyłu szuflady znalazł poliestrowy woreczek zawierający całkiem niezłą sumkę. Prawie pięć tysięcy złotych. Przy rozsądnym wydawaniu kasa starczy mu na kilka ładnych miesięcy. Oczywiście nie będzie już pił drogiej whiskey, tak samo jak denaturatu i tanich win, po których zawsze rzygał jak kot. To wszystko zastąpi sobie czystą wódką – najlepszy stosunek jakości do ceny.

Przynajmniej wątroba trochę odpocznie od siarki, pomyślał.

Schował wypchany pieniędzmi portfel i pomacał po kieszeni, by się upewnić, że nie wypadł. Zapalił papierosa i z ulgą przeżywał wchodzenie w stan coraz większego upojenia. Trzeźwość przynosiła mu niemal fizyczny ból.

Od powrotu ze szpitala bez przerwy myślał o tym, co uczynił. Z jednej strony udało mu się dopaść sporo pieniędzy, lecz z drugiej trochę męczyły go wyrzuty sumienia. W sumie ta staruszka nikomu nic złego nie zrobiła, lecz Świeący Człowiek na pewno miał swoje powody, aby ją unieszkodliwić.

Wzruszył ramionami, przystawił butelkę do ust i pił, jakby po wielu godzinach uciążliwego pragnienia wreszcie dopadł do źródła chłodnej wody.

Zbliżała się północ, gdy opróżnił pierwszą butelkę whiskey. Nawalił się już jak ruski czołg i oddanie moczu na ścianę okazało się cholernie trudne. Trzymał swój interes oburącz niczym trzon, który ma mu zapewnić zachowanie równowagi, lecz nie powstrzymało to uporczywego chwiania. Zdążył oblać spodnie i eleganckie buty, które wartością zapewne przewyższały zawartość skradzionego portfela. Zaklął, lecz po chwili z głupekowatym rozbawieniem stwierdził, że jego mocz nie jest żrący, więc ubraniem nic się nie stanie.

Zapinając rozporek, głośno pierdnął i zadowolony wrócił do swojego kąta.

Nagle oślepił go blask. Świeący Człowiek. Dawid w trudem wstał, starając utrzymać się w pionie. Ważny gość składał mu wizytę i musiał przed nim wpaść w miarę przyzwoicie.

Drzwi wyskoczyły z zawiasów z prędkością pocisku i z potwornym hukiem roztrzaskały się na przeciwległej ścianie. Siła, jaka temu

towarzyszyla, wprawila w drzenie cały budynek.

Dawid drgnął. Działanie alkoholu prędko słabło. Przeszedł kaca w kilka sekund, po czym spojrzął na otoczenie trzeźwym wzrokiem. Strach go paraliżował. Zapragnął wrócić do stanu upojenia. Wtedy wszystko stałoby się o wiele łatwiejsze do zniesienia.

Świecący Człowiek powoli wszedł do rozpadającego się domu. Nadal nie dało się ocenić, czy na jego twarzy gościł jakikolwiek wyraz, lecz oczy płonęły żywym ogniem jakby z samego piekła.

– Coś ty, kurwa, zrobił?! – wrzasnął.

– C-c-c-co... – Dawid postąpił trzy kroki w tył, aż oparł się o filar. – P-p-przecież w-wy-wyk.

– Zamknij gębę, zapijaczony śmieciu – odparł Świecący Człowiek. – Myślałem, że ci się uda, że nadasz się jak mało kto. No, ale cóż... zawiodłem się i teraz spotka cię kara.

– Ale zaraz, zaraz. – Dawid wyprostował się, jakby to mogło nadać mu stanowczości. Obsikane buty i spodnie psuły efekt, choć Dawid nie o tym teraz myślał.

Świecący Człowiek stał w miejscu, świdrując Dawida ognistym spojrzeniem. Po jego obliczu przebiegały cienie.

– Wykonałem wszystko tak, jak pan chciał. Umyłem się, kupiłem co trzeba, przyprawiłem sok i poszedłem do szpitala. Uważam, że dobrze się spisałem i zrobiłem na Laurze wystarczające wrażenie. Podejrzewam, że właśnie wiozą ją do kostnicy, o ile już w niej nie jest. – Dawid wyszczerzył resztki zębów w paskudnym uśmiechu.

Świecący Człowiek milczał, lecz jego spojrzenie było dostatecznie wymowne. Skądś wiedział, że jednak nie udało mu się wykonać zadania.

Nagle do Dawida dotarły fakty, które nieświadomie próbował zapisać. Laura podejrzewała, że kłamał, lecz nie to było najgorsze. Jakimś cudem zorientowała się, iż dodał czegoś do soku i go nie wypila. Wcale nie leżała w kostnicy i nic nie wskazywało, by w ogóle się tam wybierała.

– Nie postąpiłeś tak, jak cię instruowałem, głupi chuju! – Głos Świecącego Człowieka osiągnął takie natężenie, że z sufitu posypał się pył, a pozostałości krokwi żałośnie jęknęły. Przez kręgosłup Dawida przebiegł lodowaty dreszcz.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem odnośnie sposobu, w jaki masz dodać fetę?

– No tak... – Dawid wytrzeszczył oczy. – O kurwa...

Przypomniało mu się, co zrobił źle. Narkotyk należało dodać do soku przy pomocy strzykawki, której igłę miał wbić pod górne zagięcie kartonu tak, aby po tej zabójczej iniekcji nie pozostał żaden widoczny ślad. On natomiast odkręcił zakrętkę i wsypał proszek prosto do napoju.

– No i co? Zaświtało? – zapytał Świecący Człowiek tonem pełnym

złości i pogardy.

Zaświtało, pomyślał Dawid. Dał ciała. Laury nie sposób nazwać głupią kobietą i z pewnością zorientowała się, że sok został wcześniej otwarty.

– Mogę to jakoś naprawić – oznajmił żarliwie, jak najwierniejszy sługa. – Daj mi tylko szansę. Wrócę tam jutro i pozbędę się jej. Zobaczysz, obiecuję. Będzie bardziej martwa niż wszystkie trupy na cmentarzu razem wzięte!

– Zamknij gębę! – odparł Świecący Człowiek z wściekłością. – Lepiej odpal papierosa i wypij jeszcze trochę. Kolejna okazja już się nie nadarzy.

– Co?

– Chyba wyrażam się jasno. Mówiłem, że zadanie wymaga dokładności i sprytu. Poza tym, doskonale wiedziałeś, że bardzo się denerwuję, gdy coś nie idzie po mojej myśli. Zamiast się przyłożyć, odwaliłeś fuszere, żeby jak najszybciej dorwać się do butelki. Pij zatem.

Dawid spojrział na Grantsa. W normalnych okolicznościach ten wyśmienity bursztynowy trunek wzbudziłby w nim chore pożądanie, lecz teraz odechciało mu się alkoholu, o papierosach już nie wspominając. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek odrzucało go od używek. Przeraziło go to na tyle, że na moment przestał myśleć o nieuchronnie zbliżającej się śmierci.

Świecący Człowiek patrzył na niego wyczekująco.

Dawid nie miał wyjścia. Po raz pierwszy pił na siłę. Otworzył kolejną butelkę whiskey i pociągnął niewielki łyk. Alkohol ostro zapiekł go w gardło i wybuchł w żołądku żywym ogniem.

– Jeszcze – ponaglił Świecący Człowiek. – Przecież możesz więcej. Ledwo tu wróciłeś, a już zdążyłeś się sponiewierać.

Nienaturalnie ciężka butelka drżała w jego dłoni. Z niechęcią podniósł ją do ust. Kolejny łyk sprawił, że wnętrzności zabołały go tak, jakby zostały pocięte i zasypane solą. Czuł, jak jego wątroba rozpada się na drobne kawałki, a żółć zalewa popękane jelita. Żołądek skurczył się niczym wysuszona śliwka, a z jego rozerwanego dna sączył się żrący kwas, wypalając wszystkie tkanki, na jakie trafił; niemal robiąc mu dziurę w brzuchu.

– Zapomniałeś o papierosie. – Głos Świecącego Człowieka odbijał się w głowie Dawida echem, które doprowadzało do szaleństwa. Najchętniej wyłupiłby sobie oczy, aby uchronić się przed patrzeniem na bezlitosne, potworne światło.

Mimowolnie wyciągnął z paczki ostatniego papierosa, zgniótł opakowanie i rzucił pod nogi. Zrządzenie losu: ostatni papieros w paczce i zarazem ostatni w życiu. Nawet się nie łudził, że sprawy przybiorą

inny obrót. Świecący Człowiek chciał go zabić. Nie liczył na litość. Ucieczka nie wchodziła w grę. Dawid naraził się czemuś, przed czym nie dało się uchronić.

Odpalenie papierosa stanowiło nie lada wyzwanie. Kilka razy wypadła mu zapalniczka, a przy piątym podejściu papieros wyleciał z jego drżących warg. Wreszcie płomyk zapalniczki znalazł jego koniuszek, a w powietrze uleciała wąska strużka śmierdzącego dymu.

– Pij.

Dawid posłuchał. Wypił potężny haust whiskey, lecz alkohol nie działał. Przerażenie nie pozwoliło mu czerpać przyjemności z tego, co kochał.

Zaciągał się powoli. Wraz ze zbliżaniem się żaru do filtra mijały jego ostatnie chwile. Każda kreseczka na bibułce, jak sekundnik, z cichym odgłosem spalania odmierzała czas.

Opróżnił butelkę do połowy i stwierdził, że nie da rady więcej wypić. Jego żołądek przywodził na myśl nadmuchany do granic wytrzymałości balon; odrobinę więcej powietrza i wybuchnie z hukiem.

Po raz kolejny pomyślał o tym, że nigdy w życiu nie miał dość alkoholu. Do tej pory potrafił pić nawet, gdy jego ciało odmawiało posłuszeństwa, a mózg zamieniał się w przesiąkniętą spirytusem, szarą gąbkę.

Wypuścił butelkę. Rozległ się głośny brzęk, lecz szkło nie pękło. W milczeniu obserwował, jak na jego buty wylewa się bursztynowy trunek. Jeszcze wczoraj na ten widok krwawiłoby mu serce, lecz przecież nie zostawi sobie tego na jutro.

Nie ma co płakać nad rozlaną gorzałką, pomyślał irracjonalnie rozbawiony.

Żar prawie dotarł do filtra. Jego ciało drżało niczym galareta. Nogi stały się wiotkie, a zwieracze przestały spełniać swoją funkcję. Nowe, założone przed kilkoma godzinami spodnie, wyglądały podobnie do tych, w których chodził przez ostatnich parę lat.

Przynajmniej nikt nie będzie mnie ścigał za syf, jaki narobiłem u gospodarzy, pomyślał.

Żar zaczął pochłaniać filtr i po chwili spadł na posadzkę. Dawid z przerażeniem wypuścił ostatnią chmurę dymu.

Rozdział 32

Daria siedziała w ciasnym grobie, cierpiąc niewygodę. Bolały ją kości, a każdy mięsień protestował przy najmniejszej próbie poruszenia. Nie orientowała się, czy jest dzień, czy noc.

Dawno skończyły jej się pomysły na to, jak się stąd wydostać. Nie potrafiła nic ustalić na temat swojego położenia, poza tym, że nadal żyła, choć to mogło wkrótce ulec zmianie.

Marta nie dawała żadnego znaku obecności. Darię kusiło, aby ją zawołać, lecz powstrzymywała ją perspektywa obudzenia głosów zmarłych. Jej umysł mógłby nie znieść kolejnej fali przepełnionych cierpieniem wrzasków.

Dokuczał jej głód. Starala się nie myśleć o tym, że za kilkadziesiąt godzin jej ciało zużyje ostatnie rezerwy energii i przystąpi do powolnego spalania samego siebie. Łudziła się, że do tego czasu ktoś ją stąd wyciągnie.

– Marta! – krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi. Brak głosów w pewnym sensie ją niepokoił. Choć wolałaby ich nie słyszeć, podświadomie ich pożądała. Zupełnie, jakby chciała się przekonać, że ci wszyscy ludzie nie wynieśli się w lepsze miejsce, zostawiając ją samą na śmierć.

– MARTA! – ryknęła. Jej suche gardło zabolęło. Odkąd tu trafiła, zdecydowanie zbyt dużo krzyczała. Przypuszczała, że kolejny krzyk sprawi, iż do reszty zedrze sobie struny i do obecnych niewygód dojdzie brak możliwości komunikowania się.

– Jestem – odparła nastolatka. Jej głos był bardzo słaby, lecz i tak pocieszył Darię. Świadomość, że nie umiera sama, przyniosła osłodę fatalnemu położeniu.

– Gdzie są mężczyźni?

– Nie słyszałaś? – zapytała zdziwiona nastolatka.

– Nie.

– No cóż. – Marta zamilkła na długo. – Chyba już ich tu nie ma. Wolę nie wiedzieć, co Świecący Człowiek z nimi zrobił, ale współczuję im i modłę się, aby nas nie spotkał podobny los. Ty też powinnaś się pomodlić.

Daria zastanowiła się nad słowami Marty, a w szczególności nad tonem, z jakim je wypowiedziała. Wyraźnie dało się w nim usłyszeć coś na kształt podziwu. Zupełnie, jakby dziewczynę fascynowało, co Świecący Człowiek robi z ludźmi.

Bredzisz, pomyślała, przeczesła palcami zlepione krwią i potem

włosy, i powiedziała:

– Nie ma powodów do obaw. W przeciwieństwie do tych mężczyzn, żyjemy. To już coś.

– Skąd ta pewność?

– Boli cię coś?

– Tak.

– Chce ci się jeść?

– Jak cholera!

– Niewygodnie ci?

Kolejna twierdząca odpowiedź.

– No widzisz – rzekła Daria. – To z pewnością odróżnia nas od tamtych. Reagujemy na bodźce w taki sam sposób, co przed trafieniem tutaj. Rozdarłam sobie skórę na dłoniach i leciała mi z niej krew. U martwej osoby nie ma takiej możliwości.

– Masz rację – przyznała Marta nieco sztucznie.

Daria odniosła wrażenie, jakby dziewczyna prowadziła tę rozmowę na siłę.

– Z jakiegoś powodu Świecący Człowiek nie potrafi nas zabić.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

– Bo nie jesteśmy martwe.

– Brawo.

Sarkastyczna gówniara, pomyślała Daria, lecz zachowała tę uwagę dla siebie. Marta była jej jedyną towarzyszką, a w takiej sytuacji rozmowa z drugim człowiekiem chroniła przed szaleństwem. Poza tym Daria preferowała wypowiedanie myśli na głos, gdyż w ten sposób znacznie łatwiej wyciągała wnioski. Nie interesowało ją, czy Marta słucha, czy nie.

– Żyjemy – powiedziała sama do siebie. – Żyjemy i co?

Zamyśliła się. Artur sprawił, że obie z Martą zostały zamknięte w dobrze ukrytym miejscu.

Dlaczego to zrobił?

Rozważała możliwe scenariusze, lecz żaden z nich nie wydawał się prawdopodobny. Zupełnie nie rozumiała, o co mogło chodzić Świecącemu Człowiekowi.

Skoro tu trafiłyśmy, musi istnieć jakiś sposób, aby stąd wyjść, pomyślała.

– Słyszysz?

Głos Marty wyrwał Darię z zadumy.

– Co?

– Skup się.

Daria wyteżyła słuch. Jej uszu dobiegło kilkanaście wybuchów albo

strzałów. Pomruki rozlegały się gdzieś wysoko i znów z drżeniem uświadomiła sobie, że znajdują się pod ziemią. Świeący Człowiek wcale nie umieścił ich w swoim wymiarze.

Rozdział 33

Ciche stuknięcie przebudziło go z płytkiej drzemki. Bogdan Zieliński rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. Czuł się jak na potwornym kacu. Ćmiło go w głowie, a wyschnięte gardło domagało się chociażby kropli wody.

Gdy senne zamroczenie ustąpiło, dotarło do niego, że siedzi w salonie, z nosem niemal przylepionym do szyby. Obserwował swoje podwórko, które przeobraził w pole minowe z zamiarem wykończenia Świecącego Człowieka.

Siedział tak praktycznie od wczesnego popołudnia i w którymś momencie jego powieki stały się ciężkie, a umysł uleciał do krainy snu. Nic dziwnego, gdyż zazwyczaj o tej porze robił sobie dwugodzinną drzemkę.

Tym razem drzemka przeciągnęła się, gdyż ocknął się o zmierzchu. Nad drzewami rozciągały się fioletowo-pomarańczowe chmury, których kłęby niemal dotykały ziemi. W ich świetle korony sosen wyglądały, jakby płonęły czerwonym ogniem. Widok ten zawsze zapierał mu dech w piersiach.

Spróbował wstać, lecz nie było to takie łatwe. Kiedyś lekarz powiedział mu, że spanie w pozycji siedzącej to jedna z najgorszych rzeczy, jakie może zrobić; to coś na kształt kopniaka wymierzonego prosto w kruchy kręgosłup. Jego mięśnie boleśnie się pokurczyły, a stawy przywodziły na myśl nienaoliwiony mechanizm, który cudem jeszcze działał. Towarzyszył temu ostry zgrzyt.

Wreszcie, po kilku długich, bolesnych minutach, udało mu się podnieść z fotela. Jego kolana chrupnęły. Przez chwilę stał w miejscu, upewniając się, czy jego mięśnie podejmą współpracę. Gdy zyskał tę pewność, chwiejnym krokiem udał się do łazienki.

Jego pęcherz przywodził na myśl przepełniony balon. Czuł, że jak zaraz nie dotrze do toalety, to załatwi potrzebę tam, gdzie stoi. Przez lata wyrzeczeń zdążył zapomnieć, jak bardzo moczopędna jest jego ulubiona kawa.

Stanął nad muszlą i czekał, z każdą chwilą czując coraz większą irytację. Niemal słyszał, jak jego wnętrzności trzeszczą pod wpływem nacisku przepełnionego pęcherza, ale i tak nigdy nie mógł odlać się od razu. Musiały minąć ze dwie minuty, nim z jego przyrodzenia trysnęła struga moczu.

Nie mógł nad tym zapanować. Nasikał na ścianę, oblał szczotkę do szorowania toalety, która już dawno pokryła się kurzem i pajęczynami, i

nim wreszcie trafił do muszli, stał w kałuży własnego moczu.

– Kurwa mać! – zaklął. Zakodował sobie w głowie, że musi to później posprzątać, ale teraz miał ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Uderzył ręką w spluczkę, po czym wyszedł z toalety. Kaczym krokiem wrócił do salonu, zostawiając za sobą mokre ślady.

Z jękiem opadł na wysłużony fotel, który odpowiedział mu takim odgłosem, jakby w środku uwięziono wściekłego kota. Wziął do ręki fajkę, lecz bez zamiaru palenia. Od tytoniu bolał go łeb i robił się senny, a sytuacja wymagała wzmożonej czujności.

Pociągnął kilka razy z pustej fajki, czując paskudny smak popiołu. Udawanie, że pali, przyniosło jednak zamierzony efekt. Rozluźnił się i wygodnie rozparł w fotelu. Czekał.

Miał nadzieję, że tym razem Świecący Człowiek postanowi odwiedzić go nieco wcześniej.

Sięgnął ręką za siebie i włączył radio. Pogmerał gałką, aż wreszcie trafił na stację nadającą starego rocka. Słuchał utworów Led Zeppelin i Pink Floyd, lekko bujając się w rytm muzyki.

Dopadła go melancholia. Pamiętał te kawałki jeszcze z czasów młodości, kiedy dopisywało mu zdrowie i kondycja pozwalała na takie wyczyny, że na samo wspomnienie łupało go w krzyżu. Chodził na potańcówki, podrywał piękne dziewczyny, pił i palił, nie przejmując się zdrowiem, a przejście trzydziestu kilometrów nie stanowiło wyzwania. Wydawało mu się, jakby od tamtego czasu minęło kilka, a nie kilkadziesiąt lat. Odniósł wrażenie, że wraz z wejściem w wiek średni ktoś wyłączył mu mózg i uruchomił dopiero na starość, gdy każdy dzień mógł być tym ostatnim.

Gdzie podziały się te lata i kiedy to zleciało?

Westchnął i zmienił zdanie odnośnie fajki. Sięgnął po tytoń i nabił sobie solidną porcję. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga – pora, o której Świecący Człowiek wyrusza na polowanie.

Bramy Hadesu zostały otwarte. Teraz diabeł mógł pojawić się w każdym momencie.

– Zapolujmy na skurwysyna, panie Zieliński – mruknął do siebie, sięgnął po stary rewolwer i sprawdził, czy w każdej komorze znajduje się nabój. Odbezpieczył pistolet i położył na stoliku obok. Przezorny zawsze ubezpieczony. Nie spodziewał się, żeby jego miny zawiodły, lecz istniała możliwość, że Świecący Człowiek jest bardziej cwany, niż przypuszczał. Lepiej mieć plan awaryjny. Zieliński wołał umrzeć w nierównej walce, niż siedząc bezradnie na tyłku.

„Miej szacunek do wroga” – tę zasadę wkładano mu do głowy każdego dnia służby w wojsku. Nie wolno bowiem uznawać przeciwnika za głupszego, nawet jeśli wiele na to wskazuje. Ludzka przebiegłość nie

zna granic i to samo prawidło należało przyjąć wobec Świecącego Człowieka. Zieliński założył, że może się po nim spodziewać wszystkiego, więc wolał się przygotować.

Wyteżył wzrok. W gasnącym świetle dnia po raz kolejny uważnie obejrzał podwórko. Miny ukrył wzorowo, o czym świadczył chociażby fakt, że przez chwilę musiał się zastanowić, gdzie je dokładnie zakopał. Uśmiechnął się pod nosem, zadowolony ze swojej roboty.

Wstał i udał się do kuchni. Nalał do szklanki zimnej wody i łapczywie wypił do dna.

Nagle gasnące w mroku wnętrze domu zostało zalane ostrym światłem. Na ścianę padł nienaturalnie wielki i groteskowo wydłużony cień Zielińskiego.

Promiński przypominał chodzący arsenał. W domu zmodyfikował pas na broń, aby móc umieścić w nim więcej sztuk. Pas obecnie ciążył mu na biodrach.

Każdą kieszeń wypełnił amunicją do rewolwerów, a przez ramię przewiesił sobie starą skórzaną torbę, w której znajdowało się ponad dziesięć kilogramów długich pocisków do karabinu. Sam karabin objął mu się o kręgosłup.

Wyglądał jak nieustraszony bohater filmu akcji, który w pojedynkę ma zamiar wybić pół miasta mafiosów, alfonsów i dilerów.

Jestem jak pieprzony John Wick, pomyślał i zaśmiał się pod nosem.

Czy się bał? Niewykluczone, lecz adrenalina krążyła w jego organizmie, dając takiego kopa, że nie przyjmował strachu do wiadomości.

Szedł przez miasteczko jak gdyby nigdy nic. Zupełnie jakby paradujący po ulicy, uzbrojony po zęby człowiek nie stanowił tu nic nadzwyczajnego. Z innej strony, miał przy sobie tyle broni, że nikt nie odważyłby się powiedzieć mu słowa.

Nim zaczął samotną pielgrzymkę ku zemście, żona próbowała zatrzymać go w domu. Niemal padła przed nim na kolana i błagała, aby został.

Promiński nawet nie starał się przemówić jej do rozsądku. Wiedział, że Lena tak bardzo pogrążyła się w żałobie, że żadne tłumaczenia do niej nie dotrą. W tym przypadku nakładały się na siebie tragiczna śmierć jej rodziców, ukochanego dziadka oraz Wiktora. Lena sporo się nacierpiała. Lecz dla Promińskiego potrzeba wywarcia zemsty była tak silna, że w jej cieniu ginęły inne ludzkie uczucia. Los podjął za niego decyzję.

Aby nieco uspokoić żonę, obiecał jej, że wróci. Zdawał sobie sprawę,

że rzucił te słowa na wiatr i istniało pięćdziesiąt procent szans, że minął się z prawdą. Skąd miał wiedzieć, czy nie zbliża się jego ostatnia godzina? Zza rogu mógł wyskoczyć Świecący Człowiek i zrobić z niego miazgę, zanim zdołałby strzelić. Niemniej w ten sposób kupił sobie spokój, a Lena uwierzyła, że wróci do domu.

Westchnął ni to z żalu, ni z rozgoryczenia. Żona wymagała od niego, aby złożył obietnicę bez pokrycia. Co prawda dobrze się uzbroił, ale Świecący Człowiek może okazać się silniejszy i szybszy. Biorąc pod uwagę liczbę ofiar, istniało duże ryzyko, że karabin do niczego się nie przyda.

– Obiecuję ci, że wrócę, kochanie – powiedział sam do siebie.

Parsknął pod nosem, przypominając sobie swój urzędowy ton i przekonanie, jakie w nim brzmiało. Nie dziwił się, że uspokoił Lenę, gdyż niemal udało mu się okłamać samego siebie. W rzeczywistości coś mówiło mu, że z tej samotnej krucjaty nie będzie powrotu. Nie szedł świadomie na śmierć. Liczył, że znów zobaczy żonę i zamelduje jej o rozwaleniu łba zabójcy ich syna. Zemsta byłaby sprawiedliwa, a w dodatku zatrzymałaby falę trupów, która zalewała miasteczko. Żywił nadzieję, że właśnie taki scenariusz się sprawdzi.

Zatrzymał się na moment i zmarszczył czoło. Jeśli jednak nie wróci do domu, to i tak lepiej, by śmierć złapała go w brudne łapska podczas walki ze Świecącym Człowiekiem, niż w trakcie snu, w chwili całkowitej bezradności. Jeśli nie powie mu, z pewnością znajdą się naśladowcy, których jego akt heroizmu przekona do podjęcia ryzyka. W końcu ktoś pozbędzie się Świecącego Człowieka.

Tak dodawszy sobie otuchy, nieco zmniejszył poczucie winy wynikające z okłamania Leny.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. W blednym świetle zachodzącego słońca domki przypominały klocki porozrzucane przez dziecko. Drzewa przywodziły na myśl dotknięte artretyzmem dłonie usiłujące szukać ukojenia w pomarańczowych chmurach.

Z zamyślenia wyrwał go zbliżający się pojazd.

– O kurwa – zaklął.

Z naprzeciwka nadjeżdżał policyjny radiowóz. Biorąc pod uwagę, ile Promiński miał przy sobie broni, nabrał pewności, że nie wróci do domu. Jego samotna eskapada zamiast hucznym zwycięstwem lub bohaterską śmiercią zakończy się kilkoma albo kilkunastoma latami w więzieniu. W sumie nie wiedział, ile można dostać za nielegalne posiadanie broni. Nigdy się tym nie interesował, gdyż nie przeszło mu przez myśl, że kiedykolwiek wejdzie w posiadanie spluwy, na dodatek po to, aby ktoś intencjonalnie zabić.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki, lecz takowej nie znalazł. Po

jego lewej ciągnęła się ulica i rząd domków z ogrodzonymi podwórkami, a po prawej pola uprawne zwieńczone gęstym lasem. Chowanie się w pszenicy nie miało najmniejszego sensu, zwłaszcza że plony w tym roku nie zapowiadały się obficie i zboża oferowały nędzną osłonę.

Jego nogi jakby wrosły w pobocze. Pozostała mu tylko modlitwa, aby policjanci nie zauważyli broni i pojechali dalej.

Radiowóz zatrzymał się z ostrym chrzęstem. W powietrze wleciała chmura pyłu, który wdzierał się do nosa i oczu.

Promiński zacisnął zęby i czekał. Powoli docierało do niego, że jednak nie uda mu się pomścić syna. Mimo wszystko liczył na to, że w tym miasteczku znajdzie się inna odważna osoba, która wymierzy sprawiedliwość i w przeciwieństwie do niego, nie da się tak szybko złapać.

Spojrzał na radiowóz. Funkcjonariusz siedzący w fotelu kierowcy otworzył okno i przez chwilę patrzył na niego, milcząc. Jego twarz wyrażała ogromne zmęczenie, strach i smutek.

– Umiesz pan się tym posługiwać? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Yyy... – Promiński zaniemówił. Jego język stał się ciężki jak z ołowiu. Próbował coś powiedzieć, ale szalejące myśli utrudniały dobór słów. Przytaknął.

– Doskonale – oznajmił policjant, po czym spojrzał przed siebie.

– Uznam, że tego nie widziałem. Wierzę, że nie jesteś pan durniem i nie postrzelisz przypadkowego człowieka albo siebie.

Promiński pokręcił przecząco głową.

– Doskonale. – Policjant zakaszłał. – Podziwiam pana za odwagę. Powodzenia.

– Dz-dziękuję – mruknął Mariusz, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Właśnie został złapany przez policję z karabinem na plecach, pasem broni i kieszeniami wypchanymi amunicją. Powinien teraz leżeć skuty na ulicy z ustami pełnymi żwiru, a tymczasem policjant życzył mu powodzenia. To chyba jakiś sen, podobnie jak wydarzenia ostatnich dni. Jeden nieustannie trwający koszmar, z którego nie potrafi się obudzić.

– I jeszcze jedno – powiedział policjant.

– T-tak?

– Jak już minie ten cyrk i uda się panu ujść z życiem, pozbędziesz się pan tych zabawek. Jasne?

– Tak.

– Oby, bo mam dobrą pamięć. – Policjant popukał się znacząco w skroń, bez słowa zamknął okno i odjechał.

Promiński stał, wpatrując się w czerwone chmury. Jego serce wracało do właściwego rytmu, a zdziwienie przerodziło się w euforię. Miał ochotę podskakiwać jak mały dzieciak, który dostał coś, o czym bardzo

marzył. Radość zaraz ustąpiła zupełnie nowemu doznaniu. Oto bowiem policjant dał mu pełne przyzwolenie na chodzenie po ulicy z bronią, gdyż miał nadzieję, że on jeden zlikwiduje zagrożenie, z którym nie potrafiły sobie poradzić służby.

– Pierdoleni tchórze – zaklął Promiński i splunął.

Gdy nieco ochłonął, podjął dalszą wędrówkę, lecz zanim zdążył przejść na drugą stronę ulicy, wieczorną ciszę rozdarł potężny wybuch. Jego siła włączyła alarmy zaparkowanych w pobliżu aut.

Ludzie powychodzili ze swoich domów, lecz nikt nie zwrócił uwagi na obwieszonoego bronią człowieka, który stał na samym środku chodnika. Każdy kierował wzrok na słup czarnego dymu, wznoszący się ponad koronami drzew. Pokazywali go sobie palcami i z ożywieniem komentowali zjawisko.

Czas jakby stanął. Przez moment wszyscy obserwowali rozplywający się w powietrzu dym. Zaraz zainteresowanie zamieniło się w panikę. Część ludzi z wraskiem zatrzęsła się w domach. Inni zaś biegali w kółko, nie wiedząc, co robić.

W pierwszym odruchu Promiński też chciał uciec, lecz nim się zorientował, już szedł w stronę dymu. Coś się tam działo i przecucie mówiło mu, że może tam spotkać Świecącego Człowieka. Wszystko wskazywało na to, że Promiński nie był jedyną osobą, która postanowiła wziąć sprawę we własne ręce.

– Człowieku, odbiło ci?! – zapytał spanikowany mężczyzna. Mariusz nie kojarzył jego twarzy, aczkolwiek na pierwszy rzut oka facet wyglądał na mieszcucha. Zapewne przyjechał do kogoś z rodziny, by zaznać trochę ciszy i spokoju, z jakich słyną małe miasteczka.

Promiński nie odpowiedział. Ściągnął z pleców karabin i przyspieszył kroku.

Rozdział 34

Dźwięk wibracji telefonu leżącego na dębowym stole rozniósł się po pomieszczeniu. Na ekranie wyświetlał się numer jednego ze szpitalnych automatów, lecz w domu nie było nikogo, kto mógłby odebrać.

Telefon zawibrował jeszcze raz, po czym ekran zgasł, a urządzenie znieruchomiało. Kilka sekund później przyszedł SMS oznajmiający, że Sławek ma dziesięć nieodebranych połączeń.

Laura nie mogła znieść bezczynności. Próbowwała wybłagać u lekarza, aby pozwolił jej wstać z łóżka i wykonać jeden telefon. Z początku ten nie chciał się zgodzić, tłumacząc, że jej stan nadal jest poważny i nie powinna podejmować żadnego wysiłku fizycznego.

– Jaki wysiłek fizyczny? – oburzyła się Laura. Miała ochotę krzyknąć na tego młodego człowieka, ale rozumiała, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Facet okazał się uparty jak osioł.

– W pani przypadku każde wyjście z łóżka wiąże się ze zmęczeniem porównywalnym do półgodzinnego joggingu.

Laura przewróciła oczami. Lekarz mógł sobie gadać, co mu się podoba, ale ona wiedziała swoje. W tym momencie ubyłoby jej trzydzieści lat i wykonanie jednego telefonu nie pogorszy jej stanu. Lekarz sugerował się wykresami z porannych badań, ale od tamtego czasu dużo się zmieniło.

– Ale ja naprawdę dobrze się czuję – powiedziała zrezygnowana. Zwątpiła, że uda jej się przekonać lekarza.

– Panie doktorze...

– Nie – odparł, nim zdążyła dopowiedzieć resztę.

– Nie w tym rzecz. Będę grzeczną pacjentką i nie wspomnę o żadnym wychodzeniu.

Lekarz przyjął te słowa z ulgą. Ciężko stwierdzić, czy ta wymiana zdań bardziej męczyła Laurę, czy jego.

– Zatem zamieniam się w słuch.

– Skoro nie pozwoli mi pan wyjść z łóżka w celu wykonania WAŻNEGO telefonu, to czy znalazłby się jakiś wolny telefon komórkowy? Doktorze, bardzo mi na tym zależy.

Młody lekarz spojrział na nią wnikliwie, po czym ukradkiem zerknął na stolik stojący przy jej łóżku. Widząc pusty blat, domyślił się, że prawdopodobnie nikt z rodziny tej starej biednej kobiety nie ma pojęcia

o tym, że otarła się o śmierć.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Zobaczą, co da się zrobić i zaraz tu wrócę.

– Dziękuję, doktorze.

Pół godziny później Laura dostała stary telefon z długą antenką, z którego mogła dzwonić w razie potrzeby, pod warunkiem, że nie opuści swojego łóżka. Przystała na ten kompromis bez najmniejszego sprzeciwu.

Wtedy pojawił się poważny problem. Nie znała na pamięć numeru do Sławka. Czasy się zmieniły i książki telefoniczne odeszły do lamusa. Na co komu stos makulatury, skoro połowa numerów już dawno nie istniała? Poza tym Sławek należał do ludzi, dla których telefony stacjonarne są reliktem przeszłości, więc nawet, gdyby posiadała książkę telefoniczną i tak niczego by to nie zmieniło.

Zamknęła oczy. Na jej czoło wystąpiła głęboka bruzda, gdy pod powiekami przelatywały trzycyfrowe ciągi liczb.

Sześć, sześć, osiem, pomyślała, lecz zaraz odrzuciła tę opcję. Tak zaczynał się numer do młodzieńca, który raz w miesiącu robił jej duże zakupy.

Sześć, osiem, sześć.

Pokręciła głową, jakby usłyszała wyjątkowo niekorzystną propozycję. Te cyfry znajdowały się w środku numeru do jednej z jej najbliższych przyjaciółek. Ela zmarła dwa lata temu. Laurę zaskoczyło, że wciąż pamięta jej numer.

Cztery, trzy, dwa.

Zacisnęła dłonie na kołdrze. Jej długie, zadbane paznokcie wbiły się w szorstki materiał niczym szpony drapieżnego ptaka. Cztery, trzy i dwa to cyfry, które nic jej nie mówiły.

– Kurwa – powiedziała i drgnęła, słysząc własny głos. Laura szczyciła się wysoką kulturą osobistą i tego typu słowa bardzo rzadko padały z jej ust.

Skup się, stara babo, pomyślała, po czym całkowicie oczyściła umysł.

Cofnęła się w czasie do momentu, w którym zapisywała numer Sławka. Pamiętała trójkę, ósemkę i...

SKUP SIĘ!

Trzy, osiem, pięć.

Laura otworzyła oczy, a na jej bladej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Właśnie taki jest początek numeru Sławka. To pewne, jak fakt, że leżała w szpitalu po zawale.

Niestety, radość nie potrwiała długo. Zostało jeszcze sześć cyfr i niezliczona ilość kombinacji, a jej brakowało pomysłów.

Szybko wpisała do telefonu pierwsze trzy cyfry, odłożyła aparat na

bok i ponownie pograżyła się w myślach. Tym razem poszło szybciej. Zupełnie, jakby odgadnięcie początkowych cyfr stanowiło warunek umożliwiający wgląd do reszty numeru.

Jeden, osiem, sześć.

Wpisała kolejne cyfry. Zostały zaledwie trzy.

Nagle poczuła niewysłowiony strach, który do tej pory trzymała na wodzy. Strach o Sławka i Darię; o mieszkańców miasteczka, nad którymi zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Nikt nie zdawał sobie sprawy, z czym przyszło im się zmierzyć.

Skup się, stara babo, powtórzyła Laura, przyciskając palce do skroni. Wbijała paznokcie w pomarszczoną skórę, aż poczuła spływające krople krwi.

Po raz kolejny ujrzała ciąg cyfr. Zera wirowały wokół jedynek, dwójki wpadały w ósemki, a szóstki obracały się, przez co nie dało się odróżnić ich od dziewiątek. Zaczęło kręcić jej się w głowie.

Zacisnęła mocniej powieki, a paznokcie weszły w ciało na kolejny milimetr. Popłynęła szersza strużka krwi.

Trzy, zero...

Laura uderzyła w niewidzialny mur. Nie była w stanie wykrzesać niczego więcej. Jej mózg przywodził na myśl kupkę dymiącego popiołu. Odkryła osiem cyfr, lecz ostatnia za nic nie chciała się ujawnić.

Została jej tylko jedna możliwość. Musiała strzelać tak długo, dopóki nie trafi.

Trzy, zero, zero.

Przycisnęła telefon do ucha, modląc się w duchu o głos Sławka. Sygnał powtórzył się trzy razy, po czym w słuchawce odezwała się jakaś nastolatka:

– Halo?

Ostatnią samogłoskę przeciągnęła w taki sposób, że w połączeniu z dość niskim głosem brzmiało to jak nieudolna próba uwodzenia.

Laura rozłączyła się.

Czyli zero odpada, pomyślała, ostatnią cyfrę podmieniając na jedynekę.

Nim wybrzmiał pierwszy sygnał, w słuchawce rozległ się spanikowany męski głos. Facet odebrał telefon tak szybko, jakby siedział z nim w garści i bez mrugnięcia okiem obserwował czarny ekran, spodziewając się połączenia.

– Agnieszka? – W jego głosie przerażenie mieszało się z ulgą i nadzieją. – Agnieszka, posłuchaj mnie, kochanie. Naprawdę mi głupio i przep...

– Przepraszam, pomyłka – oznajmiła Laura i rozłączyła się. Nie potrafiła pozostawić tego telefonu głuchym.

Jedynka przeszła w dwójkę, a dwójka w trójkę. Dodzwoniła się do zakładu pogrzebowego Styks, który oferował szeroki wybór usług z zakresu kosmetyki pośmiertnej, a także bogaty asortyment trumien i urn. O tym wszystkim poinformował ją automat, a ona, zamiast od razu się rozłączyć, jeszcze mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

Czwórka okazała się ślepek, taki numer w ogóle nie istniał. Pod piątką siedział stary cham o niemiłym głosie i plugawym języku. Laurze cisnęła się soczysta wiązanka, lecz zdążyła się w porę rozłączyć.

Trzy, zero, sześć.

Laura po zaledwie dwóch sygnałach wiedziała, że właściciel numeru nie odbierze. Intuicja podpowiadała jej także, że tym właścicielem jest Sławek. Mimo wszystko, gdy odezwała się poczta głosowa, postanowiła sprawdzić resztę numerów. Tak na wszelki wypadek.

Starsza kobieta, która myślała, że dzwoni wnuczka; później pizzeria i jakieś dziecko. Nie ulegało wątpliwości, że numer telefonu Sławka kończy się szóstką.

Laura otarła z czoła pot, przy okazji rozmazując po twarzy krew, która nadal wypływała z płytkich rozcięć na skroniach. Zapiekło, lecz nijak się to miało do bólu, jaki cierpiała przy ataku serca.

Pozostawało jej dzwonienie dopóty, dopóki Sławek nie odbierze.

Pół godziny i dziesięć połączeń później, Laura zaczęła mieć bardzo złe przeczucia. Sławek nie odbierał, a z pewnością zawsze nosił przy sobie telefon. W miasteczku coś się działo i Sławek brał w tym udział. Istniała również możliwość, że dopadł go Świecący Człowiek, aczkolwiek wolała o tym nie myśleć.

Równie dobrze mogli gdzieś się wybrać i Sławek nie wziął telefonu, aby nikt im nie przeszkadzał.

Niby prawdopodobne, lecz czy na pewno? Jakby miała zgadywać, założyłaby, że Sławek zgubił komórkę albo wyciszył dzwonek.

Obiecała sobie, że uzbroi się w cierpliwość, lecz upływające minuty ciągnęły się w nieskończoność. Czarny scenariusz stawał się wyraźniejszy.

Wykonała dwa telefony, odczekała kolejne pięć minut i gdy następne połączenie również nie zostało odebrane, postanowiła wyjść ze szpitala. Jednym ruchem zdarła poprzypinane do klatki piersiowej elektrody i wypięła z prądu aparaturę, która swoim zawrotem mogłaby przyciągnąć pielęgniarkę. Na samym końcu wyciągnęła z żył wkłucia i powoli usiadła.

Świat gwałtownie zawirował, ale wytrzymała. Instynkt przejął kontrolę nad umysłem. Ciągle utwierdzała się w przekonaniu, że jest potrzebna miasteczku jak nigdy dotąd; przeczuwała coś złego.

Całkowicie poddała się instynktowi. Wstała i chwiejnym krokiem

podeszła do drzwi.

Rozdział 35

Sławek szedł przez las, co chwilę potykając się o korzenie. W pewnym momencie mocno oberwał gałęzią w twarz.

Parę kroków za nim szedł Marcin. Sapał jak pies, który zobaczył swojego właściciela po bardzo długiej rozłące. Jego twarz i dłonie również nie były w najlepszym stanie. We włosy natomiast wczepiły się gałązki, przez co w mroku wyglądał, jakby jego głowa została nabita gwoździami.

– Sławek, zwolnij, do cholery – wydyszał. – Zaraz płuca wypluję.

– Nie mamy czasu – odparł Sławek, nawet się nie odwracając. W miasteczku coś się działo. Dwa wybuchy, które nastąpiły praktycznie jeden po drugim, nie wróżyły nic dobrego. Sławek przypuszczał, że ludzie postanowili wziąć sprawy w swoje ręce.

Świadomość, że nie są sami, była równie pocieszająca, co niepokojąca. Ilu z tych sfrustrowanych i jednocześnie przerażonych ludzi wpadło na pomysł, by wysadzić coś w powietrze? Mogło dojść do ogromnej tragedii. Ładunki, których użyto, huknęły całkiem donośnie. Sławek nie znał się na materiałach wybuchowych, ale miał nadzieję, że bombę skonstruował ktoś, kto wiedział, co robi. Dźwięk eksplozji dotarł aż do lasu.

– Ale nawet nie jestem tego pewien! – jęknął Marcin.

Głos nastolatka wyrwał Sławka z zamyślenia. Zatrzymał się i powoli odwrócił. Na jego poranionym obliczu upór mieszał się z nadzieją.

– Posłuchaj – zaczął. – Albo idziesz i nie narzekasz, albo spieprzaj. Nie uśmiecha mi się słuchanie twoich lamentów, rozumiesz? Chcesz, to chodź ze mną, nie chcesz, nie idź.

Zapadło milczenie. Z oddali dobiegał upiorny chór ludzkich krzyków oraz coś, co brzmiało jak seria z karabinu maszynowego. Żaden z nich jednak się tym nie przejął. Takiej broni nie posiadała tu nawet policja, więc najprawdopodobniej to nie był karabin.

– Przepraszam – oznajmił Marcin, wyprzedził Sławka i bez słowa szedł dalej. Sławek wzruszył ramionami, wznawiając marsz.

Las gęstniał. Gęstniał również mrok, który wraz z odejściem słońca stopniowo okrywał świat atramentową ciemnością. Zapowiadała się bardzo długa i ciężka noc. Sławek po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, czy zobaczy świt.

Po jakimś czasie widoczność stała się zerowa. Sławek wsadził rękę do kieszeni, lecz ta okazała się pusta.

– Cholera – mruknął pod nosem, przeszukując pozostałe kieszenie

spodni. – Kurwa mać! – zaklął, gdy dotarło do niego, że nie ma telefonu.

– Co się stało? – zapytał Marcin.

– Zostawiłem telefon w domu. Masz swój?

– Mam, ale bateria jest słaba.

– Odpal latarkę. Nic nie widać.

Marcin bez słowa wyciągnął telefon. Poziom baterii wskazywał na dwadzieścia pięć procent. Powyłączał aplikacje, aby przedłużyć działanie latarki. Zauważył kilka nieodebranych połączeń od ojca. Zapewne rodzice umierali ze strachu, lecz nic nie mógł na to poradzić. Włączył latarkę i przekazał telefon Sławkowi.

– Powinien podzielać przynajmniej pół godziny.

– Dzięki.

Powoli zbliżali się do celu. Sławek jeszcze go nie widział, lecz wyczuwał jego bliskość.

Szli do chaty leśniczego, który dawno temu zyskał opinię postrachu miasteczka. Starszy mężczyzna w nieznanymi okolicznościami stracił jedno oko, przez co przezywano go Odynem. W pustym oczodole nosił szklaną protezę, która wydawała się widzieć więcej niż naturalne oko. Z jego ust zawsze zwisał pognieciony papieros bez filtra, a unoszący się z niego dym okrywał siną mgłą pobrużdżone zmarszczkami i bliznami oblicze.

Szklane oko stanowiło dla dzieci niewyczerpane źródło strasznych historii. Każdy miał na ten temat coś do powiedzenia, a wszystkie opowieści wywoływały grozę i obrzydzenie. Najbliższa prawdy wydawała się przesłanka, jakoby stracił oko na wojnie. Liczne blizny potwierdzały tę teorię, niemniej każdy wiedział, że stary Alfred to pijak i awanturnik, którego łatwo zdenerwować najmniejszą błahostką. Ponadto nie należał do mistrzów barowych sztuk walki, przez co niejednokrotnie wracał z miasteczka bez kolejnego zęba lub ze złamanym nosem, który pod koniec jego życia kształtem przypominał przekrzywioną gruszkę.

Alfred wybrał las – ten aspołeczny typ na trzeźwo nie mógł wytrzymać w otoczeniu ludzi więcej niż pięć minut. Po tym czasie czuł się jak narkoman na głodzie. Bywał wtedy zniecierpliwiony, rozdrażniony i kręcił się na krześle, na co jego przypadkowi kompani od kielicha reagowali prześmiewczymi komentarzami o owsikach. To wywoływało u Alfreda złość, która szybko przeradzała się w ślepią furję. Wtedy zawsze pakował się w kłopoty.

Odyn egzystował na uboczu, starając się nikomu nie wchodzić w drogę. Mieszkańcy miasteczka odwzięczali się tym samym, unikając okolic jego chaty. W ten sposób mijały lata. Alfred pojawiał się niezwykle rzadko. Zazwyczaj przychodził po zapas papierosów. Ludzie

doskonale wiedzieli, że jego chata jest wielką bimbrownią, która w każdej chwili może wylecieć w powietrze. Jak dotąd Bóg w swej łasce nie pozwolił Alfredowi na spalenie lasu.

Wreszcie ludzie zorientowali się, że Alfred nie pojawiał się w miasteczku już od przeszło pół roku. Po licznych naradach postanowiono, że ktoś podejździe sprawdzić, co się z nim dzieje. Wytypowany nieszczęśnik znalazł zwłoki leśniczego w zaawansowanym stadium rozkładu, co zapewne prześladowało go w snach jeszcze na długo po całym zajściu.

Tak dobiegł końca nędzny żywot kolejnego człowieka z problemami, lecz Odyn ze starego awanturnika i pijaka stał się legendą wśród pokoleń miejscowej młodzieży lubującej się w wymyślaniu strasznych historii.

Budynek zamknięto na cztery spusty. Kolejni leśniczy nie chcieli tam mieszkać, gdyż Alfred nie miał w zwyczaju tracenia czasu na sprzątanie i brud stał się nieodłącznym elementem domu. Wzmacniał ściany, uszczelniał okna i utwardzał podłogę. W dodatku w chacie ciągle śmierdziało trupem, jakby została tam jakaś część Alfreda.

Wybudowano nową leśniczówkę, a ludzie z przyzwyczajenia nadal omijali sypiącą się rudę po Odyń. Młodzież natomiast jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że chata jest nawiedzona.

Z zasłyszanych od Marcina informacji Sławek dowiedział się, że stara leśniczówka nadal stoi na swoim miejscu. Ludzie zdążyli już o niej zapomnieć, co sprawiało, że stanowiła idealną kryjówkę.

Światło latarki wychwyciło jakiś kształt, który nie wyglądał ani na głąz, ani tym bardziej na drzewo.

- Chyba dotarliśmy do celu – powiedział zachrypniętym głosem.
- Na to wygląda – odparł Marcin.
- Boisz się?
- Sam nie wiem...
- Chyba nie wierzysz w duchy i opowieści dzieciaków.
- Odkąd pojawił się Świecący Człowiek, muszę przyznać, że kwestia wiary w duchy trochę się u mnie zmieniła.

Sławek kiwnął głową. Chłopak dobrze powiedział. Sam do tej pory nie wierzył ani w duchy, ani w inne formy istnienia pozagrobowego. Nie wierzył też ani w niebo, ani w piekło. Teraz jednak spotkał się z czymś, co nie miało racjonalnego wytłumaczenia. Świat duchów stał się elementem rzeczywistości, w której człowiek był słaby i bezbronny.

Stanęli przed nadgryzioną zębem czasu chatą. Wykonane z nieoheblowanych desek ściany częściowo spróchniały, a z licznych dziur wypływała czerń wnętrza. Dach musiał zapaść się którejs zimy pod ciężarem śniegu. Szyby pokrywała tak gruba warstwa brudu, że nie dało

się przez nie nic zobaczyć.

Skierował światło latarki na drzwi. Ich stan również pozostawiał sporo do życzenia, lecz w porównaniu do reszty i tak wypadały nieźle. Zardzewiałe zawiasy nadal utrzymywały ich ciężar, lecz farba już dawno złuszczyła się i odpadła. Fakturę drewna znaczyły głębokie pęknięcia i wyrzuszenia, lecz skrzydło wciąż trzymało się w jednym kawałku.

Zrobił krok tak ostrożnie, jakby najdrobniejszy wstrząs mógł spowodować, że chata runie, wzbijając w powietrze chmurę nagromadzonego przez dziesięciolecia pyłu i kurzu.

Chwycił klamkę i powoli ją nacisnął. Ciszę lasu rozdarł kolejny huk, który zagłuszył skowyt skorodowanych zawiasów. Cała chata nieznacznie zadrżała, a stare szyby zadźwięczały. Marcin, który właśnie stał przy oknie, instynktownie odskoczył.

– Co się tam dzieje, do jasnej cholery?

– Nie mam pojęcia, ale cieszę się, że jestem tu, nawet jak ta chata faktycznie robi za siedlisko duchów – odparł Marcin.

Sławek poczuł, jak jego żołądek zaciska się w skurczu. W miasteczku musiał zapanować chaos. Wiatr przywiewał lekki zapach dymu, co wskazywało na pożar.

– Miejsmy to z głowy i wracajmy. Niewykluczone, że się tam przydamy.

– Chyba że znajdziemy tu Darię i Laurę. Wtedy Świecący Człowiek powinien odpuścić.

– Idę o zakład, że za tym zamieszaniem stoją spanikowani mieszkańcy. Jeżeli Artur da nam spokój, trzeba będzie ogarnąć tych panikarzy. O ile do naszego powrotu nie zostanie tam kamień na kamieniu.

Nie tracąc więcej czasu, Sławek przekroczył próg chaty i niemal od razu się rozkaszłał. Kurz, który gęstą warstwą pokrywał każdy przedmiot, wbił się w powietrze i brudną chmurą zawisł nad sufitem. W świetle latarki jego drobinki wykonywały szaleńczy taniec, wypełniając każdy centymetr kwadratowy przestrzeni. Wlatywały do nosa, powodując uporczywe pieczenie oraz boleśnie drażniły oczy. Sławek niemal słyszał chrzęszczenie okruchów między zębami, co przypominało mu o dzieciństwie i momentach, kiedy w jego ustach znalazł się piasek. Nieprzyjemne chrupanie nie dawało spokoju przez wiele godzin, nawet jak porządnie umył zęby.

– Widać, że od dawna nikt tu nie sprzątał – stwierdził Sławek, zaraz zdając sobie sprawę z tego, jak absurdalnie to zabrzmiało. W końcu weszli do opuszczonej chaty, a nie podmiejskiej rezydencji z basenem i dużym ogrodem.

Omiótł wewnątrz światłem latarki, które zaczynało słabnąć. Pod ścianą stała zdezelowana szafa. Jedyne skrzydło drzwi smętnie zwisało na zniszczonym zawiasie, drugie zaś leżało na podłodze przykryte grubą warstwą kurzu. Na ścianach wisiało kilka pustych półek. Na jednym z parapetów stała doniczka, w której kiedyś coś rosło, lecz niepodlewane od lat uschło i rozsypało się w pył.

Marcin poszedł w stronę stojącego w rogu łóżka, lecz w połowie drogi zmienił zdanie. Smród, jaki stamtąd bił, sprawił, że chłopak zawrócił z bladą twarzą i zażawionymi oczami.

– Co jest? – zapytał Sławek.

– Śmierdzi tam trupem – odparł Marcin, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

– Słyszałem, że leśniczy zmarł właśnie w tym łóżku. Upił się i we śnie zachłysnął własnymi wymiocinami.

– Paskudna sprawa.

– No cóż... Jak się upijesz, to zawsze staraj się spać na boku i zbytnio nie wiercić.

– Nie musisz mi o tym mówić.

Sławek poczuł lekkie rozbawienie, lecz apatyczny jęk poluzowanych desek podłogowych szybko przypomniał mu, że to nie pora na żarty.

W świetle latarki pojawił się niewielki stolik, który stał pod jednym z okien. Na blacie coś leżało.

– O cholera...

– Co... – Marcin zamilkł w pół słowa i wytrzeszczył oczy.

Sławek chwycił gazetę i przekartkował ją. Było to wydanie, w którym ukazał się pierwszy i jedyny artykuł dotyczący zabójstw w miasteczku; artykuł, od którego wszystko się zaczęło.

Jego uwagę przykuła luka, w której powinno znajdować się zdjęcie przedstawiające starszą kobietę. Wtem elementy układanki wskoczyły na miejsce.

– Jasna cholera... – mruknął.

– Co?

– Jesteśmy nie tu, gdzie trzeba.

– Ale...

– Chodźmy stąd! Szybko!

– Ale gdzie?

– Do domu Laury!

Rozdział 36

Nienaturalne białe światło było dla lisa zjawiskiem dziwnym, lecz nie zniechęciło go do podążania za pożywieniem, nawet jeżeli należało zbliżyć się do domu człowieka. Musiał tylko zachować czujność, aby w świetle nie dać się zdemaskować.

Wprawne oko myśliwego oceniło, że cel znajduje się zaledwie na odległość skoku. Napiął mięśnie, gotów w każdej chwili wystrzelić w kierunku potencjalnej zdobyczy. Lisi żołądek skurczył się z głodu. Coś w nim zbulgotało, co nie umknęło uwadze królika.

Nie miał chwili do stracenia. Ta sekunda zadecyduje, czy w tę noc wreszcie należycie się posili.

Lis wyskoczył jak sprężyna i otworzył szeroko pysk, gotów zatopić zęby w miękkiej króliczej szyi. Już czuł smak ciepłej krwi wlewającej się do spragnionego gardła oraz spazmatyczne podrygi umierającej ofiary.

Niestety, królik okazał się szybszy. Nim lis wylądował na czterech łapach, ten zdołał umknąć tak daleko, że dogonienie go stanowiłoby nie lada wyzwanie.

Lis dotknął ziemi. Siedem kilogramów masy jego ciała wystarczyło, aby zdetonować minę, przykrytą pod kupką trawy.

Do pierwszego wybuchu doszło, gdy Bogdan Zieliński spojrział Świećcemu Człowiekowi w oczy. Stało się to tak szybko, że starszy mężczyzna nie zdążył zastanowić się, jakim cudem ten potwór zdołał przejść bez szwanku przez pole minowe.

Rozległ się huk. Potężna eksplozja sprawiła, że Zieliński na moment całkowicie stracił słuch. Przypomniały mu się ćwiczenia na poligonie, lecz wtedy takie wybuchy nie robiły na nim wrażenia. Winić mógł jedynie starość, która osłabiła jego organizm.

Nie wiedzieć kiedy urwał mu się wątek. Przez pewien czas miał problem ze zrozumieniem, gdzie się znajduje i co się właściwie stało. Po policzku spłynęła strużka lepkiej wilgoci. Przesunął dłoń po pomarszczonej skórze i dostrzegł krew. Najprawdopodobniej wybuchła mina, którą zakopał najbliżej domu. Garść żwiru i gwoździ rozbiła stare okno, boleśnie raniąc mu twarz. I tak dopisało mu szczęście, gdyż odłamki nie utknęły w jego oku.

Rozejrzał się. Wnętrze domu przypominało obecnie małe pobojuwisko. Wszędzie wałało się szkło, ziemia oraz gwoździe. Wtem dostrzegł coś, co ludzaco przypominało głowę lisa lub psa, ale nie skupił

na tym większej uwagi. Dookoła wznosił się drażniący pył, lecz nie na tyle gęsty, aby przytłumić ostre światło, które wdzierało się do środka.

Z trudem wstał, raniąc sobie dłoń kawałkiem szkła. Zaklął pod nosem. Świecący Człowiek nadal stał przed domem. Chytry plan okazał się totalną porażką. Jakimś cudem stwór zorientował się, że podwórko jest polem minowym i ominął każdy ładunek. Długie godziny ciężkiej pracy Zielińskiego poszły na marne.

Coś jednak zdetonowało jedną z min. Istniała szansa, że odłamki, którymi naszpikował ładunki, wyrzuciły Świecącemu Człowiekowi jakąś krzywdę, lecz stary żołnierz wolał niczego nie zakładać.

Rozejrzał się za rewolwerem. Gorzko żałował, że nie wziął kabury i nie przypiął jej sobie do pasa. W salonie panował okropny bałagan, pistolet mógł znajdować się dosłownie wszędzie.

Szlag...

Tym razem dopisało mu szczęście. Obok fotela zobaczył broń. Schylił się i sięgnął po nią z zadziwiającą jak na swój wiek sprawnością.

Odbezpieczył rewolwer i powoli podszedł do okna. Nogi ugięły się pod nim, a serce waliło jak oszalałe, lecz nie przejmował się tym. Nawet gdyby ta szwankująca pompka nagle wysiadła, wyszłoby na jedno. Przeczuwał, że nie wyjdzie z tej wojny cało. Świecący Człowiek był zbyt przebiegły. Tutaj przydaliby się młodzi, silni szturmowcy i przynajmniej jeden snajper, a nie dziadek, który widzi zbliżający się kres swego życia.

Zieliński dotarł do okna i spojrzał prosto w oczy Świecącego Człowieka. Przez chwilę stali bez ruchu niczym rewolwerowcy ze starego westernu. Bogdan wyciszył się, uspokoił.

Drżąca dłoń automatycznie zacisnęła się na kolbie rewolweru. Z palców odpłynęła krew, przez co płytki paznokci niemal świeciły mdłym blaskiem.

I co dalej, zastanawiał się Zieliński. On milczał; Świecący Człowiek też nie miał nic do powiedzenia. Nieznośna cisza.

– Ciekawe macie pomysły – przewał ją w końcu Świecący Człowiek. Jego głos nie wyrażał żadnych emocji.

– My?

– Tak, wy: ludzie.

Zieliński pomyślał, że Świecący Człowiek prawdopodobnie natknął się wcześniej na inną pułapkę, z której wyszedł bez szwanku.

– A ty jesteś dość cwany. Nie spodziewałem się, że nie urwie ci nawet paluszka. – Zieliński podziwiał samego siebie za zachowanie zimnej krwi. Znalazł się twarzą w twarz z czymś nie z tego świata i zamiast robić pod siebie albo uciekać, po prostu rozmawiał.

– Przegrałeś. Wiesz o tym?

– Nie. Jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa – odparł Zieliński

stanowczo.

Wróg prychnął.

– Łudzisz się, że zastrzelisz mnie tą pukawką? Spróbuj, a przekonasz się, że to daremne.

Bogdan zamarł. Jego ostatnia nadzieja na zabicie Świeącego Człowieka legła w gruzach. Mimowolnie rozluźnił palce. Broń z głuchym uderzeniem spadła na dywan. Spojrzał na nią bez wyrazu.

Zostały mu trzy wyjścia; każde oznaczało śmierć.

Poddać się i po prostu dać się zabić. Jego ciało w ułamku sekundy rozbryznęłoby się na kawałki. Szybka i łatwa śmierć.

Mógłby uciec, ale wtedy pewnie wlaźby na jedną z min. Nawet jeśli zdołałby je ominąć, to Świeący Człowiek dopadłby go, nim zdążyłby oddalić się na dziesięć metrów. Miał już swoje lata. Summa summarum i ta opcja sprowadzała się do pierwszej – jedyna różnica w tym, że przed śmiercią stawiałby opór.

Śmierć z honorem?

Zmarszczył czoło w zastanowieniu. Nie musiałyby uciekać ani płaszczyć się przed Świeącym Człowiekiem. Wystarczyło podnieść rewolwer i przyłożyć do skroni pod odpowiednim kątem. Rozwaliby sobie łeb na cacy. To również bardzo szybka śmierć, a zadana z własnej ręki oszczędziłaby mu poniżenia wywołanego porażką.

Wydało mu się, że samobójstwo to najlepsze wyjście, ale wtedy odezwała się jego żołnierska dusza. Dezercja to najhaniebniejszy czyn, jakiego może dopuścić się żołnierz. W wojsku wpajano mu, że lepiej zginąć z honorem na polu walki niż uciekać. Czymże jest samobójstwo, jeśli nie ucieczką?

Schylił się i chwycił rewolwer. Odbezpieczył broń, a następnie odwrócił się i biegiem ruszył w stronę drzwi.

Jego życie wnet wydało mu się niezwykle długim i męczącym maratonem. Wreszcie, po niezliczonych kilometrach, ujrzał metę, do której dążył przez tyle lat. Biegł na pierwszym miejscu, zbliżając się do linii, za którą zostanie odpowiednio uhonorowany. Te ostatnie metry były niezwykle ważne. To od nich zależało, jakie honory go spotkają, gdy dostanie się przed oblicze Świętego Piotra, czy kogoś innego, komu przyjdzie go rozliczać.

Plan wyklarował się, nim zdążył otworzyć drzwi i wybiec w gęstniejący mrok. Musiał doprowadzić Świeącego Człowieka do pola minowego i zrobić co się da, aby ten wlaźł na ładunek. Eksplozja rozerwie ich obu, ale to on zostanie zwycięzcą. Dobiegnie do swojej mety, za którą spotkają go tylko same dobre rzeczy.

Bogdan poczuł się niczym trzydziestolatek. Młody mężczyzna, któremu wiele brakuje do ideału, ale cieszy się zdrowiem nie do zdarcia.

Jako weteran otrzymał ostatnią okazję, więc gnał jak sportowiec. Pilnował oddechu, jego serce od dwudziestu lat nie pracowało tak równo. Każde uderzenie zdawało się precyzyjnie odmierzone, jakby posiadał w sobie mechanizm stworzony przez najlepszego w swym fachu zegarmistrza. Szybko zbliżał się do pola minowego.

Słyszał za sobą pościg, potrafił określić, że dzieli ich jakieś piętnaście metrów. Całkiem niezłe jak na staruszka gonionego przez coś, co trudno nawet nazwać istotą ludzką.

Zieliński dostrzegał każdą kępkę oklapłej trawy. Tam znajdowały się miny i to właśnie tam biegł.

Nieco zwolnił, pozwalając, aby dzielący ich dystans uległ zmniejszeniu.

– Stój!

– Zapomnij, kolego – odparł Zieliński. – Polowanie na skurwysyna trwa!

Od miny dzieliło go jakieś pięć metrów. Tyle samo pozostawało do mety, która oznaczała koniec jego egzystencjalnej tułaczki.

Jak umierać, to w wielkim stylu, pomyślał i jednocześnie pożałował, że nie ma przy sobie ukochanej fajki. Ostatnie zaciągnięcie tytoniem znakomicie zwieńczyłoby jego siedemdziesięcioletni występ.

– Stój! – ryknął Świecący Człowiek.

– Powtarzasz się!

Zza pleców Zielińskiego dobiegł wściekły okrzyk.

Skoczył tak samo jak lis kilka minut wcześniej. W przeciwieństwie do zwierzęcia, Zieliński wiedział, czym skończy się ten skok. Chwila przeciągała się w czasie. Jakby wzbił się w powietrze, aby odbyć dziewiczy lot niczym ptak, który po raz pierwszy rozwinął skrzydła, by wyfrunąć z gniazda. I wylądował na minie.

To trwało zaledwie ułamek sekundy. Pojawił się ogromny ból, rozległ się potworny huk. W uszach umierającego człowieka brzmiało to, jak gdyby zaważyło się niebo, a ziemia pękła, ukazując wnętrze piekieł.

Przekroczył białą linię, a po niej nastąpiła ciemność i pustka.

Rozdział 37

Mariusz Promiński z opuszczoną żuchwą obserwował przebieg wydarzeń. Widział dziadka, na oko dobrze po siedemdziesiątce, który biegł jak w kwiecie wieku. Nie mógł uwierzyć, że ktoś tak stary ma lepszą kondycję od niego. Już samo chodzenie z obciążeniem w postaci broni i amunicji mocno go męczyło.

Natomiast Promiński wcale się nie dziwił, *dlaczego* starzec tak gnał. To, co goniło tego biednego człowieka przekraczało wszelkie granice ludzkiego zrozumienia. Gdyby przyszło mu zamienić się z nim miejscami, sam pędziłby na złamanie karku.

Mariusz po raz pierwszy zobaczył Świecącego Człowieka. Na pierwszy rzut oka przypominał nastolatka. Jego mleczna skóra emanowała światłem, na które nie dało się patrzeć bez przymrużenia powiek.

Starszy mężczyzna eksplodował, gdy Świecący Człowiek znalazł się na odległość wyciągnięcia ręki od niego. Towarzyszący temu potężny huk sprawił, że Promiński na moment ogłuchł. Dopiero po dłuższej chwili ciszę wypełniającą jego głowę zaczął zastępować uporczywy pisk.

Czyli tak zabija ten diabeł, pomyślał Mariusz. Świadomość, że w taki sam sposób zginął jego jedyny syn sprawiła, że poczuł napływ wściekłości.

Gdy spojrział na Świecącego Człowieka, zauważył, że coś jest nie tak. Duch, czy czymkolwiek była ta istota, został odrzucony w tył i jego blask na moment przygasał.

Czyżby umarł? Promiński w głębi ducha liczył na to, że jednak nie, gdyż chciał pomścić syna.

Po kilku sekundach światło wróciło, choć straciło na intensywności. Wtedy Promińskiemu zaświtało, że huku nie spowodował Świecący Człowiek, lecz ładunek wybuchowy. Jego moc wystarczyła, aby wyrządzić szkody w ciele tej istoty, to zaś wielce ucieszyło Promińskiego. Mógł pomścić syna, a dodatkowo miał nieco ułatwioną robotę. Zabije skurwiela, wyrówna rachunki, po czym zgodnie z obietnicą wróci do żony.

Przeładował broń i nacisnął spust. Bez żadnego doświadczenia w obsłudze karabinu maszynowego szybko stracił nad nim panowanie. Siła, z jaką broń wypluwała pociski, okazała się tak nieokiełznana, że nie zdołał utrzymać Świecącego Człowieka na celowniku. Lufa odskoczyła w bok.

Serii wystrzałów towarzyszyły trzaski, gdy kule trafiały w coś

twardego. Promiński, skupiony na odzyskaniu kontroli nad karabinem, w ogóle nie pomyślał, aby puścić spust. Jego palec nadal kurczowo go przyciskał, a z lufy wylatywały kolejne pociski. Spanikowany, w ogóle nie słyszał krzyków ludzi, którzy padali na ziemię podziurawieni jak durszlak. Od drugiej strony domu Zielińskiego nadeszła bowiem spora grupa gapiów. Raptem kilku udało się odczołgać w bezpieczne miejsce.

Wreszcie zapanował nad bronią. Niemal stracił czucie w rękach. Wibracje, jakie wywoływał karabin, promieniowały przez całe ramię, przenosząc się na obojczyk, idąc przez szyję i kończąc na głowie, która szybko go rozboleła.

Z niemałym wysiłkiem skierował strumień naboju w stronę Świecącego Człowieka. Pociski wyrwały potężną dziurę w jego klatce piersiowej, lecz nie przeszkodziło mu to w tym, aby wstać. Kolejna seria zrobiła jeszcze większą dziurę w jego brzuchu.

Promiński wiedział, że nie utrzyma dłużej broni. Stracił czucie w dłoniach, palce odmawiały posłuszeństwa. Przeczuwał, że zaraz wypuści karabin i nie zdoła użyć nawet rewolweru. Zostanie mu tylko ucieczka, a biorąc pod uwagę siedzący tryb życia i kiepską kondycję, jego szanse wyglądały dość marnie.

Nadszedł moment, którego Promiński bał się najbardziej. Właśnie próbował odstrzelić Świecącemu Człowiekowi nogę, lecz z karabinu przestały wylatywać naboje. Wraz z amunicją wyczerpały się ostatnie rezerwy jego sił. Wypuścił broń, która bezwładnie zawisała na pasku u jego szyi.

– Cholera – jęknął, po czym zerwał się do ucieczki.

Świecący Człowiek od razu rozpoczął pościg, lecz poruszał się mozolnie. Wyszło na jaw, że nie jest niezniszczalny i zwykły karabin jest w stanie mu zagrozić. Promiński poczuł przypływ nadziei. Ucieczka przed tą istotą nie wydawała się już taką abstrakcją.

Biegł, śmiejąc się jak dziecko, nieświadomy, że zbliża się do pola minowego, nad którym przez pół dnia Bogdan Zieliński pracował w pocie czoła.

Mariusz Promiński odwrócił się, by spojrzeć na Świecącego Człowieka, który stąpał z wyraźnym trudem. Dziury w jego ciele i uszkodzona noga dawały o sobie znać. Dzielący ich dystans był na tyle duży, że Promiński mógłby pozwolić sobie na krótki odpoczynek, lecz nie chciał tracić cennych sekund.

Zebrał w sobie siły, wymienił magazynek i podniósł karabin. Teraz miał stuprocentową pewność, że jest w stanie dokończyć swoje dzieło.

Tym razem był przygotowany na odrzut towarzyszący strzelaniu, lecz i tak zabrakło mu siły, aby ustać w miejscu. Dał krok w tył, nie podejrzewając, że jego stopa znalazła się zaledwie dziesięć centymetrów

od starannie ukrytej miny.

Strzelał dalej, doznając coraz większej euforii. Świeący Człowiek wreszcie stracił lewą nogę. Kończyna odskoczyła parę metrów dalej, jakby wstydziła się faktu należenia do ciała takiego potwora. Gdy leżała na trawie, jej blask powoli mętniał, by zaraz zgasnąć.

Świeący Człowiek ledwo utrzymywał równowagę na jednej nodze. Promiński odrzucił ciężki karabin i wyciągnął rewolwer. Starannie wymierzył, wziął głęboki wdech i nacisnął spust. Trafił w sam środek czoła – Świeący Człowiek runął na ziemię.

Promiński opuścił broń i z ulgą zamknął oczy. Stało się. Pomścił syna.

– Wiktorku, to dla ciebie! – krzyknął, kierując twarz w stronę nieba.

Dopadło go potworne zmęczenie. Zawirowało mu w głowie i aby nie upaść, przesunął się nieco w bok. Jego stopa nadepnęła na minę.

Ostatnim widokiem, jaki ujrzał Mariusz Promiński, było nocne niebo. Zimne gwiazdy z obojętnością i stoickim spokojem spoglądały na rozpościerający się pod nimi chaos.

Część trzecia
Umarli nie wracają

Rozdział 38

Opuszczenie szpitala okazało się zaskakująco łatwe. Spodziewała się, że ktoś spróbuje ją powstrzymać, lecz nie. Przy wyjściu z oddziału kardiologii minęła pielęgniarkę, która nie zwróciła na nią uwagi. Kobieta o szklistym wzroku wydawała się nieobecna. Jakby opatrność pomagała Laurze w zrealizowaniu celu.

Po wyjściu ze szpitala Laura weszła w nieprzeniknioną czerń nocy. Nie przejmowała się tym, że idzie środkiem ulicy, tym bardziej, że ruch był zerowy.

Ostatnie wydarzenia skłoniły Laurę do refleksji nad swoim żywotem, który okazał się bogaty nie tylko w lepsze i gorsze wspomnienia, lecz także liczne luki, na które dotąd nie zwracała uwagi. Teraz dziury w pamięci oddawały swoje sekrety.

Po siedemdziesięciu latach na tym świecie Laura uświadomiła sobie, że jest zupełnie kimś innym, niż myślała; egzystowała dla jeszcze jednego powodu, który dotąd pozostawał w ukryciu.

Pojawienie się Świecącego Człowieka, zabójstwa w miasteczku, a na końcu wizyta Dawida – te wydarzenia otworzyły w umyśle Laury bramę. Oczami wyobraźni widziała cień mrocznej krainy, który przez lata subtelnie wywierał wpływ na każdy przeżyty dzień, podporządkowując ją obcym siłom, u których zaciągnęła dług. Nie wiedziała, jak go spłaci, lecz czuła, że dowie się po powrocie do domu.

Nagle zatrzymała się i krzyknęła. Jej głos odbił się echem od pobliskich drzew. Odpowiedział jej pojedynczy zwierzęcy wrzask, najprawdopodobniej sowy.

Wspomnienie wygrzebane z najciemniejszych czeluści umysłu sprawiło, że w oczach stanęły jej łzy.

W jednej chwili zrozumiała, skąd wziął się Świecący Człowiek. To ona sprawiła, że powrócił z zaświatów; to ona ponosiła winę za tragiczne wydarzenia w miasteczku.

Wszystko rozpoczęło się ponad sześćdziesiąt lat temu. Gdy pięcioletnia Laura skupiała się jeszcze na bieganii za kurami, miejscowość ta wyglądała zupełnie inaczej; niewielka wieś, gdzie ludzie utrzymywali się z uprawy, hodowli i zbieractwa. Liczebność osady wynosiła wtedy niecałą jedną czwartą obecnej, a czasy nie rozpieszczały. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych poziom medycyny, zwłaszcza na wsiach, pozostawiał dużo do życzenia. Pewnej zimy wybuchła epidemia grypy, która niemal zdziesiątkowała tutejszą populację. Kilkuletnia Laura nie miała najmniejszych szans na

pokonanie choroby, która szybko zniszczyła jej organizm.

Stojąc na środku ulicy, Laura wpatrywała się we wszechobecną czerń, jakby stamtąd napływały do niej przygnębiające obrazy z przeszłości. Ujrzała samą siebie leżącą w dużym łóżku pod ciepłą puchową kołdrą. W kominku palił się ogień, lecz pomimo tego odczuwała potworny chłód. Ból głowy i mięśni nie ustawał, z każdą chwilą marniała w oczach.

Kolejne wspomnienie dotyczyło momentu, w którym umarła. Świat raptownie się zatrzymał i przestał dla niej istnieć. Niczym kosmata ćma uleciała ze swego młodego ciała, które nigdy nie miało stać się ciałem dojrzałej kobiety; kobiety rodzącej dzieci, opiekującej się domem i zajmującej codziennymi sprawunkami.

Nagle pojawiła się w ciemnym, spowitym szarą mgłą miejscu – w przedsionku. Jeżeli istniało niebo lub piekło, właśnie tam znajdował się korytarz, który do nich prowadził.

Przemierzała zaświaty w otoczeniu innych milczących sylwetek. Nie pamiętając zbyt wiele z ludzkiej świadomości, wcale się ich nie bała, choć coś jej podpowiadało, że gdyby znalazła się w podobnej sytuacji za życia, wrzeszczałyby jak opętana.

Poczuła, że zwalnia. Dryf słał wolno lecz sukcesywnie, aż do momentu całkowitego zatrzymania, po którym coś lekko szarpnęło ją do tyłu. Milczące sylwetki miały ją obojętnie. Wkrótce tłum cieni zniknął we mgle.

Gdy podniosła powieki, uświadomiła sobie, że leży w łóżku. Wyraz twarzy jej rodziców stanowił wypadkową niewypowiedzianego szczęścia oraz pierwotnego strachu przed nieznanym. W oczach matki stały łzy, lecz patrząc na to z perspektywy czasu, Laura nie miała pewności, czy to były łzy radości, czy smutku.

Z początku nie pojmowała, co się właściwie wydarzyło, lecz gdy zimą zastąpiła wiosna i Laura wróciła do zabaw na podwórku, poznała prawdę, którą podświadomie wyrzuciła z pamięci na ponad sześćdziesiąt lat. Wszystko zaczęło się od sąsiadki, która zobaczywszy ją, chwyciła się za gardło, po czym wrzasnęła wniebogłosy:

– TRUUUP! Laura zmartwychwstała! Diabeł zejdzie na Ziemię! Kyrie eleison!

Laura wybuchnęła płaczem i uciekła do domu. Wtedy dowiedziała się o sobie przerażających rzeczy. Jej rodzice mówili o tym z ciężkim sercem, lecz nie ulegało wątpliwości, że przeczuwali, iż kiedyś ta rozmowa nastąpi.

W wieku niespełna sześciu lat Laura usłyszała, że powstała z martwych. Zimą zabiła ją grypa i zrozpaczeni rodzice próbowali za wszelką cenę odzyskać najmłodszą córkę. W tym celu sprowadzili z lasu

znachora powszechnie uważanego za odmieńca, do którego ludzie chodzili tylko wtedy, gdy nie pozostawało im nic innego. Pustelnik odprawił nad zimnym ciałkiem Laury jakiś rytuał. Używał ziół o mocnym, nieprzyjemnym zapachu oraz odczytywał z niewielkiej książeczki sentencje w dziwnym języku, który nie przypominał ani łaciny, ani polskiego. Jego czary zadziałały i po kilkunastu minutach Laura otworzyła oczy.

– Wróciłam z zaświatów – powiedziała do siebie, oszołomiona.

Laura powstała z martwych i przyczyniła się do sprowadzenia na świat Świecącego Człowieka. Oboje wrócili z zaświatów, aczkolwiek istniała między nimi zasadnicza różnica. Laura wróciła jako takie samo dziecko, stała się dojrzałą kobietą i do niedawna prowadziła normalne, ułożone życie. Artur natomiast nie posiadał w pełni materialnego ciała i okazał się bezwzględna maszyną do zabijania. Coś jej podpowiadało, że jest w tym cel, lecz ów pozostawał w cieniu tajemnicy.

Uświadomiła sobie, że stała na środku ulicy, wobec czego zeszła na pobocze i usiadła na pnium – mokrym i niewygodnym, lecz nie zważała na komfort.

Dlaczego między mną a Arturem istnieje tak diametralna różnica?

Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to fakt, że wyrwano ją z gnijących szponów śmierci zaledwie kilka godzin po zgonie. Jej młode i silne ciało stanowiło zupełne przeciwieństwo wyniszczonego chorobą i miesiącami chemioterapii organizmu Artura. Ponadto, od pogrzebu Artura do odprawienia rytuału minęło sporo czasu. Jego trup od miesięcy powoli rozkładał się w trumnie. Artur przeto nie mógł się w pełni zregenerować i wróciła tylko jego esencja... wraz z tajemniczym pasażerem na gapę nienawidzącym wszystkiego, co cielesne. Artur przywłókł tu coś, co trafiwszy do świata ludzi, pragnęło zastąpić ich hordami rozszarpanych trupów.

Mimo to w Laurze tliła się nadzieja na zatrzymanie tragedii. Obca część Artura, która wróciła z nim z zaświatów, w jakiś sposób była zależna od resztek jego ludzkiej duszy. Gdyby je zniszczyć, demon straciłby żywiciela i wrócił, skąd przylazł.

Jej serce zabiło szybciej. Niestety, nadzieja szybko utonęła w cieniu zwątpienia.

Nie mogła nic zrobić, aby powstrzymać Świecącego Człowieka. Sama powróciła ze świata duchów. Gdy wisiała na granicy zaświatów i świata żywych, usłyszała głos, który dał jej wyraźne polecenie. Śmierć zgodziła się ją wypuścić ze swych zimnych objęć, lecz pod pewnym warunkiem. W zamian Laura zobowiązała się doprowadzić do zmartwychwstania innego bytu. Dlaczego? Jakie korzyści czerpał z tego świat duchów? Pytania najpewniej pozostaną bez odpowiedzi, lecz w świetle ostatnich wydarzeń rozumiała coraz więcej. Przybycie Artura nie było dziełem

przypadku, podobnie jak fakt, że Sławek postanowił wrócić w rodzinne strony po przedwczesnej śmierci syna.

Świecący Człowiek był tym, co duchy chciały od dawna osiągnąć. Potrzebowały dusz, nawet jeśli nigdy im ich nie brakowało. W końcu każdego dnia umierały dziesiątki tysięcy osób, lecz w dużej mierze były to osoby w podeszłym wieku. Ich dusze nie miały takiej wartości jak te należące do młodych, którym nie dano umrzeć naturalną śmiercią. Artur miał na celu dostarczanie zaświatom nowego materiału, może pożywienia dla czegoś jeszcze gorszego niż on sam.

Po jej policzkach popłynęła chłodna wilgoć. Przejechała po twarzy drżącą dłonią i spostrzegła, że płacze. Czuła się zniszczona i zbrukana. Skąpała ręce we krwi niewinnych ludzi i nie była w stanie zrobić nic – tylko patrzeć i czekać, aż duchy zakończą ucztę.

– Dlaczego? – Pytanie rozplynęło się w nocnej ciszy, aby na zawsze pozostać bez odpowiedzi.

W pewien sposób prowadziła podwójne życie. Na co dzień miła i pogodna staruszka, doświadczała epizodów, kiedy mroczna część jej duszy, wszczepiona w nią w trakcie wskrzeszenia, opuszczała ciało i pod inną postacią dopuszczała się katastrofalnych w skutkach czynów. Nie pamiętała, ilu takich wyjść dokonała, gdyż odbywały się poza jej świadomością.

Z mglistej masy wspomnień wykrystalizował się obraz. Coś przejęło kontrolę nad jej umysłem i nakazywało patrzeć na okropności, których się dopuściła. Przypomniała sobie pewien dzień; od samego rana dręczyły ją obawy i kiepskie samopoczucie, lecz wtedy nie doszukiwała się w tym niczego niezwykłego. W końcu osiągnęła podeszły wiek i gorsze dni nie należały do rzadkości.

Cały dzień przeleżała w łóżku, tylko dwukrotnie wychodząc do toalety. Około południa osunęła się w nicość. Do tej pory uważała, że zmorzył ją wtedy sen. Teraz wiedziała lepiej. Wstała z łóżka i spojrzała na swoje śpiące ciało. Jej myśli biegły zupełnie innymi torami, dążąc do wykonania zadania powierzonego jej dziesiątki lat wcześniej. Udała się do domu Sławka i tam pod inną postacią namówiła zrozpaczonych rodziców, by zgodzili się na wskrzeszenie Artura. Przez cały czas jej umysł okupowała obca, niebezpieczna obecność. Duchy wysłały jakiś byt, mający dopilnować, że Laura się spisz.

Namówienie Sławka i Darii okazało się bardzo proste. Z początku obawiała się, że Sławek podejdzie do propozycji sceptycznie, lecz czuwała nad nią przekłeta opatrność, która z pewnością dołożyła starań, by para podjęła właściwą decyzję.

Gdy Sławek wyraził zgodę, duchy przejęły nad Laurą całkowitą kontrolę i za pośrednictwem jej ust bezgłośnie wypowiedziały słowa, których nie mógłby powtórzyć żaden ludzki język. Wyrazy składały się

w zakłęcie, które uwalniało duszę z wędrówki po zaświatach. Niemal od razu rozpoznała Artura, początkowo bardzo słabego i bezbronnego. Na wpół materialny twór, jaki pojawił się z nim na tym świecie, potrzebował ludzkiej krwi, żeby rosnąć w siłę i pozyskiwać kolejne nieszczęsne dusze.

Laura potrząsnęła głową. Ogarnęło ją potężne zmęczenie. Najchętniej położyłaby się na chłodnej ziemi i zapadła w sen tak głęboki, by nigdy się nie obudzić. Gorzko pożałowała, że zawał jej nie zabił. Mogła również wypić sok, który przyniósł jej Dawid. Śmierć z pewnością nadeszłaby w ciągu kilku minut, pozwalając jej uniknąć konfrontacji z prawdą o samej sobie.

Wspomnienie o Dawidzie nasunęło Laurze pytanie, dlaczego ktoś pragnął jej śmierci. Czy jakiś byt w zaświatach uznał, że należy jej się pozbyć? Gdyby tak było, nawet zespół najlepszych na świecie lekarzy nie zdołałby jej odratować, a jednak żyła pomimo zawału i pomimo wizyty Dawida z zatrutym sokiem. A może duchy postanowiły ukarać ją za tak długą zwłokę? Laura orientowała się, że w zaświatach czas i miejsce są bez znaczenia, więc te sześćdziesiąt pięć lat raczej nie stanowiło dla nich wielkiego problemu. A jednak ktoś lub coś targnęło się na jej życie i Laura nabierała pewności, że Świecący Człowiek miał z tym wiele wspólnego.

Nagle wstała i szybkim marszem udała się w stronę miasteczka. Jakaś siła przejmowała nad nią kontrolę, zamykając wolną wolę w ciasnej klatce zaszczutego umysłu. Obca obecność kładła czarne łapy na jej duszy. Jej prawdziwą osobowość wypierało coś strasznego; coś, co musiało wykonać niezwykle ważne zadanie.

Umysł Laury zaatakowała fala pierwotnej, pozornie prostej, a w rzeczywistości niezwykle złożonej, nadludzkiej wściekłości. Niemal słyszała pełen bólu i niepokohamowanej nienawiści wrzask. Stało się coś, co pokrzyżowało plany duchów. Komuś udało się unieszkodliwić Świecącego Człowieka.

Wściekłość duchów wzięła nad nią górę. Świecący Człowiek odchodził, co oznaczało, że dług Laury nie zostanie spłacony.

Ostatki jej świadomości uleciały w eter. Kobieta przyspieszyła kroku, zbliżając się do ulicy, przy której znajdował się dom starej poczciwej Laury.

Rozdział 39

Daria gasła. Każdy oddech przychodził jej z coraz większym wysiłkiem, jakby ktoś położył na jej klatce piersiowej ogromny głaz.

Ile czasu tu spędziłam?

Mogłaby zastanawiać się nad tym całe wieki, a i tak pytanie pozostałoby bez odpowiedzi. W pewnym momencie złapała się na tym, że powoli liczy do sześćdziesięciu, co w zamyśle miało wyznaczać minuty, a ponadto utrzymać ją przy świadomości. Szybko jednak straciła rachubę i poddała się po kilku nieudanych powtórkach.

Duszę się, pomyślała. Do tej pory zakładała, że umrze z głodu bądź pragnienia. Tymczasem ziszczał się najgorszy scenariusz. Daria uważała, że śmierć poprzez uduszenie jest najokropniejsza. Wiele razy rozmyślała o końcu. Cicho liczyła na to, że gdy osiągnie sędziwe lata, któregoś wieczoru położy się spać, aby nigdy się nie obudzić.

Nigdy też nie spodziewała się, że umrze tak młodo. Przecież nie przekroczyła magicznej czterdziestki, od której ponoć wszystko staje się coraz bardziej uciążliwe. Miała zaledwie trzydzieści osiem lat – młody wiek dla zdrowej kobiety.

Starła się oszczędnie gospodarować powietrzem. Nawet nie łudziła się, że ktoś przyjdzie jej na ratunek. Straciła również nadzieję na samodzielne wydostanie się z grobu. Otaczał ją lity kamień, w którym nie znalazła żadnego wyjścia.

Dlaczego oddycham tak oszczędnie?

Pytanie nie dawało jej spokoju. W ten sposób tylko przedłużała swoje cierpienie. Szybsze oddychanie oznaczało szybsze zużywanie powietrza, aż zostałyby sam dwutlenek węgla. Oddychając nim, trułaby swój organizm aż do utraty przytomności i śmierci w stanie nieświadomości. O ile się dobrze orientowała, po kilku minutach mózg zaczęłby obumierać.

Ogarnęła ją senność. Właśnie ruszył zegar odliczający ostatnie minuty. W pewnym sensie odczuła ulgę.

Ostatnią świadomą myśl Daria skupiła na Sławku.

Co się z nim teraz dzieje? Czy mnie szuka?

Odleciała w głęboką czerń.

– Wstawaj!

Głos wydawał jej się znajomy, lecz nie mogła przypomnieć sobie, do kogo należy. Poza tym była potwornie zmęczona.

Daria mruknęła coś i spróbowała przekręcić się na drugi bok. Senność coraz szczelniej otulała ją kokonem śmierci.

– Daria!

Do głosu dołączyło energiczne szturchanie. Czyjaś dłoń mocno zaciskała się na jej ramieniu.

Otworzyła oczy i niemal od razu je zamknęła. Ostre światło ją oślepiło, sprawiając, że rozboleła ją głowa. Pierwsze, co przyszło jej na myśl, to Świecący Człowiek.

– Otwórz oczy. Nie jestem Świecącym Człowiekiem. Za długo siedziałaś w ciemnicy i twój wzrok musi się przyzwyczaić do normalnego światła.

– Laura! – zawołała Daria. Powoli podniosła powieki i spojrzała na starszą kobietę.

– Tak. – Laura uśmiechnęła się pogodnie. – Wstawaj. Twoje kości pewnie się tutaj trochę zastały.

– Jak mnie znalazłaś?

Laura obdarzyła ją spojrzeniem pozbawionym wyrazu.

– Kobięca intuicja – odparła wreszcie, po czym wyciągnęła rękę. Daria chwyciła pokrytą plamami wątrobowymi dłoń i pozwoliła sobie pomóc. Zdziwiło ją, że starsza kobieta ma aż tyle siły.

Z pozycji leżącej przeszła do siedzącej. Kości trzasnęły głośno, aczkolwiek jej ulżyło. Zawroty głowy szybko ustały.

Miło wreszcie wyjść na powierzchnię i móc swobodnie oddychać, pomyślała. Co prawda, trąciło tu wilgocią i pleśnią, ale nie zmieniało to faktu, że takie powietrze było znacznie lepsze od jego braku.

– Skąd się tutaj wzię... – zaczęła Daria, gdy wtem dostrzegła błysk, który boleśnie ugodził jej odzwyczajone od światła oczy.

Laura trzymała długi nóż rzeźnicki. Od czubka ostrza odbił się błysk. Trzonek noża oraz dłoń Laury pokrywała krzepnąca krew. Szkarłatne krople znaczyły również twarz kobiety.

– Z Martą zrobiłam porządek. Kolej na ciebie.

– Co...

Laura wykonała szybkie cięcie, sięgając ostrzem jej gardła. Tętnica w ułamku sekundy została przerwana. Bryznięła struga krwi i po kilku sekundach świat Darii znowu stał się czarny.

Przebudziło ją szuranie. Całe jej ciało pokrywał lepki, zimny pot. Każdy skrawek skóry wydawał się tłusty i oślizgły. Oddech znacząco przyspieszył, a serce waliło jak oszalałe.

Przyśnił mi się koszmar, pomyślała. Wątpiła, aby ktoś przyszedł jej z pomocą, a zwłaszcza nie staruszka, która powinna leżeć teraz w szpitalu... albo w kostnicy.

Szuranie znowu wyrwało ją z zamyślenia. Do tej pory wydawało jej się, że ów odgłos stanowił część snu; coś jakby sygnał zapowiadający finał koszmaru. Dotarło do niej, że nie był to wytwór jej umysłu. *Coś się*

działo na górze.

Szur, szur.

W suficie pojawiła się szczelina. Do środka wpadł wąski strumień światła. Daria zmrużyła oczy. Szpara szeroka na około dwa centymetry wystarczyła, aby kobieta poczuła przypływ świeżego powietrza, które momentalnie zaczęło wypierać zatęchłą, przesyconą wonią potu i dwutlenkiem węgla mieszaninę, jaką oddychała od dłuższego czasu.

Szur, szur.

Szczelina powiększyła się o kolejny centymetr, wpuszczając do grobu jeszcze więcej cudownego tlenu.

Spłynęła na nią ogromna ulga. Wreszcie mogła swobodnie oddychać.

Szur, szur.

Momentalnie w jej głowie zawyła ostrzegawcza syrena. Przez szczelinę dało się już dostrzec mgliste zarysy tego, co znajdowało się na górze, lecz nadal nie widziała, kto zsuwa z jej grobu kamienną płytę. Resztki znużenia ustąpiły wzmożonej czujności.

Nie podobało jej się też, że nikt nie próbuje nawiązać z nią kontaktu. Nic poza ciszą, w której niewidzialne ręce przesuwały kamienną płytę centymetr po centymetrze. Zupełnie, jakby ten ktoś doskonale wiedział, że ona tu jest i przyszedł w innym celu niż uratowanie życia.

Szur, szur.

W szczelinie pojawiła się dłoń. Niewielka ilość światła wystarczyła, aby Daria dostrzegła długie kobiece palce, pomarszczoną skórę i plamy wątrobowe.

Ze świstem wciągnęła powietrze, a w jej gardle zamarł krzyk.

Rozdział 40

Wybiegli z lasu i udali się w stronę centrum miasteczka, gdzie panowało ogromne poruszenie. Ludzie wyszli na ulice, by obserwować uciekającego do lasu, pozbawionego nogi Świeącego Człowieka. W jego ciele ziało kilka ogromnych dziur, przez które majaczyły cienie drzew.

Sławek przystanął i patrzył, jak Świeący Człowiek upada. Stojący obok Marcin cicho gwizdnął. Sławkiem targaly sprzeczne uczucia. Wróciło tu coś, co wyglądało jak jego syn; Artur spowodował śmierć wielu niewinnych ludzi.

Potrząsnął głową. Nie. Istota, która za moment wyzionie przeklętego ducha, to nie jego syn, lecz uosobienie śmierci.

Chciał podejść do Świeącego Człowieka i wbić ostatni gwóźdź do jego trumny. Coś go jednak powstrzymało. Zacisnął zęby. Ci, którzy przyczynili się do okaleczenia tego potwora, odwalili kawał dobrej roboty i nie trzeba po nich poprawiać. Żywił nadzieję, że jak już koszmar przeminie, uda mu się porozmawiać z tymi osobami. Ciekawiło go, w jaki sposób zadali straszdyłu tak poważne rany. Podejrzewał, że wybuchy, które wstrząsnęły miasteczkiem, odegrały tu kluczową rolę.

Minęli dom Bogdana Zielińskiego. Powietrze było przesiąknięte smrodem ładunków wybuchowych, spłoszone zwierzęta ujadały.

Sławek nie mógł się nadziwić swojemu zaślepieniu. Makabryczne wydarzenia ściśle wiązały się z Laurą. Ciocia Laura, którą znał od dziecka, była tak naprawdę zupełnie obcym człowiekiem. Ta kobieta skrywała niebezpieczny sekret, sprawiając, że pomimo upadku Świeącego Człowieka, Sławek nadal wyczuwał zagrożenie. Ludzie obserwujący śmierć skalanej przekleństwem duszy jego syna powoli zaczęli świętować zwycięstwo, zupełnie nieświadomi, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło.

Gazeta. Nie ulegało wątpliwości, że Świeący Człowiek ukrywał się w chacie po leśniczym, lecz egzemplarz gazety, który tam znaleźli, nakierował Sławka na właściwy trop. Spojrzawszy na zadrukowany wypłowiętym tuszem papier, zobaczył, że zdjęcie przedstawiało... Laurę. Ta z pozoru wesoła i miła staruszka nie potrafiła znaleźć się w zaświatach i powstała z martwych. Fakt, że zdjęcie zniknęło podczas wizyty u Laury, teraz się wyjaśnił. Kobieta ukryła przed nimi fotografię, gdyż obawiała się trudnych pytań. Niewykluczone, że sama nie rozumiała, kim jest, lecz Sławek miał co do tego spore wątpliwości.

„Nie chciałam znów tego przechodzić, ale...”

Słowa te zabrzmiały w jego głowie tak wyraźnie, jakby ktoś stanął za

nim i wyszeptał mu je bezpośrednio do ucha. Kiedy Laura zadzwoniła, mówiąc, że ma atak serca, w ogóle nie zwrócił na nie uwagi, lecz wreszcie zobaczył w nich klucz do rozwiązania zagadki.

Sławek pogrążył się w myślach. Chociaż dostrzegał w tym sens, nie mógł uwierzyć, że Laura mogłaby dopuścić się tak makabrycznych czynów. Może faktycznie wszystko to działo się poza jej świadomością? Czy ktokolwiek potrafiłby tak doskonale udawać?

Szli w milczeniu, zbliżając się do domu Laury. Z początku wiele wskazywało na to, że zaginęła bez śladu. Może rzekomy zawał miał odwrócić ich uwagę, by zagwarantować Świecącemu Człowiekowi swobodę działania?

– Sławek?

Drgnął i skierował na Marcina pytające spojrzenie.

– Pamiętasz, co mówił ci Świecący Człowiek odnośnie odnalezienia Darii?

– Że jak ją odnajdę, to da nam spokój?

– Tak. Myślisz, że jak on odejdzie, nadal zdołamy ją uratować?

Przecucie mówiło Sławkowi, że jego żona ukryta jest w domu Laury.

– Tak – odparł wreszcie. – Myślę, że Świecący Człowiek nie ma wpływu na życie Darii. Nie mógł zrobić krzywdy żadnej kobiecie, więc nie sądzę, aby zabrał ją gdzieś, gdzie żywi nie mają wstępu.

– A te ślady na twojej podłodze i na łóżku Laury?

– Najprawdopodobniej zostały zrobione dla zmyłki. Najłatwiej odciągnąć uwagę kogoś, kto wtyka nos tam, gdzie nie powinien, poprzez wyrządzenie krzywdy bliskiej mu osobie, no nie?

Marcin kiwnął głową.

Sławek, pomimo obolałych kostek, szedł szybko. Marcin podążał obok niego, choć utrzymanie tempa przysparzało mu coraz więcej trudności. W kąciu jego ust żarzył się papieros. Nastolatek najwyraźniej o nim zapomniał, pozwalając, aby wypalił się do połowy.

Wreszcie zobaczyli dom Laury. Sławkowi szybciej zabiło serce. Z każdym kolejnym krokiem utwierdzał się w przekonaniu, że są we właściwym miejscu. Nie mógł pojąć, dlaczego wcześniej nie pomyślał o tym, żeby sprawdzić strych i piwnicę. Od zniknięcia Darii minęło już kilkanaście godzin. Jeżeli została zamknięta bez wody i jedzenia, sytuacja może okazać się ciężka.

Kopniakiem wyważył furtkę i wszedł na podwórko. Marcin strzelił niedopałkiem prosto w rządęk zadbanych kwiatów.

– Orientujesz się, gdzie tu jest piwnica?

– Chyba tak.

Sławek przeszedł na tył budynku i wyteżył wzrok. Dom Laury zbudowano w czasach, kiedy piwnice stawiano gdzieś obok głównego

budynku. W bladym blasku księżyca dostrzegł wzniesienie o wysokości około dwóch metrów, które bujnie porastała trawa. Na jego szczycie znajdował się mały komin, a na wprost zobaczył uchylone drzwi. Piwnica przypominała tolkienowską chatkę Hobbita, co w normalnych okolicznościach mogłoby wydać się całkiem zabawne.

Zwolnili. Ich wyczulone uszy wychwytywały każdy, nawet najcichszy dźwięk, a oczy rejestrowały otoczenie z nadzwyczajną dokładnością. Nic nie mogło im umknąć.

Zatrzymali się przed drzwiami. Z wnętrza piwnicy sączyło się delikatne światło. Nie dobiegły ich jednak żadne odgłosy, co wzmagало czujność.

Sławek kiwnął głową, otworzył szerzej drzwi i po schodkach zbiegł na dół. Wszedł do niewielkiego, chłodnego pomieszczenia, i...

– Marcin, stój! – wrzasnął, lecz spóźnił się o ułamek sekundy. Zza jego pleców dobiegł okrzyk bólu i zaskoczenia. Odwrócił się i zobaczył, że z barku Marcina wystaje trzonek noża. Ostrze weszło w jego ciało jak w masło. Chłopak patrzył nieprzytomnym wzrokiem, nie mogąc pojąć, co się właściwie stało. Z niedowierzaniem spojrzął na ranę.

– Ty pierdolona suko – jęknął, oparł się o ścianę i powoli osunął, zostawiając na murze krwawą smugę.

Sławek spojrzął na Laurę. Sprawdzały się wszystkie jego domysły. Teraz stała przed nim staruszka, która nie tak dawno temu przyszła do jego domu, oferując wskrzeszenie Artura. Pogodna siedemdziesięciokilkuletnia ciocia Laura zniknęła.

– Spodziewałam się, że przyjdiesz – powiedziała spokojnym tonem.

– Spodziewałem się, że żyjesz – odparł.

Szybko rozejrzał się po pomieszczeniu za czymś do obrony. Kobieta mogła mieć przy sobie jeszcze jeden nóż, podczas gdy jemu pozostawały gołe pięści. Nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby wziąć przynajmniej scyzoryk, z którym kiedyś nigdy się nie rozstawał.

W najdalszym kącie piwnicy dostrzegł zardzewiały szpadel. Doszedł jednak do wniosku, że nie zdoła do niego dobiec. W połowie drogi runąłby na klepisko z drewnianym trzonkiem wystającym z pleców.

– S-słaaaaweek...

Spojrzął w stronę, z której usłyszał słaby głos Darii. Jej blada skóra świeciła niezdrowym blaskiem, a pozlepiane w ciężkie strąki włosy zasłaniały połowę twarzy. Z jedyne go widocznego oka biło zmęczenie, strach i rezygnacja. Przywiązana była do czegoś przypominającego kamienny grobowiec. Płyty, które go tworzyły, wyciosano z czarnego granitu, lecz ich chropowata powierzchnia zdawała się temu zaprzeczać. Grobowiec ozdobiono wymyślnymi wzorami, nad którymi artysta musiał spędzić mnóstwo czasu.

Było tu kilka tego typu konstrukcji. Na jednej siedziały dwa koty Laury – Miluś i Maks. Wcześniej urocze zwierzęta, obecnie przypominały żywe trupy. W potarganej sierści ziały liczne ubytki odsłaniające owrzodzoną skórę. Zdeformowane istoty groźnie szczyrzyły przegniłe zęby, a z ich oczu pałała najczystsza nienawiść. Oba koty wykrzywiały głowy pod dziwnymi kątami, jakby poprzetręcano im karki.

Zrozumiał, co Marcin miał na myśli, mówiąc, że ostatnimi czasy nie przepada za kotami. Przez jego kręgosłup przebiegł dreszcz. Obawiał się, że koty pomagają Laurze i na jej komendę go zaatakują. Niedawno stwierdziłby, że ów domysł wyznacza nowe granice absurdu, lecz od „zmartwychwstania” Artura jego wiara w zło stała się wyjątkowo głęboka.

To wszystko w połączeniu z brakiem przedmiotów, które są zazwyczaj w każdej piwnicy, nasunęło Sławkowi przerażające spostrzeżenie.

– Cmentarz – stwierdził.

– Tak – przyznała Laura beznamiętnie. Pod maską spokoju mięśnie jej twarzy gwałtownie się kurczyły, wywołując chaotyczne tiki. Denerwowała się, co z kolei sprawiło, że Sławek nabrał pewności siebie. Zdenerwowany człowiek wykazuje większą tendencję do popełniania błędów. Sławek czekał, aż kobieta zrobi coś, dzięki czemu on zyska nad nią przewagę.

Ruszył do przodu, lecz głośny syk kotów i błysk noża go pohamowały.

– Jeden krok i będziesz miał to w brzuchu!

Sławek uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Oddaj mi Darię i rozejdziemy się w swoje strony.

– Nie zrobię tego – oznajmiła Laura stanowczo.

– Bo?

– Bo nie dałeś mi spłacić długu.

– Jakiego długu? U kogo?

Laura nie odpowiedziała od razu. Sławek usłyszał za plecami soczystą wiązankę obelg pod adresem kobiety. Znać Marcin trzymał się całkiem nieźle. Miał nadzieję, że rana była niegroźna i nastolatek szybko się wylize.

– Patrzę ze spokojem na swoją pierwszą szansę, choć w głębi duszy, aż mnie nosi – zaczęła opanowanym głosem. – Zrobiłeś mi na złość i... wyszedłeś z tego bez większego szwanku.

– O czym ty pleciesz?

– Masz z tyłu głowy niewielkie wgłębienie. Pamiętasz, skąd się wzięło?

Sławek odruchowo sięgnął do potylicy i przejechał palcem po

płytkim dołku. Miał go odkąd pamiętał i do tej pory nie zastanawiał się nad genezą jego powstania.

– Zaraz po tym, jak nauczyłeś się chodzić, zafascynowało cię włożenie do dziur, w które nie powinieneś się pchać – kontynuowała Laura. – Pewnego dnia zrzuciłeś na siebie stare metalowe wiadro. W ten sposób powstało to małe wgłębienie. – Przerwała na moment. Znowu wydawała się tą poczciwą starszą kobietą, za jaką uważał ją od dziecka. Jej rysy nieco się wygładziły, a oczy nabrały pogodnego wyrazu, który zaraz zgasł. – Omal wtedy nie umarłeś. Długo leżałeś w szpitalu, a lekarze dwoili się i troili, aby cię uratować. W końcu główka małego dziecka jest bardzo delikatna. Przez cały ten czas cierpliwie czekałam.

– Na co?

– Na twoją śmierć, która nie nadeszła – odparła z uśmiechem. – Domyślasz się, dlaczego? – zapytała, widząc zdziwioną minę Sławka.

Po raz kolejny zaprzeczył.

– Ponieważ ja sama kiedyś wróciłam. – Wskazała na grobowiec znajdujący się obok. Sławek dostrzegł wyryty w kamieniu napis, według którego Laura zmarła ponad sześćdziesiąt lat temu, w wieku niespełna pięciu lat.

Z jękiem wypuścił powietrze, jakby niewidzialna dłoń nagle ścisnęła jego klatkę piersiową.

– Dlatego wszyscy pochowani są tutaj – wyjaśniła. – W latach mojej młodości mieszkała tu garstka ludzi i wszyscy dobrze się znali. Przez to wieść, że wyrwano mnie ze szponów śmierci szybko się rozeszła. Żaden ksiądz nie chciał się zgodzić na pochowanie któregokolwiek z członków mojej rodziny na chrześcijańskim cmentarzu. Tłumaczyli się tym, że tak przekłete dusze nie mogą spocząć obok ludzi, którzy podążali ścieżką prowadzącą do Królestwa Bożego. Więc sami zatroszczyliśmy się o miejsca naszego spoczynku. Mój grób stoi tu bardziej dla ozdoby. Na razie nie spieszy mi się, aby tam wracać, lecz mam sentyment do tych dat. – Laura spojrzała czule na wyryty na płycie napis.

Po raz kolejny zapadła cisza. Nawet Marcin przestał kłąć pod nosem. Strupieszale koty z groteskowo przekrzywionymi łbami obserwowały wszystko, gotowe do ataku.

W pewnym momencie Maks zaczął lizać łapę. Szorstki zielony język zbierał sierść, robiąc w jego kończynie kolejnego łysego placka. Zwierzę prychnęło, pozbywając się z pyska wyciągniętych kłaków i czegoś czarnego, co z obrzydliwym plaśnięciem wylądowało na nagrobnej płycie.

– Maksik! Niedobre kocisko! – Laura pogroziła pupilowi palcem. Kot pochylił łeb i wydał z siebie jazgotliwy skowyt.

Sławek próbował przyswoić wszystko, co właśnie usłyszał, lecz jego

mózg za nic nie chciał współpracować.

Ktoś kiedyś sprawił, że ona wróciła, lecz nie stała się Świecą Kobieta. To wydało mu się zastanawiające.

– Skoro wróciłaś, dlaczego jesteś zwykłym człowiekiem, a nie czymś takim jak Artur?

– Z kilku ważnych powodów – odparła. – Byłam pierwsza, a osoba, która dostaje od duchów taką łaskę, zobowiązuje się zapłacić pewną cenę. Poza tym wskrzeszono mnie praktycznie zaraz po śmierci. Moje ciało nie zostało zdegradowane tak bardzo, jak ciało twojego syna, więc dało się je uratować. Artur jednak potrzebował wsparcia z zaświatów.

– Wspomniałaś o zapłacie. O co w tym chodzi?

– Mam się przyczynić do powrotu kolejnej osoby. Może zadanie nie wydaje się zbyt skomplikowane, lecz problem tkwi w tym, że wraz z tą osobą musi przybyć demon ze specjalną misją polegającą na... zabijaniu. W ten sposób duchy wreszcie mogą się nażreć, aczkolwiek ich apetyt jest isticie wilczy. – Na ostatnie słowo położyła szczególny nacisk. – Artur okazał się idealnym kandydatem. Jego ciało nie miało najmniejszych szans na obronę przed zamieszkującym je demonem; wszystko szło w dobrym kierunku.

– Zginęło wielu ludzi. Dalej im mało? – zdziwił się Sławek.

Laura lekceważąco machnęła ręką.

– Duchy zaczynają nasycać się wtedy, kiedy otrzymują dusze mężczyzn i kobiet. Niestety, nie doszło do tego etapu, więc mój dług nadal pozostaje niespłacony, a głodne gęby powoli tracą cierpliwość. Nie chciałbyś znać ich gniewu. Niby mają za sobą i przed sobą całą wieczność, aczkolwiek czasami potrafią stwierdzić, że coś trwa za długo.

Sławek osłupiał. Musiał zebrać się w sobie, nim powiedział:

– Świeący Człowiek jest unieszkodliwiony. Nie spełnisz oczekiwań duchów. Przegrałaś. Pogódź się z tym.

Laura pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz politowania, jakby rozmawiała z kimś o nieprzeciętnie niskim poziomie IQ.

– Duchy lubią ścisłe relacje – odezwała się. – Wydaje mi się, że szczególnie cenią sobie rodzinne ciepło.

– Co masz na myśli?

– To ciekawe doświadczenie. Pierwsza okazja do spłacenia długu stoi kilka metrów przede mną. Szkoda, że udało ci się oszukać los. – Westchnęła.

– Szkoda?

– Owszem, ponieważ musiałam czekać dalej – kontynuowała Laura. – Jak znajdziesz konkretną osobę, w przypadku niepowodzenia nie możesz opuścić jej rodziny. Gdy zmarł twój ojciec, próbowałam namówić twoją matkę, aby pozwoliła na przywrócenie go do świata

żywych, lecz stanowczo odmówiła. Za bardzo wierzyła w Jezusa i całe to bajdurzenie o niebie, które macie w Biblii. Staralam się jak mogłam, ale uparła się na amen. W końcu zmarła i ona, a ja domyślałam się, że ty też się nie zgodzisz na wskrzeszenie kogoś z rodziców. Śmierć matki czy ojca wydaje się zupełnie naturalna i każdy liczy się z tym, że pewnego dnia nadejdzie. Pozostało mi dalsze czekanie.

– Aż do chwili, w której pojawiłem się ja.

– Aż do chwili, w której pojawiłeś się ty – przyznała Laura z zamyśleniem godnym starożytnego filozofa.

Sławek usłyszał ciche gwizdnięcie przez zęby. Już zdołał przywyknąć do tej reakcji Marcina na coś niewiarygodnego bądź zaskakującego.

– Artur odszedł w męczarniach i należał do odpowiedniej rodziny. – Laura zaśmiała się. – Wszystko prezentowało się wręcz idealnie.

– Ale nie udało ci się i całe szczęście.

– Dla ludzi może tak. Dla mnie to ogromna strata. Nie rozumiesz, jak ciężko jest tkwić w stanie zawieszenia między życiem a śmiercią i każdego dnia, świadomie lub nie, odczuwać zniecierpliwienie duchów. – W głosie Laury pobrzmiwała rozpacz. – Wczorajszy zawał nie był pierwszym, jaki miałam. Za każdym razem wiem, że i tak przeżyję, gdyż nie wolno mi umrzeć, dopóki nie spełnię oczekiwań duchów. Bywały dni, których nie pamiętam, choć domyślam się, że robiłam wtedy coś strasznego. Na co dzień wegetowałam w błogiej nieświadomości, uważając się za zwykłego człowieka. Prawdopodobnie, gdy jutro się obudzę, pójdę pielnić grządki, zupełnie nie pamiętając naszej rozmowy. To niezwykle męczące, więc pozwól mi spróbować jeszcze raz. – Ostatnie słowa wypowiedziała niemalże błagalnie.

W głowie Sławka zapaliło się ostrzegawcze światło. Zrobiło mu się żal Laury i wbrew logice zapragnął jej pomóc. Szybko jednak odrzucił te sentymenty. Kobieta, która przed nim stała, była tyranem, który wykorzystał śmierć jego syna do spełnienia jakichś przeklętych obietnic.

– Nie – wykrztusił.

– Szkoda – odparła Laura. – Skoro się nie dogadamy, muszę sięgnąć po nieco ostrzejsze środki.

Do Sławka dotarło, że Laura zamierza zabić Darię i w bestialski sposób wymusić na nim zgodę na jej powrót. Dążyła do tego, aby po raz kolejny pojawił się Świecący Człowiek, tym razem kobieta, która terroryzowałaby miasteczko aż do momentu, gdy duchy dadzą Laurze spokój.

Starucha zrobiła krok w kierunku Darii i przystawiła nóż do jej szyi.

– Nie zbliżaj się do niej! – ryknął Sławek i ruszył w jej stronę. Nim zdążył przejść dwa kroki, na jego drodze stanęły koty. Jeden z nich omal nie rozciął mu nogi; pazury zdołały rozerwać nogawkę jego

zniszczonych spodni, lecz na szczęście nie sięgnęły ciała.

– Nie radzę zadzierać z moimi kotkami – powiedziała Laura. Tępa stroną ostrza uniosła podbródek Darii i popatrzyła na nią z nienawiścią. Daria odwzajemniła spojrzenie, nie okazując ani cienia strachu. Jej oczy zdawały się mówić: „No dalej, zabij mnie. Na co czekasz? Brak ci odwagi?”.

Reakcja Darii zdeorientowała Laurę. Spodziewała się płaczu i paniki, co znacznie ułatwiłoby robotę. Zrozpaczony Sławek szybciej by się poddał, a ona wreszcie osiągnęłaby cel. Lecz Daria wcale nie była tak tkliwą i delikatną kobietą. W pewien sposób Laura ją podziwiała, lecz nie mogła sobie pozwolić na utratę przewagi.

– Pewnie myślisz, że chcę ją zabić – oznajmiła Laura spokojnie. – Od razu mogę ci powiedzieć, że tkwisz w błędzie. Darii włos z głowy nie spadnie. Kto wie, może uda jej się osiągnąć sędziwy wiek?

– Co? – Sławek spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– To ty umrzesz, a twoja ukochana żona sprawi, że wrócisz, prawda? – Spojrzała na Darię, oczekując odpowiedzi.

– Nie – odparła tamta pewnym głosem, który w ogóle nie współgrał z jej wymizerowanym wyglądem.

– Och, zmienisz zdanie, jak posiedzisz jeszcze trochę w grobie. Nie jest tam zbyt wygodnie, prawda? Po jakimś czasie robi się duszno i zaczyna brakować powietrza. Pojawiają się omamy. Słyszysz głosy albo widzisz dziwne obrazy. Szybko tracisz umiejętność rozróżnienia rzeczywistości od urojeń. To pewnie straszne.

Przez blade oblicze Darii przemknął cień. Przypomniała sobie głosy mężczyzn, które w ciemnościach niemal doprowadziły ją do szaleństwa. Oczy wyszły jej z orbit i nieświadomie rozdziawiła usta.

Sławek chciał rzucić się na Laurę, lecz koty wpatrywały się w niego bez mrugnięcia. Ich napięte jak struna ciała świadczyły o pełnej gotowości do skoku.

– Sławek, uważaj! – ryknął Marcin.

Nim Sławek zdołał się odwrócić, jego szyję objął mocny uścisk, a tuż pod brodą poczuł nacisk chłodnego ostrza.

– Przybyłaś w samą porę, Marto – odezwała się Laura, po czym z uśmiechem spojrzała na Darię. – Marta jest przykładem osoby, która rozumie, co dla niej dobre i sumiennie wypełnia polecenia. – Krótka pauza. – Masz teraz dwie możliwości, Dario. Albo od razu zgodzisz się na wskrzeszenie Sławka, albo dostaniesz trochę czasu na zastanowienie w miejscu, w którym nikt nie zakłóci twojego spokoju. Co ty na to?

– Nie waż się jej krzywdzić, trupie! – warknął Sławek. Miał ochotę rzucić się na Laurę, lecz blokowały go koty i nóż na gardle. Nie mógł znieść swojej bezsilności i ponownie przeklął samego siebie za brak

jakiegokolwiek broni.

Starsza kobieta spojrzała na niego, a jej oblicze nagle się zapadło. Kości policzkowe mocniej się zarysowały pod pomarszczoną skórą, a oczy zdawały się uciekać w głąb czaszki. Usta natomiast przypominały wysuszony owoc. Podobne przemiany zaczęły zachodzić w kotach. Zwierzęta raptownie zmalowały o połowę, co przywodziło na myśl balony, z których zesła część powietrza.

Sławek dostrzegł w tym szansę.

– Umarli nigdy nie wracają, rozumiesz? NIGDY! – krzyknął, czując pieczenie na szyi. Ostrze, które trzymała Marta na jego gardle, przecięło skórę, a z rany popłynęła krew.

Laura zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę. Rozprostowała palce, upuszczając nóż, który przeszedł przez jej stopę jak przez masło. Stęknęła, powstrzymując okrzyk bólu, a jej gasnące oczy zapłonęły strachem. Ciało kobiety zapadło się jeszcze bardziej. Jej twarz przypominała trupa czaszkę obleczonej naciągniętą do granic wytrzymałości skórą. Ręce zaś wyglądały jak kości owinięte splotami grubych żył i cienką, półprzeźroczystą błoną.

Zza jego pleców dobiegł wysoki pisk i trzymająca go ręka osunęła się po jego klatce piersiowej. Nóż spoczął między jego stopami. Na chwilę odwrócił głowę i zobaczył Marcina stojącego z pięścią owiniętą łańcuchem, który miał wcześniej wpięty w szlufki spodni. Marta leżała nieprzytomna na podłodze. Jej blond włosy splamiła obficie płynąca z potylicy krew.

Skinął na Marcina, który coraz mocniej się chwiał, i spojrzał na to, co zostało z Laury.

– Umarli nigdy nie wracają! Nie ma tu dla ciebie miejsca! Wynos się tam, skąd przyszedłeś!

Włosy Laury wytrysnęły z czaszki i opadły na klepisko niczym jesienne liście w ostatni ciepły wrześnieowy dzień.

Rozległ się głośny trzask. Sławek spojrzał na grób pięcioletniej Laury. Jego płyta pękła, odsłaniając czarną czeluść domagającą się duszy, która wyszła na sześćdziesięciokilkuletnią tułaczkę po świecie żywych.

Z kotów zostały dwie kupki brudnej sierści. Laura przypominała mumię. Jeszcze raz spojrzała na niego martwymi oczami. Wydawało mu się, że kiwnęła głową, pogodzona z tym, że za moment wróci do królestwa duchów. Najprawdopodobniej czekały tam na nią wieczne katusze, ale to nie miało dla Sławka żadnego znaczenia. Musiał zakończyć ten koszmar.

– Odejdź do piekła i nie wracaj. Umarłaś, a umarli nie wracają.

Rozległ się potworny huk przywodzący na myśl uderzenie gromu. Towarzyszył mu błysk oślepiającego białego światła. Zjawisko trwało

zaledwie ułamek sekundy, po czym wszystko wróciło do normy.

– Przepraszam.

Sławek podskoczył, uświadamiając sobie, że przeprosiny były ostatnim słowem wypowiedzianym przez dobrą część Laury, nim jej dusza udała się do otchłani.

Grób Laury odzyskał swoją własność. Świat umarłych został oddzielony od świata żywych.

Epilog

Siedzieli przed domem Laury i patrzyli na znikającą w świetle brzasku karetkę. Sławek padał ze zmęczenia. Jego ciało rozpaczliwie domagało się prysznic, solidnego posiłku i kilkunastu godzin głębokiego snu.

Z późniejszych wydarzeń pamiętał jedynie pojedyncze strzępki, a i te szybko ulatywały z jego głowy.

Gdy Laura zniknęła, Sławek oswobodził Darię. Wspólnie założyli Marcie prowizoryczny opatrunek z jego koszuli i sprawdzili, co z Marcinem. Nastolatek padł nieprzytomny i Sławek obawiał się najgorszego. Na szczęście pogotowie przyjechało bardzo szybko. Ratownicy medyczni powiedzieli, że stracił dużo krwi, ale wyjdzie z tego. Z Martą sytuacja wyglądała o wiele gorzej. Gdy niesiono ją do karetki, ta na moment odzyskała przytomność i zaczęła wykrzykiwać pojedyncze wyrazy, które nie łączyły się w sensowną całość. Sławek podejrzewał, że dziewczynę czeka leczenie psychiatryczne. Kolejna ofiara Laury i Świecącego Człowieka.

Zapalił papierosa i wsłuchał się w chaos, jaki panował w miasteczku. Wszędzie jeździły karetki i radiowozy, których przez ostatnią noc było jak na lekarstwo. Pojawiły się również ekipy telewizyjne. Sławek przypuszczał, że tym razem nie obędzie się bez sensacji na całą Polskę.

Tego samego dnia serwisy na wszystkich stacjach podały informację, że na jednym z podwojek odnaleziono małe pole minowe domowej roboty. Właściciel posesji, ponoć były żołnierz zmagający się z chorobą psychiczną, zginął, wchodząc na jeden z ładunków. Nie wspomniano nic o osobach postrzelonych przez Promińskiego, ani o nim samym i jego ogromnej zasłudze. Pominęto również kwestię morderstw dokonywanych przez Świecącego Człowieka. Dla opinii publicznej ktoś taki nigdy nie istniał.

Mieszkańcy miasteczka przeżyli ogromną tragedię. Wydarzenia odcisnęły na ludziach piętno, które miało zostać zapamiętane przez wiele pokoleń. Teraz wszyscy musieli wziąć się w garść i powrócić do normalnego życia.

Sławek czuł na ramieniu przyjemny ciężar głowy Darii. Ratownicy podali jej kroplówkę, po której poczuła się o wiele lepiej. Sińce pod oczami zbladły, a na jej twarz wróciło nieco blasku.

– Wyjedźmy stąd – powiedziała. – Nie jestem w stanie dłużej tu mieszkać.

Sławek wydmuchnął chmurę dymu, napawając się chłodnym

porannym powietrzem.

– Tak – przyznał. – Wystarczająco tu namieszaliśmy.

Kraków

09.04.2018 – 17.01.2019

Podziękowania

Podobno napisanie książki daje w kość, ale w efekcie przynosi satysfakcję. Brzmi heroicznie, ale nie do końca się z tym zgodzę.

Owszem, autor musi poświęcić mnóstwo czasu i nerwów, ale za powstaniem powieści wbrew pozorom stoi całkiem sporo osób. Nie jest to zatem praca całkowicie samodzielna. W tym miejscu pragnę serdecznie podziękować wszystkim, którzy mieli udział w powstaniu niniejszej powieści:

Oli – pierwszej i najwierniejszej czytelniczce – za znoszenie moich humorów, twórczych wzlotów i upadków, a także nakierowanie na właściwy tor, gdy z niego wyleciałem. Bez Ciebie ta powieść nie miałaby ładu i składu.

Maćkowi Klimkowi i Zuzannie Żukowicz za poświęcenie czasu na przeczytanie powieści i wyrażenie zdania na jej temat.

Małgorzacie Królikowskiej za liczne sugestie i dostrzeżenie tego, co mi umknęło. Dzięki, Wiedźmo!

Kazimierzowi Kyrzczowi za fachową korektę, dobre rady i podniesienie na duchu, gdy pojawiło się zwątpienie.

Dawidowi Boldysowi za fenomenalną szatę graficzną.

Swoje podziękowania kieruję również do całej ekipy Wydawnictwa Dom Horroru. To dzięki Wam ta książka przybrała formę fizyczną, została dopieszczona i w efekcie ujrzała światło dzienne.

Dziękuję również Tobie za poświęcony czas. Mam nadzieję, że nie uważasz tych godzin za źle spożytkowane i niebawem będę mógł poprowadzić Cię przez kolejną opowieść.

UMARLI NIE WRACAJĄ

Mała miejscowość na Pomorzu. Sławek, wraz z żoną Daria, przeprowadza się w swoje rodzinne strony. Małżeństwo jest w żałobie po śmierci jedyne go syna. Krótco po wprowadzeniu się do starego domu odziedziczonego po rodzicach Sławka, przychodzi do nich nieoczekiwany gość – staruszka, która proponuje im przywrócenie ich syna do życia. Rodzice, wbrew wszelkim prawom zdrowego rozsądku, przystają na jej propozycję, kobieta zaś wkrótce znika bez śladu. W miasteczku zaczyna dochodzić do przerażających morderstw. Policja jest bezradna, a brak zainteresowania z zewnątrz sprawia, że mieszkańcy czują się zaszczeni. Coś ciągle poluje na młodych ludzi i nikt nie jest w stanie tego zatrzymać. Kim jest tajemnicza kobieta, która sprowadziła na miasteczko nieszczęście? Jak powstrzymać krwawy terror?

DOMHORRORU.PL
FACEBOOK.COM/DOMHORRORU
INSTAGRAM.COM/DOMHORRORU

